

TORI PHILLIPS

Tajemnica

weneckiej maski

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Wenecja, Włochy*

*Luty, 1550 rok*

- Madonno\*, jakiś mężczyzna chce się z tobą zobaczyć - oznajmiła karlica.

Jessica Leonardo zdmuchnęła opadający na czoło czarny kosmyk i z uśmiechem spojrzała na przyjaciółkę.

- Wielu z moich pacjentów to mężczyźni, Sofio. Co jest takiego szczególnego właśnie w tym?

Kobiecinka ściągnęła usta.

- Jest bardzo wysoki. Sięga głową do sufitu. - Wzruszyła ramionami. - No, prawie. Poza tym... jest cudzoziemcem. Myśle, że wikingiem. – Wzdrygnęła się.

Jessica stłumiła uśmiech.

- Nie masz pewności?

Sofia zamachała małymi rączkami. Paluszki miała krótkie i grube.

- Wielki Boże. Któż to może wiedzieć. Mężczyzna mówi naszym językiem, chociaż z obcym akcentem, a ubiór wskazuje, że wiele podróżował po świecie. Jego nogawice mają paryski krój, ale kubrak na pewno został kupiony w Weronie. Płaszcz wygląda na angielski, a co do kapelusza? Nie jestem w stanie powiedzieć, z jakiego kraju pochodzi jego nakrycie głowy. - Zmrużyła oczy. - Wiem jedno. Wprawdzie ten strój doskonale

\* Madonna - pani

na nim leży, ale odnoszę wrażenie, że nie czuje się w nim dobrze. Sądzę, że pragnie uchodzić za kogoś innego, niż jest w rzeczywistości.

Jessica uniosła głowę.

- O co chodzi? Mówisz bardzo zagadkowo.

- Wobec tego powiem ci wprost, co o tym myślę. Chociaż jest ubrany jak typowy bogaty wałkoń, założę się, że ogładę i maniery wyniósł z zakonu.

Jessica wytarła marmurowy tłuczek z resztek suszonej lawendy, którą ucierała w moździerz. Następnie umyła ręce w stojącej obok miednicy z wodą.

- Bardzo jestem ciekawa tego mężczyzny - powiedziała, wycierając dłonie w fartuch.

Podeszła do ściany, która oddzielała jej cichy pokój od poczekalni dla pacjentów. Odsunęła prostokątną blaszkę zasłaniającą mały otwór w boazerii.

- Dio mio\* - szepnęła z przejęciem.

Sofia nie przesadzała; mężczyzna był rzeczywiście niezwykle wysoki. Długimi krokami przemierzał wzdłuż i wszerz wygodnie urządzonej poczekalni, jak lew zamknięty w ciasnej klatce. W prawej ręce ścisnął czerwony, przybrany piórami kapelus, a palcami lewej przeczesywał bujne połyskujące złociście jasne włosy. Jessica przyglądała mu się wprawnym okiem. Ciało ludzkie nie miało dla niej tajemnic. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by ocenić stan pacjenta, a miało ich wielu, różnej płci i w różnym wieku.

Nogawice w czerwono-białe pasy podkreślały muskularność uderzająco długich nóg nieznajomego. Obcisły czerwony aksamitny kubrak sięgał tylko do talii. Obfite fałdy jedwabnej kremowej koszuli wyzierały z przecięć haftowanych złotem rękaw-

\*Dio mio - Mój Boże

wów, dzięki czemu jego ramiona wydawały się szersze, niż były w rzeczywistości. Na wierzchu miał długą do kolan kamizelkę ze złotego brokatu podbitą futrem z rudego lisa - bardzo kosztowną. Narzucona na ten strój krótka szkarłatna pelerynka sprawiała wrażenie skrzydeł wyrastających mu z barków. Rzemiki złotych, o kwadratowych noskach, pantofli zakończone były figlarnymi czerwonymi pomponami.

Jednakże najbardziej uderzająca w tym mężczyźnie była jego twarz. Rysy miał foremne i tak doskonale piękne, że przypominały głowy świętych dłuta słynnego rzeźbiarza SansoVina. To ujmujące oblicze nie pasowało zupełnie do frywolnego ubioru. Było myślące, szlachetne i dziwnie intrygujące.

- Czy nie mam racji? - szepnęła za jej plecami Sofia. - Moim zdaniem, on wcale nie jest tym, za kogo chce uchodzić-

my był księdzem ze Świętego Oficjum, który, przywdziawszy dla niepoznaki ten pstrokaty strój, przyszedł sprawdzić gorliwość jej katolickiej wiary? Dobry Boże, dodaj siły i odwagi-

Mężczyzna potarł prawe ramię i zgiął palce prawej ręki. Choć twarz nie odbijała żadnych uczuć, mgielka bólu, która na moment przesłoniła intensywny błękit jego oczu, nie uszła uwagi Jessiki. Niezależnie od tego, kim był jej tajemniczy klient, dziewczyna widziała, że cierpi. Zasłoniła otwór i odwróciła się do Sofii.

Karlica przekrzywiła na bok małą główkę.

- Zamierzasz go przyjąć? Czy mam powiedzieć Gobbo, aby przypasał sztylet?

Jessica odetchnęła głęboko i skinęła głową. Rozwiązując troczki poplamionego fartucha, zapytała:

- Czy uprzedziłaś go o moich warunkach?

- Si\* - odparła Sofia - ale on już o nich wiedział. - Przy-

\*Si - tak

sunęła się bliżej do Jessiki. - Bądź ostrożna, madonno. W sercu tego człowieka nie ma radości.

- To oczywiste. On cierpi.

Zdjęła z kołka przy drzwiach skórzaną maskę. Pomalowana na białą, przedstawiała oblicze kolombiny, bohaterki popularnych komedii dell'arte. Założyła za uszy czarne wstążki i związała je ciasno pod grubym warkoczem. Maską nie może zsunąć się z twarzy w niewłaściwym momencie.

Jessica zwróciła się do Sofii.

- Dobrze leży? Czy zasłania...? - Nie odważyła się wymówić słowa „znamie”. Lękała się, że mężczyzna, który czekał na nią z taką niecierpliwością w poczekalni, może okazać się urzędnikiem straszliwej inkwizycji.

Sofia pogładziła jej zimną dłoń.

- Bądź spokojna. Nie zobaczy niczego, czego nie powinien oglądać.

Z kolejną gorącą modlitwą na ustach Jessica otworzyła drzwi do przyległej izby i weszła do środka. Olbrzym natychmiast przerwał spacer. Był nawet wyższy, niż jej się wydawało. Miał chyba blisko dwa metry wzrostu. Skłoniła się nisko przed nieznajomym, choć drżały jej kolana pod zieloną wełnianą spódnicą.

- Dzień dobry, messere\*. Czuję się zaszczycona, że wasza lordowska mość raczyła wstąpić w moje progi. Nazywam się Jessica Leonardo. Czym mogę służyć?

Ku jej zdziwieniu nieznajomy odklonił się uprzejmie. Musiał przebywać w Wenecji od niedawna. Znaczniejsi obywatele tego miasta nie mieli zwyczaju bawić się w takie grzeczności wobec kobiety niższego stanu. Czy on z niej drwi, czy też jego zamiarem jest osłabić jej czujność?

\*Messere - pan

- Witam, signorina Leonardo - odpowiedział głębokim i melodyjnym głosem. - Dziękuję, że zgodziła się pani przyjąć mnie tak szybko.

Jessica wskazała na jedno z wyściełanych krzeseł z poręczami w kształcie półksiężyca.

- Zechce pan usiąść, messere? - Ręka jej drżała lekko. Ukryła ją w fałdach spódnicy.

Odetchnęła z ulgą, kiedy wyciągnął na siedzeniu swe długie ciało. Mogła teraz lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Miał niezwykle piękne oczy, w których jednak, jak zdążyła zauważyć, krył się ogrom nie tylko fizycznego cierpienia.

- Proszę mi powiedzieć, co panu dolega?

Zamrugął.

- Mam zastarzałą bliznę po ranie, w tym oto miejscu. - Dotknął prawego ramienia. - Tutejsza wilgoć i zimno sprawiły, że ból odezwał się ze zdwojoną siłą.

- Ach tak. - Jessica wsłuchiwała się z rozkoszą w melodyjny głos. - Wynika z tego, że jest pan w Wenecji od niedawna. - Obserwując pozę, w jakiej siedział, spostrzegła, że wyraźnie oszczędza prawy bok.

Rozchylił wargi, jak gdyby miał zamiar się uśmiechnąć, ale na tym się skończyło.

- Urodziłem się w Anglii.

Jessica pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Mówiono mi, że w pańskim kraju zimna i deszczowa pogoda to rzecz normalna.

- Rzeczywiście - odrzekł. Równe białe zęby błysnęły w bladym świetle poranka. - To właśnie z tego powodu wędruję od dłuższego czasu po świecie. Poszukuję cieplejszego klimatu.

W głowie Jessiki zrodziło się podejrzenie, że nieznajomy przemierzał obce kraje raczej w innych celach.

- Pan dobrze mówi po włosku. Posługuje się pan nawet

nieźle naszym lokalnym dialektem, który zagranicznym turystom sprawia zazwyczaj spore trudności. Uniósł do góry ciemnożółtą brew.

- Mam zdolności do języków. To jeden z moich nielicznych talentów.

Uczony człowiek! Nie ma wątpliwości, musi być z inkwizycji. Lęk Jessiki spotęgował się.

- Skąd... Jak się pan o mnie dowiedział? - zapytała słabym głosem. - Myślę o moim uzdrowicielskim darze.

Cień uśmiechu ponownie zaigrał na jego wargach, ale wyraz oczu pozostał ten sam - chłodny i melancholijny.

- Pewna znajoma dama, donna Cosma di Luna, wiedziała o mojej... dolegliwości. To ona mi panią poleciła.

Jessica roześmiała się w duchu. Cosma di Luna nie była żadną damą; była tylko bardzo kosztowną kurtyzaną. Ten Anglik musi być rzeczywiście bardzo bogaty, skoro może sobie pozwolić na spędzenie z nią nocy - jeżeli oczywiście nie jest księdzem.

- Jestem wdzięczna donnie di Lunie -. odparła. - Przychodzi do mnie od czasu do czasu na masaż.

Tym razem uśmiechnął się już całkiem otwarcie, choć nadal bardzo powściągliwie.

- Cosma twierdzi, że ma pani anielski dotyk.

- Donna di Luna jest bardzo dla mnie uprzejma - odparła cicho. Dotknęła maski, która kryła jej twarz przed wścibskimi spojrzeniami otoczenia. - Czy uprzedziła pana, że przyjmuję w masce?

Skinął głową.

- Owszem, chociaż nie wyjaśniła dlaczego.

Dreszcz przerażenia przebiegł po ciele Jessiki. Musi być ostrożna. Jeżeli on zobaczy to diabelskie znamię, pochwyca ją i spala na stosie. Starła się mówić spokojnym, opanowanym tonem.

- Moja twarz jest oszpecona, messere. Przyszłam na świat z brzydkim znamieniem. Boję się, że może ono razić otoczenie, więc wkładam tę maskę, aby oszczędzić ludziom przykrego widoku.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę badawczo, nim w końcu odpowiedział:

- Z przykrością dowiaduję się o nieszczęściu, jakie panią spotkało, ale trudno mi w to uwierzyć. Pani wargi przypominają płatki różanych kwiatów rosnących w mojej ojczyźnie, a słodycz pani głosu przywodzi na myśl śpiew skowronka.

Czego on od niej chce? Przecież nie zdradziłam swoich rodziców. Jessica odchrząknęła.

- Czy donna di Luna opisała panu, na czym polega moja terapia?

Skinął głową. Znowu odruchowo potarł prawe ramię.

- Powiedziała, że pani potrafi masażami wypędzić ból z ciała człowieka. Jeżeli to prawda, signorino Leonardo, do końca życia będę pani wdzięcznym dłużnikiem. Od wielu lat cierpię prawdziwe katusze.

Jessica spojrzała wprost w melancholijne niebieskie oczy. Wciągnęła głęboko powietrze w płuca, by dodać sobie odwagi, i rzekła:

- Jestem w stanie usunąć ból w pańskim ramieniu, milordzie, ale obawiam się, że moja wiedza nie wystarczy, aby uleczyć ranę w pańskiej duszy.

- Cosma nie uprzedziła mnie, że jest pani również bardzo spostrzegawcza - odpowiedział, cedząc słowa.

Odwróciła od niego spojrzenie. Serce mocno kołatało w jej piersi.

- Łatwiej jest zrozumieć czyjś ból, jeżeli się samemu również coś bolesnego przeżyło.

Po raz pierwszy jego twarz nabrała łagodniejszego wyrazu.



- Przepraszam - powiedział miękkim głosem.

Jessica na dźwięk tych słów poczuła ciepło koło serca. Spojrzała na niego kątem oka spoza otworu w masce. Ten Anglik był niezwykle przystojny. Nie pasował do skromnego wnętrza jej małego domku. Wyobrażała go sobie raczej na tle wytwornej scenerii wielkiego dworu. Poczowała swędzenie w koniuszkach palców. Zacisnęła w pięści skrzyżowane za plecami dłonie. Podeszła do drzwi wiodących do izby, w której przyjmowała pacjentów.

- Jeżeli jest pan zdecydowany poddać się mojej kuracji, to proszę za mną. - Otworzyła drzwi.

Podniósł się z miejsca. Jego potężna postać wypełniła prawie cały pokój. Jessica aż cofnęła się z wrażenia. Wyciągnął do niej rękę wewnętrzną stroną do wierzchu.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani przestraszyć.

Spojrzała na niego spłoszonym wzrokiem.

- Prawdę mówiąc, milordzie, nigdy nie spotkałam nikogo tak... wysokiego jak pan.

- To dziedziczne w mojej rodzinie.

- Musi pan wobec tego posiadać duży dom. Mały nie pomieści większej liczby takich Wielkoludów. - Paplę jak jedna z tych głupich małpeczek, które sprzedają na targu w Rialto, pomyślała z niesmakiem.

Anglik wszedł za nią do izby.

- Nie ma obawy. Moja rodzina mieszka w Anglii - wyjaśnił. Cień jego uskrzydłonej peleryny sylwetki tańczył po ścianie jak groźne ptaszysko. Pachniał goździkami i dymem.

Izba była już gotowa na przyjęcie pacjenta. Jessica uśmiechnęła się. Sofia jak zawsze pamiętała o wszystkim. W odległym rogu stał kociołek z dziurkowanego mosiądzu na żelaznym wysmukłym trójnogu. Żarzące się węgle wydzielaly błogie ciepło, wypierając z kątów chłód zimowego poranka. Szczapka sanda-

łowego drewna, którą Sofia dorzuciła do paleniska, rozsiewała wokół miły aromat. Był to zbytek, ale Jessica w pełni go aprobowała. Może słodki zapach rozweseli angielskiego lorda. Czyste lniane prześcieradło okrywało szezlong. W nogach leżał miękki, złożony we czworo, wełniany pled. Obok na małym podręcznym stolczku, osadzona w kutym żelaznym lichtarzu, paliła się migotliwym płomieniem gruba pachnąca świeca. Jessica zamknęła drzwi za Anglikiem. Gość rozejrzał się po izbie.

- Nie ma tu okien?

Jessica odchrząknęła.

- Nie. Chodzi o to, aby usunąć przeciągi i nie dopuszczać do środka smrodliwych wyziewów ciągnących od miejskich kanałów. - Wygładziła niewidoczne zmarszczki na prześcieradle. Musi koniecznie opanować ten bezsensowny dygot, w przeciwnym razie z kuracji nic nie wyjdzie. Przy takim samopoczuciu nie będzie w stanie mu pomóc. - Poza tym wyizolowane od zewnętrznego świata pomieszczenie sprzyja nawiązaniu więzi z pacjentem, co bardzo pomaga w kuracji.

Dotknął zielonej ściany.

- Wojłok?

- Wojłok dobrze wycisza i zatrzymuje ciepło. To jest wszystko robione z myślą o wygodzie moich pacjentów, a więc i pańskiej także, messere, zapewniam. Zostawiam teraz pana samego, żeby nie krępować pana swoją obecnością przy rozbieganiu. Proszę zdjąć wierzchnią odzież oraz koszulę i powiesić wszystko na tych kołkach. - Wskazała na rząd lakierowanych gałek naprzeciwko drzwi. - Następnie proszę położyć się na otomanie i przykryć kocem dla ochrony przed zimnem. - Wzięła ze stołu grubą czarną opaskę i podała mu ją. - Proszę sobie przewiązać nią oczy, zanim wrócę.

Kiedy brał do ręki ciemny jedwab, koniuszkami palców do-

tknął jej skóry. Dotknięte miejsce paliło ją i szczypało, jak gdyby jednocześnie liznął ją parzący płomień i zmroził lodowaty sopel. Jessica wciągnęła powietrze w płuca. Cóż za dziwną siłę ma w sobie ten mężczyzna? Drży przy nim jak liść, a mimo to pragnie znowu poczuć na swej skórze jego dotyk.

Gość przyglądał się przez chwilę opasce, a następnie przeniósł wzrok na Jessicę.

- Donna Cosma również mi o niej wspominała, ale czy jest rzeczywiście potrzebna?

Jessica była przygotowana na to pytanie. Wszyscy nowi klienci dziwili się temu żądaniu.

- Chodzi o to, że nie mogę pracować w masce. Utrudnia mi skoncentrowanie się na chorym ciele. Z drugiej strony, nie chcę pana narażać na przykry widok. Dlatego też proszę uniesienie, by miał pan opaskę na oczach, kiedy będę pana badać i leczyć.

Trzymał tkaninę między wskazującym palcem a kciukiem, jakby za chwilę miała się przemienić w żywego śliskiego węgorza.

- A co będzie, jeżeli nie posłucham?

Jessica uniosła do góry podbródek.

- W takim razie nie będę pana leczyć. Wybór należy do pana.

Przyglądał się jej przez jakiś czas, po czym uśmiechnął się szeroko. Ale uśmiech znikł równie nagle, jak się pojawił, nim zdążyła nacieszyć się jego szczególnym urokiem.

- Zdaję się na pani łaskę, signorino Leonardo. Proszę robić ze mną, co pani się podoba. Szczerze mówiąc, jest pani najbardziej intrygującą kobietą, jaką spotkałem od przyjazdu do Wenecji.

Jessica nie wiedziała, czy ma potraktować jego słowa jak komplement, czy też jak obelgę. W końcu doszła do wniosku, że była to raczej pochwała. W odpowiedzi uśmiechnęła się do niego i skierowała w stronę wyjścia.

- Proszę zawołać, kiedy pan już będzie gotowy, messere.

Wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać.

- Jak się mam do pani zwracać? - zapytał. Maleńkie iskierki rozświeciły głębię błękitnych jak niebo oczu.

Poczuła suchość w gardle. Serce zabiło szybszym rytmem.

- Mam na imię Jessica - odpowiedziała miękko, zamykając za sobą drzwi. Niepewnym krokiem podeszła do najbliższego fotela.

Czy ten mężczyzna jest czarownikiem? On chyba rzucił na nią jakiś urok.

Francis Bardolph raz jeszcze rozejrzał się szybko po pokoju. Nie lubił ciasnych pomieszczeń, zwłaszcza takich, które nie miały okien. W razie niebezpieczeństwa człowiek nie ma możliwości ucieczki. Jego podejrzliwość wypływała z osobistego doświadczenia. Przez długie lata podróżował po obcych krajach w służbie króla, najpierw Henryka VIII, a potem jego młodego syna Edwarda VI. Wieszając na kołku pelerynę i płaszcz, Francis pomyślał z troską, że w ostatnim czasie nie odniósł żadnych znaczących sukcesów. Zbieranie tajnych informacji dla sprytnego sekretarza stanu Anglii sir Williama Cecila było szarpającym nerwy zajęciem, na dodatek bardzo ryzykownym.

Muskuły w jego ramieniu buntowały się przy każdym ruchu. Nacisnął bolące miejsce. Następnie odpiął kubrak, myśląc przez cały czas o intrygującej uzdrowicielce. W przeciwieństwie do większości kobiet, które Francis poznał podczas swego pięcioletniego pobytu w Wenecji, Jessica nie smarowała swych kruczonych włosów lepłą woskową pomadą, ale pozwalała im spływać swobodnie na plecy ciężkim warkoczem. Urocza fryzura, choć dość prowokująca. Ciekawe, jak ona wygląda z włosami puszczone luźno na ramiona? Czy są rzeczywiście tak miękkie w dotyku, jak na to wyglądają?

Krzywiąc się, Francis zdjął w końcu ciasny kaftan. Zły był na siebie, że tak długo rozmyśla o warkoczach signoriny. Miał w tej chwili dość kłopotów związanych z kobietami. Cosma ostatnio zaczęła stawać się coraz bardziej wymagająca i zaborcza. I nie tyle zależało jej na prezentach kupowanych hojnie za pieniądze z pękatej sakiewki lorda Cecila, ile o zawładnięciu duszą i ciałem Francisa. Ostatniej nocy zaproponowała mu bez ogródek, aby ją poślubił. Francis wyobraził sobie reakcję Cavendishów, gdyby przywiózł ze sobą do Anglii taką wypacykowaną lalę.

Jakaż ogromna przepaść dzieli te dwie kobiety - Cosmę i Jessicę. Francis przestał na chwilę rozwiązywać troczki jedwabnej koszuli. Włosy Cosmy miały odcień czerwonego złota, ulubionego koloru wszystkich wenecek. W pogodne dni grupki wytwornych dam pojawiały się na płaskich dachach swoich domostw, aby wystawić na słońce ufarbowane henną fryzury. Młodzi eleganci często wspinali się na szczyt wieży zegarowej na placu Świętego Marka tylko po to, aby podziwiać falujący ocean złocistorudych włosów.

Włosy Jessiki były czarne jak noc. Francisa ciągnęło, aby wpleść palce w ich mroczną gęstwiny, ale powstrzymywało go dobre wychowanie i poczucie honoru. Zastanawiał się, dlaczego Jessica nie używa kosmetyków, jak to robiły Cosma i inne służebnice bogini Wenus, tylko ukrywa twarz za tą przeklętą maską. Widział tylko jej usta, których uroda kazała domniemywać, że wyższe partie twarzy wyglądają równie obiecująco. Nieukarminowane wargi Jessiki były tak soczyste i ponętne, że niejedna luksusowa kurtyzana mogłaby jej ich pozazdrościć. Ciekaw był, jakie to uczucie całować wargi, które nie zaznały szminki.

Ściągając koszulę przez głowę, zastanawiał się też, czy Jessica jest jeszcze dziewicą. Przypuszczał, że ma ponad dwadzie-

ścia lat, a większość kobiet w tym wieku zdążyła już stracić cnotę, chyba że przedwcześnie zamknięto je w klasztorze. Wykrzywił usta. Dlaczego sprawa dziewictwa Jessiki tak go zaprzęta? Gwałtowny ból w ramieniu przypomniał Francisowi, że przybył do domu tej kobiety przede wszystkim po to, aby ulżyła jego cierpieniom.

Zdjął pantofle i popchnął je stopą pod ścianę. Spojrzał na kiwające się pompony. Co za idiotyczne obuwie! Wyobraził sobie, jak Belle, jego siostra, zanoszą się od śmiechu, widząc swego poważnego brata ubranego w taki błazeński strój. Francis wiedział, że do końca życia będzie mu wypominała ten niepoważny ubiór.

Usiadł na szezlongu i wziął opaskę do ręki. Gęsia skórka pokryła jego obnażony tors. Kiedy już raz przewiąże sobie oczy tym niewinnie wyglądającym kawałkiem materiału, stanie się bezbronny jak dziecko. Będzie całkowicie zdany na łaskę pięknej ekscentrycznej kobiety. Znał panujące w Wenecji stosunki i wiedział, że Jessica Leonardo może być na usługach osławionej weneckiej tajnej policji. Republika nie okaże litości angielskiemu szpiegowi węszącemu w ciemnych zaułkach miasta. Rosnąca w potęgę angielska flota handlowa zaczynała stanowić coraz większe zagrożenie dla, jak na razie, dominującej roli Wenecji w handlu z legendarnym Wschodem. Potężni kupcy republiki z radością położą kres zdradzieckiej działalności Francisa. Tajemnicza signorina Jessica może bez trudu ugodzić go sztyletem w serce, kiedy niczym ryba na desce będzie spoczywał na jej szezlongu.

Ramię znowu zaczęło go rwać. Zgiął sztywne palce. Niech to diabli! Był w gorszych miejscach niż to. Ta kobieta cieszy się sławą uzdrowicielki. Zaryzykuje życie - po raz kolejny. Francis mocno zawiązał sobie opaskę na oczach, a następnie ostrożnie ułożył się i przykrył kocem aż po szyję. Stopy wystawały daleko poza krawędź.

- Signorino! - zawołał. - Czekam. Zgodnie z pani poleceniem już się rozebrałem.

Usłyszał, jak drzwi otwierają się cicho. Zesztywniał i instynktownie skurczył pod kocem palce. W zasięgu ręki miał swój rapier. Poczł w nozdrzach jej perfumy. Ich ciężka upajająca woń przywodziła na myśl tajemniczy arabski Wschód i jego aromaty.

- Dziękuję, że mi pan zaufał - odezwała się niskim dźwięcznym głosem. - Proszę się rozluźnić.

Do pokoju wszedł jeszcze ktoś - jakiś mężczyzna. Lekkimi krokami podszedł do sofy. Francisowi włosy zjeżyły się na karku. Podskoczył, kiedy położyła mu rękę na czole.

- Proszę się nie denerwować, messere - odezwała się pół głosem. Po raz wtóry zwracała się do niego jak do utytułowanej osobistości. - To tylko Gobbo, mój lutnista. Będzie mi przygrywał. Jeżeli umysł jest spokojny, ciało lepiej poddaje się leczeniu.

Jej niewidzialny towarzysz nastroił instrument i zaczął grać liryczną balladę. Francis, który znał się na muzyce i również miał w tym kierunku zdolności, z rozkoszą słuchał mistrzowskiej gry. Spod zręcznych palców płynęły dźwięki pełne niewymownej słodyczy. Czarodziejska melodia unosiła się nad leżącym Francisem i przenikała do najgłębszych zakamarków jego udręczonej duszy.

Gryzący zapach uderzył go w nozdrza. Wzdrygnął się, kiedy Jessica dotknęła jego czoła.

- Spokojnie, messere, to tylko trochę kamfory zmieszanej z oliwą. Proszę wybaczyć ten przykry zapach, ale kamfora ma cudowne właściwości. Wspaniale działa na chore stawy i bóle głowy.

Masowała jego skronie. Francis od dawna nie zaznał takiej rozkoszy jak dotyk jej palców. Dotknięcie było jednocześnie delikatne i zmysłowe. Po prostu czarodziejskie. Odetchnął głąbo-

ko. W jego wyobraźni pojawił się urzekający obraz: oto znajduje się w zbytkownej sypialni - Jessica czeka na niego w szerokim łożu w jedwabnej pościeli. W jakież upojenie te cudowne palce mogą wprawiać mężczyznę, jeżeli ona...

- Zanim zacznę, muszę zbadać bolące miejsce.

Oprzytomniał.

- Prawe ramię - wyrzekł ochryple. Uniosła koc.

Owionęło go zimne powietrze.

- Widzę. - Przecięgnęła palcem po zastarzałej bliznie. - To była głęboka rana. Jak to się stało?

Wspomnienie letniego poranka sprzed wielu lat odżyło w jego pamięci. Jest ciepły słoneczny dzień. Na ogromnym rumaku siedzi jego... jego pan - i rzekomy ojciec, sir Brandon Cavendish. W uszach dzwoni beztroski dziecięcy śmiech Belle. Krzyk spłoszonego ptaka, a potem, dosłownie, piorun z jasnego nieba.

- Trafiono mnie z kuszy - odpowiedział sucho.

Jessica uniosła do góry ramię i dotknęła wielkiej blizny na plecach.

- Przeszyto pana na wylot - zauważyła.

- Jak by tu rzec... rycerz, któremu służyłem, wyciągnął strzałę. - Przełknął ślinę na wspomnienie straszliwego bólu.

Jej palce delikatnie badały zabliznioną skórę.

- Ile pan miał wtedy lat?

- Dziewięć i kilka miesięcy.

Westchnęła głęboko z przejęcia.

- Co to musiał być za niegodziwiec, by strzelać do takiego małego chłopca?

Francis skrzywił się z niechęcią.

- Ten ktoś czyhał na życie mego... pana. - Nie mógł nazywać Brandona ojcem, chociaż ten uważał go za swego syna. - Trafiła we mnie strzała przeznaczona dla niego.



- Dio mio - wyrzekła półgłosem. - Taki mały, a taki dzielny.

To raczej strzelec był kiepski, pomyślał Francis, ale nie powiedział tego głośno. Podobała mu się intonacja jej głosu, gdy nazywała go dzielnym.

W dalszym ciągu naciskała bliznę, jak gdyby śledziła drogę strzały w jego ciele.

- Czy rana jąrzyła się? Czy miał pan gorączkę?

- Si - odpowiedział. - Zajęła się mną stara mądra zielarka, która zszyła mi ranę i przykładała na nią kompresy z ziół. Powiedziano mi później, że byłem nieprzytomny ponad dobę. Po tym długo nie mogłem dojść do siebie.

Przesunęła palcami wzdłuż ramienia, a następnie ujęła w ręce jego prawą dłoń.

- Chcę sprawdzić zasięg pańskich ruchów - wyjaśniła. - Proszę mi powiedzieć, kiedy pana zaboli. I wielka prośba, mes-sere, niech pan niczego przede mną nie ukrywa. Muszę odszukać źródło cierpienia, aby panu pomóc.

Jest w moim sercu, ale jego nie można uleczyć, odpowiedział jej w myśli Francis. Głośno zaś rzekł:

- Proszę zaczynać, ale uprzedzam, że potrafię ryczeć jak niedźwiedź. - Powiedział to jedynie dla żartu. Dobrze wiedział, że raczej umrze, niż przyzna się tej słodkiej łagodnej dziewczynie, iż jej badanie sprawia mu ból.

Podtrzymując łokieć, uniosła powoli jego ramię, a potem wyprostowała. Francis zeszywniał odruchowo, kiedy Jessica dźwignęła je ponad głowę. Zawężłone mięśnie i zmiażdżona tkanka zaprotestowały przeszywającym bólem przeciwko temu bezlitosnemu traktowaniu.

- Tutaj? - zapytała, przywracając ramię do poprzedniej pozycji.

- Si - odpowiedział przez zęby. Ból powoli ustępował. Po-

ruszyła wolno jego ramieniem, tak by zatoczyło długi szeroki łuk. Ponownie napiął się cały, kiedy osiągnęło poziom barku.

- Znowu w tym miejscu? - zapytała.

Skinął głową. Z najwyższą niechęcią przyznawał się do swej słabości, ale skoro już raz zdecydował się na leczenie, postanowił wytrzymać do końca. Cosma przysięgała, że dziewczyna go uzdrowi. Tak czy inaczej, był w tej chwili w rękach Jessiki, która badała jego obnażone ciało.

Pogładziła go po ręku.

- Proszę zacisnąć dłoń w pięść - poleciła.

Francis z trudem zgiął długie palce i docisnął je do dłoni.

- W takie dni jak dzisiaj idzie mi znacznie gorzej - wyjaśnił przeproszającym tonem. Bez wątpienia pomyśli, że rzeczywiście jest tym napuszczonym gogusiem, za którego pragnął uchodzić w oczach ludzi. - Zimno i mokro - dodał.

Opuściła jego ramię na szezlong.

- Ach, więc to tak - mruknęła. - Podziwiam pańską wytrzy-

małość. Pomimo cierpienia musiał pan używać tej ręki; pańskie mięśnie są nadal bardzo twarde i sprężyste.

Maleńki ostrzegawczy dzwoneczek rozległ się w głowie Francisa. Ta figlarka o słodkim głosie może przyczynić się do jego zguby, jeżeli nie będzie ostrożny. Wenecja była miastem niebezpiecznym i pełnym tajemnic, a na jej ulicach roiło się od szpiegów i informatorów.

- Zależy mi na tym, aby nie tyć, w przeciwnym wypadku moje ubrania będą źle na mnie leżały, signorina - odpowiedział jak dandys, którego grał wobec otoczenia. - Zazwyczaj, gdy przebywam za granicą, staram się utrzymać w formie, jeżdżąc konno. Na tej uroczej wyspie, oblanej wodami laguny, niestety nie jest to możliwe. W Wenecji biorę lekcje fechtunku u jedne go z waszych najlepszych szermierzy.

Była to prawda. Co więcej, trener nauczył Francisa wielu no-

wych zabójczych technik, nieznanym jeszcze angielskim przestępcom-

Jessica nie odzywała się przez jakiś czas. W milczeniu masowała jego kark i ramiona. Dopiero po chwili zauważyła:

- Musi pan bardzo lubić szermierkę, skoro nauczył się pan walczyć lewą ręką, chociaż jest pan praworęczny. Proszę się rozluźnić, messere - dodała. - Pańskie mięśnie przypominają węzły na sznurkach, tak są skurczone i napięte.

Jej spostrzeżenie szarpnęło i tak napiętymi nerwami Francisca. Odetchnął kilka razy głęboko, aby się uspokoić. Czy Jessica Leonardo nie poinformuje weneckiej tajnej policji, że jest szpiegiem i zdrajcą republiki? Czy nie wrzuci liściku z takim donosem do najbliższej bocca di leone?\* Francis nigdy nie czuł się tak bezbronny jak w tej chwili, kiedy, obnażony do pasa, z przewiazanymi oczami, leżał w domu tej dziwnej kobiety. Nie powinien tu nigdy przychodzić.

Przy tych wszystkich obawach czuł się jednak wspaniale. Opływały go upajające dźwięki melodyjnego instrumentu, a palce pięknej czarodziejki wypierały z ciała zastarzały ból. Nawet jego serce, które zwykle ciążyło mu jak kamień, nie wydawało się tak ciężkie. A lędźwia? Płonęły jak ogień. Miał nadzieję, że koc dobrze ukrywa widoczne dowody jego podniecenia.

- Buono\*\* - mruknęła Jessica, wciskając głębiej palce w zabliznioną tkanę. - Teraz czas na odpoczynek. Zarówno pańska głowa, jak i ciało bardzo go potrzebują.

Francis westchnął głęboko, dryfując powoli na kojącej fali niewysłowionej błogości. Czuł się dziwnie lekki i miał wrażenie, że jego ciało oderwało się od sofy i unosiło nad nią w przestrzeni.

\*Bocca di leone - skrzynka pocztowa w formie paszczy lwa

\*\*Buono - dobrze

- Niech pan się stara wciągać głęboko powietrze w płuca - poleciła szeptem Jessica. - Wraz z oddechem wydali pan z siebie złe humory i melancholię, które rodzą ból i niepokój. Wdychać... wydychać... wdychać... wydychać.

Ogarnęła go nagła senność. Francis wiedział, że powinien starać się nad nią zapanować, ale jego ciało błagało o spokój. Dźwięki lutni cichły powoli.

- Messere? - Jessica ciepłą ręką dotknęła jego ramienia. - Piasek w klepsydrze już się przesypał. Skończyłam na dziś.

Francis z trudem powrócił do rzeczywistości. Jessica położyła jedną rękę na zdrowym ramieniu Francisa, a drugą na jego przeciwległym biodrze. Kołysała go uspokajającym ruchem. Następnie delikatnie rozpostarła dłonie na jego piersi. Uzdrowiające ciepło jej palców zdawało się spływać w głąb tkanek i wlewać w żyły ożywczy odmładzający strumień. Płomień liźnął wewnątrz jego ud.

Przeciągły jęk wyrwał mu się z ust.

- Jak pan się czuje, messere? - zapytała, odstupując od niego. Lutnista zakończył koncert długim przejmującym akordem.

- Jak w raju - wyszeptał Francis.

- Boli pana nadal?

Uniósł do góry prawe ramię. Poruszał nim z łatwością. Zgiął palce. I ten ruch przyszedł mu bez trudu, nawet kiedy zacisnął je w pięść.

- To zupełny cud - wyszeptał po angielsku, a następnie dodał po włosku: - Dokonała pani rzeczy nieprawdopodobnej, słodka czarodziejko.

- Nic podobnego - odpowiedziała pośpiesznie. - Nie mam żadnej cudotwórczej mocy. Jestem tylko prostą kobietą. Proszę mi wierzyć.

Francis dźwignął ciało i usiadł na kanapie. Po raz pierwszy

od miesiący, a może nawet lat, poczuł się silny i pełen radości życia.

- Czuję się jak nowo narodzony. Jakich to czarów użyła pani, aby mnie wyleczyć?

Wciągnęła głośno powietrze w płuca.

- Nie stosowałam żadnych czarów, milordzie. Rozluźniłam tylko pańskie zeszywniałe mięśnie. Ale—mówiła dalej - na początku poprawa będzie tylko chwilowa. Dzisiaj wymasowałam pana bardzo silnie. Jutro rano, po przebudzeniu, poczuje się pan taki rozbity i obolały, jak gdyby stoczył pan bitwę z całą turecką armią.

Skrzywił wargi.

- Pani słowa niezbyt mnie pocieszyły.

Odsunęła się jeszcze dalej.

- To minie, zapewniam pana. Proszę zrozumieć jedno, messere, ja pana nie wyleczyłam - jedynie czas i Bóg może tego dokonać. Jeżeli pan pragnie trwałej poprawy zdrowia, musi pan przyjść do mnie na taką kurację jak dzisiaj jeszcze niejedną raz.

- Kiedy mam znowu przyjść? Jutro? - Z rozkoszą przychodziłby do niej codziennie.

- Jutro jeszcze za wcześnie, messere. Pańskie ciało musi odpocząć po dzisiejszych zabiegach. Nawet dobry Bóg pozwalał sobie na dzień odpoczynku. Umówmy się na pojutrze, dobrze? - zaproponowała, dodając jeszcze nieśmiało: - Jeżeli pan sobie tego życzy?

Francis położył rękę na piersi, na której jeszcze przed chwilą spoczywały dłonie Jessiki.

- Z całego serca. O której godzinie mam się zjawić?

- Czy dziesiąta rano nie będzie za wczesną porą?

Francis potrząsnął głową.

- Przyszedłbym nawet o świcie, gdyby dla pani to było wygodne - odpowiedział zgodnie z prawdą.

Roześmiała się ponownie.

- Byłby pan wobec tego chlubnym wyjątkiem w naszym mieście. Żaden z weneckich elegantów nie wstaje wcześniej niż w południe, chyba że minionej nocy w ogóle nie kładł się spać".

Francis uśmiechnął się.

- Ale ja jestem Anglikiem i zachowuję swoje dziwne zwyczaje nawet w waszym cywilizowanym kraju.

Jessica otworzyła drzwi. Zimne powietrze owionęło jego obnażony tors.

- A zatem pojutrze, o dziesiątej rano. Jeszcze tylko jedno pytanie. Jak pana godność, milordzie?

Wbrew zawodowej ostrożności podał prawdziwe nazwisko.

- Francis Bardolph, do usług, madonno Jessico. Będę liczył godziny do naszego ponownego spotkania.

Zakaszłała z lekkim zakłopotaniem.

- Należność proszę zostawić na stole, kiedy się pan już ubierze, messere Bardolph. Do widzenia. - Po tych słowach wyszła z pokoju i zamknęła drzwi.

Anglik zdjął z oczu opaskę i poszukał wzrokiem muzyka, ale lutnisty także już nie było. Ubranie i ekwipunek Francisza wisały na kołkach, tak jak je zostawił, łącznie z ciężką sakiewką przy pasie od szpady. Wciągnął koszulę przez głowę, na nowo podziwiając łatwość, z jaką wkładał ramiona w rękawy. Kiedy zapinał klamerki u pantofli, ktoś zapukał do drzwi.

Serce podskoczyło mu w piersi. Czarodziejka wróciła!

- Proszę - zawołał.

Jednakże, zamiast ślicznej Jessiki, w drzwiach pojawiła się jej niewyrośnięta służąca.

- Czuje się pan lepiej? - zapytała, przyglądając mu się okiem znawczyni.

Francis miał ogromną ochotę się roześmiać, ale w porę się pohamował. Zachowanie karlicy rozbawiło go. Skłonił się przed

nią nisko. Uderzyła go zręczność, z jaką wykonał ten zazwyczaj trudny dla niego ruch.

- Jestem głęboko zobowiązany twojej pani. Uczyniła ze mnie nowego człowieka.

Karlica skrzyżowała ręce na wydatnym brzuchu.

- To dobrze. - Spojrzała na jego sakiewkę. — Proszę zatem odpowiednio dobrze ją wynagrodzić. Moja pani nie jest zamożna. Nie możemy żyć na kredyt, jak to robią bogacze.

Francis uśmiechnął się. Zarzucił na ramiona pelerynę, a następnie rozwiązał woreczek z pieniędzmi.

- O ile pamiętam, mówiłaś coś o dukacie.

- Si - odparła kobietka. - Zapewniam pana, że nie wyrzucił pan swoich pieniędzy w błoto.

Francis nic nie odpowiedział. Położył na stole dwa świecące złote krążki. Z zadowoleniem dostrzegł miłe zaskoczenie w oczach służącej. Wręczył jej trzeciego dukata.

- Daj to proszę muzykowi. To utalentowany artysta. — Następnie skłonił się przed nią jeszcze niżej i ucałował pulchną rączkę. - A ty, signora, przypominasz słoneczny promyk.

Zostawiając osłupiałą karlicę, Francis nacisnął kapelusz na głowę i przez frontowe drzwi wyszedł na wąską uliczkę. W głowie dźwięczała mu stara angielska ludowa piosenka. Nim przeszedł przez małe campo\*, śpiewał już ją na całe gardło; nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło.

Kiedy zbliżał się do przystani na kanale, kątem oka dojrzał skradający się za nim cień. Chwycił za rękojeść rapiera i okręcił się błyskawicznie, by spojrzeć w twarz prześladowcy. Jeżeli nie liczyć kilku starców opalających się przy fontannie na środku skweru oraz kobiety wieszającej mokrą bieliznę na tyczce wystawionej z okna na drugim piętrze, plac był jednak zupełnie

\*Campo - plac

pusty. Francis wstrząsnął się. Oto moje zajęcie, pomyślał z niesmakiem. Atakuję cienie i ulicznice. Radość z wizyty u niezrównanej donny Jessiki jeszcze go jednak nie opuściła; odsunął na bok wszelkie obawy i niepokoje. Po co psuć taki piękny dzień?

Podjmując drugą zwrotkę ulubionej piosenki swego dzieciństwa, skinął ręką na przejeżdżającą gondolę.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Cosma di Luna spojrzała na swe mlecznobiałe ramiona i zapytała:

- Dokąd udał się Anglik, kiedy wyszedł z domu uzdrowicielki?

W lustrze toaletki widziała odbicie twarzy młodego mężczyzny. Ze źle ukrywaną żądzą wpatrywał się w jej obnażoną skórę. Młody Jacopo był bardzo podatny na kobiece wdzięki. Wystarczyło na sekundę błysnąć przed nim nagim biustem, a gotów był pełzać u jej stóp jak niewolnik. Wiedziała, że mogłaby zaoszczędzić wiele dukatów, gdyby zdecydowała się zapłacić za jego usługi własnym ponętym ciałem.

Cosma przysunęła się bliżej do lustra, aby nałożyć czernidło na powieki. Pyszniła się pozycją najbardziej luksusowej kurtyzany Wenecji; o jej względy zabiegali ważni senatorowie, arystokratyczni młodzieńcy i zamożni kupcy. Nie musiała poniżać się do sprzedawania swoich wdzięków plebejuszom i niedoszłym przestępcom. Drobną moneta oraz ukazanie na moment dobrze wybranego fragmentu powabnego ciała zadowolą w zupełności takich jak Jacopo.

- No więc? - szturchnęła oszołomionego młodzieńca. - Mam nadzieję, że szedłeś za messere Bardolphem krok w krok, tak jak ci kazałam?

Jacopo przeciągnął językiem po suchych wargach.

- Tak jest, donno Cosmo. Najpierw poszedł na Rialto, gdzie pił wino w towarzystwie znajomych. Zatrzymał się przy żebra-

ku, który siedzi na stopniach kościoła San Giacomo i zamienił z nim kilka słów. Dał mu też jałmużnę, jak to ma w zwyczaju. Następnie udał się do introligatorów, gdzie przebywał około kwadransa, jeżeli można polegać na "dzwonach tego kościoła. - Jacopo zamyślił się i podrapał w głowę. - Następnie lord Bardolph zaszedł do apteki na rogu Calle del Spezier i Campo San Stefano.

Cosma przerwała malowanie powiek.

- A co takiego tam kupił? - zapytała od niechcenia, chociaż serce na moment stanęło jej w piersi. Oby tylko, na miłość boską, Francis nie złapał francuskiej choroby. - Zapytałeś aptekarza, mam nadzieję?

Jacopo uśmiechnął się.

- Tak, pani, znam swe obowiązki. Zakupił, flakonik eliksiru... na... to jest... - Zaczerwienił się i zakaszłał w rękaw. - To środek na obniżenie potencji lub coś w tym rodzaju, tak przynajmniej zapewniał mnie właściciel apteki.

Lęk Cosmy zamienił się w gniew. Tak mocno zacisnęła palce na rączce wytwornej szczoteczki z kości słoniowej, że aż ich stawy pobielwały pod skórą. Cóż to za łajdak! A taki ma czarujący uśmiech. Chociaż była jego kochanką od blisko czterech miesięcy, ich fizycznym zbliżeniom z reguły brakowało naturalnego zakończenia. Zawsze znajdował jakiś pretekst, aby wycofać się przed kulminacyjnym momentem. Często też twierdził, iż.... nie jest w nastroju. Czyż można się zatem dziwić, że kazała go śledzić? Gdyby zaspokajał swą żądzę z inną kobietą, Cosma szybko by sobie z tym poradziła. Po co kupować lekarstwo, aby celowo obniżyć pożądanie?

Im bardziej myślała o perfidii Francisa, tym większy ogarniał ją gniew. Obawa, aby nie zaszła z nim w ciążę, była jego prawdziwą obsesją, a nie wyłącznie dziwacznym kaprysem, jak początkowo myślała. Cosma zmrużyła oczy i zamyśliła się.

Gżyż nie była królową kurtyzan w tym mieście? Jak on śmiał postępować z nią w taki sposób? Lub mówiąc bardziej rzeczowo - postępować odwrotnie niż inni, zdrowi na umyśle mężczyźni.

- Pani? - przerwał jej rozmyślenia Jacopo. - Czy chcesz usłyszeć dalszy ciąg?

Cosma wyprostowała się.

- Oczywiście - warknęła. - Po to ci płacę. Co jeszcze ten ściekowy szczur robił po południu?

Jej uwaga rozśmieszyła Jacopa; uśmiech jednak zamarł mu na ustach, kiedy zobaczył piorunujące spojrzenie chlebodawcy.

- Zaszedł do winiarni, gdzie zjadł obiad i grał w karty z kilką młodymi dżentelmenami. Był między nimi messere Niccolo Dandelii i jego młodszy brat.

Cosma skinęła głową. Bracia Dandelii byli znanymi na całe miasto hulakami. Mieli sakiewki pełne pieniędzy i nic do roboty. Obydwaj cieszyli się jej szczególnymi względami. To w istocie Niccolo przedstawił ją Francisowi w listopadzie ubiegłego roku. Nie widziała nic niepokojącego w tej informacji.

- Mów dalej.

Młodzieniec potarł nos.

- Następnie powrócił do swego pokoju w gospodzie „Pod Jesiotrem”, gdzie, jak to zazwyczaj robi o tej porze, uciął sobie drzemkę. Jego gospodarz powiedział mi, że messere Bardolpha męczy nocny tryb życia mieszkańców Wenecji. On musi wyspać się i odpocząć przed nocną zabawą. Oraz przed wizytą u ciebie, pani - dodał z przymilnym uśmiechem.

I żeby wypić swój hamujący miłosny popęd eliksir, pomyślała Cosma. Niech diabli wezmą tego lorda Bardolpha! Głośno natomiast zapytała:

- Gdzie on teraz jest?

Jacopo skrzyżował ręce na piersi.

- Wciąż śpi „Pod Jesiotrem”. Skorzystałem z tej okazji, by czym prędzej przybiec z wieściami. - Znowu spojrzał na nią głodnym wzrokiem.

Cosma udawała, że nie zauważa jego roznamiętnionego spojrzenia, chociaż władza, jaką posiadała nad złotodziobem, sprawiała jej satysfakcję. Otworzyła małą szkatułkę na toalecie i wyjęła z niej scudo\*.

- Zbliź się, Jacopo - rzuciła, wyciągając do niego rękę z pieniądzem. - Oto twoja zapłata.

W jednej sekundzie znalazł się przy niej, ale nim zdążył chwycić monetę, Cosma zacisnęła na niej palce.

- Klęknij - nakazała z uśmiechem.

Natychmiast padł przed nią na podłogę. Jego niewolnicze posłuszeństwo złagodziło urażoną dumę. Nachyliła się nad nim, zezwalając przez chwilę napawać się widokiem swego ponętne-go biustu.

- Masz, całuj moją stopę.

Błyskając w uśmiechu dwoma rzędami białych zębów, nie pociemniałych jeszcze od wina, całych i zdrowych, Jacopo zaczął obsypywać pocałunkami domowy pantofelek na prawej nodze kurtyzany. Kiedy spróbował go zsunąć, by dotrzeć do gładkiej nagiej skóry, Cosma upuściła scudo tuż przed jego nosem. Srebrna moneta zadźwięczała na zimnych kaflach podłogi.

- Na razie wystarczy, chłopcze - rzekła półgłosem, uwalniając nogę z jego uścisku. - Nadmiar słodyczy zabije w tobie apetyt.

- Nigdy - jęknął z rozpaczą.

Odprawiła go ruchem dłoni i znowu spojrzała w lustro.

- Odejdź! Wracaj do gospody lorda Bardolpha i śledź go dalej. Pośpiesz się, zanim obudzi się z drzemki.

\* Scudo - drobna moneta włoska w XVI w

Jacopo wstał, wsadził do kieszeni monetę i wzruszając ramionami, powiedział:

- Będzie spał do piątej. On prowadzi uregulowany tryb życia. - Na odchodnym spojrzał jeszcze na nią tęsknie, po czym wyszedł z buduaru i zbiegł hałaśliwie po schodach.

Pozbywszy się Jacopa, Cosma odłożyła na bok grzebień i słoik z pomadą do włosów. Fryzura mogła jeszcze poczekać. W tej chwili absorbowало ją coś innego. Wciąż gotując się z gniewu na myśl o niegodnym zakupie Francisa, Cosma postanowiła podnieść stawkę. Jeżeli jej tak zwany kochanek zamierzał nadal sztucznie studzić swoje miłosne zapały, ona ucieknie się do podobnej metody, by zaciągnąć go do łóżka. Ten angielski lord był zbyt cenną zdobyczą, aby pozwolić mu się wymknąć tylko dlatego, że powodowany jakimiś dziwnymi urojeniami, nie chciał zostać ojcem. A na tym właśnie zależało Cosmie. Chciała dziecka, aby związać Francisa ze sobą na stałe, a przy okazji zyskać prawo do jego szlacheckiego tytułu i fortuny. W ten sposób zerwie na zawsze z podniecającym, ale bardzo ryzykownym życiem kurtyzany.

Cosma podniosła się z krzesła i przeszła do sąsiadującej z sypialną biblioteki. Spojrzała z dumą na cztery półki cennych książek. Posiadała jeden z najciekawszych prywatnych księgozbiorów w całej Wenecji; były tam poezje, romanse, rozprawy historyczne i filozoficzne, a także książki traktujące o sztuce miłości. Przesunęła palcem po skórzanych grzbietach, aż znalazła tę, której szukała - najnowszy nabytek stanowiący cenne uzupełnienie jej i tak już bogatej erotycznej wiedzy. Książka nosiła tytuł: „Ogród zapachów”, a autorem tego napisanego z wielkim znanostwem i w niezwykle szczegółowy sposób dzieła był arabski szejek. Przerzuciła kartki, aż doszła do miejsca opisu afrodyzjaki. Roześmiała się cicho. Elixir Francisa przegra w starciu z delikatesami, które mu przygotuje na kolację dzisiejszego wieczoru.

Jeszcze przed Wielkanocą zostanie utytułowaną angielską damą, pomyślała, pewna zwycięstwa.

Wielki dzwon Bazyliki św. Marka wybił szóstą po południu, kiedy Francis wreszcie odłożył pióro i przetrął oczy. Kolejny raport dla sir Williama Cecila skończony. Dmuchał na papier, aby osuszyć atrament. Pisał z mozołem, zmudnym szyfrem dobrze ponad godzinę. Zgiął palce po tej męczącej czynności. Następnie podniósł do góry prawą rękę, podziwiając łatwość, z jaką się teraz poruszają. Ani śladu poprzedniej sztywności. Niech Bóg błogosławi ciemnowłosą uzdrowicielkę! Żałował, że nie dowiedział się o niej kilka miesięcy wcześniej. Jakaż to czarująca istota! Taka świeża i intrygująca za tą swoją skórzaną maską. Zupełne przeciwieństwo Cosmy. Ta ostatnia też miała maskę na twarzy, ale z różu i czernidła. Potrafiła je umiejętnie stosować, to prawda, ale nie zmieniało to faktu, że się sztucznie upiększała. Potarł grzbiet nosa. Cosma! Jak on, u licha, rozwiąże ten problem?

Z początku słynna kurtyzana nawet się Francisowi podobała. Była zabawna, a także bardzo użyteczna jako, źródło cennych politycznych informacji i Francis dobrze się czuł w jej towarzystwie. Korzystał również z innych przyjemności, które mu zaoferowała. Początkowo Cosma żartowała z jego wstrzeźliwości, podyktowanej, jak mówił, obawą, aby nie zaszła w ciążę. Chwaliła go nawet za taki rozsądek. Francisowi odpowiadała ta wersja i pozwalał jej myśleć, że jego ostrożne postępowanie w sprawach miłości ma wyłącznie jej dobro na celu.

Od Bożego Narodzenia jednak ich przyjazne i swobodne stosunki zaczęły się psuć. Cosma żądała od niego więcej, niż mógł jej dać, a informacji o członkach Wielkiej Rady Wenecji miała coraz mniej. Kiedy jej użyteczność jako informatora się skoń-

czyła, Francis odkrył, że towarzystwo kurtyzany zaczyna go nużyć. Męczyło go szczególnie jej swarliwe usposobienie. Ostatnio zaczęła nawet bez ogródek wspominać o małżeństwie. Nadszedł czas, aby zakończyć romans, ale zbyt dobrze znał Cosmę, by wiedzieć, że nie wypuści go z rąk tak łatwo. Nie obędzie się bez łez i awantur, nie mówiąc już o tym, że jeśli Cosma zechce się mścić, może się to dla niego bardzo źle skończyć. Francis miał wiele powodów, aby lękać się gniewu kurtyzany.

Spojrzał na seledynowy flakonik na stole. Cóż to za diabelską miksturę sprzedał mu ten chytry aptekarz? Francis wzdragał się na myśl o zażyciu nieznanego lekarstwa, ale obawa przed uwodzicielskimi sztuczkami Cosmy przeważała nad wstrętem. Przysiągł sobie kiedyś, że nigdy nie spłodzi nieślubnego dziecka. Z własnego gorzkiego doświadczenia wiedział, jak ciężki jest los bękarta w rodzinie. W stosunkach z kobietami stale miał ten przykład w pamięci, ale nie zawsze był w stanie zapanować nad porywami ciała. Nie dalej jak dziś rano tajemnicza donna Jessica wzbudziła w nim pragnienia, których już się po sobie nie spodziewał. Palce Jessiki usidliły go jednak, a jej dźwięczny jak srebrny dzwoneczek głos wprowadził w stan nieziemskiego upojenia. Co jednak najgorsze, ta poranna wizyta u signoriny Leonardo tak mu się spodobała, że nie mógł się wprost doczekać, kiedy znowu ją zobaczy.

Zamknął oczy i jęknął głośno. Miał zbyt namiętną naturę, by mógł nad nią całkowicie zapanować. Nie powinno go to, co prawda, szczególnie dziwić, zważywszy na wybujały erotyzm jego naturalnych rodziców. Ta sama gorąca krew płynęła w jego żyłach. Francis wziął flakonik do ręki. Odkorkował go i powąchał zawartość.

Do diabła! Jeżeli to draństwo tak obrzydliwie cuchnie, to chyba musi być skuteczne. Skrzywił się. Kościelne dzwony wybiły dwa razy po kwadransie. Podniósł się z miejsca. Jeżeli się

nie pośpieszy, nie zdąży na czas do Cosmy, a ona bardzo nie lubi, kiedy się spóźnia. Nie należy irytować jej niepotrzebnie; wręcz odwrotnie, musi starać się być dla niej miły, możliwie jak długo się da. Jeszcze tylko kilka tygodni. Z nadejściem wiosny drogi się poprawią. A wtedy żegnaj, Cosmo - a także ty - piękna Wenecjo.

Westchnąwszy głęboko, podniósł buteleczkę do ust i wlał do gardła całą jej obrzydliwą zawartość. Słodki Jezu! Już sam smak tej diabelskiej mikstury był w stanie pozbawić mężczyznę jakiegokolwiek ochoty na miłość do końca życia.

Trzy kwadransy później znajdował się już w cytrynowo-żółtym domu Cosmy przy kanale Rio di San Cassiano. Wiele grubych wonnych świec osadzonych w czarnych żelaznych lichtarzach oświetlało jej salon na drugim piętrze. Młodziutka pokojówka, Nerissa, brzdąkała na mandolinie nastrojową balladę. Cosma, w przezroczystej sukni z bladożółtego jedwabiu, wyglądała jak sama bogini miłości. Zapach jej odurzających perfum drażnił mu nozdrza, kusząc zapowiedzią upajających przeżyć. Chociaż mikstura nie posłużyła jego żołądkowi, Francis był zadowolony, że ją wypił. Nietrudno się było domyślić, że Cosma postanowiła uwieść go tej nocy już nieodwołalnie.

- Zasiądźmy do kolacji, kochanie - odezwała się przymilnie. Starła się nie pokazać po sobie przykrości, jaką sprawiło jej chłodne przywitanie Francisa. - Opowiedz mi, jak ci minął dzień.

Spojrzał na nakryty stół. Wino perliło się w różowych szklanych pucharach, na kredensie obok czekał rząd smakowicie pachnących półmisków. W żołądku przelewało mu się z głodu, a wypita mikstura podchodziła mdłościami do gardła.

- Spędziłem go głównie na hałaśliwych dyskusjach z półgłówkami. - Pomiął swoje inne zajęcia, zarówno te jawne, jak



i sekretne. - Wołałbym spędzać czas w twoim interesującym towarzystwie, gattina mia\*.

Cosma uśmiechnęła się promiennie i pociągnęła go w stronę nakrytego stołu.

- Skoro tak, to nie żałuj sobie, jedz, pij i zaspokajaj apetyt. Na wszystko - szepnęła uwodzicielsko.

Francis westchnął z rezygnacją i opuścił się na skórzany fotel. Nie miał chęci na nic - ani na jedzenie, ani na cokolwiek innego. Cosma zajęła miejsce naprzeciwko. Za oknem, po drugiej stronie kanału, podnosząca się znad wody mgła owijała się wokół zapalonych przed domami latarni. Sączyło się z nich miękkie wilgotne światło. Gęste szare opary tłumili śpiewy gondolierów, którzy, wprawnie rozgarniając wiosłami wodę, sunęli gładko w wąskich czarnych łodziach po jej cichej powierzchni. Cosma wdzięcznym, wyćwiczonym ruchem uniosła pokrywę wazy.

Żołądek Francisa skręcił się pod wpływem zapachu smacznej zupy z węgorza.

- Jakoś nie mam apetytu - zauważył półgłosem.

Pociągnął łyk wina z napełnionego pucharu. Miał nadzieję, że szlachetny trunek uspokoi jego podrażniony żołądek. Niech diabli porwą tego cholernego aptekarza!

Brazowe oczy Cosmy migotały w blasku świec.

- Skosztuj wszystkiego po troszeczkę, caro mio\*\*.- Wydęła lekko ukarminowane usta. - Przygotowałam tę kolację specjalnie na twoją cześć.

Francis wziął łyżkę do ręki.

- Wobec tego zjem, aby ci sprawić przyjemność - odpowiedział. Prawdziwy pech, że akurat dziś wieczór żołądek odmówił

\* Gattina mia - moja koteczko.

\*\*Caro mio - mój drogi.

mu posłuszeństwa. Cosma miała przecież najlepszego kucharza w Wenecji.

Uniosła swój puchar.

- To dla mnie zaszczyt, milordzie. - Spróbowała zupy. - A jak przebiegła wizyta u signoriny Leonardo? - spytała od niechcienia.

Na wzmiankę o Jessice lekki uśmiech pojawił się na wargach Francisa. Przypomniwał sobie jej melodyjny głos i uzdrawiające dotknięcie ręki. Niestety harce żołądka zdusiły w nim całą radość tego wspomnienia.

- Była to bardzo przyjemna wizyta, zapewniam cię, gattina. Niewielka zmarszczka pojawiła się między delikatnie zarysowanymi brwiami Cosmy.

- Doprawdy? Wydawało mi się, że raczej uznasz jej upodobania do noszenia maski za... jakby to wyrazić, pewne dziwactwo?

Francis upił jeszcze trochę wina, aby splukać smak po węgorku. Jego karbowany kołnierz zrobił się nagle za ciasny.

- Absolutnie nie. Wręcz przeciwnie, uważam, że maska tylko dodaje jej uroku. - Spojrzał na uginający się od półmisek kredens. Niech to diabli porwą! Ile jeszcze potraw z tych srebrnych naczyń będzie musiał skosztować?

Cosma wytarła kącik ust adamaszkową serwetką.

- Czy wiesz, że jej rodzice są żydami? Hiszpańska inkwizycja zmusiła ich do zmiany wiary i przejścia na katolicyzm. Tak mi przynajmniej mówiono. - Nalała mu wina do kieliszka z ozdobnej karafki z różowego szkła. - Aż się prosi, by zacytować znane przysłowie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Francis dyskretnie beknał w serwetkę.

- Sugerujesz przez to, że donna Jessica jest żydówką? - Miał wzdęty brzuch i męczyły go gazy. Rozpiął pas i upuścił go na podłogę.

Cosma wzruszyła z lekka ramionami, jeszcze bardziej odsłaniając przy tej okazji olśniewający dekolt.

- Powtarzam tylko to, co mówią na mieście, mój drogi, ponieważ wiem, że cię to interesuje.

Odsunął grzecznie zupę.

- Donna Jessica jest katoliczką, tak jak ja.

Skłamał celowo. Religia mało go obchodziła. Rozłam między królem Henrykiem a papieżem wyprał Francisa z wszelkich zainteresowań sprawami wiary. Pochodził z katolickiej rodziny, która teraz, od kiedy młody król Edward z gorliwością neofity starał się narzucić protestantyzm w całej Anglii, zmuszona była kryć się ze swym obrządkiem z obawy przed prześladowaniami. Niezależnie od rodzaju wyznawanej przez siebie wiary dziewczyna bez wątpienia była pobożniejsza niż Francis.

Cosma ponownie wzruszyła ramionami, odsłaniając kolejny kawałek ciała,

- Dla mnie to nie ma najmniejszego znaczenia. To mnie zupełnie nie obchodzi.

Francis otarł pot z czoła.

- Ani mnie. Żydówka czy katoliczka, Jessica jest cudownym zjawiskiem i nie da się temu zaprzeczyć. Cosma wydeła usta.

- Rzeczywiście - mruknęła. Następnie uniosła do góry pokrywę największego półmiska.

- Co powiesz na to danie? Może ono wreszcie dogodzi twe-  
mu podniebieniu?

Francis przełknął żółć, która napłynęła mu do gardła.

- Co to jest?

- Gołąbki - zagruchała.

Podniósł oczy na złocony sklepiony sufit.

- Znowu gołąbki? Dobrze, że tak wiele ich fruwa na placu

Świętego Marka. Dzięki nim twoja spizarnia, Cosmo, nigdy nie będzie pusta.

Położyła małego złocistego ptaszka na jego talerzu, a następnie oblizwała prowokująco palce.

- Przyprawione na ostro i pieczone z cebulkami.

Powinien się domyślić, jaki był cel tej kolacji. Cosma nie bez kozery dobrała takie potrawy. Lady Katherine Cavendish, żona Brandona, znała się dobrze na wszelkiego rodzaju afrodyzjakach. Kilka lat temu zapoznała Francisa z ukrytymi właściwościami wielu niewinnie wyglądających potraw. Cebula na podniesienie męskiej potencji, ostre przyprawy i pieprz na spotęgowanie seksualnego podniecenia, węgorz na większą aktywność w łóżku, podobnie jak te przekłete gołąbki. Ulubione ptaszyny bogini Wenus. Francis łyknął wina, ale trunek zamiast uspokoić żołądek, jeszcze go podrażnił.

Cosma, nieświadoma dolegliwości Francisa, oddarła kawałek soczystej piersi gołąbka koniuszkami swych białych ostrych ząbków. Przeciągnęła długim różowym języczkiem po palcu, zlizując z niego smakowity sos.

- Nie odpowiada ci moje jedzenie? Och, mój drogi! Nie smakuje ci, a tak się natrudziłam, by utrzymać dania w odpowiedniej temperaturze. Chciałam, abyś się rozgrzał, spędziłeś przecież na zimnie prawie cały dzień. - Łza zabłysła w jej oku.

Francis westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Nie płacz! - warknął. Nic nie wyprowadzało go tak z równowagi jak płacząca kobieta. Kiedy pewnego razu matka rozplakała się w jego obecności, o mało nie zemdlał. - Przygotowałam wspaniałą kolację. Twoje dania przechodzą wszelką wyobraźnię swoim wykwinnym smakiem. - Wsadził całą pieczoną cebulkę do ust i zaczął ją żuć z obrzydzeniem.

Twarz Cosmy rozjaśniła się natychmiast.

- Mam nadzieję, że nie całą wyobraźnię - odparła wymownie. - Czekają cię jeszcze inne niespodzianki.

Żołądek Francisa odmówił w końcu posłuszeństwa. Jedzenie zaczęło mu rosnąć w gardle. Przyciskając rękę do ust, zerwał się od stołu. Chwycił najbliższy nocnik i zwymiotował do niego zawartość umęczonych jelit.

- Błagam o wybaczenie - powiedział ochryple i natychmiast zwymiotował po raz drugi. Pasy zedrze z tego aptekarza, jeśli tylko przeżyje dzisiejszą noc.

Przerażona Cosma podniosła się z krzesła.

- Nie wiedziałam, milordzie, że... to jest, chcę powiedzieć, nie powinnam tak ostro przyprawiać zupy.

- Nie zbliżaj się - rzekł z trudem i znowu zwymiotował. W Twoje ręce, o Panie, oddaję duszę moją. Błagam, zabierz mnie jak najszybciej z tego świata, modlił się w duchu ogarnięty rozpaczą. Z cuchnącym nocnikiem w ręku, który ścisnął tak mocno, jakby od tego zależało jego życie, osunął się bezwładnie na zimną podłogę.

Cosma załamała rękę.

- Może to wino mu zaszkodziło, ale ja przecież dodałam do niego tylko trochę imbiru, cynamonu i wanilii.

Nowa fala mdłości targnęła trzewiami Francisa.

- Dostyc! Nie mów mi więcej o jedzeniu! Czyż nie widzisz, że umieram?

Siedząca w kącie Nerissa krzyknęła cicho i wypuściła mandolinę z rąk.

Oczy Cosmy, umiejętnie powiększone odpowiednim malunkiem, stały się jeszcze większe. Przycisnęła rękę do ust.

- Nie mów tego! Nie możesz umrzeć! Przysięgam na krodyla świętego Teodora, że cię nie otruję. - Upadła na kolana. Nerissa z płaczem ukłękła obok swej pani.

Francis przycisnął rękami obolały brzuch.

- Przestań miauczeć i przynieś mi drugi nocnik. Szybko!  
Oby zaraza spadła na tego niegodziwego łotra.

Nerissa pobiegła do następnego pokoju i powróciła z dwoma nocnikami. Już od drzwi rzuciła je Francisowi.

- Proszę nie umierać, milordzie - zaskomlała. - Jestem za młoda, aby zgnieć w więzieniu.

Pomimo cierpienia uśmiechnął się do niej z wysiłkiem.

- Nie obawiaj się, maleńka. Nie będę cię straszył w przyszłym życiu. - Z trudem podniósł się na nogi i powłókł w róg komnaty, gdzie Cosma trzymała pokojowy sedes.

- Wybaczcie mi, moje drogie - wydyszał.

Francis nigdy nie czuł się tak źle - nawet wtedy, gdy płynąc statkiem z Marsylii do Genui, dostał podczas sztormu morskiej choroby. Teraz głowa pękała mu z bólu, wysuszone na pieprz gardło paliło, a rozpalona skóra pokryła się lepłą wilgocią. Ten szarlatan otruł go z całą pewnością. Zaciskając zęby, czekał, kiedy miną bolesne skurcze. Gdy w końcu ustąpiły, poczuł się słaby jak świeżo narodzone cielę.

Kiedy, ledwo trzymając się na nogach, wyszedł wreszcie z klozetu, zobaczył, że Cosma i Nerissa wciąż klęczą i modlą się żarliwie. Ten widok w innych okolicznościach zapewne by go rozbawił, ale teraz wcale nie było mu do śmiechu.

- Wstań, gattina, i zaprowadź mnie do swego łóżka - po prosił słabym głosem. - Niestety, marzę tylko o śnie i nie w głowie mi teraz cielesne rozkosze. Bądź dobrej myśli. Mam nadzieję, że mimo wszystko wrócę do zdrowia.

Uspokajając go czułymi słowy, kobiety zaprowadziły Francisca do sąsiedniej komnaty i ułożyły w szerokim łóżu, ustawionym pośrodku na wysokim podwyższeniu. Równie wspaniałego posłania nie powstydzilby się nawet król. Francis upadł na puchowe poduszki i leżał jak martwy, podczas gdy Cosma i Nerissa ściągały z niego ubranie. Pościel pachniała lekko lawendą.

Francis jęknął. Cosma uwiodłaby go dzisiaj bez wątpienia, gdyby nie zażył tego diabelskiego eliksiru. Resztkami świadomości zastanawiał się jeszcze, co ma zrobić jutro z aptekarzem - ucałować z wdzięczności czy zamordować.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Poranek nastał stanowczo za wcześnie. Francis miał wrażenie, że zaledwie zdążył przymknąć powieki, a już Nerissa potrząsała go za ramię.

- Proszę, messere. - Potrząsnęła nim znowu. - Niech się pan obudzi.

Leżąca obok Cosma poruszyła się również.

- O co chodzi, Nerisso? Odejdź stąd! Przecież nawet jeszcze nie zaczęło świtać.

Francis przewrócił się na bok. Gdyby mięśnie żołądka nie bolały go tak bardzo, a w ustach nie czuł smaku kurzego pierza, mógłby przysiąc, że wszystko, co przeżył wczoraj, było jedynie koszmarnym snem.

- Co się dzieje, malutka? - Francis przetarł ręką twarz.

Służąca owinęła szczelniej szlafrokiem swe wątłe ciało.

- Jakiś mężczyzna chce się z panem widzieć. Czeka na dole.  
- Przygryzła dolną wargę. - Jest bardzo wysoki i potężnie zbudowany.

Cosma spojrzała gniewnie na służącą.

- Chcesz powiedzieć, że mam gościa o tej nieludzkiej porze? Cóż to musi być za barbarzyńca, skoro tak wcześnie szuka damskiego towarzystwa? Jest jeszcze zupełnie ciemno.

Nerissa potrząsnęła głową.

- Nie, madonno, ten ktoś nie przyszedł do pani, tylko do lorda Bardolpha. Twierdzi, że ma do niego pilną sprawę. - Podeszła bliżej do łóżka i pochyliła się nad Francisem, szepcząc:



- To Murzyn.

Francis gwałtownym ruchem odrzucił od siebie kołdrę.

- Czy powiedział, jak się nazywa? - zapytał z rosnącym podnieceniem. Nie widział Afrykanina od ponad roku.

Nerissa wręczyła Francisowi zielono-żółte nogawice, które ściągnęła z niego ubiegłego wieczora.

- Nie, on podał tylko pańskie imię, messere. Zapytał natomiast, jak ja się nazywam - wyjaśniła pośpiesznie, dławiąc się słowami. - Ma strasznie duże zęby.

Francis uśmiechnął się.

- Zareczam, że cię nie zje.

- Szkoda. - Cosma wynurzyła się spomiędzy puchowych poduszek. - Przyda mi się odmiana, ponieważ mam już po uszy twego lenistwa. Powiedz mi, Nerisso, czy ten Maur jest przyzwoity? Czy ładnie zbudowany? Czy nie zwymiotuje po kolacji? - Zmarszczyła nos i spojrzała wymownie na Francisa.

Pomimo strachu dziewczyna zachichotała.

- On ma złoty kolczyk w uchu oraz wiele noży na piersi.

Francis ubierał się pośpiesznie.

-- To na pewno Nobe. - Nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia brakowało mu przyjaznej twarzy, przypominającej rodziną Anglię.

Cosma wyciągnęła rękę po swój peniuar.

- Ten wczesny gość wydaje się coraz bardziej interesujący. Czy jest bogaty?

Francis zawiązywał troczki koszuli.

- To zależy od tego, ile wart był ładunek na okręcie złupionym ostatnio przez Nobe'a. - Zaśmiał się, widząc, że obie kobiety pobladły ze strachu.

- Nie lękajcie się. Nobe to łagodny człowiek, zwłaszcza wobec kobiet.

- Coraz bardziej intryguje mnie ten gość - oświadczyła Cos-

ma, wprawnie nakładając róż na policzki i wargi. -  
Przyprowadź go natychmiast na górę, Nerisso. I pamiętaj, nie zachowuj się jak gamoń!

Kiedy dziewczyna odeszła, zapytała:

- Gdzie poznałeś takiego fascynującego człowieka?

Francis przyjął nonszalancką pozę angielskiego próżniaka.

- Jedną z moich pasji jest kolekcjonowanie różnych interesujących przedmiotów. Zawsze przywożę coś ciekawego ze swych podróży po obcych krajach, gattina. Bywa to rzymska rzeźba, autentyczna drzazga z Krzyża Świętego lub przebiegły Afrykanin.

Spojrzała na niego badawczo.

- Czyżby? Wydaje mi się, że ten mężczyzna to dla ciebie ktoś bliski i ważny. On na pewno jest kimś więcej niż przedmiotem w twojej kolekcji.

Francis wciągnął na siebie ciepły aksamitny kubrak.

- Masz rację - przyznał.

Tak jak go Jessica uprzedziła, chore ramię rzeczywiście bolało go dzisiaj mocniej. Czuł się tak, jakby je za bardzo sforsował. Z jeszcze większą niecierpliwością czekał na jutrzejsze spotkanie z uzdrowicielką. Teraz, kiedy Nobe był w Wenecji, wiedział, że najbliższą dobę spędzi na pewno bardzo ciekawie. Uśmiechnął się na tę myśl. W tym właśnie momencie Nerissa przyprowadziła na górę jego przyjaciela. Olbrzymi Murzyn majaczył za jej drobną postacią jak groźny duch.

Oczy Cosmy rozszerzyły się z przejęcia.

- Madre del Dio\* - wyszeptała, spoglądając z podziwem na imponujący wzrost Afrykanina, na jego potężne bary oraz dwa pasy skrzyżowane na szerokiej piersi. Sterczały z nich rękojeści kilkunastu sztyletów.

\* Madre Del Dio - Matko Boska

- Witaj w moim domu, czarny Apollinie - powiedziała, z nurzając się w puchową pościel.

Nobe rzucił okiem na nie całkiem jeszcze ubranego Francisa, a potem na kuszące kształty kobiety. Skłonił się unieżenie przed Cosmą.

- Zastanawiałem się dzisiejszej nocy, dlaczego na niebie nie było księżyca, którego blask jest mi tak pomocny, gdy zawijam do portu. Ale teraz już wszystko rozumiem. Oto bogini Diana zstąpiła ze swej srebrnej planety na ziemię, by mi się teraz pokazać w całej swej nieziemskiej krasie. Madonno, jestem pani unieżonym sługą - zwrócił się do Cosmy w jej ojczystym języku. Mówił zupełnie dobrze po włosku.

Francis przyłożył dłoń do ust, by ukryć uśmiech. Rozbawiły go wyszukane komplementy przyjaciela. Cosma nie pozostała dłużna; w odpowiedzi rozchyliła nieco poły peniuaru, ukazując skrawek śnieżnobiałego uda.

- Czyż to nie urocze? - powiedziała aksamitnym głosem.  
- To szarmanckie zachowanie każe mi zapomnieć o niestosownej porze pańskiej wizyty. Francisie, powiedz proszę, kim jest ten bóg?

Francis spojrział na nią kwaśno. Ona już planuje zamach na jego sakiewkę, a przy okazji pragnie też pewnie wzbudzić we mnie zazdrość, pomyślał. Rzecz dziwna, niestałość kochanki jakoś mało go obeszała.

- Pozwól, że ci przedstawię mego przyjaciela Nobe'a z Afryki. Moja rodzina nazywa go swoim aniołem stróżem, ponieważ nieraz chroniła się pod jego opiekuńcze skrzydła.

Pochlebstwa Francisa wyraźnie ucieszyły Afrykanina. Skłonił się po raz wtóry, tym razem nawet przed zaleknioną Nerissą.

- Proszę, drogie panie, niech was nie zraża kolor mojej skóry. To ostre słońce mojej ojczyzny tak mnie osmalilo. Ale kim jest ta przepiękna perła, Francisie? - zapytał, wskazując na Cos-

mę. - Teraz rozumiem, dlaczego tak trudno zastać cię w domu. Twój gospodarz zdziwił się, kiedy go zapytałem, gdzie można cię znaleźć.

Francis spojrział na przyjaciela. Nobe, jako mało kto, potrafił schlebiać próżności kobiet. Wyszukane komplementy gładko płynęły z jego ust.

- Mam przyjemność przedstawić ci donnę Cosmę di Lunę, jedną z największych piękności Wenecji.

Nobe poszedł do królewskiego łoża, przyklęknął na jedno kolano i ucałował bosą stopę kurtyzany.

- Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam cię.

A bierz ją sobie. Nie będę po niej płakał, pomyślał Francis.

Afrykanin zwrócił się teraz do Nerissy. Młodziutka służąca Cosmy wspięła się na palce, aby móc lepiej przyjrzeć się olbrzymowi.

- Nawet sama Wenus nie powstydziałaby się takiej ujmującej służebnicy jak ty, słodka Nerisso. Trudno o wdzięczniejszy do datek do pięknej pani - oświadczył basowym głosem.

Dziewczyna omal nie zemdląła ze strachu, widząc piorunujące spojrzenie, jakie posłała jej Cosma. Wenecka piękność nie nawidziła wszelkiej konkurencji, nawet jeśli rywalką była tylko jej własna służąca.

- Nerisso - poleciała ostrym tonem - przynieś naszemu gościowi wino i chleb. I nie ociągaj się... leniuchu jeden!

Nerissa odbiegła z piskiem.

Francis zwrócił się po angielsku do przyjaciela.

- A niech cię diabli, Nobe! Jest jeszcze tak ciemno i ponuro, a ty sypiesz wokół wyszukanymi komplementami. Skąd u ciebie taka energia o tej okropnej porze? Będziesz potrzebował beczułki piwa, by wypłukać sobie gardło po tych wszystkich słodkościach, które wypłynęły z twoich ust. - Poklepał olbrzymia po ramieniu. - Cieszę się, że cię widzę, stary piracie.

Nobe objął go serdecznie długimi ramionami.

- A ja, że widzę ciebie. Chociaż muszę przyznać, że nie spodziewałem się zobaczyć cię w takim przebraniu. Wyglądasz jak błazen. - Ze śmiechem wskazał na szerokie zielone kokardy zdobiące pantofle Francisa.

Francis spojrział na niego ciężkim wzrokiem.

- Mam powody, dla których tak się ubieram, Nobe, ale teraz za długo by o tym mówić. Powiem ci, jak zostaniemy sami.

Zanim Afrykanin zdążył mu odpowiedzieć, do rozmowy wtrąciła się Cosma. Tonąc w pianie koronek i gęsiego puchu, mówiła z lekką pretensją w głosie.

- Wstyd, panowie. To niegrzecznie rozmawiać przy damie w języku, którego nie zna. Czyżbyście spiskowali przeciwko Wenecji?

Nobe uśmiechnął się do niej.

- Nie w tym rzecz, piękna gołąbeczko. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób doprowadzić cię do upadku. Obawiam się, że zupełnie straciłem dla ciebie głowę.

Cosma uśmiechnęła się wdzięcznie i wyżej odsłoniła nogę. Francis złapał przyjaciela za rękaw.

- Proszę, zaczekaj, aż wyjdę, zanim ją zgwałcisz. Na razie powiedz mi, co cię sprowadza do Wenecji i każe szukać po mieście w porze, kiedy to nawet gołębie pogrążone są jeszcze we śnie.

Nobe spoważniał.

- Obarczono mnie pewnym przykrym obowiązkiem, ale, niestety, ktoś musiał się tego podjąć. - Wyciągnął gruby list z kieszeni skórzanego kaftana.

Francis spojrział na kopertę i rozpoznał charakter pisma lady Katherine.

- Niedobre wieści... z Wolf Hall?

Nobe skinął głową.

- Jestem pewien, że lady Kat postarała się przekazać ci tę smutną wiadomość w możliwie oględny sposób. Zabawię twoją damę, a ty przeczytaj list. Nie musisz się spieszyć, przyjacielu.

Francis odwrócił się od łoża Cosmy i przyciskając mocno list do piersi, przeszedł do saloniku. Usiadł w fotelu i przede wszystkim odetchnął głęboko. Dopiero po tym złamał woskową pieczęć i otworzył przesyłkę. W miarę czytania gorące łzy zaczęły wzbierać mu pod powiekami i skapywać na papier, zamazując słowa.

Drogi Francisie!

Z ciężkim sercem biorę pióro do ręki, aby donieść ci o nie-szczęściu, jakie dotknęło naszą rodzinę. Głowa naszego rodu, sir Thomas Cavendish, zmarł niespodziewanie dwa tygodnie temu, dwunastego października. Umarł, tak jak żył - w siodle. Dzień był pogodny, ale bardzo chłodny - nawet mroźny. Sir Thomas, wraz z Brandonem i Guyem oraz kilkoma innymi mężczyznami z majątku, pojechali do lasu zapolować na niedźwiedzia, aby zdobyć mięso dla domu na nadchodzące święta Bożego Narodzenia. Po południu, kiedy gonitwa za niedźwiedziem dochodziła do zenitu, biedne konisko nie wytrzymało wysiłku i padło, zrzucając jeźdźca na ziemię. Sir Thomas uderzył głową w pień drzewa i złamał kark. Powiedziano, że śmierć była natychmiastowa i zupełnie bezbolesna. Droga lady Alicia mężnie zniosła ten cios. Prosiła, abym ci przekazała, że wielką jest dla niej pociechą świadomość, iż sir Thomas i jego piękny czarny koń razem podążyli galopem do nieba. Ty ponoć wiesz dobrze, iż jego największym marzeniem było umrzeć w taki właśnie sposób. Moim zdaniem Brandon przejął się bardzo stratą ojca, podobnie jak Guy. Zarówno mnie, jak i moim dzieciom ciężko jest pogodzić się z faktem, że sir Thomas na zawsze już odszedł z tego świata. Wydawał się jedną z tych niezniszczalnych jednostek, których przeznaczeniem jest żyć

wiecznie. Proszę, pamiętaj o nim w swych modlitwach, Francisie. On był z ciebie zawsze taki dumny. Chwalił cię za zdolności do języków i miłość do poezji, a jak ci wiadomo, były to również dwie wielkie pasje jego życia. W swej ostatniej woli wyraził życzenie, abyś to właśnie ty odziedziczył po nim jego imponujący...

Francis otarł rękawem łzy. Nie dalej jak wczoraj dał intro-ligatorowi piękny egzemplarz „Utopii” sir Thomasa More'a. Kazał oprawić go w czerwoną skórę i wytłoczyć na okładce głowę srebrnego wilka, herb rodziny Cavendishów. Miał to być spóźniony prezent noworoczny dla człowieka, który był jego ukochanym dziadkiem. Teraz już było za późno. Francis ukrył twarz w dłoniach. Gdy pierwsza fala żalu opadła nieco, ponownie wrócił do listu Kat.

...księgozbiór. Wiedział, że ze wszystkich członków naszej rodziny ty najbardziej ucieszysz się z tego daru. Przykro mi, że jestem wysłanniczką takiej smutnej wiadomości. Wiedz, że szczerze ci współczuję i tulę do serca przepełnionego bólem z powodu tej wielkiej straty. Brandon przyłącza się do mego listu i przekazuje ci od siebie wyrazy miłości i otuchy. Drogi Nobe był tutaj z nami i jeżeli zechcesz, opisz ci to wydarzenie ze wszystkimi szczegółami. Z niecierpliwością czekamy na twój powrót. Wracaj szybko do domu, Francisie.

Wolf Hall, Northumberland, 28 listopada 1549 roku.

Kochająca cię Katherine Cavendish,  
hrabina Thornbury

Francis kilkakrotnie przeczytał jej podpis i tytuł, nim ich znaczenie dotarło do jego świadomości. Jak szybko toczy się świat. Przecież to oczywiste, że lady Kat jest nową hrabiną, tak

jak jego... jak Brandon jest teraz dziesiątym hrabią Thornbury. Został nim z chwilą, gdy jego ojciec, sir Thomas, wydał ostatnie tchnienie.

Ściskając list w rękę, położył głowę na stole. Płynące z oczu gorące łzy wsiąkały bezgłośnie w zielony aksamit przykrywający blat. Kiedy trzy lata temu dowiedział się o śmierci swej matki, nawet w dziesiątej części nie czuł takiego żalu jak teraz, po odejściu sir Thomasa. Mało znał swą rodzicielkę, a lubił jeszcze mniej.

Jego ból po śmierci sir Thomasa miał zupełnie inny, głębszy charakter. Pod jego dachem w Wolf Hall spędził ponad czternaście lat. Groźny z wyglądu, wysoki i potężnie zbudowany, jak wszyscy mężczyźni z rodu Cavendishów, oraz obdarzony tubalnym głosem, sir Thomas był w istocie łagodnym i pełnym dobroci człowiekiem. Szczególnie dużo serca i przyjaźni okazywał młodemu, zaniedbywanemu przez matkę chłopcu. Jednocześnie hrabia był znany ze swej działalności i odwagi. Cieszył się sławą mężnego rycerza i wojownika oraz zwycięskiego uczestnika rycerskich turniejów. Francis pamiętał długie godziny spędzone w towarzystwie starszego pana w jego bibliotece, gdzie wspólnie studiowali sztuki rzymskiego dramaturga Plautusa i pisma Erazma z Rotterdamu. Sir Thomas cierpliwie uczył nieprawego potomka swego syna radości i satysfakcji, jaką daje znajomość języków starożytnych Greków i Rzymian i z całej duszy popierał naukowe zamiłowania chłopca. Brandon natomiast wolał, żeby Francis więcej czasu poświęcał takim typowo męskim zajęciom, jak szermierka. „Pióro jest potężniejsze od miecza” - powtarzał wielokrotnie swemu zdolnemu wnukowi sir Thomas.

Teraz ten wielki starzec leży już w grobie i Francis nigdy więcej go nie zobaczy.

Przeczytał list po raz trzeci i czwarty. Nie zauważył pucharu z rozcieńczonym winem i małego bochenka chleba na miodzie,



które Nerissa postawiła przed nim na stole. Spojrzał przez okno na posepną szarość wstającego dnia. Niebo, jak gdyby podziękując jego boleść, rozpląkało się deszczem, a krople wody, niczym łzy, zaczęły spływać po szklanej karbowanej powierzchni szyb. Z oddali doszedł go dźwięk dzwonów wzywających wiernych na poranną mszę.

Francis podniósł się z fotela. Musi iść do kościoła. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przekroczył z własnej chęci progi świątyni. Chociaż wierzył w Boga oraz istnienie nieba i piekła, praktyki religijne nie zajmowały wiele miejsca w jego życiu. Ale, jak sobie nagle uświadomił, dla sir Thomasa wiara była wszystkim. Koniecznie musi pomodlić się za jego duszę. Była to w tej chwili jedyna rzecz, jaką mógł zrobić dla tego wspaniałego starca. Przeszedł z saloniku do sypialni Cosmy. Nobe siedział na okrytej dywanem platformie z łóżem i półgłosem rozmawiał z jego kochanką. Ujrawszy Francisa, Murzyn wstał i podszedł do niego.

- No i co teraz, przyjacielu? - zapytał po angielsku.

Francis wręczył mu zmięty w porywie żalu list.

- To najbardziej smutny list, jaki otrzymałem w życiu. Pomyśleć tylko, od przeszło trzech miesięcy leży w zimnym grobie, a ja nic nie wiedziałem... nic nie wiedziałem. Piłem, śpiewałem, tańczyłem, ba, nawet uganiałem się za kobietami, podczas gdy robaki toczyły ciało mego... mego dziadka. - Nie był w stanie dalej mówić. Nie mógł sobie darować, że nigdy nie zdobył się na to, aby powiedzieć sir Thomasowi, jak bardzo go kocha.

Cosma wzięła jego rękę w swoje dłonie. Po raz pierwszy odkąd ją znał, w jej oczach nie było fałszu.

- Nobe powiedział mi o twojej stracie. Współczuję ci z całego serca.

Francis skinął głową w niemym podziękowaniu. Gardło miał ściśnięte z żalu.

Cosma zwróciła się do Murzyna.

- Czy jego dziadek był rzeczywiście takim wspaniałym człowiekiem?

Nobe skinął twierdząco głową.

- Jednym z najwspanialszych w całej Anglii. Teraz, po śmierci, powiększył grono swych świetnych przodków, synowi zostawiając wszystkie ziemskie troski.

Wyraz twarzy Cosmy nieznacznie się zmienił.

- A jego synem jest...?

- Sir Brandon Cavendish, dziesiąty hrabia Thornbury.

Francis zmiął list ze złością. Hrabia był sir Thomas - tylko on był nim naprawdę. Francis nie wyobrażał sobie, żeby Brandon mógł kiedykolwiek zastąpić w tej roli swego ojca. Cosma cmoknęła z wrażenia.

- To znaczy, Francisie, że jesteś teraz hrabiowskim synem - szepnęła, ale nie dodała: Pewnego dnia przyjdzie kolej na ciebie. Zostaniesz następnym hrabią.

Francis jednakże wyczuł, jakie myśli chodzą po głowie kurtyzany, i zrobiło mu się niedobrze z odrazy. Ostatnimi czasy Cosma w ogóle wywoływała w nim odruchy wstrętu.

- Pohamuj swój nierozważny języczek, madonno - poradził jej Nobe ze zwodniczą łagodnością w głosie. - Pewnego dnia stanie się on przyczyną twojej zguby.

Cosma zignorowała ostrzeżenie Murzyna, ale Francis dosłyszał jego słowa.

- Nie lekceważ jego rad - rzekł.

Nobe miał dar przewidywania przyszłości i wiedział, co kogo może spotkać.

- Czy hrabia Thornbury liczył się w Anglii? Czy był ważną osobą? - dopytywała się w dalszym ciągu kurtyzana.

Francis ubrał się i wziął do ręki pelerynę, kapelusz oraz irchowe rękawiczki.

- Niech Bóg mu zapewni światłość wiekiustą; dla mnie był najważniejszym człowiekiem na ziemi - oświadczył, kierując się w stronę klatki schodowej. - Chodź, Nobe - zwrócił się przez ramię po angielsku do swego przyjaciela - musimy się pośpieszyć. Msza w kościele Świętego Marka już się zaczęła.

Cosma domyśliła się, że chodzi o wielką bazylikę, stojącą w samym sercu Wenecji. Biegając za Francisem i Nobe'em, pytała:

- Idziesz do kościoła, Francisie? Teraz? Myślałam, że ty i Pan Bóg nie jesteście ze sobą w najlepszych stosunkach?

- Czas, abym je naprawił - odkrzyknął ze szczytu marmurowych schodów. - Mój dziadek zasługuje na to.

- Wobec tego wróc potem do mnie, caro, a ja cię pocieszę.

Nobe przyklepał kapelusz na głowie.

- Spokojnie, kobieto! Czy nie widzisz, że jego serce jest przepełnione żalnością?

Cosma otworzyła usta, ale Nobe podniósł rękę, by ją uciszyć. Gniew płonął w jego oczach.

- Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem, o pani - rzekł ostrzegawczym tonem i poszedł za Francisem.

Zamiast popłynąć gondolą, Francis i Nobe ruszyli do świątyni pieszo, przez kręty labirynt wąskich uliczek. Tonący w porannej mgle plac roił się już od tłumów rozbawionych ludzi w maskach. Zbliżał się Wielki Post i mieszkańcy Wenecji z zapalem oddawali się beztroskiej karnawałowej zabawie. Francis mijał ich obojętnie. Przepełniająca go żalność stopniowo zacieślała odrazę, wywołaną bezwstydną chciwością Cosmy. Później rozprawi się z nią odpowiednio. Na razie pomodli się za spokój duszy dziadka w mrocznej ciszy kościoła i powspomina wielkiego człowieka, który go kochał jak syna.

Kapłan stał już przy ołtarzu, jednostajnym głosem odprawiając mszę po łacinie, gdy Francis i Nobe wśliznęli się do

środką przez masywne drzwi wejściowe. Wysoko, ponad ich głowami, ogromne sklepienie kopuły lśniło matowo złotem mozaik, przedstawiających różnorodne biblijne sceny. Malowane na białą twarz świętych, z podpuchniętymi oczami, sprawiały wrażenie spiętych i zmęczonych, tak jak gdyby i oni zabawiali się przez całą noc na placu. Setki świec jarzących się przed ołtarzami i relikwiarzami nie były w stanie rozproszyć ponurych ciemności panujących we wnętrzu ogromnej budowli. Kiedy oczy Francisa przywykły już do półmroku, stwierdził ze zdziwieniem, że poza nim i Nobe'em w kościele jest zaledwie kilka osób.

Francis klęknął na zimnej marmurowej podłodze i złożył ręce do modlitwy. Geometryczny wzór posadzki przyprawił go o zawrót głowy. Zamknął oczy i myślał o Thomasie Cavendishu. Wydobywał z zakamarków pamięci dawno zapomniane słowa paciera i szeptał je w głąb lodowatej ciszy kościoła. Nigdy jeszcze nie czuł się tak samotny i opuszczony jak w tej chwili. Jego gniew na siebie za błędy popełnione w przeszłości, jeszcze za życia sir Thomasa, mieszał się teraz z żalem, gdy myślał o latach, które nadejdą, a w których nie będzie już dziadka.

Francis ocknął się z rozmyślań, kiedy Nobe dotknął jego ramienia.

- Książ już skończył - oznajmił półgłosem. - A ja sam przemarzłem na kość.

Próbując zdusić w sobie resztki żalu, Francis podniósł się ciężko z podłogi. Nie pamiętał, ile czasu klęczał na twardej posadzce, ale ból w kolanach wskazywał, że musiało to trwać dość długo. Palce miał zdętwiałe z zimna, mimo rękawiczek. Zaczaj je rozcierać, by się rozgrzały.

- Jeszcze trochę cierpliwości, przyjacielu - poprosił Noba. - Muszę kupić świeczkę i zapalić ją dla uczczenia pamięci sir Thomasa.

Nie czekając na odpowiedź, skierował się do kruchty, gdzie nad tacą woskowych świec siedziała stara zakonnica. Wybrał długą gromnicę, zapłacił i wrócił do głównej nawy. Rozejrzał się wokół, szukając dla niej dogodnego miejsca. Nobe szedł za nim w pełnym szacunku milczeniu. Francis uprzytomnił sobie nagle, że katolicki obrządek jest Murzynowi całkowicie nieznanym, i tym bardziej docenił dyskretne towarzystwo wiernego przyjaciela. Znalazł w końcu wolny lichtarz w małej kapliczce pod wezwaniem Świętego Krzyża. Osadził w nim świecę, zapalił knot nawoskowanym kawałkiem papieru i szeptem zmówił jeszcze jedną modlitwę.

W zimnym powietrzu owionął go lekki, ale znajomy zapach. Podniósł głowę i głęboko wciągnął powietrze w płuca. Woń arabskich perfum przywiodła na myśl ostatnie, niezwykle przyjemne wspomnienie. Signorina Jessica? Określił się i spojrzał w przepastną czeluść olbrzymiej świątyni.

Nobe przystanął obok.

- O co chodzi? - zapytał cicho. - Czujesz jakieś niebezpieczeństwo?

Wpatrując się przenikliwie w mroki kościoła, Francis potrząsnął przecząco głową.

- Przeciwnie, myślę, że w pobliżu jest anioł, którego spodziewam się wkrótce znowu zobaczyć. - Nigdy nie odczuwał większej potrzeby kojącego dotknięcia ręki Jessiki niż w tej chwili. Serce zabiło mu żywiej.

Nobe podniósł ze zdziwieniem czarne brwi.

- Kobieta? - zapytał, nie kryjąc zaskoczenia.

Francis wszedł do szerokiej nawy.

- Owszem, ale nie tylko to. Zrozumiesz, kiedy ją spotkasz. Och! Ale oto i ona! - Przy bocznych drzwiach dostrzegł smukłą, owiniętą w szeroką pelerynę sylwetkę uzdrowicielki.

Ruszył w jej kierunku. Szybkim krokiem przemierzył wy-

boistą nierówną przestrzeń. Jeżeli dziewczyna się oddali, zanim do niej podejdziesz, zaraz straci ją z oczu w rozbawionym tłumie.

- Signorina Jessica? - zawołał cicho, zbierając się na odwagę.

Kobieta odwróciła się. Jej biała maska świetlistą plamą odcinała się od fałd ciemnego kaptura. Francis zawołał ją po raz drugi.

- Signorina Leonardo! Błagam o kilka słów.

Położyła dłoń na wielkiej mosiężnej klamce i zatrzymała się. Wyglądała jak przestraszona sarna w lesistej dolinie.

Francis podszedł do niej bliżej. Nobe przystanął w cieniu kamiennej kolumny.

- Donna Jessica? - ponownie zapytał Francis, chociaż nie miał pewności, czy to rzeczywiście ona. Upajająca woń perfum owionęła go czarowną mgiełką.

- Messere - wyszeptała, naciągając kaptur na zamaskowaną twarz. Ręka jej drżała. - Mam nadzieję, że dzisiaj czuje się pan już lepiej.

Położył dłoń na piersi.

- Stan mego ciała rzeczywiście się poprawił, za to dusza cierpi podwójnie.

Podeszła bliżej do drzwi.

- Proszę, niech pan ze mnie nie żartuje. To nie wypada zachowywać się tak w bożym domu. - Odwróciła się z zamiarem odejścia.

Francis dotknął jej ramienia.

- Proszę mi wybaczyć, wcale nie żartuję, donno Jessico. Przed chwilą dowiedziałem się, że umarł mój ukochany dziadek. Czy ma pani jakąś uzdrawiającą miksturę dla duszy?

Spojrzała na niego. Wielkie ciemne oczy lśniły tajemniczo w zamaskowanej twarzy.

- Przepraszam, messere. Źle pana zrozumiałam – wyszeptała. - Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia.

Francis ujął ją za rękę.

- Czy mogę panią odprowadzić? Pani głos to najlepszy balsam na mój ból.

Zaczęła jeszcze silniej drżeć.

- Już jest dzień i śpieszę się do domu. Proszę mi wybaczyć, lordzie Bardolphie, ale nie mogę z panem dłużej rozmawiać.

Francis nie zamierzał jednak wypuścić jej ręki.

- Wobec tego przypnę sobie skrzydła do stóp i odlecę wraz z panią.

- Jak Merkury? - Uśmiech zaigrał na jej ustach. - Niestety to niemożliwe. Pan jest ważną osobistością, ja natomiast jestem nikim. To nie wypada, żeby nas widziano razem. Moje towarzystwo poniża pana.

- W żadnym wypadku - zaprzeczył gorąco. Dużo by dał, aby zrzucić z siebie znienawidzony, jaskrawy strój bogatego gościa i przestać udawać arystokratę. - Przysięgam na ten Święty Krzyż, że całym moim bogactwem jest krew płynąca w moich żyłach, a nie zawartość sakiewki czy też stanowisko.

Schyliła głowę tak nisko, że nie mógł zobaczyć jej oczu.

- Mówi pan zagadkami, których nie potrafię zrozumieć. Błagam, niech mi pan pozwoli odejść. Za wiele tu ciekawskich oczu i plotkarskich języków. - Podniosła na niego wzrok. - Przykro mi, że spotkał pana taki cios. Będę się modlić za pańskiego dziadka. Jak miał na imię?

- Thomas - odpowiedział miękko.

Skinęła głową.

- Ładne imię. Zapamiętam je. I pana również - dodała. Spojrzenie jej padło na kolumnę, przy której stał Nobe. - Widzę, że jest pan w towarzystwie. Będzie znacznie odpowiedniejsze dla pana niż moje. Do widzenia, messere, do jutra.

Francis obejrzał się do tyłu na Nobe'a.

- Tak - odparł z uczuciem - to jeden z moich najwierniej-

szych przyjaciół, ale pani... - Kiedy się odwrócił, zobaczył, że już jej nie ma. Oddaliła się bezszelestnie. Nobe wyszedł z cienia.

- Miałeś rację - zauważył, kładąc rękę na ramieniu Francisa.  
- Ta dziewczyna to istna perła wśród weneckich łajdaków.

- Wyglądało jakby się mnie bała, ale przecież nie zamierzałem jej zrobić nic złego. Czy słyszałeś, jaki ma melodyjny głos? Och! Jest cudowna. Jej obecność rozjaśnia zimną pieczarę mego serca jak słoneczny promień.

- Postępuj ostrożnie, jeżeli nie chcesz jej stracić - ostrzegł go szeptem Nobe.

Francis przyjrzał mu się uważnie.

- Znowu masz wizję. Jaka jest przyszłość? Czy dostrzegasz Jessicę w tej mgle?

Nobe spoglądał w dal niewidzącymi oczami. Nie widział Francisa, rozjarzonych świec ani rzeźbionych figur katolickich świętych. Wpatrywał się w dla niego tylko widoczny obraz, który wyłamał się z mglistych zakamarków jego umysłu.

- Tak, widzę ją, ale niewyraźnie. Ta mała kobietka może stać się twoim ocaleniem albo zgubą. W jednej ręce trzyma radość, w drugiej smutek. Z jej powodu umrzesz, narodzisz się ponownie do życia i zostaniesz na nowo ochrzczoney.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Sofia mieszała w kociołku gęstą zupę, gdy Jessica pojawiła się w maleńkiej kuchence na tyłach domu. Karlica podniosła na nią wzrok. Smakowity zapach kurczaka i cebuli mile polechtał nozdrza dziewczyny. Z westchnieniem ulgi opadła na niski drewniany taboret. Odrzuciła kaptur i zdjęła maskę z twarzy. Wciąż jeszcze dyszała ciężko po szybkim marszu. Długi labirynt krętych uliczek i skwerów między placem Świętego Marka a swym małym domkiem, położonym na północ od mostu Rialto, przebyła prawie biegiem.

Sofia położyła dłoń na pulchnym biodrze.

- Co się dzieje? Myślałam, że byłaś w kościele?

- Bo byłam - odparła Jessica. Serce wciąż mocno biło jej w piersi.

- Dlaczego więc masz taką minę, jakby cię ścigał diabeł?

Jessica odetchnęła głęboko i oparła się o zimną ścianę.

- On był w kościele.

Oczy karlicy zaokrągliły się ze zdumienia.

- Kto? Il diavolo\* w domu bożym? Powiedz, czy rzeczywiście miał rogi na głowie i kopyta.

Pomimo niedawnego strachu Jessica uśmiechnęła się.

- Nie, Sofio. Mówię o angielskim lordzie, który był u nas wczoraj. - Wyprostowała się na siedzeniu. - Podszedł do mnie, gdy wychodziłam z kościoła.

\* Il diavolo - diabeł

- No i co? - Sofia przechyliła na bok głowę na podobieństwo szarych gołębi, których pełno było w Wenecji.

Jessica splotła ręce na kolanach.

- Skąd on wiedział, że ja tam będę? - zastanawiała się cicho. - Czyżby mnie śledził? Czy postawił przed moim domem człowieka, aby sprawdzał, czy nie spotykam się z żydami? Może chce mnie złapać na gorącym uczynku, dowieść, że nie jestem prawdziwą chrześcijanką?

- A może on podejrzewa, że jesteś czarownicą, która lata na miotle ponad dachami domów i urządza dzikie harce w gronie ladacznic? - odparła drwiąco Sofia.

Jessica spojrzała na nią z wyrzutem.

- Nie ma się z czego śmiać, Sofio. To nie jest śmieszne. Mam uczucie, jakbym stąpała po skorupkach jaj, kiedy lord Bardolph jest w pobliżu. Boję się go.

Sofia prychnęła gniewnie.

- Tylko tyle? Czy na pewno jego bliskość nie wywołuje w tobie żadnych innych uczuć?

Jessica zamknęła oczy i zaczęła analizować niezliczone odcienie nieznanymi wrażeniami, jakich doznała, gdy Francis trzymał jej dłoń w swojej. Był w rękawiczkach, a mimo to czuła, jak ciepło idące od jego rąk przenika jej skórę. Ten mężczyzna rozpałił krew w jej żyłach. Pozbawił tchu i wywołał zamęt w głowie.

- On nie jest taki jak inni mężczyźni - stwierdziła słabym głosem.

Sofia ponownie skupiła uwagę na zupie, która prawie zaczęła kipieć.

- Zgoda. On jest wysoki jak maszt okrętowy.

- Chodzi mi o to, że on w niczym nie przypomina mężczyzn, którzy dotychczas szukali u mnie pomocy. Wiem, jak uchylić się przed natarczywymi łapskami tych starych i młodych rozpustników, którzy tylko czyhają na okazję, aby mnie

wykorzystać. Wiem także, jak słuchać tych mężczyzn o smutnych twarzach, którzy skarżą się na cierpienia i bóle, kiedy wiadomo, że prawdziwą przyczyną ich dolegliwości są żony oraz nudne małżeństwa. Wychodzą z mego domu weselsi, szczęśliwsi, nadając mi tysiąc pieszczotliwych imion, o których zapomną, nim jeszcze dojdą do kanału. Ale ten mężczyzna... - Drżąc, otoczyła się ramionami na wspomnienie niskiego łagodnego głosu Francisa i jego niewypowiedziane piękne oblicze. - On jest taki inny. Ubiera się wesoło i kolorowo, jak gdyby szedł przez życie po różach, ale nosi w sobie ciężar większy niż ci wszyscy stłamszeni przez żony weneccy pantoflarze. - Napotkała spojrzenie Sofii. - Powiedział mi dziś rano, że właśnie dowiedział się o śmierci swego dziadka.

Karlica przestała mieszać w kociołku i pośpiesznie nakreśliła znak krzyża na piersi.

- Biedny człowiek - zauważyła.

Jessica wpatrywała się w węgle paleniska.

- Myślę, że to prawda, chociaż wczoraj również był smutny, a przecież nie wiedział jeszcze o tym, że dziadek umarł. Czy dręczy się dlatego, że musi ukrywać przed ludźmi swe prawdziwe oblicze? Sofio, nie mogę odpędzić od siebie myśli, że on w rzeczywistości jest tajnym agentem Świętego Oficjum.

Sofia spróbowała wywaru i dodała do niego szczyptę soli.

- I co jeszcze?

Jessica zaczęła masować sobie skronie.

- Czuję, że ogarnia mnie szaleństwo. Nie mogę się doczekać jutrzejszego spotkania. Już sama myśl o nim sprawia, że serce zaczyna walić mi w piersi jak młotem. Czy nie uważasz, że do stałam gorączki?

Sofia odwróciła się i z uwagą spojrzała na Jessicę. Skrzyżowała ręce na piersi z dziwnie rozradowaną miną.

- Tak jest, cara mia\*. Myślę, że zapadłaś na osobliwą chorobę, która zazwyczaj pojawia się wiosną.

Jessica westchnęła z rozpaczą.

- Masz na myśli zarazę? Proszę, Sofio, powiedz, że to nieprawda.

- Nie, moja słodka dziewczynko. To nie żadna zaraza ani dzuma. Nie mówmy więcej dzisiaj na ten temat, ponieważ mogę się mylić, a nie chcę wprawiać cię w jeszcze większy niepokój. Poczekamy, zobaczymy. Może jutro będę w stanie powiedzieć coś więcej.

Jessica dotknęła dłońmi czoła i policzków, ale stwierdziła, że nie są gorętsze niż zazwyczaj.

- Czy ta choroba jest śmiertelna?

Sofia roześmiała się, zakrywając usta dłonią.

- Zazwyczaj nie. Dostyc już tego pustego gadania. Idź do swoich zajęć, a mnie pozwól zająć się pracą. Mała Miriam na pewno lada moment, a ona, jak sama wiesz, wymaga szczególnej troski z twojej strony.

Nobe spoglądał na swego przyjaciela z głębokim zainteresowaniem. Cieszyło go, że najbardziej myślący i poważny członek rodu Cavendishów ujawnił wreszcie swą namiętną naturę.

- Bądź dobrej myśli, Francisie. Powiedziałeś, że jesteś umówiony ze swą nieuchwytną gołąbeczką na jutro. Proponuję więc, byśmy pospacerowali sobie dzisiaj po tym zachwycającym mieście i przy okazji nagadali się za wszystkie czasy. Przyznaję, że zżera mnie ciekawość. Dlaczego się tak dziwnie ubierasz? Ten krzykliwy strój przystoi raczej jakiemuś hulace, a nie inteligentnemu mężczyźnie o refleksyjnym usposobieniu.

\*Cara mia - moja droga

- Nie podoba ci się mój strój? Zapewniam cię, że to ostatni krzyk tutejszej mody.

- Skoro tak, to nie mamy o czym mówić.

Lekki uśmiech zaigrał na wargach Francisa.

- To przez wzgląd na dobro mojej ojczyzny robię z siebie głupka. Strzegę jej handlowych interesów. Ubieram się tak, by nie odróżniać się od otoczenia.

- Rozumiem. Tak jak czerwony nos pijaka nie odróżnia się od jego zielonkawej cery.

- W Paryżu udawałem wędrownego kuglarza. Na szczęście lady Alicia kazała mi uczęszczać na lekcje muzyki. Dzięki temu nauczyłem się grać na lutni i na flecie. W tym wcieleniu służyłem swoim zwierzchnikom z doskonałym skutkiem ponad dwa lata. W Padwie byłem wyjątkowo niepojętym studentem medycyny. W Pizie i Rzymie udawałem jakającego się kleryka. Niewyraźna wymowa uchroniła mnie od celebrowania mszy, wysłuchiwania spowiedzi i odpowiadania na kłopotliwe pytania. W Genui zatrudniłem się jako robotnik portowy. Pracowałem tak ciężko, że moje mięśnie zaczęły odmawiać posłuszeństwa. We Florencji postanowiłem udawać artystę. Popeliłem jednak poważny błąd, ponieważ okazało się, że nie potrafię rysować. Mogło mnie to kosztować życie. Kiedy przybyłem do Wenecji, postanowiłem wcielić się w rolę angielskiego, niezbyt rozgarniętego hulaki. - Ucałował ceremonialnie grzbiet własnej dłoni. - Tutejsza elita przyjęła mnie bez zastrzeżeń do swego grona.

- Belle umarłaby ze śmiechu, gdyby cię teraz zobaczyła.

Francis skrzywił się.

- Błagam, nie przypominaj mi o tym i nigdy mnie przed nią nie zdradź. Do końca życia by się ze mnie nabijała. Jak się czuje moja siostra i ten hultaj, jej mąż? Czy wszystko u nich w porządku? A dzieci? Pomyśleć tylko, że Belle jest już matką dwóch synów.

Nobe zaproponował spacer w stronę mostu Rialto. Miał nadzieję, że atmosfera wielkiego targowiska z jego poranną handlową krzątaniną i plotkującymi sprzedawcami poprawi nastrój przyjaciela.

- Wszyscy cieszą się doskonałym zdrowiem i czekają z niecierpliwością na twój powrót. Ostatnio byłeś w Wolf Hall siedem lat temu. To szmat czasu. Czy zamierzasz włóczyć się po świecie już do końca życia?

- Przebywam za granicą z rozkazu króla. On uważa, że właśnie tutaj jestem najbardziej przydatny - odpowiedział obojętnym tonem.

- Jesteś ojcem chrzestnym Thomasa, syna Belle. On bardzo potrzebuje twojej obecności. W rodzinie oczekują, że rozбудzisz w nim żądzę wiedzy i zainteresowanie książkami. A poza tym, twój ojciec tęskni za tobą.

- O którego ojca chodzi? Miałem ich kilku.

Murzyn zmrużył oczy. Ostatnim razem widział Francisa w Rzymie w ubiegłym roku. Nic nie wskazywało na to, by od tego czasu choroba tocząca jego duszę zaczęła ustępować. Nobe lękał się, że jeżeli tak dalej pójdzie, to jego młody przyjaciel nie dożyje czterdziestki. Jednakże dzisiejszy poranek wzniecił w sercu Nobe'a iskierkę nadziei. Przysiągł sobie, że nie opuści Wenecji ani Francisa, dopóki owa iskierka nie przeistoczy się w wielki płomień radości.

- Teraz jest czas uciech i wesołości - zauważył głośno.

Francis spojrział na niego ponurym wzrokiem.

- Nie jestem w nastroju do zabawy - odrzekł niechętnie.

Weszli na zatłoczony plac przy moście Rialto. Wokół sprzedawców warzyw i ryb tłoczyły się już pierwsze klientki - okoliczne gosposie i panie domu. Smakowity aromat świeżego pieczywa unosił się w zimnym powietrzu poranka, wypierając wszelkie inne wonie. Nawet wodniste oko słońca wydawało się

płonać intensywniejszym blaskiem. Brodaci mężczyźni w jasnych żółtych kapeluszach rozmawiali w grupkach przyciszonymi głosami. Żydzi, którzy skupiali w swych rękach nici międzynarodowych finansów, omawiali cenę złota oraz zyski z obrotów cennymi tureckimi przyprawami - gałką muskatołową, goździkami, cynamonem i pieprzem. Kamienny bruk targowiska oraz ozdobione stiukami fasady otaczających go kamienic rezonowały pulsującymi naokoło życiem.

Nobe poklepał Francisa po plecach i wskazał ręką na rynek.

- Mam pełną sakiewkę, a te zawałone wszelkim dobrem kramy ciągną mnie do siebie z nieprzepartą siłą. Co powiesz na to, by oddać się szaleństwu zakupów?

Francis przyjrzał się ludzkiej krzątaninie.

- Powinienem raczej pomyśleć o zakupie czarnej opaski na znak żałoby po sir Thomasie.

Nobe skinął głową ze zrozumieniem.

- To również, ale przedtem musisz mi pomóc wybrać jakieś świadka dla moich żon.

Zdziwienie odmalowało się na urodziwej twarzy Francisa.

- Nie wiedziałem, że jesteś żonaty.

Afrykanin roześmiał się.

- Mam cztery żony i każda z nich jest jak klejnot bez ceny.

- Moim zdaniem wielożeństwo to bezbożny zwyczaj.

Nobe zaprotestował gorąco.

- Nieprawda, przyjacielu. Zapominasz, że nie jestem chrześcijaninem. Wychowałem się w innej wierze i wasze prawa mnie nie obowiązują, chociaż portugalscy zdobywcy, robili co w ich mocy, żeby wbić mi do głowy słowo „Bóg”. Ale nauczyłem się tylko pobożnie kląć w kilku przynajmniej językach.

Francis zareagował słabym uśmiechem. Powinien się częściej śmiać, pomyślał Nobe. Mężczyzna o takim urodziwym ob-

liczu jak on ciężko obraża stwórcę, nie ozdabiając go uśmiechem.

- Bardzo dobrze, mój drogi poganinie, jakie podarunki chcesz kupić swoim kobietom? - zapytał Francis.

Nobe zaprowadził go do sklepu złotnika. Wokół placu pełno było jubilerskich kramów.

- Moje żony pochodzą z różnych stron - z Afryki, Aleksandrii i Cypru, ale wszystkie uwielbiają biżuterię. Chcę im podarować złote naszyjniki, miedziane bransolety oraz sznurki kolorowych paciorków. Chodź, pomóż mi je wybrać!

Francis pochylił się, aby przejść przez niskie drzwi sklepu.

- Musiałeś nieźle zarobić na ostatniej wyprawie?

Nobe uśmiechnął się.

- Wiozłem legalny ładunek angielskiej wełny oraz trochę towarów, które z grzeczności przejąłem od kapitanów kilku niefortunnych galer należących do sułtana.

Francis skinieniem głowy przywitał ugrzecznionego sprzedawcę.

- Któregoś dnia zatańczysz na czubku bułata\*.

Nobe dotknął wskazującym palcem jego nosa.

- Ale jeszcze nie w tej chwili; na razie liczy się tylko dzień dzisiejszy - odparł wesoło, kierując wzrok na błyszczące cacka, które złotnik rozłożył przed nimi na ladzie. - Ma pan najpiękniejszą biżuterię na świecie - powiedział z uznaniem po włosku do małego człowieczka, który szczerzył w uśmiechu pieńki ze psutych zębów.

Kiedy Nobe skończył robić zakupy, słabe słońce zdołało już rozproszyć resztki porannej mgły. Murzyn z radością zauważył, że nastrój Francisca również się poprawił, zwłaszcza po kubku czerwonego wina z korzeniami i porcji soczystego pieczonego

\*Bułat - zakrzywiona turecka szabla



kurczaka. Na placu robiło się coraz hałaśliwiej. Grupki żądnych zabawy ludzi w maskach mijały ich w bezustannym radosnym pochodzie rozbrzmiewającym muzyką i śmiechem.

- Uwielbiam karnawał! -. wykrzyknął głośno Nobe. - A zwłaszcza w Wenecji. To jedyny uzasadniony powód, dla którego warto się umartwiać w Wielki Post.

W tym momencie jego słynny szósty zmysł podpowiedział mu, że są śledzeni. Nie zmieniając wyrazu twarzy, Nobe zauważył półgłosem:

- Ktoś za nami idzie. - Dotknął noża, których kilka nosił na piersi. - Czy mam go połaskotać, aby usłyszeć, jak kwiczy?

Francis obejrzał się, po czym potrząsnął głową.

- Masz na myśli tego chudego chłystka w wyplamionej brązowej pelerynie? On idzie za nami już od placu Świętego Marka. To jeden z piesków salonowych Cosmy. - Uśmiechnął się smutno do Nobe'a. - Moja kochanka podejrzewa, że ją zdradzam.

Intuicja Nobe'a kazała mu jednak mieć się na baczności. Wietrzył jakieś niebezpieczeństwo.

- Jesteś pewien, że ten piesek nie ma zębów?

Francis wzruszył ramionami.

- To tylko szczeniak - ma uszy nastawione na zbieranie plock. Zaufaj mi. Widziałem go kilka razy, jak krył się w pobliżu domu Cosmy.

- Szczeniak może wyrosnąć na niebezpiecznego szakala - mruknął Murzyn.

Nobe spędził resztę dnia w towarzystwie Francisa, starając się chociaż trochę oderwać myśli przyjaciela od poniesionej straty. Chociaż Anglik nie zwracał uwagi na trzymającego się wciąż w ich pobliżu chłopaka, Nobe przezornie miał przez cały czas na oku jego chudą postać.

W końcu doszedł do przekonania, że ulicznik jest jeszcze nowicjuszem w swoim fachu - śledził ich bardzo nieudolnie - i w rezultacie przestał się nim przejmować. Prawie się nawet litował nad losem domorosłego detektywa.

Po południu Francis zaskoczył Nobe'a, oświadczając:

- Cóż za głupiec ze mnie! Niewiele brakowało, a byłbym zapomniał o ważnym spotkaniu.

Sądząc, że przyjaciel umówił się z którymś ze swoich tajnych agentów, Nobe odwrócił się z zamiarem odejścia. Francis jednak zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Nie, nie odchodź. Musisz dotrzymać mi towarzystwa co najmniej jeszcze godzinę.

Zaintrygowany nagłym ożywieniem Francisa, Nobe skinął głową na znak zgody.

- Jestem do twojej dyspozycji przez cały dzisiejszy dzień. Czy przypadkiem nie planujesz odwiedzin w domu rozkoszy?

Francis potrząsnął głową.

- Mam nadzieję, że to był tylko żart z twojej strony, przyjacielu. Donna Cosma jest jedyną damą tego pokroju, którą mogę ci polecić. Mam na myśli bardziej emocjonujące zajęcie - pozuję mianowicie do swego własnego portretu jednemu z uczniów mistrza Tycjana.

Nobe zaniósł się śmiechem.

- Ty i portret? Nie podejrzewałem cię o taką próżność. To ci dopiero nowina.

Francis zaczerwienił się.

- Nie uczyniłem tego z próżności, ale dla uwiarygodnienia mego fałszywego wizerunku w Wenecji. Wszystko to z myślą o misji, którą mam tutaj do spełnienia. Większość bogatych turystów przybywających do tego miasta ma zwyczaj zamawiać portrety u tutejszych artystów. Taka obowiązuje moda. Już po

dwóch tygodniach pobytu w Wenecji zaczęto mnie zasypywać zaproszeniami do pracowni weneckich malarzy. Skręcił w wąską calle\*.

- Pracownia mistrza Tycjana jest na samym końcu tej długiej uliczki. Maestro to świetny malarz, ale każe sobie słono płacić. Prace jego utalentowanych uczniów są jednak całkowicie na miarę kieszeni lorda Cecila. Czy nasz żółtodziób wciąż idzie za nami?

Nobe nie musiał odwracać głowy, aby dać mu odpowiedź.

- Owszem, chociaż wygląda na zmęczonego.

Francis uśmiechnął się.

- Szkoda, że nie może wejść do środka. Obawiam się, że będzie musiał długo czekać na nas pod drzwiami.

Nobe zaśmiał się. Francis zapukał do drzwi, które aż się prosiły o świeżą zieloną farbę. Po kilku minutach oczekiwania, młody zdyszany służący wpuścił ich do środka. Przywitał ich ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy i zaprowadził po wąskich schodach do wielkiej izby. Nobe nigdy w życiu nie widział równie zdumiewającej rupieciarni. Różnej wielkości rozpoczęte obrazy poniewierały się pod ścianami, ustawione na chybił trafił. Na sztalugach, rozstawionych równie bezładnie na gołej podłodze, rozpięte były inne płótna. Kilkunastu młodych ludzi w ubraniach poplamionych farbą pracowało w skupieniu nad swymi obrazami. W pracowni unosił się zapach terpentyny, farby i zgniłych jajek. Nobe kichnął.

Służący podszedł do jednego z zatopionych w pracy artystów i wskazał na Francisa. Anglik skłonił się dwornie przed malarzem. Nobe zaczął kichać raz za razem.

- Signor Bassanio, przepraszam stokrotnie - odezwał się Francis. - Mój drogi przyjaciel, Nobe, którego oto mam za-

\*Calle - uliczka

szczyt panu przedstawić, przybył niespodziewanie dziś rano. W ciągu dnia podziwialiśmy uroki Wenecji, której piękności nie sposób wyrazić słowami. To powód mego spóźnienia. Proszę o wybaczenie.

Bassanio wytarł ręce o przybrudzony fartuch.

- Nie musi mnie pan przepraszać, milordzie. Zawsze cieszę się na spotkanie z panem. - Wskazał na wysoki taboret ustawiony w punkcie, gdzie skupiały się resztki bladego popołudniowego światła.

- Proszę, niech pan zasiądzie na swym zwykłym miejscu, messere.

Francis zdjął pelerynę, strząsnął krople wody z piór na kapeluszu i otrzepał rękawy. Uśmiechnął się szeroko, podszedł do stołka i wspiał się, przybierając pełną gracji pozę. Mrugnął do Nobe'a porozumiewawczo.

Ta wystudiowana poza przypadła jednak Nobe'owi do gustu. Pomyślał, że Francis powinien ją sobie przyswoić - ale bez zbytnej przesady.

Bassanio wziął jeden z zakrytych obrazów, przymocował go do sztalug i zdjął płótno.

- Signore? - zwrócił się do Nobe'a. - Może zechce pan rzuć okiem na moją dotychczasową pracę, podczas gdy ja przygotowuję farby. - Odszedł z wyrazem dumy na okrągłej twarzy.

- Z przyjemnością - odpowiedział Nobe, podchodząc bliżej, aby lepiej obejrzeć prawie już wykończony portret. Wciągnął głośno powietrze w płuca na widok tego, co zobaczył.

- Czy ten portret jest aż tak nieudany? - zapytał go Francis po angielsku. - Planowałem dać go Belle w prezencie. Przyda jej się jako tarcza do ćwiczeń w strzelaniu z łuku. Co o nim sądzisz?

- To mistrzowski portret - odpowiedział Nobe, zgodnie z prawdą.

Dlaczego dotychczas nie zauważył tego podobieństwa? To samo przechylenie głowy. Ten sam wesoły błysk w niebieskich oczach, rzadko zazwyczaj widywany u Francisa. Długie nogi, wąskie palce i układ ramion były odbiciem cech prawdziwego ojca jego przyjaciela. Wenecki artysta nieświadomie namalował portret nie sir Brandona, domniemanego ojca Francisa, ale jego brata, sir Guya, najprzystojniejszego członka tej znakomitej rodziny.

Spoglądając na płótno, Nobe, w błysku swej jasnowidzącej wyobraźni, zobaczył nagle odległą przeszłość. Scena, którą miał przed oczami, rozegrała się trzydzieści lat temu, a on sam był jak gdyby jej niewidzialnym świadkiem. Tak samo wyraźnie jak w tej chwili widział siedzącego na wysokim stołku przed sobą Francisa, równolegle niejako oglądał Guya jako młodego mężczyznę, tryskającego zdrowiem i dumą ze zwycięstwa odniesionego w rycerskim turnieju. Naraz w polu widzenia Nobe'a pojawiła się dojrzała piękna kobieta o brązowych włosach. Z uśmiechem pochyliła się nad pięknym młodzieńcem. Ten, z cichym zmysłowym śmiechem, poszedł za nią do kolorowego namiotu. Jasny obraz tej sceny migotał jeszcze przez chwilę w wyobraźni Nobe'a, nim ostatecznie rozpląnął się w teraźniejszości.

- Hej, Nobe! - sprowadził go na ziemię donośny głos. - Czy masz wosk w uszach? Powiedz, do diabła, jak wyszedłem na tym portrecie?

Murzyn oprzytomniał. Odchrząknął głośno i uśmiechnął się do przyjaciela.

- Widziałeś już siebie przedtem na tym płótnie?

Francis skrzywił się.

- Bassanio przykazał mi stanowczo nie oglądać portretu, dopóki nie będzie całkowicie skończony. Myślę, że to z obawy, iż nie zapłacę mu umówionej kwoty, jeżeli obraz mi się nie spodoba. A jakie jest twoje zdanie?

Za plecami Nobe'a pojawił się Bassanio. Młody malarz dopiero teraz dostrzegł noże na piersi Murzyna. Przełknął głośno ślinę.

- Czy podoba się panu moje dzieło, signore?

Nobe uśmiechnął się do niego.

- Jest pan niezwykle utalentowanym artystą, signore Bassanio. Doskonale pan uchwycił osobowość swego modela.

Bassanio uśmiechnął się rozanielony.

- Grazie\*, signore. A teraz, lordzie Bardolphie, proszę od rzucić od siebie wszystkie wątpliwości i nie ruszać się. Mam jeszcze wiele pracy. - Umoczył pędzel w złotej farbie i połączył z lekkim brązem. - Zależy mi na tym, aby oddać specyficzny połysk pańskich włosów w momencie, kiedy pada na nie promień słońca. Dlatego muszę się śpieszyć. Światło dnia szybko umyka.

Francis westchnął z rozdrażnieniem, ale nic nie powiedział. Bassanio przystąpił do pracy. Nobe obserwował go i myślał, jak mało wie o tajemnicy urodzin Francisa. Nieliczne szczegóły, które znał, pochodziły od męża Belle, Marka Haywarda. Rodzina Cavendishów nie wstydziła się, że zarówno Belle, jak i Francis byli owocem nielegalnej miłości. Zostali poczęci w czerwcu 1520 roku podczas legendarnego spotkania francuskiego króla Franciszka I z angielskim monarchą Henrykiem VIII. Przeszło ono do historii pod nazwą The Field of Cloth of Gold. Belle była dzieckiem miłości Brandona Cavendisha i córki właściciela składu win, a matką Francisa znana z lekkiego prowadzenia się, dobrze urodzona dama, lady Olivia Bardolph.

Kiedy Francis skończył siedem lat, rodzina Cavendishów wzięła go do siebie na wychowanie. Już wówczas rysy chłopca

\*Grazie - dziękuję

wskazywały na jego pochodzenie. Ponieważ Brandon również sypiał z lady Olivią, miał wszelkie powody przypuszczać, że Francis jest jego synem. Publicznie nigdy nie przyznał się do niego, nawet wtedy, kiedy umarł lord Richard Bardolph, oficjalny ojciec Francisa i legalny mąż jego matki.

Nobe przyglądał się malowidłu z nadzieją, że niedawna wizja powróci. Ale na próżno. Zresztą nie było potrzeby. Postać Guya, tak jak Nobe miał ją w pamięci, ożyła ponownie pod mistrzowskim pędzlem Bassania. Zastanawiał się, czy powinien przyznać się do swego odkrycia Francisowi już teraz, czy też on sam zauważy podobieństwo. Nobe postanowił na razie zatrzymać tę wiedzę dla siebie. Francis i tak przeżył dzisiaj wiele w związku z wiadomością o śmierci dziadka. W odpowiednim czasie dowie się o tajemnicy swego urodzenia, a zdaniem Nobe'a moment ten powinien nadejść prędzej, niż ktokolwiek przypuszcza.

Francisa swędział nos i bardzo chciał się po nim podrapać, ale nie odważył się poruszyć. Dlaczego nos swędzi go zawsze wtedy, kiedy pozuje do portretu? Miał nadzieję, że Belle doceni wysiłek Bassania. Wpatrywał się w głąb izby i przysłuchiwał paplaninie malarzy pracujących w ogromnym studiu. Od kiedy zaczął pozować dla Bassania, dowiedział się tutaj o wielu ciekawych sprawach, które później opisał w raporcie dla sir Williama. Takie jałowe zajęcia jak pozowanie okazało się w sumie bardzo przydatne i warte siedzenia godzinami na twardym drewnianym stołku.

Spojrzał ukradkiem na Nobe'a. Zastanowiła go jego poważna mina. On zawsze tak wygląda, kiedy miewa te swoje prorocze wizje, pomyślał zaintrygowany.

Bassanio mlasnął językiem.

- Per favore\* messere - poprosił błagalnym głosem. - Niech pan nie przewraca oczami. Śpieszę się, jak mogę.

- Przepraszam - powiedział ze skruchą Francis, ledwie ruszając ustami przy wymawianiu tego słowa.

Dużo by dał, aby móc czytać w myślach Nobe'a. Było dlań widoczne, że coś w portrecie zaintrygowało Afrykanina. Sądząc po minie, wrażenie było pozytywne. Francis modlił się w duchu, aby malarz nie nadał jego skórze zielonkawego odcienia, jakie widywał na niektórych płótnach w Madrycie, kiedy bawił w tym mieście z jedną ze swoich tajnych misji. Wystarczy, że go uwiecznią w tym błazeńskim stroju, w którym ostatnio paraduje. W każdym razie Belle będzie miała niezłą zabawę jego kosztem,

Bassanio odstąpił do tyłu i przekrzywił głowę.

- Fine\*\* - oznajmił.

Francis z ulgą podniósł się z taboretu.

- Skończone? Mogę go teraz obejrzeć?

Malarz potrząsnął przecząco głową.

- Miałem na myśli dzień dzisiejszy. Nie ma już światła. - Przykrył sztalugę płachtą. - Może pan przyjść do mnie w środę?

Francis ukrył rozczarowanie. Pozowanie do portretu było, bez przesady, wyrafinowaną formą tortury.

- Owszem - zgodził się. Wziął pelerynę i zwrócił się do Nobe'a, wciąż głęboko zamyślonego.

- Widzę, że masz już dość malarstwa na dzisiaj? - zauważył żartobliwie.

Nobe zamrugał i skinął twierdząco głową. Włożył dukata w rękę zdziwionego malarza.

- Wielkie dzięki, signore! Było to niezwykle zajmujące po południe.

\* Per favore - proszę

\*\*Fine - koniec



Bassanio uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Proszę przyjść znowu, signore. Proszę nas odwiedzać jak najczęściej. Mówiąc prawdę, byłoby dla mnie zaszczytem móc pana malować. Pański unizony sługa. - Nie ustając w ukłonach i przymilnych słówkach, odprowadził ich do głównych drzwi wychodzących wprost na wąską uliczkę.

Francis wciągnął głęboko w płuca rześkie powietrze wczesnego zmierzchu. Lekka mgła podniosła się już znad laguny, owijając białym welonem narożniki położonych nad kanałami domów.

- Powiedz mi, Nobe, coś ty zobaczył tam, w pracowni Bassania?

Olbrzym roześmiał się krótko.

- Zobaczyłem malowanego głupca.

Francis wiedział, że Nobe nie mówi mu prawdy.

- I co jeszcze? Widziałem wyraz twojej twarzy. Miałeś znowu wizję. Powiedz, co widziałeś?

- Bardzo dobrze. Zobaczyłem niebezpieczną, ale świecąca wspaniałym blaskiem tajemnicę. Twoja rodzina strzegła jej pilnie przez wiele lat. Wkrótce ten sekret wyjdzie na jaw, ale kiedy i w jakich okolicznościach, nie mogę ci powiedzieć.

Która rodzina, zastanawiał się Francis, Bardolphów czy Cavendishów?

Nobe z weselszą miną objął Francisa ramieniem.

- A teraz dokąd pójdziemy? Czy zjemy kolację u rozkosznej donny Cosmy?

Francis spojrzał na kominy domów naprzeciwko. Nie miał ochoty oglądać swej polującej na męża kochanki.

- Nie dzisiaj, przyjacielu. Ale ty, jeżeli masz ochotę, możesz ją odwiedzić. Ja nie pójdę.

- O co chodzi? Damulka z pewnością cię oczekuje. Twój gospodarz dał mi do zrozumienia, że spędzasz u niej wszystkie wieczory.

Francis pomyślał o słodkiej, tajemniczej, fascynującej Jessice.

- Sądzę, że nadszedł czas na zmianę. Proponuję, byśmy poszli do mego mieszkania. Właściciel gospody przygotuje nam coś znośnego do jedzenia i nagadamy się za wszystkie czasy. Nie mogę doczekać się chwili, kiedy usłyszę dokładniejsze wieści... o domu.

Nobe skinął głową z lekkim uśmiechem.

- Skoro tak, jestem do twoich usług. Kupię butelkę słodkiego wina i będę opowiadał. Zaręczam, że nieraz zbierze ci się przy tym na płacz.

- Świetnie. - Francis delektował się myślą o Jessice. - Chciałbym, żeby ta noc zeszła jak najszybciej. Nie mogę się doczekać jutrzejszego ranka.

Nobe roześmiał się serdecznie.

- Wietrzę tu l'amore\*.

Francis parsknął gniewnie.

- Pierwej kaktus wyrośnie mi na dłoni.

\* L'amore - miłość

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił melodyjnie godzinę dziesiątą. Jessica drewnianymi szczypcami rzuciła gruby ręcznik na stosik rozpalonych kamieni. Kłęby pary z sykiem uniosły się do góry, kiedy polała je wodą z czerpaka. Do kuchni wbiegła Sofia. Zatrzasnęła za sobą drzwi tak gwałtownie, jak gdyby z gondoli wysiadły wszystkie piekielne demony i puściły się za nią w pościg.

- On już tu jest! - zawołała.

- Przypuszczam, że chodzi ci o Anglika. Obiecał przyjść dziś rano o dziesiątej. - Ręce Jessiki drżały. - Czy coś jest nie w porządku?

Sofia zerknęła przez ramię na zatrzaśnięte drzwi.

- Tak. Smutny lord czeka już w saloniku, ale nie sam. - Mówiła szeptem, głosem ochryplym z przejęcia. - Towarzyszy mu mężczyzna jeszcze wyższy od niego.

Jessika poczuła, że robi jej się słabo.

- Madre del Dio! Przybyli, aby mnie zawlec przed inkwizycję. Ale ja przecież nie uczyniłam nic złego, Sofio - tłumaczyła się płaczliwie. - Moi rodzice powrócili wprawdzie do swej dawnej wiary, ale ja byłam i zawsze pozostanę wiernym członkiem świętego Kościoła. Nie zrobiłam nic złego - powtórzyła raz jeszcze z niemal modlitewnym żarem.

Karlica nie słuchała zapewnień Jessiki. Nie spuszczała wzroku z drzwi.

- Ten nowy gość jest czarny jak noc. Dam głowę, że to Etiopczyk. - Wykrzywiła się. - I przez cały czas się uśmiecha.

Jessica zdziwiła się. Murzyn w towarzystwie lorda Bardolpha? Czy ktoś taki może być członkiem Świętego Oficjum? Sama myśl o tym wydała się jej absurdalna. Widywała czasami Murzynów, zwłaszcza podczas Carnevale\*, ale nigdy nie spotkała żadnego z nich w kościele. A jednak - wczoraj młody Anglik był również w towarzystwie wysokiego mężczyzny. Przyjaciel krył się za kolumną, a kolorem skóry nie odróżniał się od cienia.

Otrząsnęła się z niespokojnych myśli. Nie mogła do końca życia ukrywać się w swej kuchence.

- Dalej, Sofio! Zabierajmy się do roboty. Nie możemy się dłużej ociągać, w przeciwnym razie oni zaczną się denerwować i rozwalą nam dom.

Sofia skrzyżowała ramiona na wydatnym biuście opiętym ciasnym stanikiem.

- To nie jest czas na żarty, dziecinko. Musimy dbać o nasze bezpieczeństwo. Powiem Gobbo, aby wziął nie tylko lutnię, ale i sztylet.

Dziewczynie cisnęła się na usta uwaga, że sztylet karła będzie bronił ich równie skutecznie jak małą myszkę jej ząbek przed ogromnym lwem, ale w porę ugryzła się w język.

- Przygotuj tacę słodczy i ciast dla Murzyna. Należy mu duży puchar wina - najlepszego, jakie mamy, Sofio, i pamiętaj, nie rozcieńczaj go zbyt. Może uda się nam uśpić jego czujność smakołykami, dopóki nie wydobędziemy z niego prawdy.

Sofia parsknęła i zaczęła się krzątać po kuchence.

- Przysięgnę, że nawet beczka mocnego wina nie zbije tego czarnego z nóg. Poczekaj, aż go zobaczysz. To prawdziwy wielkolud.

Jessica skinęła głową, po czym włożyła maskę. Nie była ciekawa olbrzymiego Murzyna. To nie on sprawiał, że serce tłuło

\* Carnevale - karnawał

się jej w piersi niczym ptak zamknięty w klatce. Jej myśli krążyły wokół angielskiego lorda. Nim ujęła za klamkę, wyprostowała swą szczupłą postać.

- Pośpiesz się - szepnęła do Sofii.

Obydwaj mężczyźni skłonili się dwornie, kiedy Jessica weszła do saloniku. Sofia nie przesadzała. Wydawali się rozsądzać ściany niewielkiego pomieszczenia. Niepewnym krokiem postąpiła do przodu.

- Dzień dobry, tajemnicza damo - powitał ją z kurtuazją Murzyn basowym głosem. Mówił zupełnie nieźle po włosku. - Jedynie twoja piękność, którą tak starannie ukrywasz przed ludzkim okiem, przewyższa twoją sławę uzdrowicielki.

Ciekawe, gdzie on się nauczył takiej wytwornej mowy? W odpowiedzi Jessica uśmiechnęła się do niego uprzejmie zza skórzanej maski.

- Witam w moim domu, signore.

Spojrzała na swego milczącego pacjenta. Oddech zamarł jej w piersi na jego widok. Mimo czerwonych obwódek wokół błękitnych jak niebo oczu, Anglik wydał jej się dzisiaj o wiele bardziej atrakcyjny, niż kiedy go widziała ostatnio. To zapewne za sprawą oświetlenia...

- Dzień dobry, messere. - Próbowała się uśmiechnąć, ale wargi jej drżały. - Wszystko już przygotowane. Możemy zacząć, jeżeli jest pan gotów.

Nim Anglik zdążył jej odpowiedzieć, Murzyn wyrwał się przed niego, oświadczając z wesołym uśmiechem.

- Francis szykował się na spotkanie z panią już od wczorajszego ranka. Był gotów od dwudziestu czterech godzin.

Jego przyjaciel mruknął coś po angielsku. Murzyn roześmiał się tylko w odpowiedzi. Następnie Anglik zwrócił się po włosku do Jessiki.

- Proszę wybaczyć Nobe'owi, signorina Leonardo. Mój

przyjaciel plecie, co mu ślina na język przyniesie. Żaden weneccjanin nie potrafi tak zmyślać jak on. Jessica powstrzymała go gestem dłoni.

- Nie ma nie do przebaczenia, messere. To ja muszę pana przeprosić, ponieważ widzę, że nie czuje się pan dobrze. Obawiam się, że moja kuracja nie przyniosła spodziewanych efektów. Jestem gotowa zwrócić panu pieniądze. A mówiąc szczerze, za dużo mi pan zapłacił ostatnim razem.

- Zapłaciłem marne grosze, a pani kuracja bardzo mi pomogła, chociaż rzeczywiście, tak jak mnie pani uprzedzała, odczuwałem po niej nieznaczne dolegliwości. - Lekki uśmiech przemknął po jego wargach. - To cios, który mnie dotknął ostatnio, jest sprawcą gorszego samopoczucia. Jak pielgrzym wędrujący do świętych miejsc w nadziei na zbawienie duszy i ciała przychodzę do pani szukać pomocy i ulgi w moim cierpieniu.

Nobe gwizdnął przez zęby.

- Mój przyjaciel mówi prawdę, piękna pani. Jest o wiele bardziej chory, niż przypuszczałem.

Do pokoju wtargnęła Sofia, niosąc przed sobą wielką drewnianą tacę, na której piętrzyła się góra przeróżnych smakołyków. Stawiając tacę na małym tureckim stolczku, Sofia spojrzała na Murzyna surowym wzrokiem.

- A pan niech siada, panie Drzewo! - Wskazała na masywniejsze z dwóch krzeseł znajdujących się w pokoju. - Nie będę wyciągać szyi ze stawów, aby się panu przyjrzeć.

- Sofio! - Jessicę zatchnęło z oburzenia.

Co wstąpiło w jej przyjaciółkę, że odzywa się tak niegrzecznie, zwłaszcza do mężczyzny uzbrojonego w liczne, groźnie wyglądające sztylety?

Nobe wybuchnął śmiechem i opadł na wskazane krzesło.

- Wspaniała! - zahuczał zachwycony. - Przysięgam na brodę, której nie mam, że trafiłem wreszcie na kobietę swego życia!

Sofia przekrzywiła na bok główkę.

- Jestem mężatką!

Anglik spojrział na nią z kwaśną miną.

- On również ma żonę, signora. Ma ich nawet aż cztery!

- Naprawdę? - Jessica spojrzała na roześmianego olbrzyma. Skoro praktykował pogańskie zwyczaje, to w żadnym wypadku nie może być duchownym. Poczula, że napięcie stopniowo z niej opada.

Murzyn wsadził do ust obsmażony w cukrze migdał.

- To prawda, madonno. Ruszaj, Francisie! Wiem, że oddaję cię w dobre ręce. - Odwrócił rozbawiony wzrok na Sofię. - A teraz, mała gołąbeczko, usiądź tu na drugim krześle i opowiedz mi historię swego życia. Potem ja opowiem ci moją. - Mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela, po czym przeniósł wzrok na Sofię. - Coś mi się wydaje, że spędzimy w swym towarzystwie sporo czasu.

Jessica zaprowadziła Francisca do izby, w której przyjmowała pacjentów. Niewielkiego wzrostu mężczyzna o zmierzwionych włosach siedział na taborecie w odległym kącie i nastrojał lutnię. Z szacunkiem skłonił głowę przed Francisem, ale jego badawczy wzrok przewiercał duszę Anglika na wylot. Francis domyślił się, że to mąż karliczki Sofii, towarzyszki i powierniczki Jessiki.

Jessica uśmiechnęła się pod maską do swego muzyka.

- To jest Gobbo, messere - przedstawiła go.

Aczkolwiek Francis prawie dwukrotnie przewyższał wzrostem służącego Jessiki, niemniej odpowiedział na jego ukłon z taką samą powagą.

- Muzyka jest rozkoszą dla uszu, signore. Od dawna nie miałem okazji słuchać równie utalentowanego artysty.

Gobbo uśmiechnął się, odsłaniając rzadkie zęby.

- Czyni mi pan zaszczyt, milordzie - odpowiedział i zajął się instrumentem.

Jessica, tak jak poprzednio, wyciągnęła czarną przepaskę.

- Proszę, niech się pan rozbierze do pasa, messere Bardolphie. Proszę także by i tym razem przewiązał pan sobie oczy przepaską.

Francis zaczął protestować, ale kątem oka zobaczył, że Gobbo rozchyła kamizelkę, ukazując, wiszący u pasa, groźnie wyglądający sztylet. Francis miał ochotę uśmiechnąć się, ale się powściągnął. Mały człowieczek bez wątpienia gotów był oddać życie w obronie swej pani, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Niech będzie według pani życzenia, madonno - odparł w końcu zrezygnowany Francis. Jej biała maska drażniła go niewymownie.

- Gobbo mnie zawoła. - Z tymi słowy Jessica odeszła bezszelestnie w kierunku drzwi. Rozpinając guziki kaftana, Francis przypatrywał, się uważnie muzykowi. Może uda mu się dowiedzieć od niego czegoś więcej na temat jego pani.

- Signorina Jessica jest niezwykle skuteczną uzdrowicielką, prawda? - zaczął pozornie obojętnym tonem. - Gdzie nauczyła się tej sztuki?

Gobbo długo się zastanawiał, nim odpowiedział.

- Jej ojciec jest doktorem.

Francis ściągnął wreszcie z siebie koszulę. Ból w ramieniu ponownie się odezwał,

- Ach, tak! A czy zacny doktor mieszka razem z nią?

Gobbo tym razem jeszcze dłużej zwlekał z odpowiedzią.

- Ojciec i córka nie żyją ze sobą zbyt dobrze. Jej rodzice mieszkają jednak... dość blisko nas. Dlaczego pan o to pyta?

Francis uśmiechnął się do niego rozbrajająco.

- Po to, aby wprowadzić swobodniejszą atmosferę. Mówiąc szczerze, nie przywykłem rozbierać się przed obcymi.



Wyraz twarzy Gobbo pozostał niezmienny.

- Chyba że tą obcą osobą jest signorina di Luna - zauważył drwiąco.

Francis poczuł suchość w gardle. Do licha! Czyżby trafił do gniazda donosicieli?

Uniósł brew do góry i spojrzał pytająco na lutnistę.

- Wyrażasz się dość obcesowo, Gobbo. Czy masz zwyczaj szpiegować klientów swojej pani?

Gobbo uśmiechnął się krzywo.

- Tak jest, milordzie. Jej dobro jest dla mnie najważniejszą sprawą. A poza tym - dodał z nutką triumfu w głosie - proszę nie zapominać, że mieszkamy w Wenecji. W tym mieście nawet kichnięcie kota zwraca uwagę. Już po godzinie ludzie będą wiedzieli, kiedy i gdzie ten kot kichnął i jakiego był koloru.

Pod tą rozczochraną grzywą krył się bystry umysł. Francis musi bardzo uważać na to, co mówi. Rada Dziesięciu ma swoich szpicli na każdym kroku w tym tajemniczym mieście.

- Dziękuję za radę.

Gobbo szarpnął strunę lutni, biorąc akord.

- Proszę traktować moje słowa jako ostrzeżenie, milordzie. - Ściągnął usta, dodając jeszcze: - Jest ktoś, kto pana śledzi.

Francis skinął głową. Wywiadowca Cosmy był wyjątkowo nierozgarniętym młodzieńcem.

- Będę miał na uwadze tę radę. - Wyciągnął się na szeszlunku. - Powiedz swojej pani, że czekam na jej czary.

Gobbo odchrząknął.

- Przepaska - przypomniał.

Francis z westchnieniem sięgnął po opaskę.

- Uważam, że kobieta o takim anielskim głosie nie powinna ukrywać twarzy pod maską. Zwiedziłem dość dużo świata, by wiedzieć, że prawdziwe piękno znajduje się w duszy człowieka.

- Jest pan zatem rozsądniejszy od większości mężczyzn, milordzie - odpowiedział lutnista. - Niemniej, takie jest życzenie mojej pani i musimy się do niego stosować.

- Powiedz mi, przyjacielu - odezwał się miękko Francis. - Czy widziałeś ją bez maski?

- Znam ją praktycznie od niemowlęcia - odpowiedział z uczuciem lutnista.

- Czy ona rzeczywiście jest tak... oszpecona, jak twierdzi?

Odpowiedziało mu milczenie. Francis zganił siebie w myślach za to, że zbyt obcesowo wypytywał Gobba. Oddanie muzyka dla tajemniczej uzdrowicielki było godne podziwu.

- Ona jest nieskazitelną perłą i wielu ludzi ją kocha. Biada mężczyźnie, który odważy się ją skrzywdzić lub obrazić.

- Nie lękaj się mnie, Gobbo. Jestem jej zagorzałym wielbicielem. Nie wiem, czy znajdzie się drugi taki zapamiętały adorator.

- Piękne usta często kłamią, milordzie.

- Zaufaj mi - poprosił Francis, kiedy jeszcze tylko obaj byli w pokoju.

Jedyną odpowiedzią był pierwszy akord starej ballady. Drzwi otworzyły się ponownie. Perfumy Jessiki oznajmiły jej obecność, zanim się odezwała. Odurzająca woń owionęła ciało Francisa. Poczł mrowie na skórze w przeczuciu jej uzdrawiającego dotyku. Kiedy wprawne palce musnęły zastarzałą bliznę, serce zabiło mu żywszym rytmem, a ciało ogarnęło nagle gorąco. Jessica rozpoczęła kurację, owijając mu ramię kawałkiem płótna.

- Mam tu ręcznik specjalnie nagrany dla pana w wilgotnej parze - wyjaśniła głosem, który przywodził na myśl łagodny podmuch wiatru i melodyjny śpiew ptaków. - Wilgotne ciepło rozluźnia napięte mięśnie pod skórą i znacznie łagodzi ból. Czy zgadza się pan, bym położyła go na pański bark? Uprzedzam, że ręcznik jest bardzo gorący.

- Jestem gotów pójść nawet do piekła, madonno, pod warunkiem, że będzie mnie pani trzymać za rękę - odparł z galanterią, w której oprócz zwykłej grzeczności była spora doza prawdy.

Jessica zaśmiała się.

- Nie przypuszczam, żeby okład był aż tak gorący. - Bezwłocznie położyła na płótnie ręcznik. Ciepło szybko przeniknęło przez grubą tkaninę. Następnie Jessica stanęła z tyłu, za głową Francisa, i położyła palce obu rąk na jego czole. Powolnymi delikatnymi ruchami zaczęła masować skórę, jak gdyby w ten sposób chciała wygładzić misterną sieć zmarszczek, które mijające, pełne trosk i niepokojów lata zdążyły już wyźłobić.

- Proszę starać się o niczym nie myśleć - radziła półgłosem, masując jego skronie. - Niech pański umysł będzie spokojny jak ptak w przestworzach.

Francis wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- Co to jest spokój? - mruknął. - Gdzie go mogę znaleźć?

- W swoim sercu - odparła, przesuwając kciukami po jego szyi.

Zadrzał pod tym dotykiem.

- Moje serce to ugór, madonno.

Chociaż nigdy nie przyznałby się do tego przed żadnym członkiem swej pogmatwanej rodziny - nawet przed Belle, która była mu najbliższa - to otwarcie serca przed Jessicą zdało mu się całkiem naturalne. Rozleniwiony ciepłem, które rozlewało się błogą falą po ciele, słodkimi dźwiękami lutni oraz odurzającymi perfumami i delikatnym dotykiem palców uzdrowicielki, Francis zapomniał o zwykłej czujności i odsłonił wiecznie jątrzącą ranę swej duszy.

Jessica wsunęła palce w jego włosy i masowała skórę czaszki, od czubka głowy aż po nasadę szyi.

- Proszę mi odpowiedzieć, co pana gnębi. Człowiekowi jest lżej, kiedy podzieli się swoim ciężarem - wyszeptała.

Francis odetchnął głęboko.

- Zawsze... zawsze czułem się obcy w swej rodzinie - wyznał, nie rozumiejąc, dlaczego pragnie ujawnić skrywaną udrekę przed tą prawie nieznaną osobą.

Jessica przeciągnęła delikatnie dłońmi po jego czole.

- Wydaje mi się jednakże, że swego dziadka bardzo pan kochał.

Ponownie wciągnął głęboko powietrze.

- To prawda, on był jedyną trwałą więzią łączącą mnie z tą rodziną.

- A pańscy rodzice? - zapytała półgłosem. - Co z nimi?

Mglisty obraz rozwiązłej matki stanął mu przed oczyma.

- Moja matka też już nie żyje - odpowiedział zimno.

Jessica westchnęła współczująco.

- To prawdziwa tragedia, kiedy syn traci matkę.

Skrzywił twarz pod czarną opaską.

- Dla mnie ona umarła już na długo, zanim dobry Bóg powołał ją do siebie. Prawdziwa tragedia dla syna to świadomość, że jego matka jest ladaczną.

Ręka Jessiki znieruchomiała.

- Dio mio! Jak pan może mówić takie niegodziwe rzeczy o własnej matce. Musiała być damą, przecież pan jest szlachcicem.

Francis aż się skręcał z nieznośnej psychicznej męki. Był bękartem bez ziemi i tytułu, ale, rzecz jasna, nie mógł się jej do tego przyznać. Musi uchodzić w oczach świata za arystokratę, przynajmniej przez najbliższy miesiąc.

Odchrząknął.

- Ma pani rację. Moja matka była rzeczywiście damą z urodzenia, ale prowadziła się gorzej niż prostytutka. Urodziła swe-

mu mężowi dwóch synów, którzy zapewniali ciągłość rodu, ale potem zostawiła go w jego majątku, na wsi, z ukochanymi końmi i krowami, a sama ruszyła na dwór królewski, gdzie puszczała się z każdym, kto tylko nawinął się jej pod rękę. Jak mi mówiono, na liście jej kochanków znajdowali się nawet monarchowie - angielski i francuski.

Jessica zdjęła stygnący ręcznik z jego barków. Przesunęła kantem dłoni po bliźnie.

- Sądzę, że źle ją pan ocenia. Może należała do osób, które przepadają za towarzystwem i zabawą.

Francis parsknął niecierpliwie.

- Chciałbym, żeby tak było, choćby przez wzgląd na mego, hm... ojca. Był dobrym człowiekiem, ale nie miał za grosz charakteru. Nie. Prawda była taka, że lady Olivia przyjmowała do swego kołczana każdą strzałę. Dla niej liczyła się tylko przyjemność. - Wspomnienie zenujących przeżyć przywołało pałący wstyd. - Raz do roku przyjeżdżała do Cloverdale, do domu swego męża, i tam rodziła kolejne dziecko.

Ręce Jessiki, masujące ciepłą skórę, zadrżały lekko.

- Nigdy nie słyszałam o takich rzeczach.

- Moja matka lubiła zachodzić w ciążę, ale nie lubiła owoców swoich miłostek. Zostawiała niemowlęta w domu, z mężem, zatrudniała mamki, a sama wracała do uciech królewskiego dworu, z chwilą gdy tylko mogła dosiąść konia.

Zacisnął wargi. Powiedział Jessice dużo więcej, niż zamierzał. Ona ugniatała chory bark w milczeniu, do głębi wstrząśnięta jego wyznaniem. Ucisk silnych, a zarazem delikatnych rąk przynosił zarówno fizyczną, jak i psychiczną ulgę. Gobbo grał w dalszym ciągu, daleki i obojętny, jak gdyby żadne słowo z tej wstrząsającej rozmowy nie dotarło do jego uszu.

Jessica masowała teraz ramię Francisa.

- Jakie to musiało być bolesne dla pańskiego ojca – zauważyła współczująco.

Francis zacisnął zęby.

- Ach - rzekła przepraszająco. - Zdaje się, że dotknęłam drażliwego tematu.

Zwilżył językiem suche wargi.

- Tak, madonno, poruszyła pani rzeczywiście wyjątkowo czuły punkt. - Z całej rodziny tylko on jeden znał prawdę o swoim ojcu. Poznał ją, nim jego matka spoczęła w zimnym grobie, na dalekim klasztornym cmentarzu.

Nabrawszy w palce więcej maści, Jessica zaczęła masować długi mięsień pomiędzy łokciem a nadgarstkiem.

- Ma pan ochotę mówić dalej o tej bolesnej sprawie? - spytała ze słodyczą. - Zapewniam pana, że jestem osobą dyskretną i nikomu nie zdradzę tajemnicy.

- Och, Jessico, gdybyś potrafiła wymazać z mej pamięci wszystkie przekłete dni dzieciństwa!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jessica spoglądała na leżącego przed nią mężczyznę. Miała wielką ochotę wziąć go w ramiona i gorącymi pocałunkami zatrzeć wspomnienia bolesnych przeżyć, ale zabrakło jej odwagi. Wzięła jedynie w ręce jego prawą dłoń i powoli zaczęła wyciągać i masować długie palce. Mężczyzna o takich rękach łączył w sobie wielkie serce i wielką dumę. Taki człowiek nie znosi oznak współczucia i nigdy nie pokaże po sobie, że jest mu źle na duszy. Może dlatego, że jest taki samotny, szuka pociechy w kościele - jeżeli rzeczywiście jest księdzem.

Zaciskając usta w cienką linię, Francis odwrócił na bok głowę. Jessica domyślała się, że otworzył przed nią serce na tyle, na ile pozwoliła mu jego duma. Masowała mięśnie klatki piersiowej - szerokiej i muskularnej. Zastanawiała się, jakie to byłoby uczucie złożyć skołataną głowę na jego ramieniu - nawet tym zranionym. Jessica pozwoliła sobie na małą swawolę; popieściła ręką gładką skórę u nasady szyi. Przygryzła dolną wargę. To bardzo niestosowne zachowanie. Jeszcze sobie pomyśli, że jest jedną z tych niesławnych weneckich ulicznic - dopóki oczywiście nie zobaczy jej twarzy. Kciukiem masowała bliznę.

Lord Bardolph chrząknął ze zdziwieniem.

- Chwileczkę, miła pani. Moje ciało to nie służy do wprawiania się w rzucaniu kopią.

Jessica złagodziła ucisk.

- Przepraszam, messere - rzekła półgłosem. - Myślę, że nieraz uprawiał pan takie ćwiczenia - dodała.

Uśmiechnął się.

- Aż za wiele razy - odparł. - Mój... mój opiekun bardzo się starał zrobić ze mnie dobrego rycerza.

- Sądząc po pańskiej formie, udało mu się to - zauważyła swobodnym tonem, chociaż w ustach jej wyszło. Ten urodziwy mężczyzna był istnym diabłem, który pojawił się po to, aby wystawić na pokusę jej cnotę - lub też wysłać na stos.

- Walczę bardziej głową niż ramieniem. Mój dziadek mnie tego nauczył - dodał miękko.

Jessica przykryła go kocem i położyła rozpostarte dłonie na jego sercu, aby jej uzdrawiająca energia szybciej przeniknęła w głąb ciała.

- To musiał być bardzo mądry człowiek - zauważyła. - Nic dziwnego, że nie może pan odzłować jego straty.

- Moja matka nie była cnotliwa, za to dziadek miał bardzo szlachetne serce. Traktował mnie jak jednego ze swoich synów i ja... ja go za to kochałem.

Jessica zakołysała jego ciałem łagodnie, aby przywrócić mu dobry nastrój.

- Myślę, że ma pan naprawdę szczęście w życiu.

- Na jakiej podstawie tak pani sądzi? *To* nie jest słowo, którego bym użył w stosunku do siebie.

Położyła dłoń na jego czole i zmówiła cichą modlitwę do świętego Łukasza, patrona lekarzy, za skuteczność swej kuracji. Następnie zauważyła:

- Takiego człowieka jak pański dziadek spotyka się tylko raz w życiu. Potrafił pan docenić jego wielkość. To jest właśnie to szczęście.

- Niestety nigdy, kiedy żył, nie zdobyłem się na to, aby mu powiedzieć, jak bardzo go kocham.

Jessica przeciągnęła wierzchnią stroną palców po jego policzku.



- On już teraz o tym wie, messere.

Odwróciła się do kredensu i przykryła słoiki z maściami. Za bardzo ją kusiło, aby ucałować te ładne męskie usta. Gdzie się podziała jej skromność i przyzwoitość? Nigdy żaden mężczyzna nie działał na nią w podobny sposób. Zastanawiała się, czy to pragnienie nie wypływa ze współczucia, jakie wzbudził w jej macierzyńskim sercu. Otarła ręce o fartuch.

- Na dzisiaj koniec, milordzie - oświadczyła, kierując się w stronę drzwi. - Proszę się ubrać i dołączyć do swego przyjaciela. Wkrótce do panów przyjdę.

Znikła za gościnnym wejściem. Gobbo postępował za nią. Kiedy już znalazła się na korytarzu, z tyłu domu, odetchnęła z ulgą.

Gobbo dotknął jej łokcia.

- Czujesz się dobrze, pani? Wydawało mi się przez chwilę, tam, w izbie, że zemdlejesz.

Jessica poklepała się po zaczerwienionej twarzy.

- To nic, drogi przyjacielu. Było trochę za ciepło. Poza tym zmęczyłam się masowaniem. Mówiąc uczciwie, ból będzie dokuczał angielskiemu lordowi co najmniej do rana. Wyobrażam sobie, jak będzie mnie przeklinał.

Gobbo spojrzał na nią figlarnie.

- Nie sądzę, dziecinko. Ten mężczyzna będzie błogosławił twoje imię podczas porannej mszy.

Słowa Gobba długo brzmiały w uszach zaskoczonej Jessiki, ale lutnista oddalił się już wąskim korytarzem ze swym instrumentem pod pachą.

Jessica przez kilka minut stała oparta o zimną gipsową ścianę, dopóki jej serce nie zaczęło znowu bić zwykłym rytmem. Zamknęła oczy i wciągnęła kilkakrotnie powietrze w płuca. Co się z nią działo? Dlaczego ten obcokrajowiec spowodował w jej głowie taki zamęt i tak rozpałił ciało, że piekła ją skóra? Znowu

ogarnął ją lęk, czy aby nie jest to początek jakiejś niebezpiecznej choroby.

Zdrowy rozsądek nakazywał jej, żeby starała się w miarę możliwości unikać lorda Bardolpha. Intrygujący hultaj! Współczuła mu w jego cierpieniu i czyniła co w jej mocy, aby złagodzić dręczący go smutek, ale nie wierzyła w uczciwość jego intencji. Nie miała już dłuższej wątpliwości, że jego krzykliwy ubiór oraz próżniaczy styl życia są tylko udawaniem, pozą, mającą uśpić czujność otoczenia i ukryć prawdziwą tożsamość.

Z drugiej strony przychodziło jej na myśl, że on może być rzeczywiście duchownym. Wydawał się jej jednak zbyt świecki jak na człowieka tego stanu. Pomasowała sobie skronie. A przecież Wenecja roiła się od księży, którzy objadali się, upijali, spali podczas spowiadania wiernych, opuszczali msze i zabawiali się z kobietami lekkich obyczajów. Nawet jeżeli messere nie jest księdzem, nie znaczyło to wcale, że nie pozostaje na usługach Świętego Oficjum. Już sama myśl o inkwizycji sprawiła, że strach ścisnął jej serce. Wyrosła na pełnych grozy wspomnieniach rodziców, którzy opowiadali jej o nieludzkich przeżyciach, jakie były ich udziałem w Hiszpanii, pod rządami tej straszliwej instytucji. Pod koniec ubiegłego roku papież przeniósł Święte Oficjum do Wenecji, wraz z całym potwornym arsenałem okrutnych narzędzi tortur.

Jessica wstrząsnęła się. Była dobrą katoliczką. Prawie codziennie uczestniczyła w mszy świętej, pościła i modliła się w odpowiednich porach i tak, jak nakazywał Kościół, prowadziła skromne i uczciwe życie. Wiedziała jednak, że to wszystko może nie wystarczyć, aby ją ustrzec od stosu. W ostatnich tygodniach szpicle inkwizycji szczególnie gorliwie obserwowali działalność marranos\*, obywateli weneckich takich jak jej ro-

\*Marranos - maroni - hiszpańscy żydzi, którzy pod przymusem przeszli na katolicyzm

dzice - hiszpańskich żydów, którzy nawrócili się na katolicyzm po to, aby ocalić życie. Jessica wiedziała, że jedno nierozważne spojrzenie lub słowo może przyczynić się do zguby jej rodziny, która mieszkała niedaleko, w żydowskim getcie.

Nie, należy pilnie baczyć na posepnego Anglika w kolorowym stroju i nigdy mu nie ufać - nie wspominać o sekrecie swojej rodziny, a już z całą pewnością nie oddawać mu serca. Usłyszała, że lord Bardolph wraca do poczekalni. Z westchnieniem włożyła maskę. Otworzyła drzwi w momencie, gdy Sofia zeskakiwała z krzesła i prostując, na ile to było możliwe, swą postać, stanęła na wprost jej pacjenta.

- Wygląda pan znacznie lepiej, messere - zauważyła karlica. - Niech pan wobec tego odwdzieczy się odpowiednio mojej pani. Musimy przecież coś jeść, sam pan rozumie. - Spojrzała krzywym okiem na Nobe'a. - Mówiąc szczerze, ten pański przyjaciel zjadł tyle smakołyków co my przez cały tydzień.

Zanim lord Bardolph zdążył zareagować na tę bezczelną uwagę, Jessica z gniewem skarciła Sofię.

- Milcz, Sofio! Swoją niegrzeczną mową obrażasz tego uprzejmego dżentelmena.

Jednakże Anglik, zamiast się rozgniewać, odrzucił tylko do tyłu swą piękną głowę i roześmiał się serdecznie. Jego śmiech i pogodna mina sprawiły, że Jessica prawie zaniemówiła z wrażenia. Otwierając kieszek z pieniędzmi, uśmiechnął się do niej jeszcze bardziej promiennie. Kolana się pod nią ugięły.

- Nie obawiaj się mnie, maleńka Jessico. Twoja dzisiejsza kuracja warta jest każdych pieniędzy. - Ujął jej zimną rękę i wyliczył dziesięć dukatów na dłoń.

Zadrżała pod jego dotknięciem i na widok tyłu pieniędzy.

Zamknął jej palce na monetach.

- Przyjmij te nędzne sztuki złota, madonno. Ulżyłaś memu sercu, a teraz ja ulżę swojej sakiewce.

Oparła się o ścianę. Monety brzęknęły w jej ręku.

- Jest pan niezwykle hojny, messere, ale nie mogę przyjąć takiej fortuny. - To były diabelskie pieniądze. Będzie je później przeklinać, kiedy zostanie zmuszona przyznać się przed inkwizycją, że przyjęła tyle złota od tego człowieka za... za... Nie wiedziała za co, ale wiedziała jedno: inkwizycja przeznaczy ten hojny dar na swe własne niegodziwe cele.

Sofia podeszła na palcach do Jessiki, aby zobaczyć, jaką sumę otrzymała.

- Nie rezygnuj z tych pieniędzy zbyt pochopnie, madonno - radziła. - Prawdziwy dżentelmen odznacza się szerokim gestem.

Murzyn roześmiał się niskim gardłowym śmiechem.

- Moje żony dobrze znają tę prawdę.

Jessica potrząsnęła głową. Zwróciła Francisowi dziewięć dukatów.

- Należy mi się tylko jeden dukat, milordzie. Nie mogę przyjąć więcej. To nie byłoby w porządku.

Sofia mruknęła coś pod nosem. Wielkolud Nobe roześmiał się ponownie.

Lord Bardolph z wyraźnym żalem wsadził do kieszeni pieniądze. Następnie wyciągnął do niej rękę, obdarzając przy tym urzekającym uśmiechem.

- Jeżeli nie pozwoli sobie pani płacić uczciwie za kurację, która czyni ze mnie nowego człowieka, to proszę przynajmniej pójść ze mną i Nobe'em na Rialto. Tam kupi sobie pani na mój koszt, co się pani spodoba - coś do ubrania bądź z biżuterii.

Jessica znowu potrząsnęła głową, choć widziała jego błagalny wzrok. W pewnym momencie gotowa była nawet ulec. Ale to mogła być pułapka. Urzędnicy inkwizycji mogli na nią czekać na rynku.

- Jestem bardzo wdzięczna, messere, ale nie mogę. Rzadko wychodzę z domu w dzień. — Dotknęła swej maski.

Nie opuścił ręki.

- W tej chwili jest okres karnawału, madonno. Każdy w Wenecji nosi w tych dniach maskę na twarzy. Ja i Nobe też musimy kupić maski, by nie odróżniać się od innych. Oczekujemy, że nam coś doradzisz w tej sprawie.

- Świetny pomysł - zgodził się Nobe.

Jessica toczyła ze sobą walkę. Jej serce wyrywało się ku tej propozycji. Mimo to postanowiła trwać w swym postanowieniu. Im szybciej Anglik opuści jej mieszkanie, tym lepiej.

- Ogromnie mi przykro, milordzie. Błagam o wybaczenie, ale nie mogę panom towarzyszyć. Nie zasługuję na ten zaszczyt, a poza tym - mówiła coraz szybciej, by nie mógł jej przerwać - oczekuję następnego pacjenta. - Dzięki Bogu, że maska ukryła rumieniec wstydu, który to kłamstwo wywołało na jej twarzy.

Anglik opuścił rękę wzdłuż boku.

- Naturalnie. W swym pełnym wdzięczności uniesieniu za przywrócenie mi zdrowia zapomniałem, że nie jestem jedyną osobą, która poszukuje pani pomocy. Zazdroszczę pani nowemu pacjentowi, madonno, ponieważ będzie się cieszył pani towarzystwem, którego ja zostaję pozbawiony. Kiedy mam się znowu zjawić?

Jessica starała się na niego nie patrzeć. Gdyby nawet tylko w połowie był tak czarujący, jak jest, i tak trudno byłoby się mu oprzeć.

- Za dwa dni, messere - odrzekła. Głos jej się łamał. - O dziesiątej rano.

Znowu ujął jej rękę. Zadrżała pod tym dotknięciem.

- Będę u drzwi pani domu, nim zegar na kościelnej wieży skończy wybijać godzinę. - Przycisnął wargi do jej palców.

Ten krótki, czuły dotyk sprawił, że ciało Jessiki pokryło się gęsią skórką. Zimne i gorące dreszcze przebiegały na przemian

po jej krzyżu. Trzepoczące w piersi serce nie pozwalało swobodnie odetchnąć.

- Proszę mi wybaczyć, messere - rzekła cicho, wysuwając rękę z jego dłoni. - Poczułam się nagle... - Otworzyła drzwi i pobiegła w głąb ciemnego korytarza. Osunęła się bez siły na zimne płyty posadzki.

- Madre del Dio! Ja naprawdę mam gorączkę.

Nobe usadowił się wygodnie na czerwonych pluszowych poduszkach gondoli.

- Moim zdaniem ta mała uzdrowicielka cię zaczarowała - stwierdził po angielsku. - Skąd nagle u ciebie taki dobry humor?

Francis podstawił twarz pod promienie zimowego słońca, by ogrzać ją w ich złotym blasku.

- To dla mnie samego zagadka. Nie wiem dlaczego, ale kiedy słodka Jessica wcierała balsam swymi delikatnymi paluszkami, jej uzdrowicielska moc spłynęła z nich również do mojej duszy.

Obejrzał się za siebie, na wody kanału, ale ten jeden ruch wystarczył, aby zobaczyć, że towarzyszący mu nieodstępnie szpicel Cosmy wsiada również do gondoli. Francisowi prawie zrobiło się żal wynędzniałego młodzieniaszka.

- I co teraz? Jakich czarów użyła, aby odpędzić od ciebie twój wieczny smutek?

Francis wyciągnął długie nogi. Gondole były znakomitym środkiem lokomocji dla osobników tak wysokich jak on i Nobe.

- Pytała mnie o moich rodziców - i niech Bóg się nade mną zlituje, powiedziałem jej.

Murzyn ściągnął brwi.

- Wszystko? - zapytał, obrzucając szybkim spojrzeniem obojętną twarz gondoliera.

Francis zaśmiał się krótko, po czym zniżając głos, powiedział:

- Nie. Nie straciłem rozumu aż do tego stopnia. Ona wciąż wierzy, że jestem arystokratą z krwi i kości. Ale poczułem się tak, jak gdybym pozbył się wielkiego ciężaru. Doznałem uczucia niewypowiedzianej ulgi. Czy nie jest to naprawdę zadziwiające?

Lekki uśmiech przemknął po twarzy Nobe'a.

- Ani trochę, przyjacielu. Jesteś naprawdę nieodrodnym Cavendishem.

- Wyrażaj się jaśniej, Nobe. Nie mam nastroju do rozwiązywania zagadek, jakie mi ciągle podsuwasz. Nie potrafię dzisiaj myśleć racjonalnie.

Murzyn roześmiał się.

- Chcę powiedzieć, że nie ma w tym nic dziwnego, iż w końcu odkryłeś w sobie gorącą krew swoich przodków. Do konania tego odkrycia zabrakło ci sporo czasu.

Francis nie miał ochoty przytykami Nobe'a psuć sobie dobrego humoru.

- Świetne spostrzeżenie. Zawsze miałem zmysłową naturę. Zapytaj dziewcząt w Rzymie, Pizze i Florencji.

- Nie mówię o zwykłej żądzy. To rzecz normalna.

Francis skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy.

- Cóż to zatem jest według ciebie?

- Miłość - odpowiedział Nobe.

Francis nie otworzył oczu. Miłość? Nie znał właściwie tego uczucia. Dopiero wczoraj, o wiele za późno, zrozumiał, jak bardzo kochał dziadka. Ale kochać kobietę? Brandon i Guy mieli wyjątkowo dużo szczęścia. W młodości zadawali się z różnymi, nie zawsze cnotliwymi kobietami, ale żony wybrali sobie odpowiednie - szlachetnie urodzone, łagodne i dobre.

Jeżeli chodzi o Francisa, to jego młodość mijała głównie

w bibliotecznych salach oksfordzkiego uniwersytetu. Kobiety, które znał, dobre były do flirtów i dowcipnej rozmowy, ale nie nadawały się do trwalszych związków. Doszedł w rezultacie do wniosku, że z małymi wyjątkami nie warto ufać płci przeciwnej. Najlepszym przykładem była jego własna matka.

Jessica była pierwszą kobietą, której zaufał. Przed nią jedną uchylił rąbka swej starannie strzeżonej tajemnicy i przyznawał uczciwie, że to wyznanie przyniosło mu ulgę. Coś w tym musiało być. Francis nie chciał zbyt długo rozmyślać na ten temat. Nie dzisiaj w każdym razie.

Łagodnie szarpnięcie wyrwało go z zadumy.

- Rialto, szlachetni panowie - oznajmił gondolier.

Słoneczna pogoda ściągnęła na wielkie targowisko przy molu i na pobliskie campo wielu mieszkańców miasta. Ta dzielnica była sercem Wenecji i głównym ośrodkiem handlowym całej republiki. Francis i Nobe przechadzali się wolnym krokiem wśród tłumu, który napływał w to miejsce już od rana. Wielojęzyczny gwar dochodził ze wszystkich stron. Zapach niezliczonych gatunków serów, świeżo złowionych ryb, owoców i przypraw mile łechtał nozdrza. Kolorowe stroje weneckich dandysów oraz ich kochanek, arabskich kupców, turystów z Paryża i Utrechtu mieszały się z ubiorami miejskich dostojników. Czerwone przewieszane przez ramię szarfy i pompony zdobiące kapelusze były oznakami piastowanych przez nich godności.

Francis klepnął Nobe'a po szerokich plecach.

- Nie uważasz, że to piękny dzień, przyjacielu?

Nie czekał na odpowiedź. Jego uwagę przykuł stragan uginający się pod ciężarem połyskujących ciemno dorodnych daktyli.

- Świeżuteńkie, wczoraj przywiezione z Ziemi Świętej - zachęcał sprzedawca.

Nobe i Francis wzięli po jednym owocu, wyjęli pestkę i spróbowali słodkiego miąższu.



- Rzeczywiście są bardzo smaczne - zgodził się Francis.

Jessice na pewno by smakowały. Niewiele zaznała słodczy w życiu, zamknięta w swym małym domku w cichej uliczce nad kanałem. Ucieszy ją smak słońca w środku zimy. Francis pstryknął palcami na jednego ze zwinnych wyrostków, których liczne grupki snuły się po rynku. Chłopak natychmiast przybiegł.

- Czy można mu zaufać? - zapytał Nobe'a, wskazując na posłańca.

- Na pewno, przyjacielu, jeżeli mu dobrze zapłacisz,

Francis poszperał w portmonetce. Zarówno sprzedawca, jak i posłaniec chciwie oblizali wargi. Francis włożył kilka srebrnych monet w ich wyciągnięte ręce.

- Weź najokazalszy koszyk tych pysznych owoców, mój chłopcze, i biegnij na ulicę Fondementa di San Felice do domu pod numerem szesnastym, tak jakbyś miał, niczym Merkury, skrzydełka u nóg. Wiesz, gdzie to jest?

Chłopak skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Za taką sumę każdy posłaniec odpowie ci: „naturalnie”, nawet jeżeli nie ma pojęcia, gdzie ta dzielnica się znajduje – zauważył z tyłu Nobe.

Francis roześmiał się głośno. Z przyjemnością słyszał dźwięk własnego śmiechu.

- Dorecz te daktyle signorinie Jessice Leonardo. A teraz ruszaj. - Odprawił chłopca ruchem ręki.

Posłaniec chwycił koszyk o dwóch pałkach, wypełniony po brzegi owocami.

- Co mam powiedzieć, jeżeli spytają, od kogo jest ten dar?

- Powiedz panience, że pochodzi od kogoś, kto zawdzięcza jej ocalenie.

Chłopiec powtórzył polecenie pod nosem, a następnie puścił się biegiem w kierunku mostu Rialto. Francis klasnął w ręce z zadowoleniem.

- To tylko drobiazg, Nobe - wyjaśnił. - Piękna Jessica na prawdę dokonała cudu. Zdjęła z mego serca ciężar. Zwykle po dziękowanie nie wystarczy. Och, spójrz tylko!

Wskazał na pobliski kram ze słodyczami.

- Migdały w cukrze. Musi uzupełnić swoje zapasy po tym spustoszeniu, jakiego u nich dokonaleś, Nobe. Warte są scudo, nie uważasz?

Nobe zagwizdał przez zęby.

- Ich jest cztery razy więcej, niż zjadłem - stwierdził z uśmiechem.

- Świetnie! - odrzekł Francis, znowu wyciągając sakiewkę. - Jessica musi mieć migdałki do daktyli. Słodkie do słodkiego.

W pobliżu stał mały ręczny wózek. Pierwsze kwiaty tego sezonu, fiołki o intensywnie szkarłatnej barwie przelewały się z niego wonną kaskadą. Francis nie wahał się ani chwili. Nie wątpił, że Jessica jest osobą, która kocha kwiaty. Wybrał największy bukiet.

Ledwo wsadził swój trzeci podarunek w ręce kolejnego posłańca, jego oczy padły na stoisko wabiące wzrok barwnymi wstążkami i koronkami. Francis oczami wyobraźni widział te ozdoby - szkarłatne, purpurowe, szmaragdowozielone czy żółte jak świeże maselko - wplecione w kruczoczarne sploty Jessiki. Była to czarująca wizja. W jej szarym monotonnym życiu brakowało barw i kolorów. Musi mieć wstążki utkane z tęczy.

Czwarty posłaniec szybko ruszył za trójką poprzedników, unosząc ze sobą bogaty wybór wstążek oraz kawałek pięknej koronki do ozdobienia sukni. Nobe, obserwujący szaleńcze zakupy Francis, tylko się uśmiechał. Wędrowali dalej wzdłuż stoisk z perfumami, materiałami i biżuterią, ale Francis, chociaż z żalem, nie zatrzymał się już przy żadnym.

- To byłoby nietaktowne dawać dziewczynie takie kosztowne prezenty po zaledwie kilkudniowej znajomości - powiedział

do Nobe'a, odrywając się od tacy, na której leżały piękne naszyjniki ze szklanych kolorowych paciorków. - Jeszcze gotowa sobie pomyśleć, że mam wobec niej jakieś... hm... niecne zamiary.

Nobe uniósł brew z rozbawieniem.

- A co powiesz na taki prezent dla donny Jessiki? - zapytał, wskazując na smagłego mężczyznę, który ścisnął w rękę kilka czerwonych skórzanych smyczy. Na końcu każdej z nich trzymał małą małą. - Takie stworzenie na pewno ją rozweseli.

. Francis przyjrzał się zwierzątkom.

- Niech Bóg uchwali! Nie chcę, by się na mnie obraziła. Wolę nie narażać się na jej gniew.

Nobe przykucnął i wziął na ręce najbliższą małą. Zwierzątko owinęło się wokół jego szyi.

- Kobiety lubią takie głupie futerkowe stworzenia. To zwierzę będzie dla niej wielką rozrywką.

- Ta bestyjka wywróciłaby do góry nogami czysty i zadbane dom Jessiki. Nie. Zostaw to zwierzę, Nobe, i pomyśl o odpowiedniejszym prezencie.

Francis rozejrzał się, szukając, czym by jeszcze obdarować Jessicę. Uśmiechnął się po chwili rozradowany swoim odkryciem.

- Och, to jest właśnie to! Woskowe świece, które rozproszą szarość zimowych godzin. - Wziął do ręki długą stożkową świecę, aby się jej bliżej przyjrzeć. Pachniała lekko jaśminem.

- La perfezione\*. Doskonały prezent. Ona przepada za wonnościami. Poślę jej dwie takie świece. - Rzucił dukata uszczęśliwionemu sprzedawcy.

Nobe nie odezwał się, dopóki kolejny, piąty już posłaniec nie wyruszył śpiesznie w drogę na ulicę Fondamenta di San Felice,

\* La perfezione - doskonała

do domu pod numerem szesnastym. Dopiero wtedy zauważył półgłosem:

- Co do mnie, to wolę małąkę.

Francis spojrział na szpicla Cosmy, kulącego się za koszem sprzedawcy orzechów. Roześmiał się cicho, rozbawiony pomysłem, który nagle przyszedł mu do głowy.

- Bardzo dobrze, Nobe, zwyciężyłeś. Kupimy jedną z tych włochatych bestyjek i pošlemy w prezencie donnie Cosmie. Dotychczasowej damie mego serca również się coś należy. Niech i ona skorzysta z przyływu mojej szczodrości.

Nobe uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Świetny pomysł!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jeszcze jeden? - Jessica odłożyła spódnicę, którą obszywała lamówką, i spojrzała na paczkę w rękach Sofii. - Znowu od lorda Bardolpha?

Karliczka skinęła głową z uśmiechem.

- Bóg, w swej nieskończonej mądrości, zesłał ci wreszcie bogatego protektora.

- Który niepotrzebnie szasta pieniędzmi - zauważyła Jessica, chociaż płonęła z ciekawości, by zobaczyć ostatni prezent Anglika. Rozwinęła muślin, w który zawinięto dwie grube świece. Podniosła jedną z nich do nosa i z lubością wciągnęła w nozdrza upajający zapach. - To stanowczo za bogaty dar, jeszcze kosztowniejszy niż koronka. Doprawdy, nie powinnam przyjmować tych podarunków.

Sofia usiadła na drugim taborecie, obok miski migdałków w cukrze. Włożyła jeden do ust.

- Za późno, posłaniec już odszedł. Poza tym niegrzecznie jest odmawiać przyjęcia prezentów, zwłaszcza że ich ofiarodawca odznacza się wielkim gustem. - Wsadziła do ust następny migdałek. - Te migdałki są przepyszne. - Oblizwała wargi.

Jessica przeciągnęła palcami po gładkiej powierzchni woskowych świec.

- Kuszący blask złota okazał się bardzo ciężko strawny dla króla Midasa. Mnie do szczęścia góra błyskotek nie jest potrzebna.

Sofia spojrzała na nią ze zmarszczonym czołem.

- Silenzio!\* Przestań! Mówisz od rzeczy. Czas najwyższy, abyś zaczęła mieć adoratorów. Masz dwadzieścia cztery lata i ani jednego konkurenta. To prawdziwy skandal. Marnujesz czas.

Wracając do szycia, Jessica nerwowo poruszyła się na krześle.

- Przestań trajkotać, Sofio. Ten dżentelmen jest mi tylko wdzięczny za to, że złagodziłam jego dolegliwości. Ale obawiam się, że ból po jakimś czasie powróci - powiedziała, szukając wiarygodnego tłumaczenia dla niespodziewanej hojności lorda Bardolpha. Zaczynała podejrzewać, że czyha na jej cnotę.

Sofia skrzyżowała ręce na okrągłym brzuchu.

- Wobec tego zjawi się tu znowu - zaśmiała się.

Palce Jessiki zeszywniały. Nić pękła. Myśl o pięknym, tajemniczym, choć melancholijnym Angliku zburzyła jej kruchy spokój. Chwilę trwało, nim nawlokła igłę. Ręce jej drżały. Ten mężczyzna zburzył cały porządek jej życia. Z każdą wizytą bardziej jej się podobał.

- Poza tym - mówiła dalej Jessica - kiedy zrobi się ciepło, lord Bardolph powróci do swej ojczyzny. - Byłaby naiwną gąską, gdyby liczyła na jakiś trwalszy związek z Anglikiem. On był tylko jej pacjentem - nikiem więcej.

Z westchnieniem dotknęła nieładnego znamienia na twarzy. Miała je od urodzenia. Sofia może sobie mówić o wielbicielach i zalotnikach, ale Jessica już dawno temu podjęła decyzję, że nigdy nie wyjdzie za mąż.

- Umrę czysta i niewinna jak bogini Diana. Może na starość wstąpię do klasztoru i zostanę zakonnica - powiedziała z zadumą.

Sofia parsknęła gniewnie.

- Ty? Córka marranów? Taka decyzja od razu wzbudzi po-

\* Silenzio - cicho

dejrzenie władz. Poza tym nie wyprzesz się swego serca, nawet za murami klasztoru.

Cosma z najwyższym niezadowoleniem ściągnęła ładne usta, widząc, jak podarunek lorda Bardolpha wspina się zwinnie po kosztownych jedwabnych zasłonach. Nim Jacopo zdążył ją schwytać, bestyjka wskoczyła na kredens i zaczęła biegać po nim tam i z powrotem. Nerissa chichotała rozbawiona, zakrywając usta fartuchem. Cosma uderzyła dziewczynę w twarz, a następnie, kipiąc z wściekłości, zwróciła się do Jacopa.

- To ma być prezent? - Wskazała na rozbrykaną małpkę. - Żadnego naszyjnika? Żadnego grzebienia z kości słoniowej? Żadnego ładnego drobiazgu? To brudne zwierzę ma być dowodem szacunku, jaki ten pan podobno dla mnie żywi?

Jacopo cofnął się przed jej sprawiedliwym gniewem.

- Tak powiedział, madonno, dosłownie, - Uderzył się pięścią w czoło. - Stupido\*. Idiota ze mnie. Zupełnie o tym zapomniałem. Mam jeszcze dla pani kartkę od niego. - Wyciągnął naprędce na gryzmołony liścik z wewnętrznej kieszeni wełnianej tuniki.

Cosma wyrwała papier z jego brudnych rąk.

- Nie płacę ci za głupotę, ale za spryt. A teraz złap to wstrętne zwierzę i wynieś je czym prędzej z mego domu. Wrzuć je do kanału lub zrób z nim, co chcesz. Mało mnie obchodzi, co się z nim stanie.

Zostawiła Jacopa i Nerisę, aby schwytali małpkę siedzącą na szczycie kredensu, i poszła do sypialni, żeby w spokoju przeczytać wiadomość od Francisa. Krótki liścik nie złagodził jej wzburzenia; wręcz odwrotnie, spotęgował je jeszcze. Zmiała gniewnie kartkę w rękach i cisnęła między węgle w żelaznym piecyku. Papier zajął się natychmiast, przeistaczając się w ciągu sekundy w zwitek czarnego popiołu.

\* Stupido - głupiec, idiota

Cosma spojrzała w lustro.

- Bardzo przeprasza, ale nie może mnie odwiedzić dziś wieczór - powiedziała niezadowolona. - Musiał zmienić plany w związku z wizytą tego czarnego pirata. - Uderzyła pięścią w toaletkę. Słoiczki zadźwięczały, uderzając o siebie. - Za planował sobie wieczór beze mnie. Po raz pierwszy od czterech miesięcy ten angielski paw wzgardził moim towarzystwem. Pomyśleć tylko! Towarzystwem pierwszej kurtyzany w Wenecji.

Cosma przysunęła się bliżej do lustra, wypatrując na twarzy jakiegoś śladu, który by zwiastował koniec młodości. Przeciągnęła ręką po swej nieskazitelnie gładkiej skórze, którą zawdzięczała codziennemu stosowaniu gołębiego mleczka i ogórkowego kremu. Jak ten fircyk mógł nie tęsknić za jej ciałem? Dlaczego nie płonał chęcią ujrzenia jej roznamietnionej, szalejącej z pożądania? Czyżby jej uroda zaczynała blednąć?

- Nigdy - rzuciła twardo w stronę zwierciadła, chociaż sama myśl o starzeniu się przejęła ją dreszczem przerażenia.

Koniecznienie musi wyjść za mąż, zanim nadejdzie ów feralny dzień, a nadejdzie nieuchronnie, kiedy na horyzoncie pojawi się nowa młoda kurtyzana i pozbawi ją korony królowej piękności. Cosma cieszyła się tą uświęconą pozycją przez pięć lat, ale w ostatnich miesiącach piasek przesypywał się w klepsydrze coraz szybciej. Czas naglił. Francis wkrótce opuści Wenecję. Wspominał już o wyjeździe, a wiadomość o śmierci dziadka niewątpliwie wzmoże jego pragnienie szybkiego powrotu do domu. Był wprawdzie biernym kochankiem, ale jego majątek rekompensował tę wadę. Któregoś dnia Francis zostanie hrabią. Jeżeli Cosma chce wyjść za Anglika i zostać nobliwą damą, musi natychmiast zacząć działać.

Usiadła przy stole i wyciągnęła przybory do pisania. Zanurzyła pióro w kałamarzu i trzymała je przez chwilę w powietrzu, zasta-



nawiając się, od czego zacząć. Zaproszenie musi budzić zaciekawienie, musi nęcić, zachęcać. Jutro ubierze się w mocno wydekoltowaną suknię, w której jej powabne kształty wyglądają szczególnie kusząco, nawet jeżeli dzień będzie mokry i zimny. Zabierze Francisa na piknik, na pobliską wyspę Sacca Sessola. Postara się, aby nigdy nie zapomniał tego spotkania. A tego przekłętego Murzyna zostawi na środku.

„Najdroższy Francisie!” - zaczęła.

Uśmiechała się do siebie, zapisując papier czułymi zapewnieniami o swej miłości i oddaniu.

Nobe wychylił kielich z winem i przez zniszczony stół spojrzął na swego milczącego towarzysza. Siedzieli w ogólnej sali w gospodzie „Pod Jesiotrem”. Niedawny wesoły nastrój Francisa ustąpił teraz cichej zadumie. Szklistymi oczami wpatrywał się w migotliwy płomień oliwnego kaganka. Nobe rzucił w niego pozostałą z kolacji łupiną orzecha. Pocisk trafił przyjaciela w podbródek.

Francis gniewnie popatrzył na Murzyna.

- O co chodzi? Czy jestem wypchaną kukłą oddaną krukowi na pastwę?

- Bogu dzięki! Nareszcie przemówił.

Francis zaklął z cicha, po czym znowu pograżył się w myślach, wlepiwszy wzrok w ogień płonący na kominku.

Nobe przyglądał się przyjacielowi zmrużonymi oczami. Wykazywał wszelkie objawy zauroczenia. Czarnowłosa dziewczyna w białej masce znalazła klucz do serca Cavendisha. Nobe potrząsnął głową. Cóż to za rodzina! Uwielbiali stwarzać problemy i nie znali w niczym umiarkowania - a już zwłaszcza w sprawach uczucia.

Nobe przeciągnął się.

- Nudny z ciebie dzisiaj towarzysz - zauważył, ziewając głośno. - Łatwiej by mi szła rozmowa z kozłem.

Francis wzruszył ramionami.

- Czy w Wenecji są kozły?

Murzyn uśmiechnął się do niego.

- Tylko jeden, mój przyjacielu, i to ty nim jesteś.

Francis pozostał niewzruszony.

- Dziękuję za komplement. Nic dziwnego, że ktoś, kto wyraża się tak wyszukany językiem, cieszy się wielkim powodzeniem u kobiet.

Nobe zignorował uwagę. Cisnął jeszcze jedną łupiną orzecha. Tym razem uderzyła go w ucho.

Francis spojrział na niego z niezadowoleniem.

- Twoja zabawa zaczyna mnie nużyć. Idź i znajdź sobie innych kompanów, jeżeli chcesz wprawiać się w rzucaniu do celu.

Nobe wyszczerzył białe zęby w jeszcze szerszym uśmiechu.

- Twoja zabawa w milczenie też może człowieka zmęczyć. Wieczór jest przyjemny. Księżycowa bogini naciąga jasny łuk na gwiazdzistym niebie. My także powinniśmy być w tej chwili na mieście i szukać miłego towarzystwa, z którym można by dobrze się zabawić, zamiast kisnąć w tej zadymionej jaskini.

Francis zmarszczył czoło.

- Wysłałem już list z przeprosinami do Cosmy. Nie mam wielkiej ochoty spędzać dzisiejszego wieczoru w jej domu.

Nobe skinął głową z ulgą.

- Niebiosa wysłuchały jeszcze jednej modlitwy! Nie, sentymentalny młodzieńcze. Ja mam na myśli inną osobę, pewną tajemniczą piękność, która mieszka w pobliżu kościoła San Felice.

Francis wyprostował się na ławie.

- Donna Jessica? - wymówił szeptem.

Ach! Złapał się w potrzask jak zając, pomyślał Nobe. Głośno zaś powiedział:

- Zgadłeś. Wstawaj, młodzieńcze! Otrząśnij się. Ubierz się

możliwie najbardziej kolorowo, nastrój lutnię i chodźmy pod dom dziewczyny zaśpiewać jej serenadę. Spędzisz czas znacznie przyjemniej, niż rozwalając się tu, w tej budzie, przy brudnym stole.

Francis potrząsnął głową.

- Mój głos nie nadaje się obecnie do śpiewania - zaprotestował, chociaż w jego oczach pojawiły się ochocze błyski. - Podejrzewam, że chwyta mnie malaria lub jakaś inna gorączka. Moje serce bije przyśpieszonym rytmem, a gardło mam tak suche, że z trudem przełykam ślinę.

Nobe zdusił w sobie chęć do śmiechu. Nie było już żadnych wątpliwości, Francis wpadł po uszy - po raz pierwszy w swym niełatwym, samotnym życiu. Potrzebował łagodnej podniety i sterowania, w przeciwnym razie pozbawiona pożywienia miłość zwiędnie w zarodku.

Nobe ujął Francisa za ramię i ściągnął go z ławy.

- Zachowuj się jak lew, a nie jak mysz. Do licha! Przytyłeś chyba trochę od czasów, kiedy zwykliśmy mocować się ze sobą dla zabawy, pamiętasz?

Francis pozwolił Nobe'owi wyprowadzić się na powietrze.

- Mówisz poważnie?

- No cóż, zaloty to poważna sprawa. Przede wszystkim musimy zaopatrzyć się w maski. Inaczej nic nie wyjdzie z kociej muzyki pod oknami pięknej Jessiki.

Rozejrzał się wokół. Mieszkańcy Wenecji tłumnie wylegli na ulice. Wszyscy mieli maski na twarzach i tryskali wesołością. Zewsząd otaczały ich roześmiane figlarne mordki kotów, długodziobe ptaki, złośliwe arlekiny oraz zalotne kolombiny. Chrześcijańscy głupcy o lakierowanych twarzach, pomyślał o nich Nobe, jednocześnie uśmiechając się ujmująco do masek. Zatrzymał chłopca posługującego w gospodzie.

- Masz wesołe oczy - powiedział do niego. - Kup nam

dwie maski według swego uznania i załatw trzech ludzi z pochodniami. Jeżeli wrócisz za kwadrans, możesz liczyć na złotego dukata.

Francis wciągnął w płuca haust zimnego powietrza i strzepnął pajęczynę z ubrania.

- Widzę, że nic nie jest stanie odwieść cię od tego pomysłu, prawda?

Nobe otoczył ramieniem plecy przyjaciela.

- Nic absolutnie.

- I zamierzasz zrobić ze mnie głupca publicznie? - ciągnął Francis.

Nobe roześmiał się tubalnie.

- Nie, mój przyjacielu. Jedynie ty możesz to zrobić. Ja tylko będę stał przy tobie i grał na flecie.

Posłaniec wrócił, przynosząc dwie czarne maski. Za nim szło kilku młodych ludzi z zapalonymi pochodniami. Hojność Nobe'a wprowadziła ich wszystkich w świetny humor. Przyglądając się maskom w blasku płomieni, Murzyn zagwizdał z wrażenia.

- Dwa diabły? Molto bene\*.

Posługacz podał mu jeszcze koszyk jajek.

- Te jajka to część naszej karnawałowej tradycji, wielkoludzie - oświadczył zadyszany z pośpiechu. - Potrzebne są do Il Giuoco dell Uovo\*\*. To taka zabawa z jajkami. - Był z siebie wyraźnie zadowolony. - Będziecie nimi rzucali.

Nobe spojrział na chłopca surowo.

- Wybieramy się do młodej pięknej dziewczyny, by ją zabawić, a nie obrazić.

- Nie, nie, messere. Pan mnie nie zrozumiał. Skorupki jajek są wypełnione perfumami. Rzucasz pan takim jajkiem w damę,

\* Molto bene - bardzo dobrze

\*\* Il Giuoco dell Uovo - zabawa z jajkami

kiedy pojawi się w oknie po to, aby ją spryskać perfumowaną wodą. Klnę się na duszę mej matki, że mówię prawdę.

Jeden spośród ludzi z pochodniami skinął głową na znak, że chłopiec nie kłamie,

- On nie zmyśla, wielmożni panowie. Zabawa z jajkami to nasz popularny karnawałowy zwyczaj.

Nobe powąchał jedno jajko. Było rzeczywiście napełnione wodą o różanym zapachu. Uśmiechnął się do służącego.

- Doskonały pomysł. Jeżeli się uda, nagrodzę cię sówicie.

Francis spojrział na chłopca.

- Ale jeżeli dama będzie niezadowolona, pamiętaj, obedre cię żywcem ze skóry.

Dzwony kościoła San Felice wybiły godzinę dziewiątą, kiedy do sypialni Jessiki dotarty stłumione dźwięki lutni. Leżała w łóżku nieruchomo, przysłuchując się melodyjnym tonom przenikającym przez starannie zamknięte okna. Jakaś szczęśliwa młoda dziewczyna usłyszy dziś wieczór piękną serenadę na swoją cześć. Jessica przebiegła w myślach wszystkie mieszkające w sąsiedztwie młode dziewczęta, zastanawiając się, która z nich może być obiektem męskich westchnień. Dźwięki muzyki przybliżały się. Lutni towarzyszyły wysokie tony fletu. Melodia była skoczna i wesoła, ale Jessica nigdy jej przedtem nie słyszała.

Światło pochodni przesączało się wąskim strumykiem przez listewki zatrzaśniętych okiennic i tańczyło po ścianie sypialni. Muzycy byli już bardzo blisko. Właśnie w tym momencie drzwi do pokoju Jessiki otworzyły się ze skrzypieniem. W otworze pojawiła się głowa Sofii.

- Jessico? Czy śpisz?

- Jak można spać przy takiej muzyce? Komu to śpiewają tę piękną serenadę?

Sofia przebiegła na palcach przez mały pokoik.

- Chodź i zobacz. Zareczam, że bardzo się zdziwisz.

Jessica odrzuciła na bok kołdrę i postawiła stopy na zimnej podłodze.

- Jak myślisz, Sofio, dla kogo może być ta serenada? W naszym sąsiedztwie nie ma przecież żadnej niezamężnej kobiety. Z pewnością nie chodzi o signorę Spindelli. Ona jest wdową i ma ponad czterdzieści lat.

Sofia zerknęła przez szczelinę w żaluzjach.

- Spójrz tylko! Trzech ludzi z pochodniami, a za nimi gromada uliczników!

Jessica narzuciła na ramiona miękki wełniany szal, podeszła do okna i zerknęła na ulicę. Westchnęła na widok barwnej gromadki, która zatrzymała się przed jej drzwiami.

- Ci mężczyźni musieli za dużo wypić - rzekła półgłosem.

- Skręcili pod niewłaściwy dom.

Sofia potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. Tylko spójrz i posłuchaj!

Jeden z mężczyzn, w masce diabła, przyjemnym barytonem zaśpiewał starą francuską balladę. Jessica nie rozumiała większości słów, ale domyśliła się, że pieśń jest o miłości i tęsknocie.

- To wstyd! - szepnęła do Sofii. - Proszę, zejź na dół i powiedz im, że pomylili adres. Jakaś biedna dziewczyna czeka gdzieś w tej chwili na serenadę, a oni tymczasem wyśpiewują pod moim oknem.

Sofia nie ruszyła się z miejsca. W dalszym ciągu wyglądała przez szparę w żaluzjach.

- Cicho bądź! Posłuchaj tylko uważnie!

Drugi z diabłów, otulony od stóp do głów w obszerną oponkę, wystąpił z cienia i podniósł głos.

- Jessico! Piękna Jessico! Otwórz okno! Przyjmij w darze naszą pieśń i muzykę.

Kilkunastu młodych uliczników zawołało zgodnym chórem.

- Jessico! Otwórz okno!

Jessica przywarła plecami do ściany.

- Co to za głupi kawał? Oni się ze mnie naśmiewają.

Sofia cmoknęła.

- Basta\*! Jesteś tchórzem. To był głos Murzyna. - Uniosła haczyki okiennic.

Jessica padła ni kolana.

- Sofio! Nie! - Przykryła ręką znamię na policzku. - Będą ośmieszona. Jak możesz robić mi coś takiego?

Sofia rozwarła na oścież jedną okiennicę. Ulicznicy zakrzyknęli radośnie.

- Nie masz się czego obawiać. Te dwa diabły to nikt inny tylko pan Nobe i lord Bardolph. Zwróć tylko uwagę na ich wzrost. Zauważ, jak światło księżyca załamuje się na złotych włosach Anglika. Wydają się całkiem srebrne. Stań tutaj w cieniu i napawaj się pięknem jego muzyki. Nikt cię nie zobaczy.

Pomimo przestachu, radość napełniła serce Jessiki. Podeszła do okna, wspięła się na palce i wyjrzała przez nie ukradkiem. Cały placyk oświetlony był blaskiem pochodni. Właściciele domków stojących wokół skweru otworzyli górne okiennice, by sprawdzić, co to za hałas. Stojący pośród małych oberwańców wysoki dżentelmen w jaskrawym stroju i masce diabła na twarzy zaśpiewał kolejną piosenkę, tym razem po włosku, z rzymskim akcentem.

Nim Jessica zdążyła ją powstrzymać, Sofia wyciągnęła białą chusteczkę i stojąc w oknie, zaczęła nią powiewać. Chłopcy znowu zakrzyknęli radośnie, a następnie cofnęli się i zaczęli obrzucać domek jajkami. Jessica uchyliła się. Skorupki pękły, ude-

\* Basta-dosyc

rzając o ścianę, a ich zawartość napełniła powietrze intensywnym zapachem róż. Sofia klasnęła w ręce.

- Zabawa z jajkami! Podziękuj im, moje dziecko, jeżeli nie chcesz, aby następne jajka pachniały mniej upojnie.

Nadał skrywając się w cieniu okiennicy, Jessica zawołała:

- Dziękuję... dziękuję wszystkim. Jestem bardzo zaszczycona. - Głos jej zadrżał. - Nie wiem, co im jeszcze powiedzieć - szepnęła do Sofii. - Nikt nigdy dotąd nie śpiewał mi serenady pod oknami.

Sofia pomachała znowu chusteczką.

- Zaśpiewaj raz jeszcze, jasnopióry diable! Zaśpiewaj znowu!

- Przestań! - rozkazała Jessica. - Nie masz wstydu, Sofio. Wystawiasz nas na pośmiewisko. Wszyscy sąsiedzi będą się z nas śmiali.

- Bzdura! - odparła karliczka. - Baw się! Ciesz się! Na moje podwiązki, ten dżentelmen pięknie śpiewa.

Jego śpiew napełnił serce Jessiki niewymowną słodyczą. W głowie zakręciło się jej z emocji. Przycisnęła rękę do ust, drżąc na całym ciele i całą duszą chłonąc upajające miłosne przesłanie. Była jak w transie, oczarowana, upojona dźwiękiem pięknego głosu. Zamknęła oczy, by w skupieniu rozkoszować się cudowną chwilą.

Słodkie trele fletu zakończyły koncert. Oklaski sąsiadów rozniosły się echem po całym placu.

Jessica wyjrzała ponownie przez okno.

- Wszyscy wiedzą, że on śpiewa dla mnie. Rano będą się ze mnie naśmiewać.

Sofia potrząsnęła głową na znak, że jest przeciwnego zdania.

- Przeciwnie, będą ci zazdrościć. Rzadko którą dziewczynę spotyka taki zaszczyt, jakiego ty dzisiaj doznałaś; serenadę pod



twoim oknem śpiewał przystojny i muzykalny młodzieniec. Odezwij się do niego, Jessico. Podziękuj za przyjemność, jaką ci sprawił.

- Nie mogę - pisnęła.

Sofia spojrzała na nią z gniewnie zmarszczonym czołem.

- Jeżeli się do niego nie odezwiesz, ja to zrobię. A dobrze wiesz, że nie zawsze zastanawiam się nad tym, co mówię - zagroziła.

- Zaczekaj, już wiem! - Jessica podeszła szybko do nocnego stolika, na którym, w małym flakoniku, stały fiołki od lorda Bardolpha. Wyjęła kilka kwiatków, przewiązała je wstążką wyjętą z włosów i rzuciła bukiet przez okno.

- Dziękuję... dziękuję ci, uroczy diable, za twoją uprzejmość i rozkoszny śpiew - wykrzyknęła z bezpiecznych ciemności pokoju.

Głośne oklaski sąsiadów, jakie nastąpiły po jej słowach, wprawiły ją w jeszcze większe zażenowanie. Ulicznicy zakrzyknęli radośnie i zaczęli skandować jej imię. Wysoki mężczyzna podniósł bukiet z bruku. Ucałował kwiatki, a następnie wetknął je w dziurkę od guzika swego kosztownego kubraka. Skłonił się nisko, zamiatając ziemię jaskrawym kapeluszem.

- Życzę pani przyjemnych myśli, słodkich snów i wielu szczęśliwych chwil - wykrzyknął. Następnie całe towarzystwo ruszyło przed domu Jessiki i zniknęło za rogiem. Po ich odejściu mały placzyk pograżył się znowu w ciemnościach.

Sofia zatrasnęła okiennice.

- A teraz przyznaj się - zapytała - czy było to gorsze od bólu zęba? Spróbuj porównać.

Oszołomiona Jessica powlokła się w kierunku łóżka.

- Przez całą noc nie zmrużę oka.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Noc miała się już prawie ku końcowi, gdy Francis i Nobe wrócili do gospody. Francis wciąż nucił jedną z piosenek, które śpiewał pod oknem Jessiki. Rozgrzany dzbanem wina z korzeniami, rzucił się jak stał, w butach i ubraniu, na łóżko. Ściany izby kołysały się łagodnie przed jego zamglonym wzrokiem.

- Na Boga, Nobe! Co to była za noc! Co za świetna zabawa! Hebanowy wielkolud ściągał but z nogi.

- A nie mówiłem, że tak będzie?

Francis splótł ręce nad głową.

- Dam się pokrajać, że ta diabelska maska tak mnie ośmiewała. Nigdy w życiu nie rzucałem jajkami - nawet z perfumami w środku. Ciekawe, co by na to powiedziała lady Alicia.

Nobe roześmiał się krótko.

- Znając twoją babkę, myślę, że spodobałaby się jej ta zabawa. Czas najwyższy, abyś przestał być taką zakutą pałą i poddał się atmosferze karnawału.

Francis skrzywił się.

- Nie jestem zakutą pałą. Wszyscy moi nauczyciele twierdzili zgodnie, że byłem bardzo byстрым uczuciem.

Nobe ściągnął pończochy z nóg.

- Moim zdaniem z tych twoich nauczycieli też były zakute pały.

Francis czknął głośno.

- To prawda. Nigdy nie byli w Wenecji podczas karnawału. Na Biblię, Nobe, podobało jej się nasze śpiewanie, nie uważasz?

Nobe rozpiął skórzany kaftan.

- O tak, bardzo się jej podobało - ale ileż to innych kotów miauczało już nocą pod jej oknami?

Francis pominął milczeniem tę uwagę. Wyciągnął mały bukiet z butonierki i dotknął wargami fioletowych płatków.

- Ona jest rozkoszna, nie uważasz, Nobe?

Murzyn znowu się roześmiał.

- Widzę, że Kupidyn dobrze wycelował. Jego strzała trafiła cię prosto w serce.

Francis ziewnął.

- Nic podobnego! To tylko wniosek wyciągnięty z długiej i wnikliwej obserwacji.

Nobe tylko parsknął w odpowiedzi. Nie zważając na to, że jest w butach i ubraniu, Francis owinał się kołdrą i przewrócił na bok. Złożył głowę na poduszce i przymknął oczy. Pokój wolno okręcił się wokół niego.

- Ojej! Coś tutaj widzę! - odezwał się Nobe.

Francis nie poruszył się.

- Widzisz rzeczywiście - mężczyznę marzącego o pięknej dziewczynie z ciemnymi kręconymi włosami, o czułych dłoniach i wargach tak pełnych i soczystych jak wiśnie w miodzie. Cicho! Odejdź! Przeszkadzasz mi spać. - Odwrócił się tyłem do Nobe'a oraz natrętnego blasku świecy.

- Nie - zaprotestował przyjaciel. - Nie wykręcisz się. To jest list do ciebie. Sądząc po charakterze pisma oraz perfumowanym papierze, domyślam się, że to wiadomość od twojej kochanki.

Francis jęknął w poduszkę.

- Ja mówię o aniele, a ty mi bredzisz o skunksie. Ten pierwszy jest dla mnie źródłem radości, a drugi mnie męczy. Jest już za późno na czytanie. Zgaś światło.

Nobe go nie słuchał, tylko złamał pieczęć.

- Rzeczywiście będziesz potrzebował snu, przyjacielu. Twój skunks prosi usilnie - a wyrażając się ściślej, właściwie żąda, abyś pojechał z nią na wyspę Sacca Sessola, gdzie zamierza urządzić pilnik. Planuje wyruszyć spod swego domu już dzisiaj, o godzinie dziesiątej rano.

Francis spojrział z ukosa na przyjaciela.

- O dziesiątej? Rany boskie! Cosma widocznie ogromnie się za mną stęskniła. Nigdy nie wstaje przed południem. - Zadygotał pod kołdrą. - A poza tym, na tej małej wysepce musi być o tej porze wyjątkowo pusto i nieprzyjemnie. Doprawdy, chyba postradała zmysły.

Nobe spojrział na niego.

- A może twoja małpka tak jej przypadła do gustu?

- Bardzo w to wątpię!

- Prosi cię również, abyś nie brał ze sobą swego czarnego przyjaciela. Proponuje, by sam zatroszczył się o siebie. - Zerknął na Francisa z niewinną miną. - Czy sądzisz, że ona ma mnie na myśli?

- Tak jest, wasza czarna wysokość.

Figlarny uśmiech przemknął po twarzy Nobe'a.

- A ja byłem pewien, że bardzo dobrze się sprawiłem podczas naszego pierwszego spotkania.

Francis ziewnął po raz kolejny.

- Tak, ale ty nie udajesz, że masz wielką fortunę lub utytułowanych przodków.

- Z listu wynika, że ona oczekuje odpowiedzi z zapartym tchem.

Francis roześmiał się drwiąco.

- O tak późnej porze? Nie. Ona jest jeszcze w łóżku albo sama, albo z jakimś innym mężczyzną, który ją pociesza. Jeżeli straciła oddech, to raczej w wyniku miłosnych harców. Nie czeka na schodach, wzdychając z tęsknoty. - Ściągnął brwi. - Cho-

cięż nie jest wykluczone, że biedna Nerissa siedzi tam na nich.  
- Wyobraził sobie małą służącą Cosmy skuloną na różowych marmurowych stopniach wytwornej rezydencji.

Nobe usiadł na stoliku stojącym między ich łózkami.

- Ja nie potrafię pisać takich wyszukanych listów jak ty, a po włosku bazgrzę i robię ortograficzne błędy. Ze względu jednak na milutką Nerissę jestem gotów skrobnąć jakąś odpowiedź, jeżeli sobie tego życzysz.

Francis wiedział, że to on powinien odpisać Cosmie, ale nie był w stanie poruszyć głową ani zmienić pozycji. Machnął ręką.

- Pisz i nie martw się ortografią. Pisz krótko. Napisz jej, że źle się czuję.

- To jest akurat prawda - odparł półgłosem Nobe. - Jesteś chory z miłości.

- Nie, z powodu nadmiaru wina - sprostował Francis. - Miłość w moim przypadku nie wchodzi w rachubę.

Cosma stała pośród skorup rozbitych waz, kipiąc z gniewu. Rozrzucone w nieładzie włosy opadały jej na twarz. Nerissa wsunęła się cicho do pokoju z miotełką i szufelką w ręku. Cofnęła się, kiedy napotkała wzrok Cosmy.

- Jak on śmiał? - wrzasnęła kurtyzana na służącą. - Co ten... cudzoziemiec sobie myśli, że kim jest? Żaden weneccjanin przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się odrzucić mego zaproszenia, i to w taki nonszalancki sposób. Nie wspomnę już o tym, jak niechlujnie i niegramatycznie ten list jest napisany. Nerissa schyliła głowę nad miotełką.

- Lord Bardolph powiedział, że jest chory - zauważyła cicho, - Wymiotował, kiedy był u nas ostatnim razem.

Cosma tupnęła ze złością.

- To kłamstwo! Jest zdrowy i krzepki jak byk. Jacopo donosi mi o każdym jego kroku. Wiem dokładnie, co robił w ubie-

głym tygodniu. O nie, nasz krnąbrny Francis był w tym czasie wyjątkowo aktywny jak na kogoś, kto twierdzi, że jest złożony ciężką chorobą.

Nerissa miała dość rozsądku, by nic nie odpowiedzieć. Jej pani wolnym krokiem podeszła do okna i popatrzyła w dół, na zielone wody kanału. Poniżej płynęła gondola z rozbawionym towarzystwem. Widok wesołej grupki wprowadził ją w taką złość, że zacisnęła szczęki aż do bólu.

Zaprosiła Francisa na wycieczkę na wyspę Sacca Sessola, by go tam już ostatecznie uwieść, ale ten niewdzięcznik nie skorzystał z propozycji, tylko, jak doniósł jej Jacopo, poszedł grać w karty z tym czarnym piratem. Kiedy Cosma zaproponowała kochankowi, aby spędził z nią w jej domu wesoły wieczór, który z myślą o nim specjalnie zorganizowała, Francis poszedł śpiewać pod obcymi oknami i rzucać perfumowanymi jajkami jak zakochany uczeń.

Zmrużyła oczy. Bardziej niepokojące były doniesienia Jacopa o niepohamowanych zakupach Francisa. Worki kandyzowanych owoców, kwiaty z oranżerii, rozkosznie śpiewający kanarek w klatce były zaledwie znikomą częścią długiej listy. Rzecz jasna, były to prezenty dla kobiety, ale, niestety, nie dla Cosmy di Luna, największej piękności Wenecji.

Wczoraj Cosma poniżyła się do tego stopnia, że napisała służalczy list do tego beczelnego obieżyświata. Błagała go, aby jej powiedział, jakim to niewłaściwym postępowaniem go do siebie zraziła i prosiła, aby z nią szczerze i poważnie porozmawiał. Nie dowierzając zwykłemu posłańcowi, sama zawiozła list do gospody „Pod Jesiotrem” po to tylko, aby dowiedzieć się z ust uśmiechniętego głupkowato właściciela, że Anglik i jego czarny przyjaciel są nieobecni. Udali się na całodniową wycieczkę na wyspę Murano słynącą z pięknych szklanych wyrobów i wrócą dopiero późnym wieczorem.

Dziś rano zaspany Jacopo doniósł jej, że Francis odwiedził w Murano wiele znanych warsztatów rzemieślniczych, w których zakupił kilka ozdobnych przedmiotów - naszyjnik z koralików w formie kwiatów, komplet seledynowych pucharów do wina, ozdobionych złotym filigranem, oraz wytworne ręczne lustro. Żaden z tych przedmiotów nie trafił do rąk Cosmy. Otrzymała jedynie kolejny zdawkowy liścik z wyrazami ubolewania.

Oparła czoło o zimną okienną szybę. Uzmysłowała sobie okrutną prawdę. Francis znalazł sobie nową kochankę. Marzenia o zostaniu angielską hrabiną nikną w oddali na podobieństwo owej gondoli z rozbawionym towarzystwem. Zacisnęła dłonie.

Nigdy! Nie pozwoli pokonać się tak łatwo. Cosma zostanie następną hrabiną Thornbury - gdziekolwiek to jest - bez względu na cenę. Jacopo musi się dowiedzieć, kim jest nowa ukochana Francis'a. Jeżeli dziewczyna okaże się dostatecznie rozsądna, Cosma przedstawi ją kilku przystojnym synom osobistości republiki. Ci zdrowi i chętni młodzieńcy zapewnią każdej wybrance dobrobyt i wesołe życie.

Jeżeli dziewczyna nie zechce wyrzec się Anglika - może ją spotkać w tym mieście wiele niemiłych rzeczy. Można ją oszpecić lub też rozpowiedzieć tu i tam o paskudnej francuskiej chorobie, na którą cierpi. W ostateczności jest jeszcze skrytobójczy zamach nocą, a rankiem zimny grób na dnie kanału. Wszystko jest możliwe w Republice Wenecji, jeżeli tylko dysponuje się odpowiednią kwotą dukatów.

W końcu Francis znowu zacznie się starać, by odzyskać łaski Cosmy. Może pozwoli mu trochę pocierpieć, zanim zgodzi się wpuścić go z powrotem do swego łóżka. Niech zapłaci za gorące łzy, które wylała z powodu jego niewierności.

Cosma uśmiechnęła się do siebie. Cóż to będzie za radość zobaczyć Francis'a leżącego u jej stóp!

Jessica masowała barki Francisa, rozkoszując się siłą i ciepłem bijącym od jego ciała. Po dwóch tygodniach zabiegów jego mięśnie zaczęły wreszcie reagować na dotyk jej wprawnych palców. Żadne z nich nie wspomniało o nocnej serenadzie Francisa ani o podarunkach, którymi ją zasypywał. Jessica obawiała się mówić o tym, kiedy pracowała nad jego ciałem, aby nie zerwać cienkiej nici zaufania i sympatii, które się pomiędzy nimi zawiązała.

Wiedziała już, że lord Bardolph nie jest jej obojętny, chociaż instynkt samozachowawczy wciąż walczył z uczuciem. Modliła się żarliwie, aby młody Anglik również ją pokochał, i odrzucała od siebie denerwującą myśl, że on może zalecać się do niej tylko po to, aby później zwabić ją w swoje sidła.

Jessica nałożyła więcej imbirowej i rozmarynowej maści na dłonie, po czym, tak jak to lubił, zaczęła go masować długimi falistymi ruchami. Sama przy tej okazji wodziła wzrokiem po obnażonym torsie pacjenta, podziwiając jego kształtną budowę. Widok złotawej skóry Francisa przyprawiał jej serce o szybsze bicie. Walczyła z pragnieniem, aby wziąć go w ramiona... i przesunąć ustami po tych zmysłowych wargach, które uśmiechały się do niej spod ciemnej przepaski. Nawet leżąc bez ruchu na stole, Francis promieniał męską energią.

Gobbo pomylił melodię, rozpraszając jej przyjemny nastrój. Kiedy spojrzała na niego, zmarszczył czoło i zrobił znaczącą minę. Jessica skinieniem głowy dała znak, że rozumie, o co mu chodzi. Gobbo, wiemy służący, wiedział dokładnie, wokół czego krąży jej myśli, i nie bardzo mu się to podobało. Ma rację. Wyprostowała ramiona, odrzuciła lekko głowę i w dalszym ciągu ugniatała ciało Anglika, jak gdyby był dzieżą chlebowego ciasta.

Francis leżał spokojnie, nie wydając dźwięku. Od czasu do czasu jedynie chrząkał znacząco, kiedy zdarzyło jej się dotknąć bolącego miejsca.



- Bardzo dobrze, messere - odezwała się, w końcu. - Wy starczy na dzisiaj. Powinien pan dobrze spać tej nocy.

Zwinnym ruchem schwycił ją za ramię, nim zdążyła się odwrócić. Gobbo podniósł się wolno ze stołka i dotknął palcami rękojeści sztyletu. Wzrok Jessiki zatrzymał go w miejscu.

- Ma pan jeszcze jakieś życzenie, milordzie? - zapytała. Dreszcz podniecenia przeszył jej ciało.

- Si, madonno - odpowiedział prawie szeptem. - Niech się pani przejdzie ze mną po mieście. Nobe będzie naszą przyzwoitką.

- Nie mogę - rzekła cicho.

Próbowała uwolnić się z uścisku, ale on trzymał ją mocno. Gobbo postąpił w ich stronę, lecz powstrzymała go gniewna mina Jessiki.

Zwracając się do Francisa, powiedziała:

- Dobrze pan wie, że nigdy nie wychodzę z domu za dnia. Błagam, niech mnie pan więcej nie prosi.

Francis podniósł jej rękę do ust i ucałował z niezmierną czułością. Zmysłowym ruchem przesunął kciukiem po grzbiecie jej dłoni, kreśląc na niej wolno nieduże kółko.

- Wobec tego niech się pani przespaceruje ze mną dzisiaj wieczorem. Tylko księżyc będzie się nam przyglądał swym srebrnym okiem.

- Proszę, milordzie, pan wie, że ja nie lubię pokazywać się publicznie.

Splótł swe długie palce z jej palcami.

- Karnawał się kończy. Wielki Post za pasem. Tłum ludzi w maskach codziennie wylega na ulice. Kto będzie wiedział, że pośród tej rzeszy znajduje się samotnica Jessica Leonardo? Aż do środy popielcowej nikt nie waży się pokazać na mieście bez maski. Na piazza będą tańce - zakończył kusząco.

Jessica bardzo by chciała przyjąć to zaproszenie. Nigdy nie widziała największego placu Wenecji o innej porze jak tylko

bladym świtem, kiedy szła na specjalną mszę do kościoła Świętego Marka. Jak wygląda ten plac, gdy wypełni się tłumem rozbawionych karnawałowych gości?

- Ja ... ja nie potrafię tańczyć - wyznała cicho.

Gobbo parsknął, słysząc to niewinne kłamstewko. Przecież często przygrywał Jessice i Sofii do tańca, kiedy miały ochotę pisać w kuchni. Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na swoją panią.

Francis uśmiechnął się ponownie.

- Wobec tego pozwól mi być twoim nauczycielem. Kiedy byłem małym chłopcem, moja dobra babcia kazała mi się uczyć wszystkich tańców, jakie wówczas były w modzie. Teraz błogosławię ją za jej mądrość. Pani słodkie towarzystwo wynagrodzi mi wszystkie nudne godziny, które spędziłem, partnerując swej zwariowanej siostrze Belle. - Ponownie ucałował jej dłoń.

- Proszę, niech pani wyjdzie ze mną dziś wieczór na miasto.

Jessica oparła się o bok stołu. Spojrzała na Gobba z wyrazem przerażenia w oczach, ale sługa, zamiast przyjść jej z pomocą, uśmiechnął się tylko i skinął głową przyzwalająco.

- Dobrze, milordzie, zwyciężył pan. Zatańczę z panem, ale nigdy nie zdejmę maski z twarzy.

- Ja także jej nie zdejmę. Prawdę mówiąc, słodka Jessico, będziesz dziś w nocy tańczyła z diabłem.

Ostatnie informacje Jacopa wstrząsnęły Cosmą.

- Jesteś tego pewien? - spytała go z wściekłością, gdy stał przed nią pokornie z twarzą szarą jak popiół.

- Tak, madonno, przysięgam na duszę mej matki - odpowiedział chłopak, tuląc w ramionach małą dziewczynkę, którą uchronił przed gniewem swej pani. - To signorina Leonardo jest obiektem zalotów lorda Bardolpha. Tak twierdzą sąsiedzi, których się rozpytywałem. Widziałem również na własne oczy, jak posłaniec przyniósł z rynku pod jej drzwi koszyk owoców. Kiedy go

spytałem, od kogo pochodzi ten dar, odpowiedział, że od wysokiego Anglika, który nosi kapelusz z kolorowymi piórami. Któż inny mógłby to być?

Cosma przygryzła dolną wargę, rozważając w myślach te przygnębiające wieści. W Wenecji o tej zimnej i mokrej porze było zaledwie kilku Anglików, a niezwykle wysokich i tak oryginalnie ubranych jak Francis chyba ani jednego. Czy to możliwe, by Jacopo mówił prawdę? Jessica Leonardo była nie tylko dziewczyną niskiego stanu, lecz przypuszczalnie również żydówką. Uczuciowy związek między arystokratą a kobietą takiego pochodzenia był absurdem. A już zwłaszcza w obecnych czasach, pod rządami wszechwładnej inkwizycji, tego rodzaju stosunki mogły być szczególnie niebezpieczne.

- Lord Bardolph odwiedza tę Leonardo jedynie po to, by się leczyć. Potrzebuję dalszych dowodów, próżniaku.

- To się zgadza - odpowiedział chłopak - ale kiedy żegnał się z nią dziś rano na progu domu, usłyszałem wyraźnie, jak mówił, że ma nadzieję, iż dzisiejszej nocy zatańczą razem przy świetle księżyca. Moje uszy nie kłamią, o pani. - Cofnął się o krok i posadził sobie małpkę na ramieniu.

Cosma skrzywiła się.

A więc Francis już na tyle wrócił do zdrowia, że może tańczyć wieczorem przy księżycu, a jej godzinę temu przysłał list, że leży w łóżku i ma gorączkę. Ten mężczyzna jest głupcem. Odrzuca urodę i przedkłada nad nią dziewczkę, która nie ma odwagi ukazać światu swej szpetnej twarzy. Ha! Nie pozwoli z siebie drwić. Nie jest byle kim - jest Cosmą di Luna i należy się z nią liczyć. Signorina Leonardo przekona się wkrótce o tym na własnej skórze i już do końca życia nie zapomni tej gorzkiej lekcji.

Określiła się na pięcie i weszła do sypialni.

- Nerisso! Podaj mi moją maskę, pelerynę z kapturem oraz

zoccoli - rozkazała. Mówiąc o zoccoli, miała na myśli modne pantofle na podwyższonej podeszwie, które weneckie strojnisi wkładały, idąc na miasto. - Jacopo, przestań bawić się z tą wstrętną małpą i sprowadź mi gondolę. Zduszę w zarodku ten lekkomyślny flirt, zanim zdąży się rozwinąć w gorący romans. Natychmiast, słyszycie mnie? - wrzasnęła na swoje sługi.

Pół godziny później Cosma była już w północnej dzielnicy Wenecji. Owinęła się szczelniej peleryną, poprawiła maskę, modląc się w duszy, aby nie spotkać po drodze kogoś znajomego. Zmarszczyła nos, czując nieznośny odór smażonej cebuli i ryb, który unosił się nad okolicą. Minęło dwanaście lat, od kiedy opuściła to ubogie i szpetne otoczenie i nie zamierzała wrócić tu nigdy. Powstrzymując mdłości, zapukała ostro do niebieskich drzwi domu Jessiki.

Musiała zastukać po raz drugi. Dopiero wtedy pulchna karliczka pojawiła się w drzwiach.

- Dzień dobry, madonno - zaczęła, ale Cosma odsunęła ją na bok.

- Gdzie jest twoja pani? - zapytała władczo.

Sługa, wbrew oczekiwaniu, wcale się jej nie przelekła. Spokojnie skrzyżowała ramiona na piersi.

- Kto pani jest? - odpowiedziała pytaniem na pytanie, głosem pozbawionym jakiegokolwiek szacunku.

Cosma podniosła rękę, aby uderzyć zuchwałą sługę, ale w ostatniej chwili powstrzymała się. Nie było sensu marnować czasu ani brudzić rękawiczek dotykaniem tej bezczelnej pokraiki. Ściągając maskę z twarzy, Cosma minęła ją szybko i otworzyła wewnętrzne drzwi prowadzące do długiego korytarza.

- Proszę się zatrzymać! - wykrzyknęła za nią piskliwie karlica.

Dla Cosmy Sofia znaczyła jednak tyle co uprzykrzona mucha. Szybkim krokiem szła w kierunku głosu, który dobiegał ją

z tylnych pomieszczeń. Wykurzy trzęsącą się dzierlatkę z jej szczurzej nory.

W tym momencie ofiara pojawiła się na korytarzu.

- Sofio? Co się dzieje? O nie!

Rozpoznawszy Cosmę, Jessica zawróciła pośpiesznie, ale już było za późno. Cosma zdążyła dojrzeć odsłoniętą twarz dziewczyny. Chwiejąc się na podwyższonym obuwiu, złapała za framugę drzwi, aby nie stracić równowagi.

- Madre del Dio - westchnęła spazmatycznie, czyniąc pośpieszny znak krzyża na piersi. - Teraz widzę, dlaczego Francis przestał się mną interesować. Jesteś czarownicą!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Okrzyk Cosmy zmroził krew w żyłach Jessiki. Starła się jednak nie stracić głowy i w miarę możliwości zapanować nad sytuacją.

Uniosła podbródek i spojrzała prosto w oczy rozwścieczonej piękności.

- O co chodzi, donno Cosmo? - spytała możliwie najspokojniejszym tonem.

Kurtyzana zrobiła krok do tyłu, ale się nie wzdrygnęła.

- Nic dziwnego, że zakrywasz przed ludźmi twarz. Masz na niej diabelskie znamię. Jesteś dzieckiem szatana.

Jessica zwilżyła językiem drżące wargi.

- Urodziłam się już z tym znamieniem. Ukrywam je pod maską, aby ludzie nie odwracali się ode mnie ze wstrętem. Pani zachowanie świadczy najlepiej, że słusznie robię. Jestem dobrą katoliczką - dodała.

Cosma otrząsnęła się już z pierwszego wrażenia. Skrzywiła usta z pogardą.

- Czyżby? Użyłaś mikstur i zaklęć, aby zaczarować lorda Bardolpha. Czy gdyby nie twoje czary, przełożyłby towarzysstwo kogoś takiego jak ty nad moje?

Błysk zrozumienia rozświetlił twarz Jessiki. To zazdrość przywiodła Cosmę do jej domu. Zazdrość okazała się silniejsza od obawy czy wstrętu. Opanowana tym potężnym uczuciem, urażona kurtyzana może okazać się niebezpieczniejsza od ranionej lwicy.

Starając się zwalczyć chęć ucieczki, Jessica wskazała na poczekalnię.

- Proszę, siądźmy i przedyskutujemy ten problem, donno Cosmo.

Nie oglądając się na gościa, Jessica weszła do pokoju. Z dwóch stojących tam krzeseł wybrała większe i wygodniejsze. Ułożyła starannie fałdy sukni, czekając, aż Cosma zajmie drugie siedzenie. Modliła się w duchu, aby jej twarz nie zdradziła przerażenia, które rozsadzało jej pierś. Wszystkie lęki i obawy, jakie od dwudziestu lat drzemały w jej duszy, odezwały się teraz ze zdwojoną siłą.

Cosma postępowała w pewnej odległości za Jessicą, jak gdyby w obawie, że jeśli się o nią otrze choćby rąbkiem sukni, zostanie splugawiona. Odmówiła zaproponowanego krzesła. Spoglądała na Jessicę oczami płonącymi z nienawiści i pogardy. Nie marnowała czasu, tylko od razu przystąpiła do rzeczy.

- Zostaw Francisa w spokoju. On jest mój. Jesteśmy zaręczeni i zamierzamy się pobrać.

Wiadomość wstrząsnęła Jessicą, ale pokryła to uśmiechem.

- Czyżby? Wobec tego życzę wam obojgu wiele szczęścia w małżeńskim życiu. Lord Bardolph jest wolnym człowiekiem i może robić, co mu się podoba. Proszę nie zapominać, że to on do mnie przychodzi, i to z własnej nieprzymuszonej woli. Ja się za nim nie uganiam.

- Nie mogę pojąć, co on w tobie widzi - warknęła Cosma.

Jessica wzruszyła ramionami, ale starannie ważyła każde słowo.

- Jestem tylko zwykłą uzdrowicielką. Staralam się jedynie złagodzić nieco jego dolegliwości. Zraniona przed laty łopatką ciągle mu dokucza.

Twarz Cosmy poczerwieniała.

- To czary! - splunęła. - Uciekasz się do pomocy nieczystych sił, aby oczarować biednego Francisa.

Jessica wbiła palce w oparcie krzesła, by nie stracić panowania nad sobą.

- Nic podobnego. Pomagam sobie w pracy modlitwą, a nie zaklęciami. Moje maści składają się z oliwy z oliwek, pszczolego wosku i różnych leczniczych ziół.

- Czy on widział cię kiedyś bez maski?

Jessica odwróciła głowę.

- Przysięgam na Boga, że nie jestem czarownicą.

Złowieszczy uśmiech wykrzywił purpurowe wargi.

- To nie ja będę sądzić, czy nią jesteś, czy nie.

Jessica otworzyła usta, ale nie była w stanie wykrztusić ani jednego słowa; westchnęła tylko. W małym pomieszczeniu zapanaowała pełna napięcia cisza. Serce Jessiki waliło w piersi jak młotem. Czy Cosma doniesie na nią do Świętego Oficjum i oskarży o czarną magię? Jej najkoszmarniejsze sny mogły się stać rzeczywistością.

Cosma zaśmiała się jadowniczo.

- Nie powiem nic, ale pod jednym warunkiem: masz natychmiast odrzucić wszelkie zaloty lorda Bardolpha i zwrócić jego dary. - Spojrzała na pięknego zielonego kanarka, który z zapamiętaniem wyśpiewywał radosne trele w złoczonej klatce przy oknie. - I jeżeli go odczarujesz. Gdy zostanę żoną Francisa, puszcze w niepamięć tę nieprzyjemną sprawę.

Ośmielona własną pogroźką, kurtyzana zbliżyła się do Jessiki.

- Jeżeli nie zastosujesz się do mego żądania - celowo zawiesiła głos, aby spotęgować wymowę swych słów - twój los nie będzie godny pozazdroszczenia. O ile wiem, czarownice topi się w wodach laguny w bezksiężycowe noce. Mówią, że te nikczemne istoty podwodnym traktem wracają do piekła. - Cosma wykrzywiła złośliwie piękną twarz. - Nikt nie rozgrzeszy czarownicy. Nikt nie będzie żałował jej śmierci. Skazane na



wieczne potępienie odchodzą niezauważalnie z tego świata. Zielona woda tłumi ich ostatnie krzyki. Pomyśl o tym.

Wypuściwszy tę ostatnią zatrutą strzałę, Cosma włożyła maskę na twarz, owinęła się peleryną i wyszła. Jessica poczuła, że opuszczają ją siły. Sofia podbiegła do niej z kieliszkiem wina.

- Uspokój się, dziecko. Wypij to powoli, łyk po łycku. To cię uspokoi i doda sił.

Jessica przeciągnęła dłonią po gorącym czole.

- Boże, miej mnie w swojej opiece. Przyjdzie mi jednak za płacić za grzechy rodziców. - Dotknęła ciemnej skazy na policzku, jak gdyby ją paliła. - Cóż takiego złego uczynili, że Bóg mnie za nich pokarał takim szpetnym znamieniem? - Łzy po toczyły się po jej twarzy.

Sofia otoczyła Jessicę swym krótkim ramionkiem i uścisnęła ją gorąco.

- Uspokój się, moja najmilsza. Niepotrzebnie słuchałaś tej zazdrośnicy.

Jessica upiła nieco wina.

- Cosma di Luna nie ma się czego obawiać z mojej strony. Lord Bardolph nie ma najmniejszego zamiaru mnie poślubić - tak samo jak i jej, jeżeli już o tym mowa. Zresztą, należy przy puszczać, że on ma już żonę, jakąś szlachetnie urodzoną Angielkę. - Jessica z trudem dopuszczała do siebie taką myśl.

Sofia skinęła głową ze zrozumieniem.

- Nie zawracaj sobie głowy Cosmą di Luną. Może być sobie znaną pięknoscia, ale jako człowiek nie przedstawia żadnej wartości. Ona nie ma serca. Jej wnętrze jest zgniłe jak zeszłoroczna gruszka. To zwykła ladacznica.

Jessica wciągnęła głęboko powietrze, by uspokoić rozdygotane nerwy.

- Nazwała mnie czarownicą. Mając do wyboru ją i mnie,

Wenecja z jej prawami oraz Kościół zawsze wezmą stronę Cosmy. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Znowu łyknęła wina.

Sofia przycisnęła ją silniej do piersi.

- Nie daj się zastraszyć tej malowanej kukle. Kto jej uwierzy? Każdy widzi, że zżera ją zazdrość, której nie potrafi opanować ani ukryć. Jest jak wielki zielony wąż wokół szyi, który każdemu rzuca się w oczy. Jest jasne jak słońce, że pragnie zdobyć Anglika dla jego bogactwa i arystokratycznego pochodzenia. Nawet gdyby był brzydki i rozpustny, też by jej to nie zraziło.

Jessica oczami wyobraźni zobaczyła twarz Francisa. Czy jest na świecie kobieta, która potrafiłaby oprzeć się temu urodziwemu młodzieńcowi, nawet jeżeli się tak cudacznie ubiera?

- Lord Bardolph jest dobrym człowiekiem, ale ma skłonność do melancholii.

- To prawda! - przytaknęła Sofia. - Dlatego też musisz zrobić wszystko co w twojej mocy, aby mu ulżyć.

- Ale Cosma...

Sofia machnęła lekceważąco ręką.

- Daj spokój, Jessico! Sprawiałaś, że największa piękność Wenecji jest o ciebie zazdrosna. Pomyśl, jak wielka jest twoja siła.

Jessica upiła znowu wina z kieliszka, uderzona trafnością tej uwagi.

- Ona może mi bardzo zaszkodzić.

Sofia nachyliła się nad nią i szepnęła:

- Jeżeli jej na to pozwolisz. Nadszedł czas, Jessico, abyś wreszcie wyszła z cienia, przestała żyć w izolacji od świata i ludzi. Pokaż się w świetle dnia, odważnie, bez skrepowania. Nie zwracaj uwagi na signorinę di Lunę, z jej bogactwem, pięknymi sukniami i błyszczącymi klejnotami. Chwytaj moment, który w tej chwili podsuwa ci życie.

- Uważasz, że powinnam pójść dziś wieczorem na tańce z lordem Bardolphem? - spytała niepewnie.

- Tak jest! Nareszcie trafił ci się odpowiedni kawaler - odparła Sofia, dopijając resztki wina z kieliszka Jessiki. - Wykorzystaj tę sposobność i baw się do upadłego. Życie i tak jest o wiele za krótkie i zbyt uciążliwe, nawet bez gróźb tej nierządniczy.

Doktor Stefano Leonardo przechadzał się pośród tłumu, który wypełniał szczelnie wąskie uliczki przy moście Rialto. Wiele osób pozdrawiało go, a on odpowiadał łaskawym skinieniem głowy. Ludzki szacunek mile łechtał jego próżność. Był jednym z najlepszych lekarzy Wenecji. Był również bogaty, a jego nazwisko liczyło się w społecznej hierarchii. Przygnębiające wspomnienia nędzy i konieczności ciągłego ukrywania się w latach młodości z upływem czasu straciły na ostrości. Hiszpania z szalejącą inkwizycją, terroryzującą ludność, już dawno odeszła w niepamięć. Tutaj, w Wenecji, nikt nie podejrzewał, że znany lekarz - który cieszył się łaskami i zaufaniem samego doży - powrócił do religii swoich przodków. Doktor Leonardo z satysfakcją myślał o tym, że przez tyle lat skutecznie mylił czujność władz. Pogładził śnieżnobiałą brodę i pochyliwszy się nad płaską drewnianą skrzynką, sprawdzał jakość świeżo sprowadzonych z Damaszku ciemnych winogron.

- Messere? - dobiegło go zadane półgłosem pytanie.

Podniósł wzrok znad góry owoców i ujrzał niskiego człowieka o dziwnie niespokojnych ruchach. Mężczyzna miał kręconą brązową brodę i krzaczaste brwi. Chociaż nie nosił żółtej czapeczki nakazanej żydom przez weneckie prawo, z pewnością był żydowskiego pochodzenia. Stefano skinął lekko głową, po czym wskazał na wąską zacienioną uliczkę. Mężczyzna oddalił się. Poprawiając na sobie elegancką szatę z czarnej krepy

z czerwonymi aksamitnymi wyłogami, lekarz ruszył za nim powolnym krokiem.

- Witaj, Tubalu. Ładny dziś mamy dzień, prawda? - odezwał się doktor Stefano. - Czy coś ci dolega? Może dokuczają ci gazy? Bardziej bolą cię stawy?

Tubal potrząsnął głową przecząco.

- Jestem chory ze strachu. Boję się, zacny doktorze, To jest moja choroba.

Stefano szedł dalej, aż dotarł do końca uliczki. Zamykał ją budynek rzucający głęboki mroczny cień.

- Mów ciszej, Tubalu. Wenecja roi się od ciekawskich uszu - wyszeptał.

- Oczu i uszu Świętego Oficjum - zgodził się Tubal. - Splunął na ziemię. - A niech ich wszystkich zaraza pochłonie.

Doktor Leonardo obejrzał się szybko, ale nie zobaczył nikogo podejrzanego.

- Uśmiechaj się, mówiąc do mnie. O co chodzi?

Tubal splótł ręce.

- Słyszałem, że ktoś wspomniał o mnie urzędnikom inkwizycji.

Stefano poczuł nagle zimno. Żydzi byli w Wenecji pełnoprawnymi obywatelami i nikt ich w tym mieście za pochodzenie nie prześladował. Musieli jedynie stosować się do miejscowych przepisów, dotyczących stroju, mieszkania i zawodów. Prawo weneckie surowo karało jednak marranos, którzy, jak on i Tubal, powrócili do swojej dawnej wiary i potajemnie ją praktykowali. Doktor zgarbił się pod swoją kosztowną szatą.

- Skąd wiesz, że to prawda? - wyszeptał.

- Wczoraj kilku franciszkańskich mnichów zjawiono się na mojej ulicy. Rozpytywali o mnie sąsiadów. - Zniżył jeszcze bardziej głos. - Pytali, jak często uczestniczę w mszy świętej.

Doktor Leonardo chętnie by uciekł jak najdalej od tego miej-

sca, od tej nieprzyjaznej uliczki. Żałował, że w ogóle spotkał w życiu Tubal. Dużo by dał, aby móc cofnąć czas o całą dobę i żeby zamiast dziś było wczoraj.

- To rzeczywiście niezbyt pocieszająca wiadomość - zauważył, uśmiechając się blado.

- Musisz pomóc mnie i mojej rodzinie, zacny doktorze - błagał Tubal.

Stefano wstrząsnął się, kiedy usłyszał prośbę. Nie myślał o tym, jak mu pomóc, tylko jak najprędzej pozbyć się niebezpiecznego znajomka.

Chociaż doktor Leonardo pozostał wierny religii ojców, był człowiekiem światłym i o szerokich horyzontach. Przez wiele lat ciężką pracą budował obecną ważną pozycję w Wenecji. Nie miał ochoty patrzeć, jak jego dotychczasowe wygodne życie rozpada się w gruzy. Tubal był podwójnie niebezpieczny; znał tajemnicę serca doktora i miał słaby charakter. Poddany torturom zdradzi każdego.

- Czego ode mnie chcesz?

- Niech pan weźmie ode mnie Talmud i ukryje święte księgi w swoim domu. Ukryj również moje złoto. - Zmrużył oczy. - Zaoszczędziłem pięćset dukatów.

- To głupie trzymać tyle pieniędzy pod dachem. Dlaczego nie oddałeś ich jakiemuś złotnikowi, by nimi obracał? To jest ich zawód i jestem przekonany, że dostałbyś od nich niezły procent.

Tubal zachnął się.

- Niezły procent? Dla kogo? Dla nich - nie dla mnie! Nie, doktorze, nie mam do nich zaufania. Za nic nie powierzyłbym im swoich oszczędności. Nikomu oprócz pana. Spełni pan moją prośbę?

Doktor gładził z zamyśleniem długą brodę. Zastanawiał się jak wybrnąć z niewygodnej sytuacji. Tubal miał rację, chcąc po-

zbyć się z domu pieniędzy oraz kompromitujących ksiąg. Nie-  
wykluczone, że urzędnicy inkwizycji zechcą przeszukać jego  
mieszkanie. Z drugiej strony doktor nie miał ochoty dać się  
wciągnąć w tę niebezpieczną grę. Z jakiej racji ma poświęcać  
własne bezpieczeństwo i wygodę, narażać siebie i swój mają-  
tek, a może także życie dla Tubala? Niespodziewanie przyszło  
mu do głowy stosunkowo dobre wyjście. Jessica! Uczciwa, do-  
bra chrześcijanka, która codziennie chodzi na mszę i jest poza  
wszelkim podejrzeniem. Kochana zarówno przez swoich sąsia-  
dów, jak i pacjentów, i tych bogatych, i biednych. Nikt nie bę-  
dzie posądzał miłej i pobożnej córki doktora, że wyrzekła się  
katolickiej wiary. W oczach wielu ludzi uchodziła niemal za  
świętą.

Doktor Leonardo skinął głową na znak zgody.

- Spotkajmy się o godzinie dziewiątej wieczorem na Campo  
de San Felice. Przynieś ze sobą rzeczy, które chcesz ukryć.

Tubal spojrzał na niego badawczym wzrokiem.

- To nie jest twój adres.

Doktor skinął głową.

- To prawda. Podaję ci adres mojej córki. Ona będzie naszą  
gwarancją i ochroną.

- Czy dziewczynie można zaufać?

Stefano wyprostował się.

- Chociaż Jessica jest równie pobożną katoliczką jak papież  
w Rzymie, mimo to jest nadal moją córką. To moja krew. Zrobi  
to, co jej każe. A teraz rozejdźmy się z pogodnymi minami. Do  
dziewiątej wieczorem.

Tubal zarzucił połę ciemnej peleryny na ramię.

- A więc o dziewiątej, punktualnie co do minuty.

Doktor Leonardo posłał za nim ciche przekleństwo.

Jacopo zajął pozycję po drugiej stronie placu naprzeciwko

domu Jessiki. Potarł nos pod skórzaną czarną maską imitującą weneckiego lekarza, która, niestety, powodowała bezustanne swędzenie. Owinięty szczelnie czarną peleryną, z głową zakrytą ciemnym kapturem, Jacopo nie odróżniał się od otoczenia w mrocznym zaułku.

Chłopak ziewnął. Miał już dość chodzenia dzień w dzień śladami Anglika. Po co to wszystko? Messere wiedział, że Jacopo go śledzi. Prawdę mówiąc, lord Bardolph przyzwyczał się już do tego stopnia do jego obecności, że za każdym razem, kiedy go widział, machał do niego przyjaźnie ręką. Pewnego zimnego wieczoru Anglik kazał mu nawet wynieść kubek grzanego wina na zewnątrz, aby nie zamarł podczas długich godzin czuwania na chłodzie. Gdyby madonna Cosma wiedziała, jak nieudolnie jej sługa kryje się przed Anglikiem, obdarłaby go żywcem ze skóry. W tej chwili lord Bardolph i jego czarny przyjaciel, w otoczeniu kilku roześmianych ludzi z pochodniami, zapukali do drzwi Jessiki Leonardo. Całe towarzystwo miało na sobie barwne ubrania oraz maski. Jacopo zaklął pod nosem ze złością. Marzył o tym, aby mieć chociaż kilka wolnych godzin, by móc również wziąć czynny udział w wesołej karnawałowej zabawie.

Thusta karlica otworzyła drzwi i z okrzykiem radości zaprosiła lorda i jego towarzysza do wnętrza rześmiście oświetlonego domu. Ludzie z pochodniami czekali na ulicy. Jacopo znowu potarł swędzący nos. Z tego, jak sprawy się przedstawiały, wiedział, że czeka go nużące, całonocne czwanie na zimnie. Chłopak przywarł skulony do ściany, żałując, że nie wziął ze sobą małpki. Z nią przynajmniej byłoby mu weselej i czas szybciej by schodził.

Drzwi otworzyły się znowu. Złote płomienie pochodni rozświetlały placyk. Jacopo stłumił następne ziewnięcie. Lord Bardolph ceremonialnie wyprowadzał z domu młodą kobietę w białej masce zakrywającej jedynie górną część twarzy. Mu-

rzyn postępował za nimi. Na księgę świętego Marka, udało im się jednak wyciągnąć z domu tę zaprzysięgłą samotnicę, Jessikę Leonardo! Jacopo nie przypuszczał, że zdołają ją do tego namówić, zwłaszcza po dzisiejszej wizycie donny Cosmy. Gwizdnął przez zęby. Nie widział wprawdzie twarzy dziewczyny, ale wydawała mu się bardzo ładna, a jej śmiech brzmiał jak srebrne dzwoneczki. Nic dziwnego, że donnę Cosmę zżerała zazdrość.

- Bawmy się! - zawołał Murzyn do ludzi z pochodniami.  
- Wywabiliśmy z klatki piękną gołąbeczkę, więc lećmy teraz razem z nią!

- Na plac! - dodał lord Bardolph.

Signorina Jessica roześmiała się znowu.

- Oddaję się pod pańską komendę, messere.

Ludzie z pochodniami zebrali się wokół nich.

- Na plac! - wykrzyknęli chórem.

Jacopo usunął się jeszcze bardziej w cień, gdy rozbawione towarzystwo mijalo jego kryjówkę. W pewnej chwili znaleźli się nie dalej niż trzy kroki od miejsca, w którym się schował. Lord Bardolph się obejrzał.

- Hej, młody człowieku! - zawołał do Jacopa. - Przyłącz się do nas i chodź się bawić. To znacznie przyjemniejsze zajęcie niż kulenie się w rogu na zimnie przez całą noc.

Jessica spojrzała na pusty plac.

- Do kogo mówisz, milordzie? Nikogo tu nie widzę.

Murzyn roześmiał się cicho.

- Pewien mały cień wlecze się za nami od dłuższego czasu. Jest niedaleko. Czuję jego zapach. Nie obawiaj się, panienko. Ten ulicznik jest nieszkodliwy - dodał ze śmiechem.

Jacopo przywarł plecami do ściany budynku. Pogardliwe słowa Murzyna dotknęły go do żywego. Poczul się także głęboko upokorzony faktem, że go zdemaskowano. Miał ogromną ochotę skorzystać z zaproszenia Anglika, ale doświadczenie na-



kazywało odrzucić propozycję. Donna Cosma pocięłaby go na kawałki i rzuciła psom na pożarcie, gdyby dowiedziała się, że przyłączył się do rozbawionego towarzystwa. Spojrzał na fragment nocnego nieba, widoczny spomiędzy dwóch budynków, w których cieniu znalazł sobie kryjówkę. Jutro oświadczy Cosmie, że dostał inne zajęcie - wtedy i on, i jego małpka będą mogli chociaż trochę użyć karnawałowych rozrywek przed nastaniem postu.

Jacopo obejrzał się na skwerek i zobaczył, że towarzystwo znika w głębi Fondementa. Oderwał się od ściany. Nie ma potrzeby za nimi pędzić. Powiedzieli wyraźnie, dokąd idą. Jacopo opuścił swą kryjówkę i właśnie skierował się na placyk, kiedy pojawił się na nim niski okrągły mężczyzna. Wynurzył się z cienia bocznej uliczki, prowadzącej do kanału. Nerwowe zachowanie, ciągłe oglądanie się na wszystkie strony, oraz sporej wielkości woreczek, który przyciskał do piersi, wzbudziły zainteresowanie Jacopa. Wrócił do bezpiecznej niszy w zacienionej uliczce i zaczął obserwować nieznanego.

Kiedy dzwony kościoła San Felice zaczęły wybijać dziewiątą, na skwerze pojawiła się druga postać. Nowo przybyły mężczyzna był wyższy od pierwszego i miał długą białą brodę. Ubrany był w szatę, jaką noszą lekarze. Jego zachowanie było równie zagadkowe; kilka razy obejrzał się za siebie podejrzliwie. Pod pachą trzymał tajemnicze drewniane pudło. Jacopo oblizał wargi. Ciekawe, co to wszystko znaczy?

Szczęście mu sprzyjało. Mężczyźni zatrzymali się tak blisko jego kryjówki, że słyszał dokładnie każde zdanie. Pogardliwe słowa Murzyna wciąż tkwiły jak zadra w jego sercu, więc nie namyślając się wiele, sięgnął ręką po sztylet zwisający w pochwie u pasa. Nie był szczeniakiem, z którego można bezkarnie drwić, ale młodzieńcem, którego wszyscy powinni się bać. Niewykluczone, że i jemu coś skapnie przy tej okazji - odbije sobie

wreszcie długie godziny chodzenia za lordem Bardolphem. Jedno szybkie uderzenie sztyletu i Jacopo może stać się bogatym człowiekiem -jeżeli ten woreczek rzeczywiście zawiera pieniądze, jak przypuszczał. Słyszał, jak monety zadźwięczały w nim kusząco, kiedy niski mężczyzna się poruszył. Chcąc stać się niewidoczny, Jacopo przycisnął się do ściany i uważnie słuchał rozmowy.

Pierwszy mężczyzna powitał przybysza, całując go w oba policzki. Rozmawiali w obcym języku. Jacopo nie rozumiał słów, ale na podstawie zachowania nieznajomych bez trudu domyślił się, o czym mówią. Omawiano jakąś nielegalną transakcję bądź też obmyślano potajemny spisek.

Chłopak otarł spocone dłonie o pelerynę.

Niski mężczyzna wręczył woreczek oraz kilka książek lekarzowi, który włożył je do skrzynki i powiedział coś półgłosem. Niższy skinął głową i oddalił się pospiesznie. Cała ta tajemnicza operacja skończyła się, nim dzwony kościoła zdążyły wybić godzinę dziewiątą. Jacopo zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Los wyraźnie mu sprzyjał. Łatwiej jest zabić jednego człowieka niż dwóch, zwłaszcza jeśli ten dźwiga pod pachą ciężką skrzynkę. Jacopo zamierzał zaatakować swą ofiarę w momencie, kiedy będzie go mijała. Napiął mięśnie i czekał.

Zamiast jednak wrócić drogą, którą przyszedł, lekarz obrał kierunek przeciwny do uliczki, w której czyhała na niego śmierć. Szybkim krokiem przeciął placyk i zatrzymał się przed domem signoriny Jessiki. Jacopo postąpił kilka kroków, aby zobaczyć, co się dalej stanie. Lekarz zapukał do niebieskich drzwi, poczekał kilka chwil, a następnie powtórzył pukanie. W drzwiach pojawiła się karlica.

Oczy jej rozszerzyły się ze zdziwienia na widok gościa. Zgięła się przed nim w niskim ukłonie.

- Dobry wieczór, doktorze Leonardo - przywitała go kwaś-

nym tonem. - Nie powinien pan wychodzić z domu o takiej późnej porze.

- Chcę mówić z moją córką.

Służąca potrząsnęła głową.

- Nie *ma* jej w domu.

- Czy ona postradała zmysły? - zapytał poirytowany. - To niebezpiecznie dla niej pokazywać się publicznie.

Jacopo zanotował w pamięci tę informację. Warto będzie w późniejszym czasie dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Służąca roześmiała się.

- Proszę się nie obawiać. Wyszła w towarzystwie kilku przyjaciół. Poszli zabawić się trochę z okazji karnawału.

- Tylko rozpusta im w głowach. Jessica pożałuje jeszcze tego kroku, zaręczam. Dobrze, kobieto, nie stój teraz jak słup i nie gap się na mnie! Czyż nie wolno mi wejść do mego własnego domu? Nie zapominaj, kto za niego płaci. Rusz się, rusz! - Zastukał w skrzynkę. - Mam dla niej prezent.

Służąca wyciągnęła rękę.

- Proszę mi ją dać. Powiem Jessice, że...

- Nie! Ta skrzynka jest za ciężka, aby takie maleństwo jak ty zdołało ją utrzymać. Ja sam zaniosę ją do pokoju córki. Odsuń się, Sofio. Nie jestem w nastroju do przekomarzania się.

Mała kobietka spełniła polecenie, odwzajemniając się spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Ani ja, doktorze Leonardo. - Z łoskotem zamknęła za nim drzwi.

Jacopo z wrażenia przestał na chwilę oddychać. Próbował znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie sceny, której był świadkiem, ale nie widział związku między dwoma mężczyznami, którzy zachowywali się tak, jakby się bali własnego cienia, a lekarzem, który twierdzi, że ma prezent dla córki. Kilka minut

później drzwi otworzyły się ponownie i doktor Leonardo z pośpiechem opuścił dom Jessiki. Był już bez skrzynki.

- Na przyszłość, Sofio, nie zapominaj, czyj chleb spożywasz - pogroził jej. Owinał się szczelniej peleryną i statecznym krokiem powędrował przez placyk. Po chwili zniknął w ciemnościach.

Sofia potrząsnęła za nim pięścią, po czym zatrzasnęła z hukiem drzwi. Jacopo czekał kilka minut w nadziei, że może pojawi się jeszcze ktoś inny, ale doczekał się tylko chudego kota. Jacopo rozprostował ramiona i schował sztylet do pochwy. Niedoszłe morderstwo pozbawiło go sił. Nogi miał jak z waty, a ciało zlane potem. Zsunął z rozognionej twarzy maskę i otarł policzki połą peleryny. Kiedy pomyślał, że jeszcze przed chwilą gotów był zabić człowieka dla pieniędzy, ogarnął go wstyd. Murzyn miał rację. Jest żalosną kreaturą, a nie odważnym weneckim kawalerem.

Ponownie włożył maskę. Na razie nic jeszcze nie uzyskał, ale dowiedział się o dwóch interesujących faktach, które w przyszłości miał nadzieję umiejętnie wykorzystać. Usłyszał mianowicie, że donna Jessica kryje przed światem niebezpieczny sekret, a po drugie, że w jej pokoju jest schowana skrzynia z pieniędzmi. Obiecał sobie poczekać na odpowiedni moment i wtedy ją ukraść. Na pewno jednak nie teraz, kiedy miniaturowy smok w spódnicy stoi na straży domu Jessiki. Naciągając kaptur na twarz, Jacopo minął placyk i ruszył szukać Jessiki.

Cierpliwość zawsze się oplaca, powiedział mu kiedyś ojciec. Syn postanowił zastosować się do jego rady i cierpliwie czekać na stosowną okazję.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gobbo usiadł na łóżku i ściągnął szlafmycę.

- Kto to był?

Sofia postawiła lampę na skrzyni stojącej w nogach łóżka.

- Doktor Leonardo - odparła, krzywiąc się szyderczo.

Gobbo ziewnął szeroko.

- To dość niezwykła pora na odwiedzin jedynej córki. Czyżby się bał, że ktoś go może rozpoznać?

Sofia potrząsnęła głową. Zawartość skrzynki, pozostawionej przez ojca Jessiki, nie dawała jej spokoju.

- On nie przyszedł po to, aby zobaczyć się z córką. Przy niósł skrzynkę z cedrowego drewna. Twierdził, że ma w niej prezent dla Jessiki, ale jakoś nie bardzo w to wierzę.

Gobbo wydał wargi w pogardliwym uśmiechu.

- Kiedy to ostatni raz zacny doktor dał córce jakiś prezent? Na Nowy Rok? Na urodziny? Prawie nigdy. Gdyby nie dobre serce jej matki, ręczę, że Jessica nie przeżyłaby nawet dnia swoich narodzin.

- To mnie właśnie intryguje - zgodziła się z nim żona. Gobbo odrzucił na bok pierzynę i wsunął nogi w ranne pantofle.

- Gdzie jest to чудо?

Sofia wzięła do ręki latarnię.

- Jak zawsze jesteśmy tego samego zdania, kochany. Doktor schował skrzynkę pod łóżkiem Jessiki. Chodź.

Trzymając lampę tak wysoko, jak na to pozwalało jej krótkie

ramię, Sofia poprowadziła męża korytarzem do pokoju swej pani. Weszła na podwyższenie, na którym stało łóżko, i uniosła rąbek narzuty. Róg zagadkowej skrzynki wystawał spod ramy pościelenia.

Gobbo z cichym pomrukiem nachylił się nad kuferkiem.

- Solidna robota - zauważył, wyciągając skrzynkę z ukrycia. - Waży też nielecho.

Sofia przeciągnęła palcem po wieku. Czowała pod nim przyjemną gładkość świetnie wypolerowanego drewna.

- Otwieramy ją czy nie?

Małżonkowie spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę. Sofia i Gobbo nie mieli dzieci i uważali Jessicę bardziej za własną córkę niż za chlebodawczynię. Drżeli o nią i każda choćby najmniejsza pogłoska o zagrażającym jej niebezpieczeństwie budziła żywy niepokój w ich sercach. Nie lubili doktora Leonardo, uważali też, że nie mają wobec niego żadnych zobowiązań niezależnie od tego, co on sam o tym sądził.

Gobbo postukał w skrzynię.

- Ta wizyta nie wróży niczego dobrego, daję głowę. Doktor jest człowiekiem samolubnym. To nie jest prezent dla Jessiki. Umieścił tu coś, co musi mieć dla niego szczególną wartość.

- Nacisnął przycisk, ale wieczko nie puściło.

Sofia mruknęła z niezadowoleniem.

- Czyżbyś zapomniał o starym fachu? Przecież na pewno jesteś w stanie poradzić sobie z tym zamknięciem. - Zniżyła lampę, aby lepiej oświetlić skrzynkę.

Gobbo sprawdzał zamek przez kilka minut, ale w końcu potrząsnął głową z rezygnacją.

- To nie jest zwykły zamek. To bardzo zmyślnie skonstruowane urządzenie. Zawartość tej skrzynki musi być bardzo cenna. Może tam jest jakiś skarb? - Marszcząc czoło, wepchnął drewniane pudło z powrotem pod łóżko. - Myślę, moja droga,

że najlepiej będzie, jeśli przestaniemy interesować się tą skrzynką. W przeszłości nieraz byłem o krok od szubienicy, wolę więc na stare lata zachować ostrożność.

Sofii było to nie w smak, ale starała się nie pokazać po sobie zawodu; wiedziała, że Gobbo ma rację. Ona również w młodeńszych latach doświadczyła na sobie twardej ręki prawa i także bała się go panicznie.

- Powiem o niej Jessice jutro rano.

Gobbo wstał i uścisnął gorąco swą małą żonę.

- Moja greczna dziewczynka! A teraz wracajmy do łóżka. Spodziewam się, że dołożysz starań, aby rozgrzać te moje stare zziębnięte kości. - Pocałował ją z uczuciem.

Sofia zachichotała, jakby wciąż była młodą dziewczyną.

- Myślę, że da się to zrobić. Też nie jestem od tego.

Jessica miała uczucie, jakby wkroczyła w inny świat -w krainę kolorów, światła, muzyki i śmiechu. Słyszała o zabawach, które odbywały się w Wenecji w porze karnawału, ale sama nigdy w nich nie uczestniczyła. Kiedy była dzieckiem, rodzice zakazywali jej wychodzić z domu z obawy, że ktoś oskarży ją przed władzami, iż jest pomiotem szatana. Gdy dorosła i rozpoczęła samodzielne życie, w dalszym ciągu ukrywała przed światem hańbiące znamię. Zamknęła się przed ludźmi w azylu, który sobie stworzyła i który jej dotychczas w zupełności wystarczał. Teraz radosny nastrój nocnej zabawy rozgrzał krew w jej żyłach. Za rogiem każdej następnej ulicy witały ją nowe widoki i nowe dźwięki.

Grupa aktorów ustawiła prowizoryczną scenę pośrodku niewielkiego skweru i zabawiała widzów wesołą historyjką o błazeńskich przygodach chytrego Arlekina i pijaczyny Pantalona - dwóch czołowych charakterów komedii dell'arte. Trzymając się kurczowo ramienia Francisa, Jessica śmiała się tak radośnie,

że aż łzy pociekły jej z oczu i rozboleł brzuch. Nigdy nie widziała aktorów występujących przed publicznością na scenie i nie posiadała się ze szczęścia, że ich teraz ogląda.

Wciąż jeszcze zanosila się od śmiechu, kiedy przyszła kolej na następną rozrywkę. Na scenie pojawił się tym razem połykacz ognia. Wsadzał sobie do gardła, jedną po drugiej, niezliczoną ilość płonących głowni, a wszystko to przy wtórze entuzjastycznych oklasków tłumu zgromadzonego na dole przy moście Rialto.

- Jak on może wytrzymać taki ból? - zastanawiała się pół głosem dziewczyna.

Francis poklepał ją uspokajająco po ręce.

- Podejrzewam, że przed występem nieźle sobie podpił i jedyne co teraz czuje, to błogi zamęt w głowie.

Jessica wstrząsnęła się, gdy sztukmistrz z widocznym smakiem połknął kolejną ognistą kulę. Przewidywała, że nazajutrz jego gardło będzie przypominało kolorem płomienie, które tak łapczywie łykał. Francis wrzucił monetę do pudełeczka, które młody pomocnik połykacza ognia wyciągnął w jego stronę.

Gęstniejący z każdą chwilą, rozbawiony tłum przetoczył się przez most, zagarniając ze sobą Jessicę i jej towarzystwo. Spoglądając na zamaskowane twarze wokół siebie, Jessica zrozumiała, że Francis miał rację. Nikt jej tu nie znał ani nikogo nie obchodziło, kim jest. Oblicza otaczających ją ludzi były ukryte pod różnorodnymi maskami. Niektóre z nich były bardzo wymyślne, żeby nie powiedzieć dziwaczne. Stroje zarówno mężczyzn, jak i kobiet zadziwiały bogactwem różnorodnych ozdób

kolorowych wstążek, satynowych rozetek, figlarnych kutasików oraz innych barwnych dodatków. Przy kostkach u nóg dynały złote dzwoneczki, a szyje zdobiły sznurki szklanych paciorków. Dźwięki tamburynów, baskijskich bębenków, fletów i mandolin napełniały powietrze melodyjną wrzawą. Wynajęci



przez Francisa ludzie do noszenia pochodni zaczęli śpiewać ludową piosenkę, którą stojąca w pobliżu gawieź natychmiast ochoczo podchwyciła. Rubaszne słowa zaskoczyły nienawykłą do takich tekstów Jessicę, ale jednocześnie jakoś dziwnie miło podnieciły. Poczwała się, jakby popełniła grzech, ale bardzo przyjemnego rodzaju.

Z pieśnią i śmiechem na ustach towarzystwo minęło kręty labirynt wąskich uliczek i znalazło się na głównym placu miasta. Olbrzymią otwartą przestrzeń wypełniał rozbawiony tłum. Zabawa sięgnęła zenitu. Na placu było jasno jak w dzień od świateł tysięcy pochodni. Sprężysti akrobaci, ubrani w zielone i czerwone prążkowane rajtuzy, fikalili koziółki i wykonywali inne karkołomne akrobacje w zabytkowym portyku wielkiej bazyliki. Zwinni kuglarze żonglowali w powietrzu piłkami tak szybko, że sprawiały wrażenie wirujących tęczowych kół. Jakiś przedsiębiorczy człowiek ubrał kilka młodych białych piesków w czerwone marszczone kołnierzyki i złote wstążki. Ku wielkiej uciechu widowni, zwierzęta tańczyły w takt muzyki na tylnych łapkach.

Francis odprawił ludzi z pochodniami. Na placu było dostatecznie dużo światła. Grupa mężczyzn w groźnie wyglądających maskach przepychała się ku nim przez tłum. Jeden wskazał palcem prosto na Jessicę. Zamarła. Czyżby stało się to, czego się tak obawiała? Czy lord Bardolph celowo uśpił jej czujność i wciągnął w karnawałowe szaleństwo, aby tym łatwiej rzucić ją na pastwę tych, którzy chcieli ją skrzywdzić? Zerknęła na Anglika, ale za diabelską maską nie była w stanie dojrzeć wyrazu jego oczu. Czy to on wyda rozkaz, aby zawlec ją do straszliwej kaplicy Saint Theodore, za sędziowski stół inkwizycji?

Jej obawy pierzchły, gdy przywódca pstrokatej bandy powiedział ze śmiechem:

- Serwus, kapitanie. Myślałeś, że uda ci się ukryć swe wielkie ciało przed naszym okiem?

Nobe w odpowiedzi roześmiał się gromko.

- To ty, Sebastianie! Wyglądasz, jakbyś nie trzeźwiał nawet na chwilę od czasu, kiedy się z wami rozstałem. - Uśmiechnął się do Jessiki. - Nie lękaj się, maleńka. To członkowie mojej załogi i najwspanialsze zabijaki, z jakimi Turcy mieli kiedykolwiek do czynienia.

Jessica nie wiedziała, czy ma odetchnąć z ulgą, czy wpaść w jeszcze większe przerażenie. Ludzie Nobe'a wyglądali niezwykle groźnie. Francis otoczył ramieniem jej drżące plecy i przyciągnął bliżej do siebie.

- Wydaje się, że twoi żeglarze przerazili nieco naszą damę, Nobe. Dołącz do swoich przyjaciół i idź z nimi poszukać bardziej swawolnego towarzystwa. Ja zaopiekuję się Jessicą.

Dziewczyna z wolna odzyskiwała równowagę; Bijąca od Francisa siła i pewność przywróciły jej dobry nastrój. Czowała wyrzuty sumienia, że zważyła w jego dobre intencje.

Nobe spojrzał na nich i jego rysy się wyostrzyły, a oczy zasnuła mgiełka. Powiedział coś po angielsku do Francisa. Jessica nie rozumiała słów, ale poczuła, jak ciało jej towarzysza zeszywniało.

Niezwykły wyraz oczu Nobe'a nie był niczym nowym dla Francisa. Znał dobrze to spojrzenie. Przekonał się już niejednokrotnie, że osobliwe wizje Murzyna zazwyczaj się sprawdzają.

- Daj tej małej gołąbeczce noc, która na długo zostanie w jej pamięci, przyjacielu - polecił mu Nobe głębokim głosem. - To jest jej pierwszy karnawał w Wenecji, a także ostatni.

Francis przycisnął Jessicę do siebie jeszcze mocniej.

- Co widzisz?

- Niebezpieczeństwo - szepnął mu Nobe do ucha. - Przybliży się z każdą chwilą.

Francis omiół wzrokiem plac wypełniony rozbawionym tłumem. Dotknął palcami rękojęści rapiera.

- Czy mam ją odprowadzić do domu już teraz?

- Nie musisz. Nieszczęście nie wydarzy się jeszcze tej nocy. Nie jestem w stanie powiedzieć jakie, ale wiem, że zagraża. Wierz mi, Francisie, ono jest bardzo realne. Dzisiejszej nocy wszystko jeszcze będzie dobrze. Baw się i wesel. Niech następne godziny upłyną wam obojgu w szczęściu i radości. Ja pójdę pohulać ze swymi towarzyszami. O świcie rozpocznę odpowiednie przygotowania.

- Co to za niebezpieczeństwo?

Przyjaciel położył mu na ramieniu wielką czarną dłoń.

- Słuchaj tego, co mówię. Na dzisiejszą noc odrzuć od siebie wszelkie troski. Ciesz się tą radosną chwilą, którą darował wam stwórca. Od jutra zacznę szykować statek, by jak najszybciej opuścić Wenecję. A teraz uśmiechnij się, mój przyjacielu, ponieważ widzę, że twoja gołąbeczka przestraszyła się nie na żarty.

- Niech piekło pochłonie twoją wyobraźnię, Nobe! Jesteś jak kruk kraczący na gałęzi. Twoja wizja stłumiła wszelką radość w moim sercu.

Nobe uśmiechnął się do Jessiki i łagodnym głosem odezwał się do niej po włosku:

- Przestań trząść się ze strachu, madonno. Poleciałem tylko swemu przyjacielowi, aby cię dobrze strzegł. Twoja piękność będzie zwabiać ku tobie mężczyzn, tak jak plaster miodu zwabia roje pszczół.

Ściągnęła wargi, zanim odrzekła:

- Nie rozumiem wprawdzie waszego języka, ale mam wrażenie, że rozmawialiście o poważnych sprawach.

- To prawda. Wspaniale potrafisz czytać w ludzkich myślach. Poleciałem tej zakutej pale, swemu przyjacielowi, żeby

przede wszystkim zadbał o to, byś się dobrze bawiła dzisiejszej nocy. Uśmiechnij się zatem do nas obydwóch. Niech nasze serca napęlnią się światłem twojej słonecznej natury. A teraz pozwól, że was opuszczę. Zostawiam cię w znacznie ciekawszym towarzystwie niż moje. - Zwracając się do swych marynarzy, wykrzyknął: - Hej, chłopcy! Ruszajmy na poszukiwanie największej beczki wina w Wenecji! Kto pije ze mną?

Mężczyźni odpowiedzieli rykiem radości. W ciągu sekundy towarzystwo zniknęło w tłumie. Francis nie na żarty zaniepokoił się przepowiednią Nobe'a, ale na razie pocieszał się tym, że dzisiejsza noc minie w spokoju. Popatrzył na Jessicę. Dla dobra tej słodkiej dziewczyny musi odrzucić od siebie złe przecucia i dać jej to, co polecił Nobe: noc, która do końca życia zapadnie im w pamięć.

Ujął jej podbródek. Chciał patrzeć wprost w ciemne oczy dziewczyny.

- Nobe lubi pleść byle co - wyjaśnił. - Nie zwracaj na to uwagi. Jesteś głodna? Wypatrzyłem kram ze słodyczami przy tamtej kolumnie.

Wargi nadal jej drżały, ale zdobyła się na uśmiech.

- To świetnie. Przepadam za słodyczami, milordzie.

Nachylił się ku niej bliżej.

- Proszę, Jessico, nazywaj mnie Francisem. - Marzył, by usłyszeć swe imię w jej słodkich ustach.

- Nie sądzę, abym się zdobyła na taką śmiałość, milordzie. Nie jestem godna tego zaszczytu.

Przysunął się jeszcze bliżej, skuszony soczystymi wargami.

- Jesteś tego bardziej niż godna, madonno - wyszeptał. - Nawet nie wiesz, kim jest ten, kto prosi cię o tę łaskę. Proszę, zwracaj się do mnie po imieniu.

Wysunęła język i zwilżyła nim wargi.

- Obydwoje ukrywamy dzisiaj pod maskami naszą prawdzi-

wą tożsamość. Na tę jedną noc zastosuję się zatem do pańskiego życzenia, ale jutro...

- Niech diabeł porwie jutrzejszy dzień.

Ogarnęła go żądza, podsycana nieodpartą potrzebą chronienia i osłaniania Jessiki. Przygarnął ją do siebie i trzymał przytuloną do swej szerokiej piersi.

- Jak ja mam na imię, Jessico? - dopytywał się cichym głosem, zanurzając twarz w czarnych jedwabistych splotach.

Delikatne, niczym skrzydło motyla, długie rzęsy dziewczyny zatrzepotały przy jego policzku.

- Francis - szepnęła. Różane wargi domagały się pocałunku.

Westchnęła spazmatycznie; jej wonny oddech owionął mu twarz. Przesunął wargami po jej ustach, napawając się ich delikatną słodyczą.

Jessica drżała w jego uścisku.

Francis zajrzał w piękne oczy połyskujące ogniście spoza maski. Były rozszerzone ze zdziwienia - a może z lęku.

- Błagam o przebaczenie, pani - szepnął, nie wypuszczając jej jednak z objęć. - Przestraszyłem cię. Przebacz mi. Zbyt długo przebywałem z dala od domu. Jestem szorstki i obcesowy; stanowią przeciwieństwo dobrego kochanka.

Koniuszkami palców dotknęła warg nabrzmiąłych od jego namiętnych pocałunków.

- Pan nie musi mnie przeproszać, milordzie, to jest Francisie. To ja sprowokowałam cię do pocałunku. Wina leży po mojej Stronie.

Pogłaskał ją po włosach, żałując, że nie ma dość odwagi, by wyjąć wstążki wplecione w te kruczoczarne sploty.

- To niemożliwe. Ty nie masz żadnych wad, słodki aniele.

W ramionach Francisa Jessice było tak dobrze, że nie miała

ochoty ich opuszczać. Kiedy uniosła głowę i spojrzała w głąb jego oczu, dostrzegła w nich rozdzierającą serce czułość. Drgnęła wstrząśnięta.

- Jestem dziewczyną bez wykształcenia, bez szkoły, bez żadnej wprawy w sztuce miłości - wyznała. Policzki paliły ją pod maską żywym ogniem.

Francis odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Powiedz mi, cara, czy ktoś cię kiedyś całował?

Jego głęboki melodyjny głos podziałał na nią jak kubek mocnego wina. Próbowwała opanować dreszcz podniecenia, który przebiegł wzdłuż kręgosłupa, ale na próżno. Oparła się rękami o jego pierś, żeby nie stracić równowagi. Obawiała się, że kolana nie zdołają utrzymać jej ciężaru i upadnie na kamienny bruk.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Nie, Francisie - odparła, rozkoszując się dźwiękiem imienia. - Żyję przecież jak pustelnica.

Ciepło jego męskiego ciała rozgrzało jej zziębnięte członki. Rozbawiony tłum zniknął jej sprzed oczu. Muzyka, dzwoneczki, śmiech, radosne głosy i pieśni odbijały się w jej uszach jedynie głuchym echem. Tylko Francis był realny. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by dotknąć palcami jego skóry. Zapominając o wszystkich przestrożach i ostrożności, uniosła się na palcach i objęła Francisa za szyję. Palce zatopiła w złocistej czuprynie.

Roześmiał się cicho.

- Pozwól, że teraz ja przejmę inicjatywę - wyszeptał, unosząc ją w ramionach. Musnął wargami jej usta. Tym razem jego pocałunek był delikatny, ale Jessica czuła namiętność, jaką pulsowały wargi Francisa. Zacisnęła mocniej ramiona na jego szyi i z bezwstydną gorliwością oddała pocałunek.

Sama była zdumiona swoją śmiałością, mimo to wciąż tu-

liła się do Francisa, Kiedy ponownie spróbował wsunąć język między jej wargi, rozchyliła je zachęcająco. Krew pulsowała jej w skroniach, w głowie wirowało. Na szczęście Francis trzymał ją mocno. Oderwał teraz usta od jej rozpalonych warg i przesunął w stronę ucha, by delikatnie popieścić jego płatek. Następnie zniżył głowę do szyi, obsypując ją gradem, lekkich, delikatnych pocałunków. Jessica westchnęła z rozkoszy.

Na koniec pocałował ją w dołek u nasady szyi i przerwał pieśczoły.

- Idziesz do głowy jak mocne wino - stwierdził ochryple.  
- Gdybyś wiedziała, jak bardzo cię pożądam, przeraziłabyś się ogromem tej namiętności.

Postawił ją z powrotem na ziemi, ale nie cofnął ramienia, którym otaczał jej szczupłą kibić.

- A teraz proponuję, byśmy napili się wina, a potem znowu puścili w tany. Daję ci słowo, Jessico, że jest mi tak lekko na duszy jak małemu chłopcu, który nie zaznał jeszcze żadnych zmartwień ani trosk. Wprost trudno mi w to uwierzyć. Nie przesadzam ani trochę.

Chociaż tęskniła za dotykiem jego ust, nie mogła się z nim nie zgodzić. Odetchnęła najpierw kilka razy głęboko, aby uspokoić bijące serce, po czym skinęła głową na znak zgody.

- Ja również chętnie się napiję. Jestem bardzo spragniona.  
- Przede wszystkim ciebie, dodała w myślach.

Minęła prawie godzina, nim Jacopo odszukał Anglika i signorinę Leonardo wśród rozbawionych ludzi na placu Świętego Marka. Lord Bardolph górował nad otoczeniem, a pstrokaty kapelusz przyozdobiony piórami sprawiał, iż jego postać jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Kiedy Jacopo ich dojrzał, para wirowała w żywiołowym tańcu moresca. Złożone z maleńkich

dzwoneczków bransoletki u ich nadgarstków dźwięczały srebrzyście.

Opierając się o kamiennego lwa z czerwonego marmuru, Jacopo obserwował tańczących. Myślami krążył wokół domu Jessiki, w którym znajdowała się tajemnicza skrzynka jej ojca. W wyobraźni widział ją wypełnioną po brzegi złotymi monetami i cennymi klejnotami. Za taki skarb Jacopo mógłby nabyć wielki pałac nad kanałem, kupić skrzynię pięknych ubrań i ożenić się z dziewczyną z najlepszej weneckiej rodziny. Stać by go także było na utrzymanie luksusowej kurtyzany. Chrząknął na tę myśl. Kto wie, może by mu się nawet udało kupić względy samej Cosmy?

Kiedy dziki mauretański taniec się skończył, Anglik pochwycił swą partnerkę w ramiona. Para bez najmniejszego skrepowania całowała się przez kilka minut na oczach ludzi, którzy klasali w ręce i okrzykami aprobaty kwitowali ich namiętne pieśczoty. Donna Cosma rozerwałaby tę dziewczynę na strzępy, gdyby widziała, do jakiego stopnia oczarowała lorda Bardolpha. Jacopo zastanawiał się, ile z tego, co zobaczył, może ujawnić swej zazdrosnej chlebodawczyni. Nie miał ochoty oberwać od niej pięścią po głowie za to, że przynosił złe wieści. Nic dziwnego, że Anglik wolał signorinę Jessicę. Miała o wiele przyjemniejsze usposobienie.

Było już dobrze po północy, a para wciąż nie opuszczała placu. Śmiali się, tańczyli, całowali, jedli pierniki, pili wino i bawili, oglądając ulicznych aktorów. Kazali też sobie stawiać karty w budzie u wróżki, a potem znowu się całowali. Trzymając w ręku kubek z winem, Jacopo przykucnął przy jednej z kolumn wspierających arkadę urzędowego budynku prokuratury, który graniczył z północną stroną placu. Częściowo zamknięty teren chronił zziębniętego młodzieniaszka przed hulającym po skwerze wiatrem. Nikt z bawiących się ludzi nie wydawał się



zrażać niską temperaturą. Dwóch murzynów z brązu na wielkiej wieży zegarowej uderzyło w dzwon trzy razy i nadal nikt, a najmniej już para, którą Jacopo obserwował, nie okazywał ochoty, aby wracać do domu, do ciepłych łóżek.

Kilka tygodni obserwacji pozwoliło mu wyrobić sobie zdanie o lordzie Bardolphie. Wiedział już, że Anglik nie jest człowiekiem rozpustnym. Był umiarkowany zarówno w jedzeniu, picciu, jak i korzystaniu z innych uroków życia, mimo iż usiłował uchodzić za lowelasa i hulakę. Jacopo, chociaż bardzo młody, był z pewnością bardziej zdemoralizowany. Co do signoriny Leonardo, jej zachowanie dzisiejszej nocy było całkowicie sprzeczne z tym, co wiedział o jej trybie życia i zwyczajach. Jacopo ziewnął. To widocznie zaraźliwa atmosfera karnawału wprawiła tych dwoje w stan szaleństwa.

Okolo czwartej nad ranem stopy Jacopo zamieniły się w dwa kawałki lodu. Był zdrętwiały z zimna i obolały. Ze swego stanowiska u podnóża wieży zegarowej spojrzął na parę, która znowu coraz bardziej poufale zaczęła się całować i pieścić. Ziąb dawno wypędził zazdrość z jego serca. Palce miał jak z lodu, uszy piekły go z zimna, a z nosa ciekło bezustannie. Jacopo nie przypominał sobie, by kiedykolwiek spędził noc w równie dokuczliwych warunkach.

- Basta - warknął w pelerynę. - Mam już dość patrzenia na te zaloty. Wystarczy mi tych umizgów przynajmniej na dziesięć lat. A niech się całują, nawet do południa, ja wracam do swego wyrka.

Zaczął przytupywać w miejscu, aby rozgrzać stopy. Lord Bardolph i jego nowa ukochana nie zwrócili na niego żadnej uwagi, nawet kiedy się do nich zbliżył.

- Oby wasze wargi zamarzły na stałe w tym pocałunku - burknął Jacopo, gdy ich mijał.

Dopiero na dźwięk tych słów odstąpili od siebie. Signorina

odwróciła się, ale lord Bardolph roześmiał się tylko wesoło. Wyciągnął dukata ze swej, wydawałoby się nie mającej dna, sakiewki i rzucił go Jacopo.

- Śpij dobrze, przyjacielu. Niech twoje sny będą równie przyjemne jak te, które ja miewam obecnie.

Jacopo nie czuł się na siłach odpowiedzieć mu uprzejmie. Ściskając złotą monetę, oddalił się pośpiesznie i zniknął w białym tumanie podnoszącej się znad ziemi, porannej mgły. Echo serdecznego śmiechu lorda Bardolpha gonilo go jeszcze dłuższą chwilę.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Niebo zabarwiło się już na cynowy kolor przedświt, kiedy zegar na wieży wydzwonił szóstą.

Jego dźwięk przypominał tony fletu. W ślad za nim, tradycyjnie - głębszą dostojną melodią zabrzmiały kuranty z Bazyliki św. Marka. Większość uczestników karnawału wróciła już na chwiejnych nogach do domów. Co bardziej religijni pociągnęli w stronę kościoła, kryjąc ziewanie za maskami.

Jessica wsunęła swą małą rękę w wielką ciepłą dłoń Francisca.

- Muszę iść na mszę - oznajmiła swym miłym niskim głosem.

Francis uścisnął lekko jej zziębnięte palce.

- Dlaczego, kochanie? Nie uczyniłaś nic złego. Kilka pocałunków to nie grzech - powiedział z uśmiechem.

Dobrze, że nie czytała w jego myślach. Zamiary, które chodziły mu po głowie w ciągu tej nocy, były o wiele bardziej grzeszne i nieprzyzwoite.

Jessica potrząsnęła głową i naciągnęła głębiej kaptur. Jej piękne, starannie uczesane włosy rozsypały się podczas szalonych tańców i spadały teraz na ramiona w czarującym nieładzie.

- To nie złe czyny minionej nocy skłaniają mnie do modlitwy - odrzekła, idąc do wielkich podwójnych drzwi kościoła.

- Są pewne rzeczy z przeszłości, za które muszę odpokutować - mówiła spokojnie, lecz ze stanowczością, która stawiała tamę wszelkim argumentom. - Nie musisz mi towarzyszyć.

Francis wcisnął mocniej kapelusz na czoło.

- Nie, małeńka. Odprowadzę cię do domu. Chcę mieć pewność, że dotarłaś do niego bezpiecznie. Poza tym... - Spojrzał na czarną żałobną przepaskę, którą nosił na lewym ramieniu.

- Powiniennem pomodlić się również za mego dziadka.

- Czy był dobrym człowiekiem?

Francis uśmiechnął się na wspomnienie sir Thomasa.

- O tak. Swoje dzieci uczył przede wszystkim dwóch rzeczy; po pierwsze kochać Boga, a po drugie - polować.

Jessica uśmiechnęła się.

- Żałuję, że go nie znałam. Chodźmy, pomódlmy się wspólnie w jego intencji.

Francis otworzył przed nią ciężkie drzwi i puścił ją przodem. Wciągnął powietrze przesycone zapachem stęchlizny i pleśni, rozgrzanego wosku oraz nieodłącznego kadzidła. Wnętrza wszystkich katedr i kościołów, jakie zwiedził podczas swych licznych podróży, pachniały tak samo. Przyglądał się złoconym mozaikom w górze nad ich głowami oraz figurom świętych o wielkich oczach, które wydawały się wpatrywać w nich natrętnie. W przepastnym wnętrzu tego kościoła wielbiono piękno niezmiennie od wieków, statyczne i martwe. Na zewnątrz celebrowano piękno lekkie i ulotne jak życie motyla. Gdyby powiedzieć prawdę, Francis o wiele bardziej wolał szeroką otwartą przestrzeń niż ten wspaniały, ale mroczny dom Boga.

Idąc za przykładem Jessiki, ukląkł na nierównych kamieniach i spróbował skupić uwagę na odprawiającym się nabożeństwie. Dopiero teraz poczuł, że jest zmęczony. Oczy piekły go z braku snu. Stłumił ziewanie i pomyślał z tęsknotą o łóżku - z nagą Jessicą przy boku. Otrząsnął się z tych nieczystych myśli i przeprosił Boga za chwilę nieprzystojnej słabości.

Kiedy znowu znaleźli się na placu, był już dzień. Wyłaniał się powoli z tumanu wilgotnej mgły, która białym welonem

okrywała odległą stronę placu. Jessica odrzuciła głowę do tyłu i wciągnęła w płuca rześkie ranne powietrze.

- Co za cudowna noc, Francisie! Dziękuję ci, że pokazałeś mi takie wspaniałe rzeczy. Pomyśleć tylko - mieszkam w Wenecji od urodzenia, a nie wiedziałam, że istnieją takie cuda. - Ujęła go pod ramię. - Mam uczucie, jakbym się od nowa urodziła. Dziękuję ci za to.

Francis był zadowolony, że zastosował się do rady Nobe'a. Wiedział, że on sam również nigdy nie zapomni tej czarodziej-skiej nocy. Przypomniawszy sobie wizję Murzyna i ogarnął go lęk. Przycisnął Jessicę mocniej do siebie.

- Przedłużmy tę przyjemność jeszcze trochę. - Wskazał na kilkadziesiąt wysmukłych łodzi kołyszących się na wodach kanału. - Odwiozę cię do domu jak prawdziwą damę - nie jak służącą.

Spojrzała na gondole.

- Prawdę mówiąc, rzadko korzystam z gondoli. Szybciej dotrzemy do mego domu, wracając bocznymi uliczkami. I tak wydałeś na mnie dość pieniędzy tej nocy.

Francis skinął ręką na gondoliera.

- A do czego służą pieniądze? Moja sakiewka jest do twojej dyspozycji. Dzięki Bogu, lord Cecil nie jest w stanie sprawdzić, na jaki cel wydaję jego fundusze.

Pomógł Jessicę wsiąść do gondoli. Ścisnęła mocniej jego rękę, kiedy łódź zakołysała się pod jej ciężarem. Gondolier unieruchomił łódź, czekając, aż Francis wejdzie do środka. Para zasiadła obok siebie wewnątrz małej kajuty na czerwonej pluszowej kanapce.

Francis zaciągnął grube ciemne zasłony, tak by blade promienie wschodzącego słońca nie przenikały do wnętrza.

- Przynajmniej jeszcze przez chwilę będziemy myśleli, że jest noc. - Po tych słowach wziął Jessicę w ramiona i przykrył oboje swą ciepłą peleryną.

- Czy pozwolisz mi łaskawie pocałować się raz jeszcze, caramia?

- Owszem, ponieważ moim zdaniem twoje wargi za dużo mówią. - Złożyła głowę na jego piersi i uniosła wzrok. - A za mało robią innych rzeczy i...

Francis nie potrzebował dalszej zachęty. Jego wargi spadły na jej usta, nim dokończyła zdanie. Jessica odpowiedziała na jego pocałunek z nowo rozbudzoną namiętnością.

Po dłuższym czasie Francis oderwał usta od nabrzmiąłych warg Jessiki.

- Potrafisz nieźle kusić, o pani. Mężczyzna przy tobie zupełnie traci rozsądek.

- Obawiam się, że ja też go straciłam. Stało się to dzisiejszej nocy, gdzieś tam, na placu - szepnęła.

Francis postanowił zapanować nad pożądaniem. Zanim dojdzie między nimi do zbliżenia, muszą być sobie pewni, wiedzieć, że mogą sobie ufać. Przesunął palcem po twarzy Jessiki, tuż pod krawędzią skórzanej maski.

- Czy zechcesz ją zdjąć, cara? - zapytał. - Obiecuję, że to, co zobaczę, nie zmieni mego stosunku do ciebie.

Powiedział to najdelikatniej, jak potrafił, ale skutek i tak był piorunujący. Czar przysł.

- Zbyt wiele żądasz - odparła zdławionym głosem Jessica.

Przeklinając w duchu swą niezręczność, zapytał ponownie:

- Czy nadal się mnie obawiasz? Czy sądzisz, że jestem nie-szczery?

- Jesteś najuczciwszym mężczyzną, jakiego znam, Francisie. Właśnie dlatego nie mam odwagi pokazać ci się bez maski. Twoje oczy znienawidzą to, co zobaczą - odparta, starając się zachować możliwie obojętny ton. - Jak również twoje serce - dodała.

Ujął jej dłoń i ucałował ze czcią.

- Prawdy nie można znienawidzić - odpowiedział.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Czyżby? - odparowała. - A czy prawda, którą usiłujesz ukryć przed sobą, nie jest ci nienawistna? Nienawidzisz jej za to, że cię boli.

Dźgnęła go tą uwagą jak sztyletem, w samo serce. Jak wytłumaczyć jej, że czuje w sobie pustkę? Że pragnął znaleźć swoje miejsca na ziemi? Sam miał trudności ze zrozumieniem tych spraw. Wiedział jedynie, że czuje do siebie obrzydzenie za to, kim jest, i że nie widzi przed sobą przyszłości. Matka zniszczyła jego widoki na szczęście siedem lat temu, kiedy ujawniła imię jego prawdziwego ojca - człowieka, który, jak Francis wiedział, nigdy go nie zaakceptuje jako syna. Aby nie burzyć spokoju w rodzinie Cavendishów, postanowił zachować dla siebie wstydliwą prawdę.

Francis milczał i nie odpowiadał na pytanie, więc Jessica mówiła dalej:

- Widzisz, ty masz swoją tajemnicę, a ja swoją.

Westchnął po czym wzruszył ramionami z rezygnacją.

- Tak, madonno. Przebacz mi, że zepsułem nasz dobry nastrój. - Ponownie ucałował jej dłoń. - Nie rozstawajmy się, proszę, z urazą w sercach i chłodem na ustach. Czas spędzony razem jest zbyt cenny.

Spoglądała na niego przez pełną napięcia chwilę, po czym skinęła głową na znak, że jest tego samego zdania. Teraz ona ucałowała jego rękę.

- Obejmij mnie, Francisie.

Wyciągnął do niej ramiona. Wtuliła się w nie i aż do końca podróży milczeli oboje. Francis wiele by dał, aby znaleźć sposób na rozwikłanie ich problemów. Ucisnął Jessicę mocniej i pocałował w głowę. Długie westchnienie wyrwało się z jej piersi.

Gondolier zastukał w dach kajuty, podrywając ich z kanapy.

- Most San Felice, messere! - zawołał. - Jesteśmy na miejscu.

- Dziękuję! - odkrzyknął Francis. - Poczekaj jeszcze chwilę.

Gondolier roześmiał się.

- Mogę czekać choć do końca świata, milordzie.

Francis ujął twarz Jessiki w dłonie.

- Ta noc na zawsze zostanie w mej pamięci, cara mia. Dziękuję ci za nią.

- Ja ci również dziękuję - odparła łamiącym się głosem. - Ona już wyryła się na zawsze w moim sercu. Dałeś mi dużo szczęścia. Nigdy nie zdołam ci się za nie odwdzięczyć.

- Zdołasz - odszepnął - jeżeli pocałujesz mnie na pożegnanie.

- Przycisnął ją z całej siły do siebie i przywarł ustami do jej warg.

Z jękiem oddała się bez reszty pieśczości. Francis przez dłuższą chwilę delectował się bliskością Jessiki, nasycał, napawając się jej smakiem i zapachem, nim na koniec uwolnił ją ze swoich objęć. Czekał jakiś czas, aż Jessica ochłonie, i dopiero wtedy rozsunał zasłony. Obydwoje zamrugali, gdy oślepiające słońce złotym strumieniem wlało się nagle do kabiny. Poranna mgła rozwiązała się już bez śladu.

Francis pomógł Jessice wydostać się na przystań, ale kiedy zaczął za nią iść z zamiarem odprowadzenia aż pod dom, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową odmownie. Bez słowa wyjaśnienia odwróciła się i puściła biegiem przez mały placzyk. Spoglądał za nią, dopóki nie znikła za niebieskimi drzwiami. Dopiero wówczas wstąpił z powrotem do łodzi.

- Do gospody „Pod Jesiotrem” przy moście Rialto - rzucił gondolierowi. Ziewnął, kiedy wysoki, obity srebrem, zakrzywiony dziób łodzi odbijał od nadbrzeża.

Jestem prawdziwym bękartem szczęścia, pomyślał jeszcze z melancholią w duszy.



Sofia rzuciła się do Jessiki, nim ta zdążyła zrzucić pelerynę i zdjąć maskę.

- No i co? - zapytała z podnieceniem. Oczy jej błyszczały.
- Wstałaś tak wcześnie czy tak późno idziesz spać?

Jessica oparła się o ścianę i ziewnęła. Tajemniczy uśmiech błąkał się po jej wargach, a w oczach igrały wesole ogniki.

- Nie strofuj mnie, Sofio. Tańczyłam w raju. Sofia zaśmiała się cicho.
- Czy lord Bardolph wyznał ci już miłość? Jessica spojrzała na nią ze zmarszczonym czołem.
- Bujasz w obłokach, Sofio. Nie jestem aż tak naiwna, by nie wiedzieć, że dla tego arystokraty jestem tylko kaprysem.
- Czy on źle się z tobą obszedł?!

Jessica uśmiechnęła się łagodnie i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Przeciwnie. Zachowywał się tak jak na dżentelmena przy stało. - Roześmiała się cicho i lekko zaczerwieniła.

Serce Sofii wezbrało radością. Z całej duszy pragnęła, aby Jessica wyszła za mąż i zakosztowała rozkoszy miłości. Dziewczyna jest najwyraźniej odurzona. Która by nie była, spędziwszy całą noc w towarzystwie tak przystojnego i czarującego młodzieńca jak lord Bardolph?

Jessica ziewnęła ponownie.

- Czy mam dziś rano jakichś pacjentów?

Sofia zastanawiała się przez chwilę.

- Jedynie starego Gippetta, któremu zabrakło maści na bolące kolana. Sama to załatwię. Idź do łóżka. Na moją duszę, żaden z ciebie pożytek, ani dla mnie, ani dla pacjentów. Przecież widzę, że zasypiasz na stojąco. Idź, nie chcę cię tutaj widzieć!

Przynajmniej raz Jessica potulnie zastosowała się do jej rady. Wciąż ziewając i potykając się co krok ze zmęczenia, ruszyła w stronę wąskich schodów.

Sofia wahała się przez chwilę, zanim spytała:

- Czy zdjęłaś maskę?

Jessica stanęła u podnóża schodów.

- Prosił, ale ja... ja nie zdobyłam się na to. Niech myśli chociaż jeszcze przez jakiś czas, że jestem bez skazy.

Sofia stanęła za jej plecami.

- Dziecko, on powinien znać prawdę. Jeżeli jest uczciwym człowiekiem, nie będzie to miało dla niego znaczenia.

Jessica potrząsnęła głową.

- To wszystko było snem. Cudownym snem w środku nocy. Nie chcę się jeszcze obudzić. - Nachyliła się i pocałowała Sofię w pulchny policzek. - Pozwól mi teraz zebrać w głowie wspomnienia tych wszystkich radosnych chwil. Muszą mi starczyć na całe życie. Wiem, że on wkrótce wyjedzie. - Westchnęła lekko i wstąpiła na schody.

Sofia spoglądała za nią z cichą modlitwą na ustach. Niech któryś ze świętych zlituje się i raczy spojrzeć łaskawym okiem na jej drogą Jessicę. Dziewczyna dojrzała już w pełni do małżeństwa. Potrzebowała czulego, a jednocześnie silnego mężczyzny, który by ją kochał i chronił przed nieprzychylnym światem. Dobry Bóg wie przecież, że ona i Gobbo zaczynają się starzeć. Kiedy opuszczą ten ziemski padół, kto zaopiekuje się Jessicą? Z pewnością nie jej zimny, pozbawiony uczuć ojciec.

Myśl o doktorze Leonardo przypomniawszy Sofii o skrzynce, ale nie chciała teraz przeszkadzać. Niech dziewczyna wyśpi się i pomarzy we śnie o swym urodziwym kawalerze. Będzie jeszcze dużo czasu, aby poinformować Jessicę o wizycie ojca. W tej chwili skrzynka i jej tajemnicza zawartość spoczywają bezpiecznie w miejscu, w którym zostały ukryte.

Jessica leżała na pelerynie z czerwonego adamaszku - naga. Kruczoczarne włosy rozsypane w nieładzie na poduszce ostro

kontrastowały ze szkarłatnym tłem pokrowca. Wyciągała obnażone ramiona do Francisa, rozchylając w oczekiwaniu różane usta. Choć twarz w dalszym ciągu ukryta była pod maską, jej zgrabne kształty i dźwięczny głos były dla Francisa dręczącą pokusą. Gondola zakołysała się lekko na spokojnych wodach laguny, kiedy brał ją w ramiona i wyciągał przy niej swe długie ciało. Promienie wschodzącego słońca tańczyły po gładkiej powierzchni morza i zalewały kochanków pomarańczowo-różowym światłem, jak gdyby Bóg, wraz z nowym porankiem, zsyłał im swoje błogosławieństwo.

Jej skóra o barwie kości słoniowej przypominała w dotyku szlachetny jedwab. Westchnęła z zadowolenia, kiedy przeciągnął dłonią po jej ciele, w dół, do łagodnie zaokrąglonych bioder. Westchnęła z rozkoszy, kiedy ujął w dłoń krągły pośladek.

Francis pochylił głowę i wziął w usta śniady sutek. Najpierw jeden, potem drugi. Drażnił je kolejno, aż zamieniły się w dwa naprężone paczuszki. Jessica wygięła się w łuk, prosząc o dalsze, śmielsze pieszczoty. Jęcząc chwyciła go za ramiona i przyciągnęła do siebie. Jej miękkie piersi przylgnęły do obnażonego męskiego torsu, potęgując pożądanie.

Całując, szeptał jej do ucha pełne miłości słowa. Odpowiadała tym samym, zapewniając go o swej miłości i oddaniu. Początkowo jego pocałunki były łagodne i czułe, jak podmuch letniego wiatru. Jego wargi muskały jej usta tak subtelnie i delikatnie, jak gdyby dotykał ich ptasim piórkiem. Rozchyliła wargi obiecująco, zachęcając do śmielszej pieszczoty. Posłuchał wezwania i przylgnął do nich z zachłanną gwałtownością. W odpowiedzi przycisnęła się do niego całym ciałem.

Francis przesunął ręce wzdłuż boków, aż do granicy smukłych ud. Westchnęła z rozkoszy i jęknęła cicho, gdy dotknął wrażliwego miejsca. Była gotowa przyjąć go w siebie. Skręcała się i wiała, kiedy niespiesznie prowadził ją na szczyt najwyższe-

go uniesienia. Z odrzuconą do tyłu głową i zamkniętymi powiekami chwytala się kurczowo jego ramion, błagając o wyzwolenie z miłosnych tortur.

- Och, lordzie Bardolphie!

- Mów do mnie Francisie - zażądał głosem ochrypłym z pożądania.

Potrząsnęła go za ramię.

- Lordzie Bardolphie - powtórzyła, tym razem z jeszcze większym naciskiem.

Umościł się wygodnie między jej złotawymi biodrami.

- Francisie - poprosił raz jeszcze. Uniósł się nad nią, by za chwilę oboje mogli popłynąć na fali rozkoszy...

- Lordzie Bardolphie, proszę się obudzić! - Ktoś z całej siły potrząsnął go za ramię.

Francis usiadł sztywno w zmiętej pościeli.

- Co się dzieje?! - wykrzyknął.

Służący odskoczył, jak gdyby dotknął rozżarzonej głowni.

- Przepraszam, milordzie, ale na dole czeka dama, która koniecznie chce się z panem zobaczyć.

Francis przeciągnął ręką po oczach, aby odpędzić resztki snu. Był wściekły na chłopca za to, że obudził go w najprzyjemniejszym momencie sennego marzenia.

- Co to za dama? - warknął, spuszczaając z łóżka długie nogi.

Służący wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ma na twarzy maskę i nie podała nazwiska.

Gniew opuścił Francisa.

- Czy ta dama jest ładna? - zapytał, wciągając nogawice.

Chłopak skinął głową twierdząco.

- Bardzo ładna, milordzie.

Jessica! Zaśpiewało mu w piersi. Rozbudzone snem zmysły dały o sobie znać podniecającym dreszczem. Przyszła do niego

w biały dzień. Pośpiesznie wciągnął koszulę i kaftan. Nie zawiązywał sznurówek w nadziei, że za niedługą chwilę i tak zdejmie to, co w tej chwili na sobie wkładał. Przejechał palcami po miękkich zmierzwionych włosach, mając nadzieję, że Jessica nie weźmie mu za złe, że się dotychczas nie ogolił.

- Która godzina? - zapytał. Przeplukał usta wodą z dzbana. Żałował, że nie ma liści mięty dla odświeżenia oddechu.

- Minęło południe - odpowiedział służący. - Myślę, że dochodzi pierwsza.

- Coś podobnego! - mruknął Francis, rozglądając się za filcowymi kapciami.

W tym momencie drzwi otworzyły się szeroko i dama stanęła na progu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Z Francisa dobry nastrój, energia i męstwo ulotniły się w jednej sekundzie. Jeszcze nim kobieta zdążyła zdjąć maskę, rozpoznał Cosmę. Serce uciekło mu w pięty.

Służący przeniósł wzrok z Francisa na Cosmę, a następnie z powrotem na Francisa.

- Czy mam przynieść coś do jedzenia, milordzie?

Nim Cosma zdążyła otworzyć ukarminowane usta, Francis potrząsnął głową.

- Nie trzeba, chłopcze. Dziękuję ci. Odejdź i zamknij za sobą drzwi.

Gdy tylko zostali sami, Cosma rzuciła Francisowi ogniste spojrzenie i uśmiechnęła do niego przymilnie. Następnie zrzuciła pelerynę i okręciła się dookoła, aby ją zobaczył ze wszystkich stron. Ubrana była w suknię z kosztownej złotej tkaniny, o podwyższonej talii, która miękkimi fałdami opadała wzdłuż jej pełnego kobiecego ciała. Biała wąska kryza, stanowiąca obramowanie dekoltu, ledwo przykrywała sterczące sutki. Rąbek sukni od kolan zdobiły złote frędzelki, przez które bezwstydnie wyzierały zgrabne nogi odziane w białe przezroczyście pończochy. Złote satynowe różyczki zdobiły podwiązki oraz czubki pantofelków. Kasztanowe włosy upięte na głowie w loki przepłatały sznury drogocennych pereł. Perfumy o zapachu damasceńskich róż otaczały ją mgiełką. Nie ulegało wątpliwości, że Cosma postanowiła użyć całej swej uwodzicielskiej sztuki, aby odzyskać kochanka. Każdy odsłonięty skrawek ciała każdy

ruch i spojrzenie miały tylko jedno na celu - kusić, podniecać i wzbudzać od nowa pożądanie Francisa.

Wyzywający strój Cosmy wywołał jednak skutek odwrotny od zamierzonego. Francis stał się jeszcze bardziej oziębły. Jak sztucznie i wulgarnie wyglądała w porównaniu z naturalną urodą Jessiki.

- Wybacz mi - rzekł niezbyt uprzejmie. - Spałem, kiedy przyszedłaś.

Koci uśmiech Cosmy stał się jeszcze przymilniejszy.

- Wobec tego wracaj do łóżka - ze mną - szepnęła pieszczotliwie. - Zapewniam, że będziesz miał po tym rajskie sny. - Postąpiła w kierunku nie zasłanego łóża.

Francis zastąpił jej drogę. Nie mógł dopuścić do tego, aby przeprowadziła swój całkiem przejrzysty plan. Wskazał jej taboret, który był, poza łóżkiem, jedynym meblem w ciasnym pokoiku. Udała, że tego nie widzi.

- Nie jestem w nastroju do miłosnych igraszek. - Starannie zawiązał troczki kołnierzyka i szczelnie zapiął kubrak. Chciał jej dać tym do zrozumienia, że nie mówi tego dla żartu. - Czego sobie życzysz?

Cosma oblizwała wargi, jakby próbowała miodu.

- Ciebie - odparła chrapliwym głosem. Wyciągnęła do niego rękę. - Płonę z miłości do ciebie.

Francis odstąpił do tyłu.

- Obawiam się, że będziesz musiała rozejrzeć się za innym kochankiem. Jestem już tobą zmęczony.

Odeła kapryśnie wargi, tak jak to tylko ona potrafiła.

- Pozwól mi zatem ponownie rozbudzić twoje zainteresowanie. - Wyciągnęła koronkową chusteczkę z torebki wiszącej u paska i przyłożyła do suchych oczu. - Dawniej nie byłeś taki okrutny. Dlaczego traktujesz mnie tak haniebnie? Wszak jesteśmy parą dobrych przyjaciół. - Podeszła, usiłując go objąć.

Jej dotyk wywołał u Francisa dreszcz odrazy. Chwycił ją za nadgarstki i odciągnął jej rękę.

- Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, Cosmo. To, co nas ze sobą przez jakiś czas łączyło, było wyłącznie układem podyktowanym obopólnym interesem. Teraz się skończyło.

Była to prawda. Cosma z dumą zaprezentowała nowego kochanka swoim licznym znajomym i adoratorom: bogatym kupcom, radnym, młodym arystokratom - mówiąc krótko, wszystkim, których osoby z racji powierzonej mu misji interesowały Francisa. Puścił ją, a następnie podszedł do miednicy z wodą i ostentacyjnie zaczął myć rękę, tak jakby poczuł się zbrukany jej dotknięciem. Aluzja była okrutnie przejrzysta. Francis nie wątpił, że Cosma ją zrozumie.

- Dobrze na mnie zarobiłaś - mówił dalej, wycierając starannie palce. - Nie żałowałem ci dukatów.

Cosma zbladła z gniewu pod warstwą różu. Spojrzała na Francisa z wyrzutem. Zarzuciła przymilny ton. Wściekła wykrzyzczała:

- Powinieneś się wstydzić! Oszukiwałeś mnie!

Francis spojrzał na nią z szyderczym uśmiechem.

- Schowaj pazurki. Zawsze byłem uczciwy w stosunku do ciebie -jako... hm, twój klient. W gruncie rzeczy płaciłem za twoje usługi dwa razy więcej, niż ci się należało. To ty oszukiwałaś siebie. - Podszedł do niej bliżej. - Spojrzyj w swoje serce. Tam znajdziesz kłamstwo.

Szarpnięciem rozpięła stanik. Kilka ozdobnych pereł upadło na podłogę i potoczyło się pod łóżko. Jej sutki, stwardniałe ze wzburzenia, były pomalowane na sztucznie czerwony kolor.

- Powiedz mi, Francisie, czy twoja męskość też zareaguje fałszywie, kiedy weźmiesz w rękę te kuszące pagórki? Kiedyś modliłeś się do nich na kolanach.

Francis skrzywił się na to wspomnienie. Poniżył się dla dobra



króla Edwarda, angielskiej floty handlowej, oraz chwały świętego *Jerzego* - a nie z zachwyty dla urody Cosmy. Jej pomalowane na czerwono sutki wyglądały śmiesznie i nienaturalnie. Prawie nie poruszając wargami, odpowiedział:

- Fałszywe bałwochwalstwo.

Potrząsnęła ramionami. Jej ciężkie piersi zafalowały przy tym ruchu.

- Powiedz mi, czy ta czarnowłosa flądra też ma taką piękną parę cycuszków jak ja? A może są tak samo zdeformowane jak jej twarz?

Spojrzał na nią oczyma płonącymi z gniewu.

Cosma wysunęła podbródek.

- Jeszcze z nią nie spałeś? - zapytała szyderczo. - W Wenecji taka cnota to rzecz chwalebna. Czy widziałeś kiedykolwiek jej twarz bez maski? - wypluła z siebie z pogardą.

Francis zacisnął usta. Gdyby nie to, że był dobrze wychowany, bez wahania wyrzuciłby tę babę przez okno. Rozciągnęła wargi w jadowitym uśmiechu.

- Nie dziwię się signorinie Jessice za to, że nie dopuszcza cię do siebie. - W głosie Cosmy zadźwięczała groźba. - Uwierz mi, Francisie. Wstrząśnie tobą widok jej odsłoniętej twarzy.

Atak na Jessicę stał się kroplą, która przepełniła kielich gorzkości. Francis nie był już w stanie opanować wściekłości.

- Wynoś się! - rozkazał.

Cosma cofnęła się przestraszona wybuchem. Podniosła szybko z podłogi pelerynę i rozpostarła ją przed sobą na odległość ramienia, niczym ochronną tarczę. Głos jej drżał.

- Pożałujesz... tych słów, Angliku - wyrzuciła z siebie. Gorące łzy - tym razem prawdziwe - trysnęły jej z oczu. - Mam w tym mieście wielu przyjaciół, więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Jessica Leonardo jest śmieciem, z którego należy oczyścić Wenecję.

Francis zacisnął pięści. Nie przypominał sobie, by jakakolwiek kobieta doprowadziła go kiedyś do takiej furii jak Cosma - nawet jego niewydarzona matka.

- Precz! - wrzasnął, nie panując już dłużej nad sobą.

- Sama obecność Jessiki zatruwa powietrze naszego zacnego miasta - rzuciła Cosma w rewanżu.

Francis złapał ją za ramiona i oderwał od podłogi.

- Ostrzegam cię, dziwko! Nie waż się skrzywdzić donny Jessiki. Jest uczciwa i czysta, podczas gdy tobie te cechy są całkowicie obce. - Miał ogromną ochotę potrząsnąć nią jak szmacianą lalką, ale w porę się pohamował. Opuścił ją na ziemię i odwrócił do niej tyłem.

- Uważasz, że z niej rzeczywiście takie niewiniątko? Musisz się jeszcze wiele nauczyć, drogi lordzie Bardolphie.

Zaniepokojony groźbą dźwięczącą w głosie Cosmy, Francis odwrócił głowę w jej stronę, ale Cosma wybiegła już z pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Zadowolony, że się jej wreszcie pozbył, Francis usiadł na łóżku. Bezwiednie potarł prawe ramię. Ból w starej ranie znowu się odezwał. Kiedy ochłonął z gniewu, przypomniał sobie pogroźkę rzuconą przez Cosmę na odchodnym. Wstrząsnął się na myśl o zemście, którą groziła Jessice. Czy właśnie takie niebezpieczeństwo przewidywał Nobe? Francis spojrzął na puste łóżko po przeciwnej stronie izby.

Gdzie, do diabła, podziewa się Nobe?

Cosma miała już w głowie cały plan, nim dotarła do domu. Francis bez wątpienia wpadł w złowieszcze sidła tej niegodziwej czarnowłosej wiedźmy. Im szybciej Jessicę Leonardo spotka zasłużony los, tym bardziej będą się czuli bezpieczniejsi obywatele Wenecji - zwłaszcza Francis. Raz uwolniony spod diabelskiego zauroczenia, odzyska zdrowy rozsądek i ponownie

zacznie się starać o względy Cosmy. Nic nie zdoła pokrzyżować jej ambitnych planów, nawet czarna magia. Jessicę czeka los wszystkich czarownic - spłonie na stosie bądź zostanie utopiona w wodach laguny. Jak ten koniec będzie wyglądał, niewiele to Cosmę obchodziło. Z chwilą gdy wstąpi na pokład statku zmierzającego do Anglii, jako nowa lady Bardolph, signorina Jessica będzie już tylko mglistym wspomnieniem.

- Nerisso! - wykrzyknęła Cosma. Cisnęła pelerynę w róg pokoju.

Służąca pospiesznie stawiała się na wezwanie. Z osłupieniem spojrzała na podartą suknię i rozplómiętą gniewem twarz swojej pani.

- Madonno! Co się stało?

Cosma usiadła przy biurku.

- Milcz! - wrzasnęła. - Przynieś mi przybory do pisania i kałamarz z atramentem. Przestań się na mnie .gapić! Czyżbym zzieleniała jak stary mosiądz?

- Si.. nie -jąkała się oszołomiona dziewczyna. Pospieszyła do saloniku, aby przynieść żądane przedmioty.

Cosma bębniła palcami po zielonym aksamicie. Spoglądała przez okno na różowo-biały pałac po drugiej stronie szerokiego kanału, ale jej oczy były całkowicie ślepe na delikatne piękno jego mauretańskiej architektury. Głowę miała zaprzątniętą wyłącznie listem, który zamierzała napisać do Rady Dziesięciu - instytucji odpowiedzialnej za bezpieczeństwo republiki. Kilku z jej byłych kochanków wchodziło w skład tego najważniejszego politycznego urzędu. Gdy tylko się dowiedzą o małej tajemnicy Jessiki i zagrożeniu, jaką jej obecność stanowi dla miasta, rada bezzwłocznie usunie z Wenecji rywalkę Cosmy.

Kiedy Nerissa wróciła z kałamarzem i skórzaną teczką, w której Cosma trzymała papier i pióro oraz воск do pieczęto-

wania listów, jej pani wysłała ją do kuchni po wino i słodkie wafelki.

Zostawszy sama, Cosma zanurzyła gęsie pióro w kałamarzu i skreśliła pierwsze zdanie.

„Wielce Szanowni Panowie, członkowie Rady Dziesięciu...

Dyktowane jadem nienawiści słowa spływały jedno po drugim na rozłożoną kartkę. Cosma donosiła, że ma podstawy do podejrzeń, iż Jessica Leonardo, córka znanego marrano doktora Leonardo, powróciła do żydowskiej wiary przodków. Wiedziała, że powyższa informacja zainteresuje Święte Oficjum. Co więcej, pisała dalej, signorina Leonardo ma szpetną brunatną plamę na jednym policzku, widomy znak jej powiązania z nieczystymi siłami. Jessica ma niespotykaną moc uzdrawiania ciała, ale wykorzystuje ją również do deprawowania umysłów. Zdołała już zaczarować angielskiego arystokratę, który od kilku miesięcy bawi w Wenecji jako turysta. Mieszkańcy miasta nie będą mogli czuć się bezpiecznie, dopóki w obrębie jego murów przebywa niebezpieczna czarownica. Miasto musi się pozbyć tej bezbożnej kobiety, nim zdąży ona doprowadzić do zguby dalsze niewinne dusze.

Cosma przeczytała półgłosem gotowy list, akcentując szczególnie oskarżycielskie określenia. Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wstawi również tutaj takie słowa jak „zdrada” i „herezja”. Wystarczą, aby członkowie rady zażądali jednogłośnie głowy Jessiki Leonardo.

Skończywszy pisanie, odchyliła się w fotelu i pociągnęła łyk wina, przyniesionego przez Nerisę. Kiedy atrament wysechł, złożyła papier we czworo, a potem kapnęła nań kropelkę błyszczącego czerwonego wosku, żeby go zapieczętować. Nie podpisała listu. Pod tekstem nie widniał odcisk żadnego sygnetu, który by wskazywał na jego autora. W Wenecji brak podpisu pod listem nie miał żadnego znaczenia. Do Jessiki należało udo-

wodnić niewinność przed radą. W ciągu tygodnia będzie mar-  
twa. Cosma wypłała wino i zadzwoniła na służącą.

- Si, madonno? - zapytała w chwilę później Nerissa.

Cosma zaczęła się wachlować złożonym listem.

- Czy Jacopo jest w domu?

Nerissa uśmiechnęła się, ukazując urocze dołeczki.

- Jest w ogrodzie, bawi się z małpką.

Cosma wykrzywiła wargi na samą wzmiankę o znienawidzo-  
nym zwierzęciu.

- Natychmiast przyślij do mnie Jacopa, ale bez małpy. Tylko  
szybko!

Służąca pobiegła w stronę schodów. Cosma spojrzała na roz-  
darty stanik, który wciąż miała na sobie. Wypada się chyba za-  
kryć, nim chłopak się zjawi? Zaśmiała się cicho. Nie. Jacopo  
ostatnio stał się bardzo pewny siebie. Czas sprowadzić go na  
ziemię, a czyż jest na to lepszy sposób niż sięgnąć do bogatego  
arsenału wypróbowanych sztuczek? Seks był zawsze niezawod-  
ną bronią Cosmy.

Kiedy Jacopo zobaczył jej obnażone piersi, o mało się nie  
przewrócił. Cosma udawała, że nie widzi żądy w jego  
oczach.

- Odnoszę wrażenie, że masz już dość pracy dla mnie? – za-  
częła bez ogródek.

Jacopo poczerwieniał. Jąkając się, odparł:

- N... nie, skądże, pani, nigdy.

Przeciagnęła się, wyginając plecy, tak by jej powabny biust  
wydał się jeszcze bardziej pociągający.

- Miło mi to słyszeć, Jacopo. Zastanawiałam się nad tym od  
jakiegoś czasu. Zresztą w tej chwili to już nie ma znaczenia,  
twoje zajęcie niedługo się skończy, mam nadzieję, że ku naszej  
obopólnej satysfakcji.

Przybliżył się do niej nieznacznie. Ślinił się jak niemowlę.

- Wynagrodzisz mnie, madonno? - Drżał na całym ciele z podniecenia.

Ukrywając uśmiech, Cosma wyprostowała się na siedzeniu.

- Oczywiście, jeżeli na to zasłużysz.

Jacopo oblizał wargi.

- Wypróbuj mnie, madonno.

Zmrużyła oczy.

- W odpowiednim czasie, nie wcześniej. Na razie żądam, byś nie odstępował na krok lorda Bardolpha.

- Przecież nic innego nie robię od dwóch tygodni.

Cosma nie znosiła, kiedy ktoś jej przerywał. Spojrzała na Jacopa ze złością.

- Musisz stać się jeszcze czujniejszy. W Wenecji za rogiem każdej ulicy czyha niebezpieczeństwo.

Chłopak wzruszył ramionami.

- Wenecja zawsze była niebezpiecznym miastem. Nieuważne stąpienie na śliskim molo, cios sztyletem głęboką nocą, uderzenie w głowę...

- Basta - wycedziła. Co za tępak z tego Jacopa. - Dosyć! Przyprawiasz mnie o ból głowy.

Rzucił się przed nią na kolana.

- Proszę, madonno! - Wciąż nie mógł oderwać wzroku od jej piersi.

- Nie gap się na moje piersi, tylko słuchaj uważnie, co do ciebie mówię.

Zamrugał szybko, ale nic nie odpowiedział. Cosma przesunęła palcem po okrągłej woskowej pieczęci na liście.

- Dobrze, a teraz słuchaj mnie bacznie, Jacopo. Napisałam list do Rady Dziesięciu.

Chłopak pobladł jak płótno.

- Jezu!

- Tak jest. Teraz twoim zadaniem będzie dopilnować, ażeby lord Bardolph nie wdał się w żadne starcie ze stróżami prawa, na wypadek jakiegokolwiek akcji z ich strony. Czy wyrażam się jasno, Jacopo?

Przełknął ślinę.

- Czy przewidujesz jakieś kłopoty, madonno?

Uśmiechnęła się, spoglądając na list, który trzymała w ręku.

- Owszem, przewiduję coś takiego i być może nastąpi to nawet najbliższej nocy.

- Dio mio! - wymamrotał.

- Nie obchodzi mnie ani trochę, co się stanie z przyjaciółmi lorda Bardolpha; ani z Jessicą Leonardo, ani tym afrykańskim wielkoludem. Ale Anglika nie może spotkać nic złego. Masz pilnować, aby nie wdał się w żadną burdę, nawet gdybyś musiał go gdzieś zamknąć siłą. Czy mnie rozumiesz, Jacopo?

Chłopak podniósł się z miejsca.

- Si, madonno - odparł. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

Cosma zrozumiała, że chłopak potrzebuje jakiejs zachęty. Bądź co bądź, Francis był znacznie silniejszy. Angielski lord, gdyby już przyszło co do czego, mógł w jednej chwili zamienić tego chuderlaka w krwawą miazgę. Wstała, podeszła do Jacopa i pocałowała go w usta. Dla spotęgowania efektu wsadziła mu głęboko język między wargi. Nim jego niezbyt bystry umysł ogarnął sytuację, nim zdążył wykorzystać swą rzekomą przewagę, oderwała się od niego i podeszła do okna.

- Idź już, Jacopo, i błagam, tylko mnie nie zawieź.

- Nigdy, madonno. - Dysząc ciężko, wybiegł z pokoju.

Wczesny zimowy zmierzch powoli zapadał za oknami. Nie wzywając Nerissy do pomocy, Cosma szybko ściągnęła postrzępioną złotą suknię i przebrała się w zwykłą, czarną. Na wierzch narzuciła czarną aksamitną pelerynę. Na koniec włożyła maskę

i wzięła ze stołu obciążający list. Stąpając jak najciszej, by nie obudzić czujności służby, zeszła na dół tylnymi schodami i wymknęła się z domu przez ogród.

Serce Cosmy biło niespokojnie, gdy z pośpiechem mijała kręty labirynt wąskich bocznych uliczek. Wszędzie pełno już było ludzi. Snuli się grupkami w oczekiwaniu nocy i szaleńczej karnawałowej zabawy. Cosma przyłączyła się do jednej z hałaśliwych grup i razem z nią przekroczyła most Rialto, by następnie odłączyć się i już samotnie zdążać do celu swej wędrówki. Skreśliła za róg Campo San Moise i zobaczyła to... bocca di leone, paszczę jednego z kamiennych lwów licznie rozmieszczonych po mieście. Przypominająca dekoracyjną rzeźbę na bocznej ścianie budynku osobliwa ozdoba była w rzeczywistości wewnętrzną skrzynką pocztową weneckiej tajnej policji. Przez jej otwarty pysk do zamkniętego pudła trafiały wszelkie donosy i anonimy, takie jak Cosmy. Kurtyzana wiedziała, że skrzynki opróżnia się kilka razy dziennie i że władze bezzwłocznie zapoznają się z ich zawartością. Bocca di leone miażdżyły w swych potężnych szczękach każdego, kto w jakikolwiek sposób naruszał prawa republiki.

Zwolniła tempo. Spokojnym już krokiem przeszła przez plac w stronę kamiennej paszczy. Nim do niej doszła, zatrzymała się i obejrzała. Nikogo nie zobaczyła. Ręce jej drżały. Cosma przedtem nigdy wcześniej nie korzystała ze skrzynki. Dobrze wiedziała, że gdy wrzuci do niej list, nic już nie odwróci biegu wydarzeń. Zbierała się na odwagę, myśląc o wymarzonym małżeństwie z Francisem. Majątek i arystokratyczny tytuł rodziny Cavendishów warte były życia setek takich dziewcząt jak Jessica Leonardo.

Szybkim ruchem wsunęła pismo w rozdziawioną paszczę lwa. Na ułamek sekundy poczuła lęk, że kamienne szczęki zacisną się wokół jej palców. List zagrzechotał w metalowym



gardle bestii, a następnie wpadł do ukrytej skrzynki. Postać Cosmy rozplynęła się w cieniach pobliskiego kościoła.

Stało się. Machina została puszczone w ruch. Niech teraz robi, co do niej należy.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nobe wrócił z hulanki wkrótce po wyjściu Cosmy. Sądząc po minie, musiał wesoło spędzić czas. Radosny nastrój Murzyna przysł, gdy Francis opowiedział mu przebieg spotkania z byłą kochanką.

Nobe zrobił znak mający chronić od uroku. Ten zwyczaj przejął od znajomych Anglików.

- Cosma di Luna to bardzo niebezpieczna osoba - oświadczył.

Francis potrząsnął głową.

- Cosma? To kosztowna dziwka, ale czy niebezpieczna? Jest groźniejsza dla siebie samej niż dla mnie.

Nobe pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Słuchaj, przyjacielu. Kiedy na nią patrzę, widzę przed sobą diabła.

Francis zaśmiał się krótko.

- Ma wstrętny charakter, to prawda, ale chyba uda mi się umknąć jej szponów.

Nobe pchnął go do tyłu na łóżko.

- Co ty wiesz o kobietach, żółtodziobie? To, że potrafisz do godzić im w łóżku, nie znaczy wcale, że znasz się na ich skomplikowanej naturze. Twoja wiedza o nich jest po prostu żadna.

Francis zmrużył oczy. Gdyby nie liczył się tak bardzo ze zdaniem Nobe'a i nie uważał go za swego najlepszego przyjaciela, wezwałby go na pojedynek za tę obelgę.

- No i co teraz? - zapytał.

Nobe osunął się na stołek.

- Co ty wiesz o kobietach? - powtórzył, ale już łagodniej.

Francis potarł podbródek.

- Po pierwsze, miałem matkę. Bądź co bądź, była przecież kobietą. Nie grzeszyła mądrością. W życiu kierowała się wyłącznie chęcią zaspokojenia własnych zachcianek. Nie dbała, że swym karygodnym zachowaniem krzywdzi mego ojczyma, mnie, oraz moje małe biedne przyrodnie siostrzyczki.

Gdzie podziewali się teraz inni Bardolphowie? Kilkoro zmarło podczas epidemii dżumy w 1528 roku, reszta rozproszyła się po całej Anglii. Po śmierci lorda Bardolpha, ojczyma Francisca, jego prawowity syn, który odziedziczył po nim majątek, oświadczył bez ogródek, że nie chce więcej słyszeć o przyrodnim bracie. Niewielka strata. Mając siedem lat, Francis został wzięty na wychowanie przez rodzinę Cavendishów i rzadko odwiedzał Cloverdale. W Wolf Hall, rodowej siedzibie Cavendishów, jego pierwszą towarzyszką zabaw była Belle. Często się czubili, ale nigdy nie przestała być jego najukochańszą siostrzyczką.

Uśmiechnął się na myśl o niej.

- Jest jeszcze Belle. Znasz ją, wiesz, jaka jest.

Nobe uśmiechnął się szeroko.

- Ma naturę dzikiej kotki, ale bardzo złagodniała od czasu, kiedy wyszła za mąż. Macierzyństwo jej służy.

- Belle jest mądra i bystra, zgadzam się, ale nigdy nikogo by nie skrzywdziła. Ona nie ma predyspozycji do zła. Podobnie lady Kat ani lady Celeste, nie mówiąc już o lady Alicii, mimo że wszystkie trzy są bardzo inteligentnymi kobietami.

Nobe nachylił się bliżej, tak że jego szerokie hebanowe oblicze znalazło się tuż obok twarzy Francisca.

- Gdyby dzieciom którejś z tych przemiłych dam groziło niebezpieczeństwo, zapewniam cię, że byłbyś zaskoczony furją,

z jaką ruszyłyby do ataku. Posłuchaj mnie dobrze. Kiedy ty, jako młody chłopak, śleczaleś nad książkami na słynnych uniwersytetach, ja podróżowałem po świecie i poznawałem kobiety. Każda miała inny charakter, ale wszystkie łączył sposób, w jaki reagowały na zagrożenie; dotknięta w swej dumie i rozwścieczona kobieta jest niebezpieczniejsza od mężczyzny. Francis roześmiał się głośno.

- Żartujesz.

Nobe nawet nie mrugnął.

- Kobiety nie mają poczucia honoru ani nie uznają uczciwej walki. W ich rękę nawet niewinna wykałaczką może stać się narzędziem śmierci. Są chytre i przebiegłe i po mistrzowsku potrafią stosować przeróżne wybiegi i fortele. Mężczyźni, jeżeli są wrogami, staną naprzeciw siebie twarzą w twarz w świetle dnia. Kobiety podadzą ci truciznę w nocy. Uwierz mi, kiedy twierdzę, że Gosma di Luna jest twoim śmiertelnym wrogiem. Widząc zaciętą minę Nobe'a, Francis zrozumiał, że przyjaciel nie przesadza. - A Jessica? Czarne oczy rozbłysły.

- Tej nieszczęsnej gołąbeczce zagraża ogromny wąż. Co do tego mam absolutną pewność.

- Myślę, że czas najwyższy opuścić to fantastyczne miasto, Nobe. Niech minister Cecil przyśle kogoś innego, aby penetrował ciemne zaułki Wenecji i wykrywał jej mroczne tajemnice.

Wielkolud wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zgadujesz moje myśli. Prawdę mówiąc, już od wczesnego ranka byłem na statku, gromadząc zapasy z myślą o dłuższej podróży. Zaprowiantowanie zajmie nam jeszcze jakieś dwa dni. Potem możemy odpłynąć do Anglii.

Francis podniósł się i rozprostował ramiona.

- Im szybciej, tym lepiej. Zabierzemy ze sobą donnę Jessicę.

- Naturalnie. To samo chciałem zaproponować.

Francis potarł zarośnięty podbródek. Zaczął szukać brzytwy i skórzanego paska do ostrzenia wśród licznych, rozrzuconych na stole przedmiotów.

- Postaram się zakończyć swoje sprawy powoli, bez zbytniego pośpiechu, jak przystało na prawdziwego bogatego wążkonia.

- Nie zwlekaj z ich załatwianiem. Czuję, że niebezpieczeństwo jest bliższe, niż się wydaje.

Francis namydlił sobie twarz.

- Dobrze, przyjacielu, ale wątpię, aby coś mnie spotkało w czasie golenia.

Nobe nie podzielał jego dobrego humoru.

Francis golił się w milczeniu. Rozwagał w myślach różne sposoby dyskretnego opuszczenia Wenecji. Kiedy skończył się myć, zmienił nogawice i włożył czystą koszulę. Ogolony i wyświeżony poklepał zamyślonego olbrzyma po ramieniu.

- Chodźmy na Rialto coś zjeść. Mój żołądek i mózg usychają z braku pożywienia. A poza tym - dodał ze smutnym uśmiechem - nie mogę zjawić się w Wolf Hall bez stosownych prezentów.

Nobe uśmiechnął się promiennie. Zakupy zawsze wprawiały go w dobry humor. Francis postanowił nie myśleć na razie o prorocztwie przyjaciela. Jeżeli już ma spotkać go jakieś nieszczęście, trudno, niech będzie, co ma być. W tej chwili miał inne sprawy na głowie.

Przeszli most i wstąpili najpierw do sklepu ze słodyczami. Francis kupił torbę migdałów w cukrze i wcisnąwszy chętnemu posłańcowi w rękę srebrne scudo, wysłał go czym prędzej do Jessiki. Do prezentu dołączył liścik, w którym zapowiadał, że złoży jej wizytę o ósmej wieczorem.

- Powiedz signorinie Jessice, że dzisiaj jest Giovedi Grosso i że koniecznie powinna zobaczyć związane z tą tradycją wido-

wisko - lot Turka. Słyszałem, że to niezapomniany widok - poczuł posłańca.

Chłopak uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy dziurawych zębów.

- Si, messere. Też je widziałem. To istny cud.

Francis uśmiechnął się. Posłaniec nie wydawał się wiele starszy od jego chrześniaka Toma. Teraz, kiedy już zdecydował się opuścić Wenecję, obudziła się w nim tęsknota za Anglią i za domem w Wolf Hall, z którego wyjechał siedem lat temu.

Kiedy chłopiec ruszył w drogę, Francis powolnym krokiem zaczął przechadzać się po rynku. Zaszedł do kantoru złotnika, u którego na list kredytowy podjął większą sumę pieniędzy. Ponieważ planował opuścić miasto, nie musiał się już dłużej martwić o stan konta lorda Cecila. Kruczenie w brzuchu kazało im rozejrzeć się za jakąś gospodą. Chcieli też schronić się, chociaż na krótko, przed porywistym wiatrem ciągnącym od Adriatyku. W obskurnej winiarni, przy maleńkiej bocznej uliczce, zamówili po wielkiej porcji smażonych sardynek i marynowanych cebulek, oraz duszone flaki z kawałkami smażonej polenty. Kiedy Francis dojrzał Jacopa kryjącego się w ciemnym rogu izby, posłał mu talerz sardynek z pozdrowieniami. Z upływem czasu Francis nawet polubił swój nieodłączny cień.

Wzmocnieni na ciele, z sakiewką pełną pieniędzy, Nobe i Francis kontynuowali powolny spacer między kramami. Zakupili dziesiątki metrów kolorowych jedwabi dla kobiet z Wolf Hall oraz czterech żon Nobe'a. Francis uśmiechnął się, widząc żebraka, który, skulony, chronił się przed lodowatymi podmuchami przejmującego wiatru w przedsionku kościoła. Wyciągnął monetę z kieszeni.

- Buon giorno, Giulio - powitał oberwańca.

Giulio, ślepy żebrak z Rialto, miał wzrok lisa oraz czujny słuch nietoperza. Brudne łachmany były tylko kamuflażem, pod

którym ukrywał prawdziwą tożsamość. Chociaż twierdził, że urodził się w Wenecji, był w istocie genueńczykiem nieokreślonego pochodzenia i wieku. W młodych latach długo przebywał w Londynie, a teraz służył angielskiemu królowi jako tajny agent. Giulio był jedyną oprócz Nobe'a osobą w Wenecji, która wiedziała o tajnej misji Francisa. Żebrak był zarówno głównym źródłem informacji Anglika, jak i jedną z wątych nici łączących go z ojczystym krajem.

Giulio uśmiechnął się, chociaż nie patrzył na Francisa.

- Późno pan dziś wyszedł na miasto, milordzie.

Nobe chrząknął.

- Bawił się do białego rana.

Żebrak przekrzywił głowę.

- Przywiódł pan ze sobą przyjaciela, messere? - zapytał bez ogródek. - Czy on również jest taki hojny? - Potrząsnął drewnianą miseczką, w której leżało kilka drobnych monet.

Francis zawsze podziwiał zdolności aktorskie Giulia. Tym razem również. Sprytny żebrak nie patrzył bezpośrednio na olbrzyma, ale Anglik domyślał się, że przypuszczalnie wie o Nobie prawie tyle samo co Francis.

- To mój dobry kompan, Nobe z Afryki.

- Jestem właścicielem statku „Duch” - dodał Nobe z odcieniem dumy w głosie. - Najlepszego okrętu, jaki kiedykolwiek pływał po wodach laguny.

Giulio wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czuję się zaszczycony, kapitanie. Jest pan człowiekiem otoczonym sławą. O ile mi wiadomo, pańska ostatnia wyprawa była bardzo udana. Egipska bawełna, cukier oraz oliwa z oliwek, wina i miód z Grecji przyniosły panu wielki zysk.

Nobe zaśmiał się cicho.

- Jak się wydaje, znasz lepiej cargo mego statku niż mój własny kwatermistrz.

Giulio ponownie rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Był tam również pieprz, goździki i imbir, które pan, och... Czy dobrze się wyrażę, jeśli powiem, że uwolnił pan od tych towarów nieposłusznego tureckiego kupca?

Nobe roześmiał się.

- Tak, mądralo, dobrze to określiłeś. Na brodę mego ojca - zwrócił się po angielsku do Francisa - ten gość jest wróżbitą.

Giulio, który doskonale znał angielski, zachichotał wesoło. Francis oparł się o jedną z kościelnych kolumn i skrzyżował nogi w kostkach.

- Co nowego na Rialto? - zapytał od niechcienia.

Żebrak oblizał wargi.

- Jeden z okrętów kupca Antonia Solania przywłókł się do portu wczesnym rankiem. Został zaatakowany przez berberyjskich piratów z północnych wybrzeży Afryki. Ładunek poszedł na okup za życie kapitana i załogi. Signor Solanio poniósł wielką stratę, jak słyszałem, i teraz szaleje z wściekłości.

Francis zagwizdał przez zęby. Spotkał bogatego kupca kilka razy przy różnych okazjach.

- Ci tureccy rozbójnicy są prawdziwą plagą - zauważył.

Giulio podniósł palec do góry.

- Z każdym dniem stają się bezczelniejsi. Wiatr przywiał taką plotkę - dodał.

Francis nadstawił ucha. Było to ich umówione hasło. Giulio mówił tak, kiedy chciał przekazać informację, która jego zdaniem, mogła być użyteczna dla angielskiego rządu.

- Wiatr przynosi wiele śmieci - odpowiedział Francis, potwierdzając odbiór wiadomości umówionym zwrotem.

- Mówi się, że są tacy w republice, którzy płacą tureckim piratom, aby napadały na okręty Holendrów, Portugalczyków i Anglików. - Giulio wymienił trzech najgroźniejszych rywali



weneckiej floty handlowej na Morzu Śródziemnym i w Nowym Świecie.

- Turcy nie zważają na to, czyje okręty rabują, jeżeli mają nadzieję na dobry łup - zauważył półgłosem Nobe.

Giulio skinął głową.

- To prawda, wielkoludzie, ale bogactwa Wenecji stanowią wielką pokusę dla piratów. Chętnie by z nich uszczknęli coś niecoś.

Francis udawał, że wypatruje czegoś na niebie.

- Czy ten wiatr jest silny? - zapytał.

Giulio wzruszył ramionami.

- Tak, słyszałem to z wiarygodnych ust. Inna rzecz, że ów dżentelmen powinien raczej zatrzymać ją dla siebie, a nie wynosić poza obręb pałacu doży.

Francis przetrawiał w myśli tę informacyjną perełkę. Umieści ją w swym raporcie dla sir Cecila.

- Dochodzę do wniosku, że mam już dość Wenecji - rzucił przez ramię.

Giulio roześmiał się cicho.

- Mądry z pana człowiek, milordzie. Wenecja jest bardzo nudna w okresie Wielkiego Postu. - Splunął na bruk. - Te czterdzieści dni to istna katorga.

Francis ściągnął usta.

- Zgadujesz moje myśli, oberwańcze. Jak tam twoje gołębie? Czy nie wybierają się w drogę? - wypytywał w dalszym ciągu żebraka.

Giulio opiekował się stadkiem szybkich pocztowych gołębi, które regularnie dostarczali mu angielscy żeglarze, będący na żołdzie lorda Cecila. Te użyteczne ptaszyny przenosiły wiadomości w miniaturowych pojemniczkach, przytwierdzonych do nóżek. Leciały ponad szczytami Alp na południe Francji, gdzie w okolicach Marsylii znajdowały się ich rodzinne gołębniki. Tam informacje odbierał zaufany kurier, który pędził co koń wy-

skoczy do portu Calaise nad kanałem La Manche, gdzie czekał umówiony angielski statek pocztowy. Ten z kolei dostarczał je do Dover. Przy bożej pomocy i sprzyjającej pogodzie wiadomość przesłana dzisiaj z Wenecji znajdzie się na biurku lorda Cecila w Londynie za dwa tygodnie. Giulio zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Słyszę, że w Dolomitach wciąż pada śnieg. Moje dzieci nie znoszą zimowych burz.

Francis wrzucił dukata do miseczki żebraka.

- Podtucz trochę najlepsze sztuki - polecił agentowi. - Powiedz wiatrowi, że zamierzam poszukać krajów, których klimat będzie bardziej odpowiadał memu zdrowiu.

Giulio sięgnął po monetę. Kiedy ją wymacał, nadgryzł brzeżek, aby sprawdzić jej wartość, chociaż dobrze wiedział, ile Francis mu dał.

- Jest pan mądry i hojny jak zawsze, milordzie. Obawiam się, że gdy pan wyjedzie, przyjdzie mi przymierać głodem.

Francis roześmiał się i odstąpił od kolumny.

- Wątpię bardzo, przyjacielu.

Ku zdziwieniu Giulia, Nobe dorzucił mu jeszcze scudo od siebie.

- Od tej pory ja będę twoim panem. Postaraj się mnie zapamiętać.

Giulio zaśmiał się cicho.

- Oczywiście, że zapamiętam. Pana nie sposób zapomnieć.

Korzystając z resztek dziennego światła, spędzili resztę dnia na wędrowce po sklepach. U drukarzy Francis zakupił tani egzemplarz łacińskiej gramatyki. Jutro sympatycznym atramentem, wyprodukowanym z soku owoców cytrusowych, napisze w przerwach między linijkami obszerny raport dla sir Cecila. Wstąpił też do introligatora, gdzie zapłacił za piękną książkę, którą zamówił dla sir Thomasa. Postanowił, że zatrzyma ją sobie na pamiątkę.

W sklepie z wykwintnymi przedmiotami ze szkła, wytwarzanymi przez niedoścignionych mistrzów z Murano, Francis kupił bogaty zestaw ozdobnych pamiątek, lusterek i biżuterii dla drogiego jego sercu mieszkańek Wolf Hall. Tak dawno ich nie widział. Nabył również piękny, ale niebezpieczny szklany sztylet. Lord Cecil z pewnością zainteresuje się tym popularnym narzędziem mordy weneckich bandytów. Kiedy już taki szklany sztylet zagłębi się w sercu ofiary, morderca odłamuje rękojeść - zostawiając klingę, aby dokończyła śmiertelnego dzieła. Jeżeli puste wnętrze klingi wypełniło się na dodatek trucizną, śmierć następowała bezzwłocznie lub po okresie długich męczarni, w zależności od właściwości zabójczej substancji.

Na ostatek wstąpili do atelier mistrza Tycjana po portret Francisa, który, według zapewnień Bassania, miał już być gotowy. Promieniejąc z dumy, młody malarz podprowadził obydwu mężczyzn do przykrytej płótnem sztalugi.

- Mój mistrz jest bardzo zadowolony z tego portretu, mesere. Mam przyjemność go teraz panu zaprezentować. - Zamaszystym gestem rozsunał muślin i odstąpił do tyłu.

Francis zeszywniał na widok tego, co zobaczył. Widząc, że klient zmienił się na twarzy, Bassanio zaczął nerwowo obgryzać paznokcie.

- Milordzie, nie podoba się panu moje dzieło?

Francis nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Artysta po mistrzowsku uchwycił postawę i siłę wyrazu sir Guya Cavendisha z młodzieńczego okresu jego życia. Trudno o bardziej perfekcyjnie oddane podobieństwo, i to w najmniejszym szczególe.

Och, mammo! Przynajmniej raz nie kłamałaś, pomyślał z rozpaczą. Nobe objął ramieniem przyjaciela. Do drżącego Bassania powiedział:

- Jak widzisz, twój klient oniemiał z wrażenia, ponieważ

uchwyciłeś nie tylko jego fizyczne cechy, ale również skomplikowaną psychikę.

Bassanio przeniósł wzrok z Nobe'a na Francisa.

- Czy to prawda, lordzie Bardolphie? Jest pan rzeczywiście zadowolony z portretu?

Nobe wbił kciuk w ramię Francisa i szepnął mu po angielsku do ucha.

- Powiedz chłopakowi, że bardzo ci się podoba jego praca, inaczej biedak wyzionie ducha z niepokoju.

- Na miłość boską! - wymamrotał pod nosem Francis również po angielsku. - Czy ja rzeczywiście wyglądam jak... jak on?

Nobe spojrzał mu w oczy.

- Tak, przyjacielu, jesteś lustrzanym odbiciem sir Guya.

Francis strząsnął z siebie ramię Nobe'a i postąpił do przodu, aby lepiej przyjrzeć się portretowi. Miał ochotę porwać płótno na strzępy. Później, kiedy zostanie sam, zniszczy je, aby nie został po nim żaden ślad.

- Od kiedy stałem się do niego tak podobny? - zapytał Nobe'a.

- Odkąd cię znam, chociaż w ostatnich latach podobieństwo jest jeszcze większe.

Francis przyglądał się twarzy, która z kolei wydawała się wpatrywać w jego własne oblicze, tak jakby malowany wizerunek był w równej mierze zaskoczony podobieństwem.

- Rodzina Cavendishów musiała znać prawdę - powiedział.  
- A już lady Alicia z pewnością o niej wiedziała. Ona ma sokoli wzrok i umysł ostry jak brzytwa.

Nobe uniósł do góry brew.

- Kiedy ostatnio przebywałeś w Wolf Hall?

Dawno, całe lata. Nie zajrzał tam od dnia, kiedy matka zdradziła mu imię jego naturalnego ojca. Francis nie miał odwagi spojrzeć w oczy członków tej kochanej rodziny. Nie mógł znieść myśli, że może stać się przyczyną bólu lub niezgody mię-

dzy ludźmi, którzy przyjęli go i stworzyli mu prawdziwy dom. Szczególnie chciał uniknąć widoku żony Guya, lady Celeste. Okazała mu tyle serca i zrozumienia, kiedy był samotnym opuszczonym dzieckiem. Jediną osobą, którą widywał w ciągu tych siedmiu lat, od czasu do czasu, była Belle. Spotykał ją w Londynie, przy okazji służbowych wizyt u lorda Cecila. Dlaczego milczała?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Nobe pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Tak jak podejrzewałem. Chodź, powiedz coś miłego artyście. Jeżeli tego nie zrobisz, on się zaraz rozpłacz.

Francis spróbował opanować emocje.

- Przebacz mi, Bassanio. Namalowałeś arcydzieło. Jestem przejęty do głębi twoim kunsztem. - Tu akurat był szczery. - Wspaniale. Cudownie - powtarzał z udanym zachwytem. - Nie mogę się doczekać, kiedy zawieszę ten portret w swojej galerii.

Artysta odetchnął z ulgą, upojony pochwałami klienta. Rzucił się do Francisa, uściskał go i ucałował w oba policzki. Równie wylewnie okazał wdzięczność Nobe'owi. Pozostali pracujący w wielkim atelier malarze podeszli do Bassania i zaczęli go oklaskiwać, poklepywać po plecach oraz dopominać się o wino.

Jedynym pragnieniem Francisa było zawinać obraz i uciec z nim jak najszybciej. Zrobił wesołą minę.

- Niestety, nie możemy dłużej zostać. Mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia, ale - sięgnął po sakiewkę - proszę, niech panowie zabawią się na mój koszt. Trzeba odpowiednio uczcić takie wspaniałe dzieło. Oto pieniądze.

Rzucił kilka dukatów stojącemu najbliżej. Chłopak o mało nie zemdlął z wrażenia. Za taką sumę mogli kupić kilka skrzynek najlepszego wina. Wręczył honorarium rozpromienionemu

Bassaniowi i dodał jeszcze suty napiwek. Artysta ucałował go po raz drugi.

Francis stał w milczeniu, ukrywając niesmak, i czekał, aż zapakują portret. Najpierw owinięto go w kilka warstw zgrzebnego płótna, a następnie włożono do płaskiej drewnianej skrzynki, której wieko starannie zabito gwoździami. Wreszcie Nobe wziął pakunek.

- Zaufaj mi, młody artysto. Będę dobrze strzegł twego dzieła.

Nie szczędząc dalszych podziękowań i komplementów, Bassanio odprowadził klientów do drzwi. Skoro tylko znaleźli się na ulicy, Francis przyśpieszył kroku.

- Wrzućmy to okropne malowidło do najbliższego kanału  
- zwrócił się do Nobe'a.

Murzyn potrząsnął głową.

- Nie. Skrzynia nie zatonie. Poczciwy Bassanio załamie się, jeżeli się dowie, a stanie się to prędzej czy później.

- Niech ci będzie, Staraj się tylko trzymać ten obraz jak najdalej od moich oczu. Ten portret mnie obraża.

Nobe roześmiał się krótko.

- Trafi na mój statek jeszcze przed kolacją. Nie masz racji, mówiąc, że cię obraża.

Francis spojrzał na przyjaciela pytającym wzrokiem.

- Co masz na myśli?

- W gruncie rzeczy ten portret wygania z ciebie twego własnego diabła - oświadczył Nobe.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Sofia najpierw zastukała do drzwi sypialni Jessiki, po czym wsunęła do niej głowę.

- On już tu jest - oznajmiła z uśmiechem.

Jessica położyła na stole szczotkę do włosów.

- Wiem o tym. Widziałam z okna, jak idą przez skwer. - Ręce miała zimne. - Jaką ma minę? - Czy nadal gniewa się na nią, że nie chciała zdjąć maski z twarzy, kiedy ją o to prosił? Dotknęła szpecącego znamienia na policzku. - Czy jest w dobrym humorze?

Sofia weszła do pokoju i stanęła za Jessicą. Wzięła do ręki szczotkę i kilkoma zdecydowanymi ruchami przeciągnęła po błyszczących czarnych lokach dziewczyny.

- Wesół jak uczeń po wyjściu ze szkoły - odparła. - Bardzo chce cię zobaczyć.

Jessica z ulgą wyprostowała ramiona.

- Bałam się, że już nigdy nie zechce.

Sofia zachichotała.

- Czyżbyś zapomniała o słodkich migdałach, które ci przysłał? Mniemam, mniemam! Wspaniałe! - Oblizła wargi na wspomnienie ich wyjątkowego smaku.

Jessica uśmiechnęła się.

- Nie, Sofio, nie zapomniałam, ale wciąż... - Zmarszczyła lekko czoło. - Zrobiłam mu przykrość.

Sofia pocałowała ją w czubek głowy.

- Jakże on mógłby gniewać się na ciebie? Jesteś aniołem ze-

słanym przez Boga na ziemię. A teraz daj mi tę czerwoną wstążkę, a także tę żółtą.

Jessica usiłowała zdusić w sobie oszałamiające uczucie podniecenia, ale na próżno. Nie mogła doczekać się chwili, kiedy go ujrzy. Jednocześnie dręczyła ją myśl, co pocznie, jeżeli nadal będzie nalegał, żeby pokazała mu się bez maski, kiedy zostaną sami.

Sofia odstąpiła o krok i z podziwem spojrzała na swoje dzieło.

- Wspaniale! Wyglądasz jak Cyganka w tej czerwono-zielonej spódnicy. Te małe złote dzwoneczki na rękawach są doskonałym pomysłem.

Jessica zadzwoniła bransoletkami.

- Może znowu będziemy tańczyć morescę - rzuciła z zadumą.

Sofia dała jej małego kuksańca.

- Nie zatańczysz w ogóle, jeżeli w dalszym ciągu będziesz siedziała na tym stołku. Wstań, dziecko, wstań! Oddawanie się marzeniom to dla dziewcząt strata czasu.

Jessica wstała, nałożyła maskę, zawiązując tasiemki pod włosami na dwa ścisłe supły. Następnie narzuciła na ramiona długą pelerynę i wzięła do ręki parę irchowych rękawiczek, które dostała w prezencie od Francisa na początku tygodnia. Wieczór był chłodny, a noc zapowiadała się jeszcze zimniejsza. Uśmiechając się do Sofii, wyszła z pokoju i zeszła po wąskich schodach w dół.

- Buona sera\* - powitała Francisa i Nobe'a czekających na nią w saloniku.

Sofia szła za nią, niczym kura za kurczątkiem.

- Witajcie, szlachetni panowie. Błagam, nie zatrzymujcie

\*Buona sera - dobry wieczór



dzisiaj tak długo mojej pani. Ledwie patrzyła dziś na oczy z niewyspania.

Jessica zarumieniła się pod maską.

- Bądź cicho, Sofio!

Francis kapeluszem zamiótł przed nią podłogę w unizonym ukłonie na tyle zamasyście, na ile mu pozwalała wielkość pomieszczenia.

- Stokrotnie przepraszam, Sofio - odparł ze skruchą, ale patrzył wyłącznie na Jessicę. - Dzisiaj się to nie powtórzy, przyrzekam solennie.

Policzki Jessiki zaczerwieniły się jeszcze bardziej pod żarem jego spojrzenia. W białym satynowym kostiumie, przybranym złotą koronką, wydał jej się tak oszałamiająco piękny jak nigdy dotąd. Miała wrażenie, że sam archanioł Gabriel nawiedził jej dom.

- To miło zobaczyć pana znowu, milordzie... to jest, chciałam powiedzieć, Francisie - rzekła, zacinając się lekko.

Cały pokój zajaśniał od jego uśmiechu.

- A mnie widzieć ciebie, madonno - wyszeptał jej wprost do ucha. Następnie obejrzał się na Sofię.

- Powinniście pójść z nami, ty i Gobbo. Jak słyszałem, lot Turka to niezwykle ciekawe widowisko.

Jessica zaniepokoiła się, że Sofia przyjmie wspaniałomyślną propozycję Francisa, ale zaraz skarciła się w duchu za tę małoduszność. Chciała pozbawić wiernych przyjaciół odrobiny przyjemności. Odetchnęła jednak z ulgą, kiedy Sofia ze śmiechem odrzuciła zaproszenie.

- Dziękuję, messere, ale my już znajdziemy sobie rozrywkę.

- Zatrzepotała małymi rączkami w stronę Jessiki i jej dwóch potężnych towarzyszy.

- Idźcie już wreszcie! Nie ociągajcie się! Idźcie się bawić, bawić, bawić!

Nobe uśmiechnął się szeroko.

- Byłby z ciebie świetny mistrz ceremonii, Sofio. Zastosujemy się do twojego rozkazu. - Nasunął białą maseczkę na górną połowę swej czarnej twarzy. Następnie otworzył szeroko drzwi i skinął na ludzi z pochodniami.

Francis wziął Jessicę za rękę.

- Proszę się nie obawiać - odezwał się do Sofii przez ramię.  
- Wrócimy wcześniej, zaraz po północnych fajerwerkach.

- Świetnie - odpowiedziała z udanym oburzeniem Sofia. - Jessica ma rano kilku pacjentów. No, ale idźcie już, idźcie! Marnujecie pochodnie!

Jessica pomachała ręką Sofii na pożegnanie, po czym uskrzydłona miłością do idącego obok mężczyzny, lekkim krokiem poszła przez plac. Służba z pochodniami szła przodem, oświetlając drogę i umilając im czas liryczną serenadą.

Tym razem nie kręcili się po mieście, tylko od razu podążyli w stronę placu Świętego Marka. Chcieli przybyć na czas, aby ujrzeć najbardziej osobliwe widowisko związane z końcem weneckiego karnawału. Francis przytulił Jessicę. Nobe kroczył z drugiej strony. Ciepło bijące od ciała Francisa, zapach goździkowego piżma i niski ton melodyjnego głosu wprawiły Jessicę w stan graniczący prawie z euforią. Ilekroć spoglądała na Francisa, widziała jego utkwiony w siebie wzrok. W niebieskich oczach malowały się czułość i oddanie. Jakaż była głupia, podejrzewając go o nieszczerłość. Przepęłniało ją dziwne, nieznanne dotąd uczucie uniesienia. Drżała na całym ciele ze szczęścia.

Zapamięta tę noc na całe życie, niezależnie co się wydarzy.

Usłyszeli ryk tłumu na długo przedtem, nim do niego dotarli. Zupełnie jakby cała Wenecja zebrała się na placu.

Cienki srebrzysty rogal księżycy wisi nad mauretańskimi kopułami bazyliki. Plac buchał światłem niezliczonych pochod-

ni. Nobe bez słowa wskazał na szczyt wysokiej dzwonnicy stojącej po przeciwnej stronie różowego pałacu doży. Jessica wspięła się na palce. Niewiele mogła dojrzeć prócz postaci małego chudego mężczyzny, ubranego w kolorowe obcisłe trykoty. Francis szepnął jej do ucha.

- Trzymaj się moich rąk, cara mia.

Nim zorientowała się co zamierza zrobić, Francis podniósł ją ponad głowy tłumy i usadowił na zdrowym ramieniu. Okrzyk zdziwienia i radości wyrwał się z jej ust. Trzymając się kurczowo jego silnych rąk, rozglądała się wokół ciekawie. Z wysokości swej uprzywilejowanej pozycji zobaczyła cienki drut rozpięty między wierzchołkiem wieży zegarowej a balkonem pałacu doży. W tym właśnie momencie dźwięki srebrnych trąb obwieściły przybycie pierwszego obywatela Wenecji, doży Francesca Donata.

Jessica z łatwością rozpoznała jego postać spośród grupy notabli ubranych w czerwone togi, którzy zgromadzili się na balkonie pałacu. Doża miał na sobie wspaniałą złotą pelerynę ze śnieżnobiałą etolą, a pod nią piękną szkarłatną szatę. Gęsty złoty haft ozdabiał corno, nakrycie głowy stanowiące symbol jego pozycji. Wysadzona drogimi kamieniami opaska na czole doży migotała wszystkimi kolorami tęczy w świetle niezliczonych pochodni. Jessica nigdy przedtem nie widziała tej budzącej grozę postaci i jej widok zarówno ekscytował ją, jak i przerażał. Doża był przecież symbolem tego miasta ucieleśniającego sławę i bogactwo potężnej republiki. Westchnęła z wrażenia.

Nobe wskazał znowu człowieczka na wieży.

- Patrz uważnie - zwrócił się do Jessiki - a zobaczysz wspaniałe widowisko - główną atrakcję weneckiego karnawału, Volo del Turco - lot Turka.

Nobe jeszcze nie skończył mówić, gdy mały człowieczek gestem ręki pozdrowił tłum zgromadzony na dole, po czym zaczął

się wspinać na okalający wieżę balkon. Jessica mocniej ścisnęła rękę Francisa, gdy akrobata wstąpił na cienką linę. Pomocnik wręczył mu bukiet jaskrawych kwiatów. Ludzie na placu nagle przycichli, z napięciem obserwując ruchy akrobaty.

Rozpościerając szeroko ramiona dla utrzymania równowagi, nieulekły człowieczek ponownie ustawił stopy na linie. Początkowo wolno, następnie coraz szybciej, krok za krokiem posuwał się po długim cienkim drucie. Gdy zbliżył się do pałacowego balkonu, ryk podziwu wyrwał się z piersi tłumu. Linoskoczek przeskoczył balustradę i szerokim gestem, widocznym z najdalszego miejsca ogromnego skweru, wręczył doży kolorowy bukiet. Cały ten wyczyn trwał nie dłużej niż dwie minuty.

Jessica, wraz ze wszystkimi, ile sił w płucach wiwatowała na cześć akrobaty. Nigdy w życiu nie widziała równie odważnego człowieka. Kiedy Francis postawił ją na ziemi, objęła go w pasie ramionami.

- Nie mogę wprost wyjść z podziwu! Doprawdy nie wiem, co powiedzieć! - wykrzyknęła.

Francis odpowiedział jej uśmiechem.

- Wobec tego nie mów nic, cara. Zamknę twoje wargi w ten oto sposób.

Zniżył głowę. Ostatnie słowa powiedział już z wargami przy jej ustach. Pocałunek był przejmująco delikatny i łagodny. Upojne dreszcze falami zaczęły rozlewać się po jej ciele. Uniosła się na czubkach palców i objęła Francisa za szyję. Jego wilgotne natarczywe usta domagały się odzewu. Jessica z radością poddała się żądaniu, całą duszą chłonąc czar tej upojnej chwili. Świat wokół przestał się liczyć, istniała tylko słodycz jego warg i upajająca moc pieśczoły. Harmider na placu nie drażnił już jej uszu. Naciskający zewsząd tłum rozplynał się przed oczami. Każdy dotyk Francisa wywoływał w jej ciele ekscytujący

dreszcz pożądania. Miała wrażenie, że unosi się w górę, wysoko ponad hałaśliwy plac.

Ktoś wpadł na nich niespodziewanie, rozdzielając splecione ciała. Kiedy od siebie odstepili, wargi Jessiki płonęły od pocałunków. Uniosła wzrok i napotkała uważne spojrzenie Francisa. Siegało do samego dna jej duszy. Nowe, nieznane uczucia obudziły się w jej piersi. Zaczęła oddychać szybko, urywanie.

- Nie traćmy czasu, tylko cieszymy się dźwiękiem twoich dzwoneczków, śliczna Jessico - powiedział wreszcie Francis, dotykając jej rękawa. Zsunął pelerynę z jej ramion i sam zrobił podobnie. Ich wymyślne karnawałowe stroje wzbudziły podziw stojących w pobliżu ludzi. - Tańczmy, dopóki nie stracimy uczucia w stopach.

Jessica podała mu obie ręce.

- Wspaniała myśl, Francisie. Jutro zajmę się twymi obolałymi nogami. Moje maści przyniosą im ulgę - droczyła się z nim wesoło.

- Oddaję ci całe moje ciało do dyspozycji.

Ta przejrzysta aluzja sprawiła, że kolana się pod nią ugięły. Była mu wdzięczna, że trzymał ją tak mocno, w przeciwnym wypadku z pewnością nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Z radosnym okrzykiem rzuconym w zimne rozgwieżdżone niebo, Francis puścił się z Jessicą w tany w rytm karnawałowej muzyki. Godziny nocy mijały niepostrzeżenie, jedna za drugą, jakby i one oddawały się zabawie z takim samym uniesieniem, jakie przepełniało serce Jessiki.

O północy fajerwerki wybuchły nad wodami, kanału. Mieszkańcy Wenecji okrzykami radości i oklaskami zachwytu witali kolejne pióropusze złotych i srebrnych gwiazd. Jessica oklaskiwała pokazy równie entuzjastycznie jak reszta tłumu;

Gdzie ona była, kiedy wokół działały się takie wspaniałości? Żyła, ale wszystko co piękne w życiu przechodziło obok. Jaka

była głupia, ukrywając się za niebieskimi drzwiami małego domku i świadomie rezygnując z uroków otaczającego świata.

Ujęła rękę Francisa i pocałowała ją.

- Dziękuję ci za to, że wyciągnąłeś mnie z tej mojej ślimaczej skorupy - wyszeptała z uczuciem.

Pochylił się nad nią.

- Mówiłaś coś, cara?

- Dziękuję ci, żeś przyprowadził mnie tutaj dzisiejszej nocy - powtórzyła głośniej.

Francis roześmiał się.

- To ja powinienem ci podziękować, madonno. Ocaliłaś mnie przed samym sobą.

Słowa Francisa oraz wyraz jego błękitnych jak niebo oczu przepęłniły jej serce niewysłowioną rozkoszą. Nobe dotknął ramienia Francisa.

- Czarodziejska godzina minęła. Pamiętaj ó obietnicy złożonej Sofii. Co do mnie, to nie mam ochoty budzić smoka drzemiącego w jej pulchnej gołębiej piersi.

Francis skinął głową na znak zgody.

- Si, mój przyjacielu. Cieszę się, że przynajmniej jedno z nas nie zapomniało o rzeczywistości. - Podniósł dłoń Jessiki do ust i ucałował czule.

- Chodź, madonno. Odprowadzę cię do domu.

- A na pożegnanie zaśpiewamy ci pod oknem kołysankę - dodał Nobe.

Jessice udzielił się żartobliwy nastrój towarzyszy.

- Moi sąsiedzi będą zachwyceni, kiedy znowu usłyszą twój głos, Francisie. Prawdę mówiąc, pytali mnie nawet, dlaczego zaprzestałeś koncertów pod moim oknem.

- Trzeba im było powiedzieć, że to z powodu tańców, którym ostatnio bez pamięci się oddaję - zażartował.

Nobe torował im drogę przez tłum. Śmiejąc się, weszli pod

łukowate sklepienie krużganku, u podnóża malowniczej wieży. Zegar wybijał kwadrans po północy. W momencie gdy skręcali w wąską uliczkę prowadzącą w kierunku Rialto, kilkunastu mężczyzn ubranych na czarno otoczyło ich ze wszystkich stron. Nobe wyciągnął dwa noże.

Francis wyciągnął z pochwy rapier.

- Schowaj się za moimi plecami, Jessico - nakazał.

Dwóch napastników błyskawicznym ruchem wprawnie rozbroiło Nobe'a, a trzeci przyłożył mu sztylet do gardła. Przywódca bandy podszedł do Francisca. Wyciągnął ręce, aby pokazać, że jest bez broni. Snop światła, padający z pobliskiego górnego okna, ukazał wiszącą u jego szyi urzędową odznakę. Jessica modliła się drżącymi ustami. Ten człowiek był jednym ze straszliwych Władców Nocy, osławionej weneckiej tajnej policji.

- Niech pan schowa broń, lordzie Bardolphie - nakazał uprzejmym tonem. - Widzę, że poznaje mnie pan.

- Owszem poznaję, lordzie Griatiano - odpowiedział Francis, w dalszym ciągu zachowując jednak obronną postawę.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Obawiam się, że muszę pana uwolnić od towarzyszącej panu osoby, messere.

- Nobe nie złamał żadnego prawa obowiązującego w stolicy Wenecji - zaprotestował Francis.

Nadal uśmiechając się, odziany w czerń dowódca straży potrząsnął głową.

- Niestety, milordzie, nie zrozumiał mnie pan. Tu chodzi o kobietę, która kryje się za pańskimi plecami. Jej właśnie szukamy.

Jessica uczepliła się ręki Francisca. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, a ziemia zaczęła usuwać się spod nóg. Matko Boska, ratuj mnie, modliła się bez słów.

- Jessico Leonardo - mówił dalej mężczyzna w czerni -

aresztuję cię w imieniu Rady Dziesięciu za ciężką zbrodnię popełnioną przeciwko państwu. Brać ją!

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie Jessica, gdy dwóch strażników pochwyliło ją z tyłu. Jej krzyk odbił się echem o ściany zatrzaśniętych na głucho domów. Szczęknęły rozsuwane okiennice, w otwartych oknach pojawiły się głowy mieszkańców, zaintrygowanych niezwykłym hałasem.

- To musi być pomyłka - zaprotestował Francis. Jeden ze straży odebrał mu szpadę.

Władca Nocy potrząsnął głową.

- Rada ze szczególną uwagą podchodzi do zarzutu o zdradę państwa, Angliki. To nie jest pomyłka.

Jessica uczepiła się peleryny Francisca, ale strażnicy brutalnie oderwali jej palce.

- Nie jestem zdrajczynią! - wykrzyknęła do dowódcy straży. - Kto ośmielił się rzucić na mnie takie podłe oskarżenie?

Lord Gratiano wzruszył ramionami.

- Nie jestem aż taki ważny, by znać szczegóły. Nie do mnie należy zadawanie pytań. Ja tylko wykonuję rozkazy. Rada Dziesięciu wydała mi polecenie, aby cię im dostarczyć, i ja je spełniam. To wszystko.

Jessica z całej siły próbowała wyrwać się swoim prześladowcom.

- Francisie, zaklinam cię!

Zacisnął pięści. Nobe trzymany pod strażą przy ścianie, wykrzyknął coś do niego po angielsku. Francis odpowiedział mu w tym samym języku. Nobe powiedział mu jeszcze kilka słów. Jessica odróżniła w nich swoje imię. Francis opuścił głowę na piersi i wyszeptał słowo, które Jessice wydało się brzmieć jak przysięga – a może modlitwa?

Odstąpił na stronę, po czym zwrócił się do niej. Jego twarz, pod białą maską, była szara jak popiół.



- Przepraszam, Jessico - wychrypiał.

Wściekłość wzięła w niej górę nad trwogą.

- Podły zdrajco! - Zmiażdżyła go spojrzeniem. - Oszukałeś mnie, a ja ci zaufałam. - Obrzucała go słowami, z których każde miało ciężar kamienia. - Dlaczego udajesz, że ci przykro? Wspaniale zaplanowałeś spotkanie z dowódcą tej straży.

Od początku miała rację, nie dowierzając Francisowi. Ten tak zwany szlachcic był w rzeczywistości jednym z przebiegłych intryganckich jezuitów. Przez cały czas, kiedy obsypywał ją podarunkami i obdarzał czułymi słówkami, rozmyślał, w jaki sposób zwabić ją w pułapkę. Czy ona grała wobec niego komedię? Czy jej pocałunki były nieszczerze? Skąd dowiedział się o znamieniu na jej policzku? A może dotarło do niego, że jej ojciec wrócił do żydowskiej wiary? Tak czy inaczej, jej los był przesądzony. Nikt, kto stanął przed Radą Dziesięciu, nie wyszedł na wolność.

Jessica zatrzęsała się z bezsilnej wściekłości, połączonej z lękiem.

Francis stał nieruchomo w miejscu.

- Przebacz mi, Jessico - powiedział w końcu.

Wykrzywiła usta z pogardą.

- Czy wszyscy mężczyźni muszą zabijać to, czego nie rozumieją lub kochają?- rzuciła oskarżycielsko. Jej głos, przepelniony bezmierną goryczą, zadźwięczał jak szkło w zimnym nocnym powietrzu.

- Nobe uprzytomnił mi, że jestem cudzoziemcem w tym mieście. Nie mam prawa wtrącać się w sprawy Wenecji.

Lord Gratiano skinął głową.

- Jak na niewiernego, jest bardzo mądrym człowiekiem; daje ci dobrą radę. Odejdź z tego miejsca, lordzie Bardolphie. Wracaj do gospody „Pod Jesiotrem” i przestań myśleć o tej

dziwce. Ona jest tylko śmieciem na wietrze i uwolnienie się od niej wyjdzie ci na dobre.

Francis nie patrzył na Jessicę. Kiedy przemówił, każde jego słowo było dla niej jak sztylet wbijany prosto w serce.

- Masz rację, milordzie. Zznałem z nią przyjemności, ale na tym koniec.

Jessica poczuła, jak bardzo ciężą jej te okrutne słowa. Jednocześnie paniczny strach chwycił ją za gardło. Potworny huk narastał w jej uszach, rozsadzając bębunki. Władca Nocy pstryknął palcami. Strażnicy powlekli Jessicę z powrotem przez łukowato sklepiony krużganek zegarowej wieży.

Odwróciła się i wykrzyknęła przenikliwie w stronę Francisa.

- Obyś nie wyszedł z piekła za te słowa, lordzie Bardolphie.

Nieruchome postacie Nobe'a i Francisa zniknęły jej z oczu. Rzeczywistość docierała do niej jak przez mgłę. Z dala słyszała szydercze żarty rozbawionego tłumu. Pałac doży, nieprzyzwoity w swej cukierkowej urodzie, majaczył przed nią groźnie.

Gniew Jessiki ulotnił się, ustępując miejsca bezsilności i rozpacz. Zdradzona! Opuszczona! Samotna! Bezmierny ból w sercu i lęk przed nieznaną przyszłością doprowadziły ją niemal na krawędź obłędu. Histeria narastała w niej z coraz większą siłą, grożąc wybuchem nieopanowanego szaleństwa. Jessica przygryzła dolną wargę tak silnie, że zapulsowała piekącym bólem. Na ustach poczuła słony smak krwi.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Straż musiała ją ciągnąć po marmurowych schodach wiodących do pałacu. Nie dostrzegła przepychu otoczenia - złoconych komnat ani pokrytych wspaniałymi freskami sal, przez które ją wleczono. Tylko jedna myśl kołatała w jej głowie: jak wyjść z tej straszliwej opresji?

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jacopo trzymał się tak blisko Anglika, że niemal potknął się o kryjącego się w mroku, uzbrojonego mężczyznę. Był to jeden z członków grupy towarzyszącej Władcy Nocy. Młodzieniec podziękował Bogu, że nad nim czuwa, i skrył się między dwoma domami. Cosma ostrzegła go wprawdzie o czyhającym niebezpieczeństwie, ale na coś takiego nie był przygotowany.

Szamotanina między nocną strażą a angielskim lordem trwała zaledwie kilka minut, ale Jacopowi zdały się one wiecznością. Na moment ogarnął go strach, że lord Bardolph zaatakuje mężczyzn, którzy trzymali donnę Jessicę. Wyciągnął więc sztylet i czekał. Nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób może obronić kochanka Cosmy, skoro nawet potężny Murzyn nie był w stanie przeciwstawić się napastnikom.

Na szczęście, Nobe powiedział coś do przyjaciela po angielsku, w rezultacie czego ten ostatni zrezygnował z dalszego protestu. Jacopo odetchnął z ulgą i oparł się o wilgotną ścianę kamiennego budynku, który miał za plecami. Zobaczył, jak straż odciąga biedną dziewczynę z miejsca i wlecze ze sobą. Młodzieniec wiedział, że zostanie wtrącona do straszliwych lochów więzienia. Sama myśl o tym okropnym miejscu przyprawiła Jacopa o dreszcz przerażenia.

Kiedy już Władca Nocy i jego ofiara zniknęli w ciemnościach, Nobe i jego przyjaciel szeptem zamienili między sobą kilka zdań, po czym zawrócili i poszli uliczką prowadzącą

w stronę mostu Rialto. Jacopo szedł nadal za nimi, starając się zachować bezpieczną odległość. Nie miał ochoty wpaść w kolejną zasadzkę, o którą, pośród krętych uliczek Wenecji, nie było wcale trudno. Mężczyźni szli spieszonym krokiem, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, aż dotarli do gospody „Pod Jesiotrem”, położonej dość daleko od mostu.

Przyczajony w ustronnym miejscu nad brzegiem kanału Jacopo zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Ma tu czuwać aż do świtu czy odejść, zakładając, że lord Bardolph ma już dość przeżyć jak na jedną noc? Myśl o skrzynce ze skarbem doktora Leonardo co i raz przelatywała mu przez głowę. Niewątpliwie wiadomość o aresztowaniu Jessiki dotrze wkrótce do jej ojca oraz tej pary karłów, z którymi mieszka. Jacopo wiedział, że ojciec Jessiki jest rozważny, ale jednocześnie bardzo chciwy i domyślał się, że na wieść o uwięzieniu córki natychmiast pośpieszy do jej domu, aby zabrać z niego cenne pudło.

Ostatecznie, Jacopo porzucił kryjówkę nad kanałem.

Przemknął cicho ciemnymi uliczkami niczym wenecka ulicznica. Piętnaście minut później był już przed domem Jessiki. Latarnia przy jej drzwiach paliła się jasno, by oświetlić drogę właścicielce, gdy będzie wracała z nocnej zabawy. Reszta domu pogrążona była w ciemnościach.

Jacopo rozejrzał się ukradkiem po skwerze. Wszędzie panowała cisza. Nawet psy nie szczekały. Ujął za klamkę i uśmiechnął się radośnie. Dom nie był zamknięty. Cóż to za idioci z tych służących! Obejrawszy się raz jeszcze uważnie za siebie, Jacopo wśliznął się cicho do wnętrza uśpionego domu.

Głośne łomotanie do drzwi przerwało sen doktora Leonardo. Otworzył okno i wyjrzał na zewnątrz. Chciał wiedzieć, kim jest ów bezczelny gość, który śmiał mu zakłócać zasłużony wypo-

czynek. Zobaczył małego chłopca, który stał przed domem z uniesioną głową.

- Niech się pan pośpieszy, doktorze! - wzywał go przejęty dzieciak ostrym przenikliwym głosikiem. - Władcy Nocy aresztowali pańską córkę. Zabrali ją do pałacu.

Ludzie, których domy sąsiadowały z siedzibą doktora, potwierdzali okna i wystawili głowy. Stefano Leonardo nawet nie pofatygował się, aby odpowiedzieć posłańcowi. Wrócił do sypialni i zatrzasnął okiennice. Lucia, jego zahukana żona, kurczowo przycisnęła kołdrę.

- Co on powiedział? - zapytała z niepokojem.

Stefano sięgnął po ciemnoszarą tokę i wyjściowe pantofle.

- Coś na temat Jessiki - odrzekł szorstko.

Lucia i tak wkrótce się dowie o aresztowaniu córki. Doktor nie miał czasu, aby zajmować się w tej chwili zawodzącą żoną. Jediną sprawą, która zaprzętała jego myśl, była skrzynka ukryta pod łóżkiem Jessiki. Należało oczekiwać, że władze lada moment zjawią się w jej domu, by dokonać rewizji. Co ona im powie o skrzynce i jej przekłętej zawartości? Ręce doktora drżały, kiedy wciągał nogawice.

- Czy Jessica jest chora? - zapytała Lucia niespokojnie.

Mąż nie odpowiedział na pytanie. Najważniejszą rzeczą w tej chwili był pośpiech, a nie daremna paplanina żony.

Lucia spytała po raz drugi.

- Co się z nią dzieje?

- Nie wiem - warknął przez ramię. - Ale zamierzam się do wiedzieć. - Nasadził czapkę na rozwichrzone włosy, po czym spojrzał na swoją zatroskaną połówicę. - Nie waż się pod żadnym pozorem wpuszczać nikogo do domu. Rozumiesz, co mówię, Lucio? Choćby sąsiedzi pchali się do środka, nie wolno ci otwierać im drzwi.

Stłumiła płacz.

- Czy Jessica ma jakieś kłopoty?
- Jessica sama całe życie była kłopotem - odparł zirytowany. - Pech był jej przeznaczeniem od chwili przyjścia na świat. Powinienem ją utopić.

Zostawiwszy żonę, cicho płaczącą w poduszkę, doktor zbiegł po schodach i pośpiesznie opuścił dom. Nie odpowiadał na pytania sąsiadów. Jego umysł zaprzętała wyłącznie skrzynka. Obok cennego pierścionka z rubinami i turkusami jego żony znajdowały się tam jeszcze srebrny modlitewny kubek i menora. Ten kubek, lichtarz i Talmud będą dla Rady Dziesięciu niezbitym dowodem, że Stefano wrócił do wiary przodków. Oczy wyobraźni zobaczył, jak cały zdobyty ciężką pracą dorobek jego życia ulatnia się niczym poranna mgła. Prawie czuł, jak płomienie stosu liżą jego łydki.

Kiedy dotarł do placyku, zobaczył pół tuzina ludzi z pochodniami. Wszystkie pokoje w domu Jessiki były rześkie oświetlone. Sofia i Gobbo stali na ulicy, pilnowani przez mężczyzn w mundurach straży. Sofia płakała głośno na ramieniu męża. Gobbo natomiast patrzył wprost przed siebie, z kamienną, pozbawioną wyrazu twarzą.

- My nic nie wiemy! - jęczała Sofia. - Och, moje biedne jagniątko! Co zrobiliście z naszą panią?

Strażnik mruknął coś w odpowiedzi, w rezultacie czego Sofia rozszlochała się jeszcze głośniejsze.

Doktor przylgnął do najbliższej ściany, modląc się w duchu, by nikt go nie zauważył. Właśnie dwóch innych strażników ukazało się w drzwiach domu. Jeden z nich przytrzymał szamoczącego się, nieznanego młodzieńca, drugi dźwigał pod pachą przekłętą skrzynkę. Zimny pot cienkim strumyczkiem spłynął po krzyżu doktora. Karzeł z pewnością powiedział, do kogo należy skrzynka. Ile czasu miał przed sobą doktor Leonardo, aby opuścić Wenecję, zanim Święte Oficjum nakaże go aresztować?

Najwyżej kilka godzin. Czy Jessica zdradzi go od razu, czy też będą musieli torturami wydobywać prawdę z jej ust? Tortury pozwolą mu zyskać na czasie.

Bądź lojalną córką! - poprosił w duchu.

Postanowił nie czekać dłużej i jak najszybciej oddalić się od niebezpiecznego miejsca. Owinął się szczelniej peleryną i pośpiesznie opuścił placyk. Jeszcze przez jakiś czas krzyki i płacz Sofii dochodziły do jego uszu. Maska! Zawsze gardził barbarzyńskim upodobaniem chrześcijan do karnawałowych uciech, ale teraz uzmysłowił sobie, że wesoły anonimowy tłum może stać się jego wybawieniem. Wmiesza się między rozbawionych ludzi, a następnie wynajmie gondolę, którą popłynie na stały ląd. Tam znajdzie jakiś sposób, by dotrzeć do Padwy, gdzie miał oddanych przyjaciół.

Przez cały ten czas ani razu nie pomyślał o losie swych najbliższych - żony i córki.

Francis cisnął sztylet na stół z takim impetem, że drzazgi poleciały z drewnianego blatu.

- Jakaż ze mnie nędzna, tchórzliwa kreatura! - wykrzyknął z wściekłością do Nobe'a, który siedział naprzeciwko niego na łóżku, ze skrzyżowanymi nogami. - Nie powinienem słuchać twoich przezornych rad. Jestem zwykłym fajtłapą i mazgajem. Najpiękniejszy kwiat Wenecji leży teraz w jakiejś cuchnącej norze, gdy ja tymczasem... - Nie mógł dalej mówić. Łzy napłynęły mu do oczu. Wstyd palił go żywym ogniem.

Nobe spoglądał na przyjaciela spod w półprzymkniętych powiek.

- Gdybym cię nie powstrzymał w odpowiedniej chwili, ty znalazłbyś się w tym samym więzieniu pod zarzutem zamordowania urzędnika republiki.

- Jessica Leonardo znalazła się w niebezpieczeństwie!

Murzyn uniósł do góry brew.

- Czy warta jest więcej od Anglii?

Francis zmrużył oczy.

- Co masz na myśli?

- Gdyby odkryto, że lord Bardolph nie jest wymuskanym angielskim dandysem, ale szpiegiem sowicie opłacanym przez angielski rząd, twoje życie nie byłoby warte więcej niż ćwierć pensa.

Francis zacisnął pięść.

- Nie obchodzi mnie to ani trochę!

- Ach, wszyscy z rodu Cavendishów mają źle w głowach. Miłość to dla was najważniejsza sprawa w życiu. Z jej powodu przy lada okazji pakujecie się w kłopoty i narażacie zdrowie i życie.

Spojrząwszy na Nobe'a, Francis dostrzegł w jego oczach wesołe błyski. Przestał chodzić po pokoju i przysiadł w nogach łóżka przyjaciela.

- Masz jakiś plan?

- Jeszcze nie, ale kiedy obaj uruchomimy mózgi, na pewno wymyślimy coś sensownego. Posłuchaj mnie uważnie, Francisie. Nie możesz przypuścić szturm na pałac doży. Chociaż przypomina ciasteczko, jest zbudowany z marmuru. Zanimbyś przeszedł przez dziedziniec, byłbyś trupem. Jaką donna Jessica miałaby z tego korzyść?

Francis zwilżył językiem wargi.

- Powiedz, przyjacielu, czy twój profetyczny dar odsłonił przed tobą najbliższą przyszłość? Czy coś widzisz? - zapytał głucho.

Nobe zadarł podbródek i wpatrzył się w przestrzeń, wysoko, ponad ramieniem Francisa.

- Widzę ciemność - odpowiedział głębokim głosem. - Mgłę i zimne wilgotne ściany. Wielkie niebezpieczeństwo, ale także małe światełko w oddali. Jednakże droga ku dobremu na jeżona jest wieloma trudnościami i ryzykiem.



Francis chwycił przedramię przyjaciela.

- Aby uwolnić Jessicę, gotów jestem zaryzykować wszystko.

Nobe skinął głową.

- Tak właśnie będziesz musiał postąpić.

Jessica zwinęła się w kłębuszek na końcu drewnianej deski, która służyła jej za łóżko w niskiej, łukowato sklepionej celi. Chlupot wody, rozbijającej się w kanale o kamienny więzienny mur, dochodził do niej zza ściany. Przez malutkie zakratowane okno, umieszczone wysoko nad głową, widziała skrawek nieba i gwiazdy znikające jedna po drugiej, jak zdmuchnięte świece. Zmieniał się także kolor nieba; z ciemnogranatowego nabierało barwy gołębiej szarości. Chociaż nie zmrużyła oka przez całą noc, nie czuła zmęczenia. Każdy nerw w jej ciele był napięty jak struna.

Przez grube ściany więzienia do uszu Jessiki doszedł daleki dźwięk dzwonów Bazyliki Świętego Marka. Nawoływał wiernych na poranną mszę. Nie będzie jej dzisiaj na tej mszy. Oczy jej zaszły łzami na wspomnienie minionych chwil. To one będą dla niej najgorszą torturą.

Francis, ten roześmiany łajdak! Powinna się była od razu domyślić, że był za dobry, aby być szczery. Czyż jej instynkt nie ostrzegł jej przed nim? Przygryzła dolną wargę, aby powstrzymać płacz. Jak zręcznie uśpił jej czujność, jak udawał, że mu na niej zależy! Jakaż była naiwna i łatwowierna! Z powodu kosa słodczy, kilku kolorowych wstążek, uroczo śpiewającego kanarka i paru namiętnych pocałunków zapomniała o ostrożności, zdusiła głos rozsądku. Usta ją zapiekły na wspomnienie tych pocałunków - nieszczerých, zdradzieckich, ale przecież tak upajających - niezapomnianych.

Przypomniała sobie czuły dotyk Francisa, usłyszała znowu tkliwe słowa, jakie jej szeptał do ucha. Niemal poczuła ciepły

oddech na policzku. Z przejmującą aż do bólu dokładnością zobaczyła znowu przed sobą jego twarz i uśmiech, który czasami rozjaśniał piękne rysy. Wspomniała delikatność, z jaką wodził palcem po jej policzku, oraz wargi muskające płatek ucha.

Na koniec ostatnia scena, kiedy oddawał ją w ręce strażników. Odstąpił od niej, porzucił ją, jak gdyby była łupiną orzecha. To wspomnienie bolało najbardziej. Powiedział: „Przepraszam”. Fałszywe przeprosiny z ust fałszywego mężczyzny. Powinna go znienawidzić; i nienawidziła. Ale jednocześnie wiedziała, że gdyby Francis Bardolph jakimś cudem pojawił się przy niej w tej chwili i znowu zaczął ją całować i szeptać czułe słówka, zmiękłaby natychmiast i przebaczyła zdradę. Zacisnęła jeszcze mocniej powieki. Jakaż była głupia! Powinna pamiętać o przestroгах ojca.

Ujrzała teraz w swych rojeniach twarz doktora Leonardo. Czy rodzice wiedzą o jej aresztowaniu? Wstrząsnęła się. Z tej strony nie może oczekiwać żadnej pomocy. Jessica pozostała przykładną katoliczką, ale Lucia i Stefano potajemnie wrócili do judaizmu. Nie będą narażali życia dla ocalenia zeszpeconej córki. Mimo to Jessica wiedziała, że ona sama nigdy się ich nie wyprze - nawet za cenę własnego życia.

A co z Sofią i Gobbem, dwojgiem ludzi, którzy kochali ją naprawdę? Jakież dziwne są koleje losów. Gobbo, dawny złodziej kieszonkowy, który wybrał uczciwą drogę, jest teraz utalentowanym muzykiem, a Sofia, swego czasu wróżbiarka i oszustka, przemieniła się w porządną, ogólnie szanowaną żonę. Ta para wyrzutków zmieniła się na lepsze pod wpływem litości, jaką wzbudziła w ich sercach młodsza, także wyrzucona poza nawias społeczeństwa istota. Nie zrażało ich szpecące znamię, docenili natomiast jej szczególne zdolności - przede wszystkim niespotykaną uzdrowicielską moc. Nauczyli ją wszystkiego, co sami wiedzieli o właściwościach różnych ziół

i leków. I teraz, po latach uczciwego życia, Sofia i Gobbo mają cierpieć za swe dobre uczynki, a nie za dawne przestępstwa?

Niebo nabrało już jasnoniebieskiej barwy, a przypominające ptasi krzyk nawoływania gondolierów docierały wyraźnie do celi Jessiki. W lochu zrobiło się już na tyle jasno, że mogła odczytać napis wyżłobiony w chropowatym murze przez któregoś z dawnych lokatorów. *Disce pati\** - pisał niejaki Lachinur z Cremony 31 stycznia 1458 roku. Jaką zbrodnię popełnił? Jaki był jego los?

W żołądku burczało jej z głodu. Kiedy zjawią się strażę? Wątpiła, by dano jej jeść przed wykonaniem wyroku. Wizja cichej śmierci budziła w niej paniczny lęk. Wyobrażała sobie, jak otwiera usta w ostatnim krzyku i jak zielone wody laguny wlewają się jej do gardła i zatykają płuca.

Naturalnie, nie skazą jej bez sądu. Jako obywatelka Wenecji miała prawo zostać najpierw przesłuchana przez uczonych sędziów. Modliła się, aby okazali się rozumnymi ludźmi. Cóż jednak miała na swoją obronę, kiedy sam diabeł naznaczył jej twarz szatańskim piętnem, żeby zobaczył je cały świat?

Boże, mój Boże! Daj mądrość i rozwagę, aby się mogła skutecznie bronić. Wytrzyma!

- Co nowego słyszeć na Rialto? - Francis wystąpił z cienia, jaki rzucała wokół ogromna bryła kościoła San Giacomo.

Żebrak nie patrząc na niego, odpowiedział:

- Ogólne poruszenie na mieście, messere. Twoje nazwisko też jest wymieniane - między innymi.

Francis skinął głową ze zrozumieniem. W takim mieście jak Wenecja wieści roznosiły się błyskawicznie.

- Ludzie lubią mleć ozorami - zauważył filozoficznie, przybierając leniwą pozę i odwracając się tyłem do placu.

\**Disce pati* - naucz się cierpliwości, wytrzymałości

Giulio przekrzywił głowę, jak gdyby słuchając wieści, które poranny wiaterek szeptał mu do ucha.

- Mówią, że Jessica Leonardo jest czarownicą - zaczął. Francis spodziewał się takiej opinii i był na nią przygotowany, niemniej zawrzał z oburzenia, gdy usłyszał to kłamstwo.

- Czyżby? Myślałem, że czarownice są stare i pokrzywione. Donna Jessica jest zupełnie inna.

Żebrak pociągnął nosem.

- To, co się dzieje w pańskim sercu, odbija się też na twarzy, messere. Staraj się nie okazywać uczuć, panie.

Francis ziewnął. Z tym nie musiał się kryć. Nie zmrużył oka od chwili, gdy nocna straż aresztowała Jessicę.

- Co jeszcze wiatr mówi o tej oskarżonej wiedźmie?

Giulio uśmiechnął się, pokazując żółte zęby.

- Odbędzie się proces. Wszyscy by chcieli na nim być, ale żeby wejść na salę, trzeba mieć zezwolenie.

Francis zeszywniał. Słodka delikatna Jessica wystawiona na widok szydzącego tłumu? Kto wie, czy to nie będzie właśnie ta okazja, na którą on i Nobe czekają...

- Kiedy? O której godzinie?

- W następny wtorek o trzeciej po południu, w Wielkiej Sali na drugim piętrze pałacu doży. Sam doża będzie ją sądził. Ale, messere, nie radziłbym panu pokazywać się na tym procesie. Z tego, co wiem, pańskie życie też jest w tej chwili w niebezpieczeństwie.

Włosy zjeżyły się Francisowi na karku. Wolno obrócił się dookoła, tak że plecami dotykał teraz kolumny.

- Co takiego? Przebywam w waszym mieście wyłącznie jako turysta.

- Si - zgodził się informator - ale pańska maska obsunęła się nieco. Szepcze się, że wśród cudzoziemców znajduje się szpieg.

Francis ziewnął niedbale, chociaż każdy nerw dygotał w nim z przejęcia.

- Jak się miewają twoje pierzaste maleństwa? - zapytał miękko. Modlił się w duchu, aby chociaż kilka poszybowało w kierunku Francji. Miały zabrać wiadomość, że opuszcza Wenecję.

- Kilka z nich poleciało odwiedzić swoich zagranicznych krewnych.

Skoro tak, to nic go już tu nie trzyma. Nic i nikt z wyjątkiem Jessiki. Nie wyjedzie stąd bez niej.

- Cieszy mnie ta nowina. Sądzę, że jednak pójdę na ten proces. Może być bardzo zabawny.

Giulio wymruczał jakieś przekleństwo pod adresem postrzelonych Anglików.

- Wobec tego żegnam pana, milordzie. Wątpię, byśmy się jeszcze spotkali kiedyś w życiu.

- Skoro tak, to mam nadzieję, że będziesz o mnie pamiętał w swych codziennych modlitwach. Poinformuj mego ojca, gdyby spotkało mnie jakieś nieszczęście.

Giulio skrzywił wargi.

- Podejrzewam, że twój ojciec nie będzie zbyt długo rozpaczał po tobie. Wyśle innego ze swoich synów z kolejną głupią misją.

Francis jeszcze raz obrzucił baczny okiem hałaśliwy tłum na placu, po czym wyciągnął spod kaftana małą książeczkę, owiniętą w brudną szmatę. Między linijkami łacińskiego tekstu sympatycznym atramentem spisał tajne informacje o sytuacji w Wenecji. Spędził nad tym raportem kilka godzin. Przykucnąwszy, wsunął paczkę pod luźną tunikę Giulia.

- Na wszelki wypadek zostawiam książeczkę. Niech ma po mnie pamiątkę.

Giulio skinął głową na znak, że docenia wagę tomiku.

- Bogaty prezent - zauważył.
- Od wiernego i posłusznego syna - odpowiedział Francis. Wyciągnął z sakiewki dwadzieścia dukatów i wrzucił do miseczki żebraka.

Giulio uśmiechnął się radośnie.

- Jest pan jeszcze hojniejszy niż zazwyczaj, milordzie. Za taką sumę moje dzieciątka będą miały co jeść przez cały rok.

- Dobrze! Tam, gdzie się teraz udaję, nie będę potrzebował wiele pieniędzy. A ty, Giulio, bądź ostrożny i uważaj na siebie.

Po raz pierwszy, odkąd się poznali, Giulio spojrzał prosto w oczy Francisca.

- Oby święty Michał, patron wojowników, spłynął na twoje ramiona, przyjacielu.

Francis posłał mu krótki serdeczny uśmiech.

- Mam nadzieję, że będzie się mocno ich trzymał, ponieważ zamierzam wskoczyć wprost do gardła weneckiego lwa.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Następne trzy dni wlokły się niemiłosiernie. Nobe zwijał się jak w ukropie, gromadząc zapasy żywności i szykując statek do drogi. Nakazał swoim ludziom odwiedzić wszystkie winiarnie i burdele w mieście, by zebrali jak najwięcej informacji o zbliżającym się procesie czarownicy. Rada Dziesięciu przesłuchiwała już wielu świadków. Agenci Świętego Oficjum również nie próżnowali. Najbardziej zainteresowała Francisa wiadomość, że Giulio, ślepy żebrak spod kościoła San Giacomo, zniknął bez śladu. Francis miał nadzieję, że agent posłuchał jego rady i przeniósł się w bezpieczniejsze rejony. Po raz pierwszy nie zważał na pesymistyczne prorocтва Nobe'a. Wytoczył sobie plan działania i był zdecydowany go zrealizować. Jeżeli wszystko zawiedzie, przysiągł sobie, że Jessica przynajmniej nie umrze samotnie.

Zdobycie pozwolenia na wejście do Wielkiej Sali było łatwiejsze, niż Francis przypuszczał. Odszukał Niccola Dandellego, jednego z młodych arystokratycznych nicponi Wenecji, z którym był zaprzyjaźniony. Niccolo chętnie się zgodził wziąć Francisa ze sobą. Jak większość ludzi na sali, Francis i Niccolo byli w maskach. Widownia, w trosce o swoją reputację, wolała ukrywać oblicza.

Siadając obok Niccola na jednym końcu twardej drewnianej ławy, Francis przyglądał się zgromadzonemu tłumowi. Kłócąc się zajadle o najlepsze miejsca, podnieceni ludzie tłoczyli się na byle jak skleconych ławach, biegnących długimi rzędami

wzdłuż trzech ścian olbrzymiego pomieszczenia. Na rozległym suficie, wysoko nad głowami tłumu, widniał rozległy fresk obrazujący Sąd Ostateczny. Majestatyczna figura Chrystusa znajdowała się bezpośrednio nad podwyższeniem, na którym mieli zasiąść doża i Rada Dziesięciu.

Czekając na przybycie dostojników, Francis powoli przesuwiał wzrokiem po widzach zgromadzonych naprzeciwko. Grupa jaskrawo ubranych kobiet szybko przyciągnęła ku sobie spojrzenia wszystkich zebranych na sali mężczyzn. Słynne weneckie kurtyzany przybyły co do jednej, aby napawać się tragedią kobiety nie należącej do ich świata. Cosma di Luna siedziała w samym środku tego barwnego towarzystwa. Chociaż, podobnie jak cała sala, ukrywała twarz za maską, Francis rozpoznał ją bez trudu. Ona jednak go nie zauważyła. Chłodziła twarz wachlarzem, plotkowała z przyjaciółkami i jadła łakocie z małego inkrustowanego pudełeczka, które trzymała na kolanach. Francis zaklął pod nosem, przejęty głębokim niesmakiem.

- Masz już dość naszej Cosmy? - wesołym głosem zagadnął go Niccolo.

- Si - odparł Francis, wzruszając niedbale ramionami. - Szukam nowych twarzy, weselszego towarzystwa.

Niccolo trącił go łokciem w zębra.

- Przyjdź dzisiaj do mnie na kolację. Przedstawię ci rozkośną małą ślicznotkę. To moje ostatnie odkrycie. Jest w Wenecji dopiero od niedawna - ale, uwaga, zaczyna się.

Ubrany w kosztowne szaty herold wyszedł na środek sali. Ciężką laską, symbolem swego urzędu, stuknął trzy razy w wypolerowaną posadzkę na znak, że proces się zaczyna. Natychmiast zapadła cisza. Drzwi najbliższe podwyższenia otworzyły się i czterech strażników wprowadziło ofiarę do środka. Wszyscy wyciągali szyje, aby się lepiej przyjrzeć oskarżonej. Niektórzy widzowie, siedzący z tyłu, wspięli się na ławki. Fran-



cis, górujący nad innymi, widział wszystko aż za dobrze. Widok Jessiki przejął go bezgranicznym smutkiem.

Po czterech dniach spędzonych w lochu jej piękny cygański strój był brudny i wyplamiony. Rozwichrzone włosy spadały bezładną kaskadą na ramiona i plecy, nadając jej wygląd jakiejś dzikiej piękności.

- Che bella\*! - szepnął Niccolo do ucha Francisa. - Ale dla czego jest w masce?

Francis pominął jego pytanie milczeniem. Jessica posuwała się wolno w stronę krzesła ustawionego na środku, ale głowę trzymała dumnie uniesioną. Zanim usiadła, rozejrzała się po sali. Kiedy zobaczyła Francisa, zamarła.

Przyłożył dwa palce do ust, ucałował je i pokazał Jessice. Nie dbał o to, czy ktoś dostrzeże ten ostentacyjny gest świadczący o lojalności i uczuciu.

Jessica zadrżała. Na ułamek sekundy jej wargi przybrały żałośnie łagodny wyraz. Zaraz jednak odwróciła głowę. Jeszcze nim usiadła na krześle, herold ponownie stuknął w podłogę laską.

- Proszę wstać i oddać honory jaśnie oświeconemu doży oraz Radzie Dziesięciu.

Dziesięciu najpotężniejszych ludzi Republiki Wenecji wstępowało jeden po drugim na podwyższenie. Ubrani byli w jednakowe długie czarne togi z czerwonymi jedwabnymi szarfami zwisającymi z lewego ramienia. Głowy dostojników zdobiły małe okrągłe czarne kapelusze wykończone wyjątkowo niestosownymi czerwonymi pomponami. Twarze całej dziesiątki były skryte za czarnymi skórzanymi maskami.

Uroczyście zajęli miejsca po obydwu stronach złoczonego tronu doży. Doża przybył na ostatku, ubrany w długą białą-złotą

\*Che belle - piękna

tunike. Był jednym z niewielu ludzi na sali, którzy pojawili się bez maski.

Powoli zasiadł na tronie, starannie układając obfite fałdy tuniki. Następnie gestem nakazał wszystkim zająć miejsca. Skinął na herolda, który wystąpił naprzód, aby odczytał akt oskarżenia z oprawionej w czarną skórę księgi.

Herold zaczął:

- Ten sąd zebrał się dzisiaj na nadzwyczajnej sesji, aby osądzić oskarżoną Jessicę Leonardo, obecną na tej sali, za popełnione przez nią ciężkie zbrodnie - herezję, uprawianie czarnej magii i zdradę państwa. - Odchrząknął. - Co się tyczy pierwszego zarzutu - herezji - oskarżona, która jako niemowlę została ochrzczona i przyjęta na łono naszego rzymskiego kościoła, odstąpiła od naszej świętej wiary i powróciła do praktyk religijnych swej żydowskiej rodziny.

Jessica złapała się za poręcz krzesła, ale nie zareagowała słowem. Jedynie wyżej uniosła podbródek.

Francis w milczeniu podziwiał jej odwagę. Och, najdroższa Jessico! Jesteś jedyną niewinną duszą na tej zadzumionej sali, przemawiał niemo do ukochanej.

Herold czytał pośpiesznie długi akt oskarżenia.

- Drugi zarzut dotyczy uprawiania przez oskarżoną czarnej magii. Polega na stosowaniu dziwnych praktyk i przyrządzaniu tajemniczych mikstur, eliksirów i maści, które zawierają nie czystą moc. Co więcej, oskarżona ma na swej twarzy diabelskie znamię.

Jessica potrząsnęła głową, chociaż w dalszym ciągu trwała w milczeniu.

Herold przewrócił stronicę księgi.

- Na koniec oskarżona dopuściła się ohydneho aktu zdrady wobec republiki, starając się wydobyć poufne informacje od znanych osobistości z kręgów politycznych, które przychodziły

do niej jako do uzdrowicielki ze swymi dolegliwościami. Co więcej, ujawniała te informacje przedstawicielom obcych mocarstw i konspirowała z kilkoma Anglikami, którzy są podejrzani o szpiegostwo.

Wśród publiczności rozszedł się szmer oburzenia. Czarna magia to odrębna sprawa - to rzecz kościoła - ale zdradzanie tajemnic ich ukochanego miasta raniło dumę jego mieszkańców. Na słowa „Anglicy” i „szpiedzy” - Jessica poruszyła się nagle w krześle, jak gdyby otrzymała niespodziewany cios. Siedząca na drugim końcu sali Cosma zbladła i zakrztusiła się orzechem w cukrze. Francis zadrżał i wstrzymał oddech. Gdyby Jessica popatrzyła teraz na niego, zgubiłaby ich oboje. Jedno jej spojrzenie potwierdziłoby zarzut konspirowania przeciw republice. Z trudem powstrzymał się od opuszczenia sali.

Spoglądając na herolda, Jessica wyprostowała się w krześle.

- To kłamstwo - zaprotestowała zdecydowanym tonem. Jej czysty melodyjny głos docierał do najdalszych zakątków sali.

Prokurator, ubrany w ciemną szarą togę i biały płaszcz bez rękawów, podniósł się zza stołu stojącego na podwyższeniu.

- Więzień nie ma prawa odzywać się bez zezwolenia sądu. Co powiesz na te zarzuty? - zapytał grzmiącym głosem.

Jessica spojrzała na niego wyniośle.

- Jestem niewinna. Żaden z tych zarzutów nie zawiera na wet źdźbła prawdy.

Prokurator uniósł brwi.

- Czyżby? - odezwał się szyderczo. - Rozpatrzmy pierwszy zarzut. Przysięgnij na Boga Najwyższego, że mówisz prawdę. Jesteś żydówką?

Jessica spojrzała prosto w oczy doży.

- Przysięgam przed Bogiem, który jest Najwyższym Sędzią, że nie jestem żydówką. Zawsze byłam wierną córką matki naszej, świętego Kościoła katolickiego.

Prokurator zbył jej słowa lekceważącym gestem.

- Jeżeli to prawda, to w jaki sposób wytłumaczysz przed radą obecność tej oto skrzynki pod twoim łóżkiem?

Po raz pierwszy Jessica straciła pewność siebie.

- O jakiej skrzynce mowa?

Szerokim gestem, obliczonym na efekt, prokurator podniósł wiśniową narzutę, która przykrywała skrzynkę z cedrowego drewna.

- Rozpoznajesz ją, Jessico Leonardo?

Jessica wbiła paznokcie w dłoń, aby ukryć drżenie rąk. Przez ostatnie kilka dni zastanawiała się na różne sposoby, jak się bronić przed zarzutami o uprawianie czarnej magii, o herezję, ale widok tej dziwnej skrzynki wyprowadził ją z równowagi. Nie miała najmniejszego pojęcia, czyje to było pudło i w jaki sposób trafiło pod jej łóżko.

Odchrząknęła.

- Po raz pierwszy w życiu widzę tę skrzynkę.

Prokurator zmrużył oczy.

- Przysięgasz, że nic nie wiesz o jej zawartości? - Podniósł wieko i zaczął ją opróżniać. - Wasza Wysokość i wy, czcigodni panowie, mamy tutaj sakiewkę, w której jest pięćset dukatów.

Pomruk zdziwienia przebiegł po sali. Jessica westchnęła. Nigdy w życiu nie posiadała takiej kwoty. Czyżby Gobbo powrócił na drogę przestępstwa? Boże, spraw, aby to była nieprawda.

Prokurator rozwiązał mały woreczek.

- Tutaj natomiast mamy kosztowny złoty pierścionek z turkusem, którego wartość ocenia się na osiemdziesiąt dukatów. - Podniósł do góry cenny klejnot, aby wszyscy mogli go zobaczyć.

Jessica zamarła. Rozpoznała pierścionek matki. Lucia dostała go od męża z okazji ślubu. Sakiewka w takim razie musi być

również własnością ojca, ale dlaczego ukrył swój majątek w jej domu i dlaczego, na dodatek, nie powiedział jej o tym?

Głośno oświadczyła:

- Nie wiedziałam, że posiadanie pieniędzy i biżuterii jest w Wenecji traktowane jak zbrodnia. Jeżeli takie jest prawo, mi lordzie, to może powinien pan aresztować wszystkich, którzy dzisiaj znaleźli się na tej sali.

Prokurator podniósł rękę, aby uciszyć wesołość na sali. Uśmiechnął się chytrze.

- Zgadza się, że taki majątek nie jest niczym nagannym, chociaż jego wielkość jest wysoce zastanawiająca. - Podniósł do góry dwie książki i pomachał nimi nad głową. - A co oskarżona powie na to?

Spojrzała na grube tomy.

- *Co to za książki?*

Otworzył jedną z nich i podsunął jej pod oczy.

- *Przeczytaj tytuł - rozkazał.*

Jessica potrząsnęła głową.

- *Niestety, milordzie, nie potrafię- odparła stanowczo, chociaż w głębi duszy wcale nie czuła tej pewności. - Nie umiem czytać.*

Trzęsa się ze strachu, ponieważ rozpoznała hebrajskie pismo. Domyśliła się już, z jakiego powodu doktor Leonardo schował skrzynkę w jej domku. Obawiał się, że jego powrót do wiary przodków może zostać wykryty. Zacisnęła wargi, uświadomiwszy sobie ogrom perfidii własnego ojca.

- *A te przedmioty?* - Prokurator uniósł menorę, tradycyjny żydowski świecznik, oraz srebrny modlitewny kubek, który również, jak poznała Jessica, należał do jej ojca. - *Czy coś ci wiadomo na temat przedmiotów tego bałwochwalczego kultu?*

- *Wydaje mi się, że żydzi używają takich przedmiotów, ale mnie są one obce - odparła. Patrzyła wprost w oczy oskarży-*

ciela. - Proszę mi wybaczyć nieznajomość prawa, ale sądziłam, że weneccy żydzi, tak długo, jak przestrzegają ustanowionych przez radę przepisów, mogą swobodnie praktykować wiarę swoich przodków.

- Och, widzę, że nie brak ci wiedzy i inteligencji. Ale ostrzegam, nie próbuj walczyć ze mną na słówka, signorina. Po wiedz radzie: czy te przedmioty należą do ciebie i czy jesteś żydówką?

Jessicę ogarnął gniew.

- Nie, milordzie, te przedmioty nie należą do mnie. Nie jestem żydówką i nigdy nią nie byłam. Codziennie chodzę na mszę. Co wieczór modłę się do Boga, by miał mnie w swojej opiece. Poza tym nie jestem również czarownicą.

- Ach tak? - Prokurator odstawił lichtarz i kubek na stół i podszedł do niej bliżej. - Bardzo dobrze. Przejdźmy teraz do drugiego zarzutu. Wielu świadków twierdzi, że zlikwidowałaś ich bóle i dolegliwości, stosując jakieś tajemnicze mikstury i maści. Wyznałaś przed chwilą, że jesteś niewykształcona. W jaki inny sposób mogłaś zdobyć tę wiedzę, jeżeli nie z pomocą czarów?

Jessica odrzuciła włosy z twarzy. Czuła się w tej chwili już nieco pewniej. Była przygotowana na to pytanie.

- To dar od Boga, a nie od szatana. Czynię tylko dobro, a nie zło. Jak diabeł może czynić dobrze, kiedy ze swej natury jest wcieleniem zła?

Jeden z anonimowych członków rady uniósł się z fotela i polecił:

- Zdejmij maskę, dziewczyno. Pokaż nam twarz.

Dreszcz przerażenia przebiegł po ciele Jessiki. Nadszedł moment, którego obawiała się najbardziej.

- Bardzo przepraszam, milordzie, ale moja twarz jest bardzo zdeformowana. Jej widok może wzbudzić w ludziach uczucie odrazy.

Radny opadł z powrotem na fotel. Bez słowa skinął na jednego ze strażników, stojących za plecami Jessiki. Nim zdała sobie sprawę, co się święci, mężczyzna wyciągnął rękę i przez ramię zdarł maskę z jej twarzy. Widok znamienia wywołał piorunujące wrażenie na członkach Rady Dziesięciu. Cofnęli się w swych bogato zdobionych fotelach i przeżegnali pobożnie. Widzowie z lewej strony sali, którzy także ujrzeli wstydlive piętno, zaczęli głośno wyrażać wstręt. Nawet pewny siebie prokurator odstąpił do tyłu.

Teraz, kiedy chwila, której najbardziej się obawiała, w końcu nadeszła, Jessica jeszcze wyżej uniosła głowę. Skoro tak, niech wszyscy dobrze się jej przyjrzą. Kątem oka spojrzała w kierunku Francisa. Czy on również przeraził się widokiem jej twarzy?

Francis, chociaż zaskoczony, posłał jej uśmiech. Zadrzała, po czym szybko odwróciła od niego wzrok. Jego uśmiech nie kłamał - wyrażał miłość, a nie obmierzłą ciekawość. Jeżeli to nie on ją zadenuncjował, to kto w takim razie jest donosicielem?

Prokurator szybko otrząsnął się z wrażenia.

- Mówisz, że nie jesteś czarownicą, ale przecież masz na twarzy piętno szatana. Zauważcie, czcigodni panowie, w którym miejscu wypalił jej skórę swym piekielnym pocałunkiem.

Jessica dotknęła palcem policzka.

- To nie jest tak jak pan mówi, milordzie. Nie spałam z nikim, a już na pewno nie z diabłem. To jest tylko przebarwienie skóry. Mam je od urodzenia. Proszę zapytać moich rodziców, jeżeli mi nie wierzycie.

Prokurator spojrział na nią wyniośle.

- Doktor i pani Leonardo opuścili miasto i mądrze zrobili. Woleli uciec, niż kłaść się obcowaniem z tobą. Wątpię, czy wrócą tu kiedykolwiek. Nie masz żadnego świadka na potwierdzenie swojej prawdy.

Dobrze, że uciekli, ale teraz jest już całkiem sama na świecie. Oczy zaszły Jessice łzami.

- Jestem dobrą katoliczką, czcigodni panowie - powtórzyła cichym głosem. - Prowadzę czyste i skromne życie, Przysięgam na moją duszę, że nigdy nie spałam z diabłem ani też z żadnym mężczyzną.

Nagły ruch w tylnych ławach zwrócił jej uwagę. Ubrany w krzykliwy szkarłatny strój i górujący nad całą widownią Francis Bardolph podniesionym głosem próbował zagłuszyć pomruk wzburzonego tłumu.

- Ja będę jej świadkiem. Wasza Wysokość, czy wolno mi zabrać głos?

Jessica zeszywniała. Nie, Francisie, usiądź! Żyj i napisz dla mnie epitafium, błagała go w myślach. Jej oczy zaklinały go, aby milczał. Ale Anglik torował już sobie drogę przez zbity tłum.

Doża, zaskoczony rozwojem wypadków, naradzał się z radnymi. Następnie skinął na herolda, aby laską uciszył rozgadaną publiczność.

Kiedy tłum uspokoił się w końcu, doża skinął zakrzywionym palcem na nieznanego mężczyznę.

- Podejdź tutaj.

Jessica splotła ręce, gdy Francis stanął przy jej boku. Nim zaczął mówić, uśmiechnął się do niej przelotnie.

- Donna Jessica nie kłamie, kiedy twierdzi, że jest dobrą katoliczką. Widywałem ją często modlącą się w kościele Świętego Marka. Ta dziewczyna nie jest czarownicą, ale dobrą, mądrą i cnotliwą chrześcijanką. Proszę, zapytajcie każdego, kto miał szczęście zaznać kojącego dotyku jej uzdrawiających dłoni. Wierzcie mi, wiem, o czym mówię, czcigodni panowie.

Odwrócił się i spojrzał wprost na grupkę rozgadanych kurtyzan, a szczególnie na Cosmę di Luna.

- Przez pięć ostatnich miesięcy korzystałem z uciech ofero-



wanych mi przez słynne piękności Wenecji. Jestem człowiekiem, który wiele podróżował po świecie, i znam różnicę między gołębim a wytartym skunksem.

Jedna z kurtyzan westchnęła, a jej policzki pokryły się krwistym rumieńcem.

Francis zaśmiał się i wskazał na rozwścieczoną Cosmę.

- Widzicie, czcigodni panowie? Jego odór przywłókł się za mną nawet tutaj, do tej dostojnej sali.

Tłum wybuchnął gromkim śmiechem. Jessica nachyliła się do Francisa i szepnęła:

- Nie powinieneś tu przychodzić.

Zbliżył głowę do jej głowy.

- A gdzież indziej jest moje miejsce niż przy tobie? - Uniósł jej podbródek i pogłaskał opuszką palca znieawidzone znamię na policzku - Nie zdradziłem cię, cara mia,

- Zrozumiałam to - odparła cicho.

Herold znowu stuknął kilkakrotnie laską o podłogę, nakazując spokój. Kiedy tłum zamilkł, doża skinął na Francisa, aby podszedł do stóp podwyższenia.

- Zdejm maskę.

Francis rozwiązał czarne wstążki, po czym cisnął maskę między najbliższe rzędy. Zdjął z głowy swój przyozdobiony piórami kapelusz i skłonił się dworsko przed dożą.

Doża prychnął pogardliwie.

- Kim jesteś?

- Nazywam się Francis Bardolph. Jestem gościem w waszym pięknym mieście.

Doża pogłaskał podbródek wskazującym palcem.

- Jaki rodzaj stosunków łączy cię z tą kobietą?

Jessica wstrzymała oddech. Odwracając się tyłem do Rady Dziesięciu, Francis ponownie zbliżył się do dziewczyny. Ujął jedną z jej zimnych dłoni i ucałował ze czcią.

- Jessica Leonardo jest moją narzeczoną - odpowiedział donośnym głosem. - Mieliśmy zamiar pobrać się przed nastaniem Wielkiego Postu.

Jessica ścisnęła mocniej jego rękę, ponieważ cały świat zawirował wokół niej. Czy Francis nie rozumie, że właśnie podpisał na sobie wyrok śmierci?

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Jego zaczarowano - wykrzyknął ktoś spośród widzów.

W Wielkiej Sali powstał nieopisany zamęt. Wszyscy mówili jednocześnie podniesionymi głosami. Dziesięciu ludzi w czarnych togach na podwyższeniu rozmawiało półgłosem. Herold stukał w podłogę swoją laską, wzywając do spokoju, ale nikt go nie słyszał. Doża wykrzywił wargi, jak gdyby ssał niedojrzałą cytrynę.

Korzystając z ogólnego zamieszania, Jessica szepnęła do swego obrońcy.

- Francisie, odebrało ci rozum. Twoja ofiara na nic się zda. Jestem tylko prostą dziewczyną.

Odpowiedział jej jednym ze swych najczarowniejszych, porywających uśmiechów.

- A ja, kochanie, jestem bękartem.

Jessica bardzo by chciała przywrócić mu rozsądek, ale tylko mocniej ścisnęła go za rękę.

- Si, jesteś rzeczywiście hultajem, ale to naprawdę nie jest pora na żarty, Francisie.

- Nie żartuję - mruknął, znowu całując jej dłoń.

Jessica potrząsnęła głową,

- W Wenecji obowiązuje prawo, że jeśli arystokrata zeni się z kobietą niższego stanu, to odbiera mu się tytuł i majątek.

Francis lekko pogłaskał ją po policzku - po tym biednym, oszpeconym.

- Czyżbyś zapomniała, że jestem Anglikiem? A poza tym

nie mam tytułu, którego można by mnie było pozbawić. - Pochylił się nad nią i musnął jej wargi ustami.

- Bądź dzielna, cara.

Przez moment zawirowało jej w głowie od nadmiaru wrażeń, ale zaraz powróciła do rzeczywistości.

- Jesteś nie tylko hultajem, ale również głupcem, Francisie Bardolphie - wyszeptała. - Takim demonstracyjnym okazaniem swoich uczuć wystawiłeś się na wielkie niebezpieczeństwo. Rozejrzyj się dookoła. Czy nie widzisz, z jaką odrazą ludzie na mnie spoglądają? Jak możesz znieść widok mojej twarzy?

Francis pogłaskał znieawidzone znamię. Jego dotyk był tak delikatny, jakby sam anioł musnął ją skrzydłami.

- Masz bardzo miłą twarzyczkę, najdroższa, i ja ją kocham.

Przyciągnął ją do swej szerokiej piersi i ponownie pochylił głowę do jej ust. Językiem rozchylił wargi w przejmującym wyznaniu miłości. Jessica zapomniała, gdzie się znajduje; z zapamiętaniem oddała pocałunek, napawając się każdą sekundą tej niebiańskiej chwili. Wiedziała, że jest to ich ostatnia pieszczota, i nie obchodziło jej wcale, czy ten widok nie przyprawi doży i całej Rady Dziesięciu o atak apopleksji. Wargi Francisa były ciepłe i wonne jak korzenne wino. Chłoneła ich słodycz całą swą istotą.

Rozdzieliły ich brutalne ręce straży. Kiedy otworzyła oczy, uderzyła ją panująca na sali cisza. Miłosna scena uciszyła widownię skuteczniej niż laska herolda. Odgarniając opadające na czoło włosy, Jessica osunęła się na krzesło. Francis stał obok. Dziewczyna siedziała nieruchomo z przymkniętymi powiekami; czekała, aż jej rozszalałe serce zacznie znowu bić normalnym rytmem.

Prokurator, pobladył nie wiadomo z gniewu czy obrazy, odchrząknął głośno.

- Wasza Wysokość, dostojni członkowie rady, wróćmy do pytania związanego z tą skrzynką. - Wziął do ręki jedną z hebrajskich ksiąg, ale nim zaczął orację, ciemna postać Władcy Nocy wystąpiła na środek sali.

- Wasza Wysokość, proszę o słowo.

Jessica otworzyła oczy. Ten groźny przedstawiciel prawa, kiedy ją aresztowali, był surowy, ale nie okrutny. Szanowała go za to.

Doża, z westchnieniem rezygnacji, skinął przyzwalająco głową.

- Tylko krótko - ostrzegł. - Robi się późno.

Lord Gratiano skinął głową, po czym oświadczył:

- Jeżeli chodzi o tę skrzynkę, Wasza Wysokość, to w moim ręku znajduje się pewien młody człowiek, który może rzucić nieco światła na tę sprawę. Złapałem go w momencie, kiedy usiłował ją skraść.

Iskra zainteresowania pojawiła się w oczach doży.

- Czyżby? Przyprowadzić tutaj złodziejaska.

Dwóch innych strażników przywlokło do sali drżącego młodzieńca. Głuchy pomruk rozszedł się wśród tłumu.

- Biedny Jacopo - wyszeptał Francis.

Prokurator spojrział najpierw na chłopaka, a potem na Jessicę.

- Aha! Wszystko już teraz rozumiem. Ten ruffiano\* jest jednym z pacholków signoriny Leonardo. To ona kazała mu pozbierać się z domu tego kompromitującego dowodu przestępstwa. Czyż nie mam racji? - zwrócił się do Jessiki.

Dziewczyna potrząsnęła głową przecząco.

- Nie - odpowiedziała czystym mocnym głosem. - Przysięgam, że nigdy w życiu nie widziałam tego młodego człowieka, - Spoglądała na Jacopa zdziwiona i zakłopotana.

Złodziejaszek, ujrawszy jej znamię, przeżegnał się nerwo-

\* Ruffiano - rajfun, stręczyciel

wo i cofnął chwiejnym krokiem. Padł na kolana przed podwyższeniem.

- Nigdy nie miałem do czynienia z tą czarownicą. Proszę mi wierzyć, czcigodni panowie - bełkotał. - Moją panią jest donna Cosma di Luna. To jej służę i to ona kazała mi ukraść ten kuferek.

Pudełko ze słodyczami ześlizgnęło się z kolan Cosmy i upadło z łoskotem na podłogę. Zerwała się z ławki.

- Nie! - wrzasnęła przenikliwie. - On kłamie, ponieważ chce ocalić swoją skórę. Nie wiem nic na temat tej skrzynki.

Błysk zrozumienia rozświetlił nagle mózg Jessiki. Oto nieoczekiwanie pojawia się możliwość ocalenia. Podniosła się z miejsca.

- Jaśnie oświecony panie, signorina di Luna wtargnęła do mego mieszkania kilka dni temu. Powodem była zazdrość o lorda Bardolpha. Rozkazała mi nigdy więcej się z nim nie spotykać i, co więcej, zagroziła straszliwymi konsekwencjami na wypadek, gdybym nie zastosowała się do jej żądania. - Jessica odwróciła się w stronę rywalki. - Być może to donna Cosma sama podrzuciła mi skrzynkę, kiedy przyszła do mego domu oskarżyć mnie o herezję. Prawdę mówiąc, mam poważnie podejrzenie, że to właśnie ona doniosła do Rady Dziesięciu o moich rzekomych zbrodniach.

Jacopo z oczami pełnymi przerażenia, kiwnął głową na znak, że potwierdza słowa Jessiki.

- Si, si, jaśnie oświecony panie. Rzeczywiście, towarzyszyłem swej pani do domu signoriny Leonardo. Faktycznie niosłem tę skrzynkę. - Oblizał zeschnięte wargi.

Członkowie Rady, stropieni nieoczekiwanym przebiegiem procesu, naradzali się półgłosem. Jacopo czołgał się po wypolerowanej posadzce, podczas gdy kilku strażników zajęło się protestującą Cosmą.

- Czegoś tu nie rozumiem - zwrócił się Francis do Jessiki

stłumionym głosem. - Przecież Jacopo śledził każdy mój krok od przeszło dwóch tygodni.

Członkowie Rady powrócili na swoje miejsca. Doża stał pod szkarłatnym urzędowym baldachimem. Na sali zapanowała głęboka cisza.

- My, Rada Wenecji, skazujemy tego oto złodziejaska na trzy lata przymusowej pracy na galerach - okrętach wojennych naszej republiki. Jest nadzieja, że ta kara pozwoli mu zrozumieć, jak niewłaściwych wybrał sobie chlebodawców.

Jacopo zemdłał. Straże podniosły go jak worek ziarna i wywlokły z sali.

Następnie doża skinieniem ręki nakazał zbliżyć się Cosmie. Podeszła do podwyższenia i złożyła przed dostojnikami ceremonialny ukłon.

- Pokorna służa Waszej Wysokości - odezwała się słodkim jak miód głosem.

Ani jej przymilny ton, ani wyeksponowany ponętny biust nie zrobiły na doży wrażenia. Spoglądał na nią ze zmarszczonym czołem.

- Pani, twój udział w tej smutnej sprawie jest w najlepszym wypadku dość podejrzany i przypuszczalnie nigdy nie zdołamy wyjaśnić go do końca. - Podniósł dłoń na znak, by mu nie przerwano. - Z uwagi jednak na naszą młodzież, która może ulec twoim zgubnym wpływom, rada zdecydowała zamknąć cię niezwłocznie w klasztorze. Tam będziesz miała dość czasu, aby odpokutować za grzechy.

- Co?! - wybuchnęła Cosma. W jednej chwili straciła całą swą ogładę. - Jak możecie postąpić ze mną w ten sposób! Wielu z was korzystało z mego gościnnego domu i moich łask. Tak mi się teraz odwdzięczacie?!

Doża wykrzywił wargi z niesmakiem.

- Stajesz się nudna, moja droga. - Wskazał ją strażnikom. -

Zabierzcie ją natychmiast do klasztoru Maddalena na Giudecca. Tam możesz się za mnie modlić - dodał, gdy odciągano Cosmę.

- Obyś smażył się w piekle - warknęła. Zwracając się w stronę Francisa, plunęła na niego, zanim straż zdążyła temu zapobiec.

Francis otarł twarz koronkową chusteczką.

- Do końca zostałeś ladaczną, gatta mia.

Doża utkwiał teraz surowy wzrok w stojącej przed nim parze.

- Drogi lordzie Bardolphie. W zasadzie nie mamy nic przeciwko tobie, wyjąwszy fakt, że jesteś Anglikiem i znajdujesz się pod widocznym urokiem tej kobiety. - Wymierzył w niego wskazujący palec. - Mamy jednak podstawy do podejrzeń, że możesz być tym angielskim szpiegiem, o którym wspominają nasze raporty.

Jessica zadrżała. Czy to możliwe, że Francis jest szpiegiem? Od samego początku czuła, że nie jest tym, za kogo chciał uchodzić.

Doża zaniósł się kaszlem, po czym mówił dalej:

- Postanowiliśmy wobec tego wydalić cię z Wenecji z zakazem powrotu kiedykolwiek. Dajemy ci dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie naszej stolicy. Jeżeli się do tego nie zastosujesz, zostaniesz skazany na śmierć.

Francis wzruszył ramionami.

- Doskonale, Wasza Wysokość. Oczywiście zastosuję się do polecenia. Mówiąc prawdę, znudziło mnie już krzykliwe oblicze tego miasta, za którym kryje się bezmiar korupcji. Zabiorę narzeczoną i oboje natychmiast stąd wyjedziemy.

Doża zmrużył oczy.

- Wenecja z radością pozbędzie się ciebie, messere, ale od płyniesz stąd sam. Jessico Leonardo, biorąc pod uwagę diabelskie znamię na twoim policzku oraz zastanawiające umiejętności, którymi się odznaczasz, oświadczamy, że uznajemy cię za winną uprawiania czarnej magii.



Jessica złapała się poręczy krzesła, aby nie osunąć się na podłogę pod ogromem tego ciosu. Jakaż była głupia, myśląc, że uda się jej wyrwać ze szponów Rady Dziesięciu! Francis położył jej rękę na ramieniu i zwrócił się do sądu.

- Wasza Wysokość i wy, czcigodni panowie! Na jakiej podstawie skazujecie tę dziewczynę na śmierć? Czy to jej wina, że przyszła na świat z tym nieszczęsnym znamieniem? Czy ono ma stanowić dowód przestępstwa? Proszę wezwać więcej świadków. Musi być ich wielu - nawet na tej sali - którzy zaświadczą o dobrych uczynkach i prawdziwie świątobliwym życiu tej nie słusznie oczernionej kobiety.

Doża spojrział na niego, po czym przeniósł wzrok na zachłannie słuchającą widownię.

'- Czy jest tu ktoś, kto może coś powiedzieć w obronie tej czarownicy?

Nikt się nie poruszył. Ludzie zaczęli odsuwać się od siebie. Spoglądając na twarze widzów, Jessica gotowa była przysiąc, że rozpoznaje między nimi dawnych pacjentów. Jacyż oni wszyscy okazali się tchórzliwi i niewdzięczni! Francis ścisnął mocniej jej ramię.

- Odwagi - wyszeptał.

Doża strzepnął niewielki puszek ze swego płaszcza.

- Bardzo dobrze, sprawiedliwości stało się zadość. - Ponownie zwrócił się do Jessiki. - Nie będziemy kłaść sobie rąk twoją krwią. Zostaniesz zgładzona nocą przez uduszenie lub utopienie. Rada już to ustali.

Jessica zebrała resztkę sił i podniosła się z krzesła. Popatrzyła wprost w bezduszne twarze sędziów.

- Czy mogę coś powiedzieć, Wasza Wysokość? Mam do tego prawo jako obywatelka Wenecji.

- Dobrze. Powiedz, co masz do powiedzenia, i skończmy już wreszcie z tą sprawą. Czas ucieka.

Jessica uchwyciła się tych słów. Spojrzała na starego człowieka, rozpartego w wielkim złoconym tronie na podwyższeniu.

- To prawda, Wasza Wysokość. Wkrótce i ty, jaśnie oświecony panie, również staniesz przed sędzią na tronie - boskim sędzią. - Przeniosła wzrok na sufit i wskazała na malowidło przedstawiające Chrystusa w dniu Sądu Ostatecznego. - A kiedy ten dzień nastanie, zarówno ty, jak i inni, którzy skazują mnie dzisiaj na śmierć, przypomnicie sobie tę chwilę, albowiem ja również tam będę stać - ale po prawej ręce Wszechmogącego.

Przez salę przebiegło westchnienie, a wielu przeżegnało się pobożnie. Doża zmienił się na twarzy. Kilku członków rady poruszyło się niespokojnie w fotelach.

Jessica nie zważała już na nic i kontynuowała płomienną mowę. Teraz zależało jej tylko na tym, aby jej słowa zapadły w duszę każdego weneccjanina obecnego na sali.

- Jestem niewinna, a wszystkie wasze oskarżenia są całkowicie bezpodstawne. Wam chodzi o to, aby uchronić się przed zarzutem, że Wenecja toleruje heretyków, zamiast tępić ich gorliwie. Zostaję skazana na śmierć, aby ugłaskać psy inkwizycji, które kłapią wasze szlachetne pięty.

- Milcz! - wykrzyknął jeden z radnych.

Francis spróbował wziąć ją za rękę.

- Jessico! Najmilsza!

Odsunęła się od niego. Była to jej ostatnia obrończa mowa i Jessica pragnęła, aby utkwiała ona na długo w pamięci słuchaczy.

- Nie uczyniłam nic złego i wy, w swoich przebiegłych i fałszywych sercach, dobrze o tym wiecie. Jak możecie oczekiwać miłosierdzia, skoro sami go nie okazujecie? Zapamiętajcie mnie dobrze, ponieważ spotkamy się znowu, a wówczas moim obrońcą będzie sam Bóg Wszechmogący.

- Błżnierstwo! - wykrzyknął jeden z dostojników. - Wyprowadzić ją!

Zanim strażnicy zdążyli dźgnąć ją pikami, Jessica określiła się i spojrzała na Francisa. Niewymowna rozpacz malowała się na twarzy młodego Anglika. Jego niebieskie oczy szklily się od powstrzymywanych łez. Wyciągnął do niej rękę.

- I ty również nie zapomnij o mnie, Francisie - powiedziała już łagodniej.

- Jessico! - Rzucił się ku niej, ale kilku strażników przytrzymało go w miejscu, gdy wyprowadzano ją z sali. - Jessico! Kocham cię!

Kiedy obejrzała się na niego, posłał jej jeszcze jeden pocałunek. Otworzyła usta, aby odkrzyknąć, że również go kocha, ale ciężkie drzwi już się za nią zatrzasnęły. Uniosła podbródek i zbierając całą siłę woli, powstrzymała wydzierający się z piersi szloch. Nie chciała, żeby strażnicy byli świadkami jej łez. W duchu czule zwróciła się do Francisa: Tulę cię z całej mocy do serca, o mój ukochany, z uczuciem, jakbyśmy naprawdę byli mężem i żoną.

Kiedy drzwi zamknęły się za Jessicą, Francis doznał wrażenia, że słońce nagle zgasło. Kręciło mu się w głowie. Czerwona mgła przesłaniała oczy. Wiedział, że gdyby nie odebrano mu broni, wdarłby się na podwyższenie i rozplatał gardło tego świętoszkowatego, bezwolnego starca obleczonego w szkarłat i złoto.

Jeden ze strażników popchnął go szorstko do wyjścia.

- Precz stąd, angielski psie.

Francis oprzytomniał i uśmiechnął się do krzepkiego, śmierdzącego czosnkiem osiłka. Następnie skłonił się przed nim z szyderczym uśmiechem.

- Ponieważ nazwałeś mnie psem, strzeż się moich kłów - warknął. Przerzucił pelerynę przez lewe ramię i wyszedł z sali.

Ludzie rozstępowali się przed nim jak przed zadzumionym.

Niccolo minął go na schodach i odwrócił głowę, gdy Francis na niego spojrział.

- Wybacz, ale się śpieszę, Bardolph. Rozumiesz, chodzi o honor mego rodzowego nazwiska - wymamrotał, zbiegając po szerokich marmurowych schodach.

Kiedy Francis znalazł się już na zewnątrz, zauważył ze zdziwieniem, że tragiczny dzień ma się już ku końcowi. Nad miastem powoli zapadał zmierzch. Zegar na wieży nad jego głową wybił piątą. Rozbawieni ludzie w maskach znowu wylegli z domów na ulice i place, aby tańcem i śpiewem uczcić ostatnie godziny karnawału. Z wybiciem północy rozpoczyna się Wielki Post - czterdziestodniowy okres umartwień i ascezy.

Nobe wyszedł zza białej kolumny pałacowego portyku.

- Jak wyglądają sprawy? - zapytał, zrównawszy się z Francisem.

- Jak najgorzej.

Skreślił ostro na lewo i poszedł w stronę więzienia, w którym, jak wiedział, osadzono Jessicę. Chciał zbadać otoczenie tego posępnego gmachu jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Ponieważ jego pierwotny plan spalił na panewce, musiał uciec się do znacznie ryzykowniej szych środków. Uwolni Jessicę albo zginie podczas próby jej oswobodzenia. Teraz, kiedy już powziął tę decyzję, ogarnął go wielki spokój.

Nobe i Francis zatrzymali się naprzeciwko więzienia. Francis przez kilka minut przyglądał się budynkowi. Szczególnie interesował go kryty most nad Rio di Palazzo, który łączył pałac doży z więzieniem.

- Most Westchnień - wyrzekł półgłosem. Czy jego ukochana płakała, kiedy prowadzono ją przez niego do celi? - Za każdą wylaną łzę jej prześladowcy zapłacą krwią. Już moja w tym głowa.

Nobe gwizdnął przez zęby.

- I to mówi człowiek wykształcony, który porzucił walkę na rzecz racjonalnych argumentów. Zdziwiasz mnie, przyjacielu. Nie podejrzewałem cię o takie krwiożercze instynkty,

- Dzisiejsza lekcja wiele mnie nauczyła.

Nobe chrząknął.

- I zamierzasz wygrać tę grę? - Zmrużył oczy, przyglądając się grubym ścianom.

- Nie opuszczę Wenecji bez Jessiki - oświadczył Francis ze spokojem.

- Wiem o tym - przyznał równie spokojnie Nobe - a ja nie odjadę bez ciebie.

- Powiedz mi prawdę, czy twoja wyobraźnia podsuwa ci jakiś obraz, czy widzisz mnie w przyszłości u boku Jessiki? - Wstrzymał oddech, gdy Nobe w milczeniu zaczął wpatrywać się w dal niewidzącymi oczami.

Czarny olbrzym skinął wreszcie głową twierdząco.

- Tak, widzę was razem, ale nie mogę powiedzieć, czy będzie to w tym, czy przyszłym życiu.

Francis poklepał go po ramieniu.

- To mi wystarczy! Opuśćmy to smutne miejsce i wracajmy do gospody. Nie mamy chwili do stracenia.

Nobe wskazał na swój statek, którego lśniący korpus kołysał się na kotwicy pośród laguny.

- Mój okręt jest gotowy, a załoga czeka na sygnał. Popłyniemy, dokąd rozkażesz.

- Nobe, jesteś wielki!

Kiedy przepychali się przez rozbawiony tłum, Francis pokrótce przedstawił przyjacielowi plan działania. Miał w związku z tym kilka ważnych poleceń.

- Wyślij paru swoich ludzi do domu Jessiki. Trzeba zapewnić bezpieczeństwo jej służącym.

Nobe zgodził się.

- Za godzinę będą na moim statku.

Ruszyli w stronę mostu Rialto.

- Potrzebny mi będzie habit zakonnika - najlepiej dominikanina.

- Nie znam się na zakonach ani na nazwach różnych bractw. Jakiego koloru są habity dominikanów?

- Czarnego - odpowiedział Francis, gdy wchodzili do gospody. - Potrzebne mi będą również kostiumy arlekina i kolombiny.

- Następnym razem zażadasz księżycy na latarni.

Pozdrowili po drodze ziewającego właściciela i wstąpili na schody. Przeskakiwali po dwa stopnie naraz. Kiedy już znaleźli się w swoim pokoju, Francis podjął temat.

- Potrzebny mi również trup - świeży trup.

Nobe pomacał swoje sztylety z wymuszonym uśmiechem.

- Kiedy ma być zabity?

Francis potrząsnął przyjacielem.

- Porzuć ten krwawy pomysł. Nie chodzi mi o ukatrupienie człowieka, który chodzi w tej chwili po mieście.

- Twoje wrażliwe sumienie jest w tym przypadku przeszkodą. Francis zdarł z siebie jaskrawy kolorowy kubrak oraz pasiaste nogawice.

- Znajdź mi niedawno zmarłego człowieka, kogoś szczupłego, z długimi ciemnymi włosami. - Przebrał się w czarne trykoty i brązowy skórzany kaftan. Kopnięciem wrzucił pod najbliższe łóżko krzykliwy strój. Już na zawsze pozbył się przebrania. Po raz pierwszy w życiu Francis Bardolph był sobą, nikogo nie udawał.

Nobe spojrzał na niego.

- Twój plan przedstawia się bardzo obiecująco. Zapowiada się niezła zabawa.

Francis wsunął cienki sztylet za cholewę buta.

- Możesz na to liczyć.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Podczas gdy Nobe przemierzał zaułki Wenecji w poszukiwaniu odpowiednik zwłok, Francis pakował rzeczy i podarunki. Zawahał się, gdy wziął do ręki swój portret. Zastanawiał się, co z nim zrobić. Chociaż podobieństwo do sir Guya denerwowało go, wiedział, że obraz jest dobry i nie zasługuje na to, aby skończyć w piecu jako podpałka. Wziął kawałek pergaminu i napisał na nim nazwisko i adres odbiorcy: „Dla lady La Belle Hayward, zamek Bodian, hrabstwo Sussex, Anglia”. Następnie przykleił karteluszek do ramy.

Ilekcio dzwony pobliskiego kościoła wydzwaniały kwadrans, Francisa ogarniało coraz większe zdenerwowanie. Ile czasu może zająć znalezienie odpowiednich zwłok? Co rano w kanałach znajdowano ich mnóstwo; ubogie rodziny nie miały pieniędzy na przyzwoity pochówek. Pojawiło się dwóch marynarzy z „Ducha”, statku Nobe'a. Zabrali worki i skrzynie oraz portret i oddalili się bez słowa.

Francis słyszał przez okno odgłosy zabawy. Mieszkańcy Wenecji, wypełniający licznie ulice i skwery, muzyką i śpiewem żegnali odchodzący karnawał. Doża wraz z całą wenecką arystokracją będą świętować tradycyjne ostatki, Martedì Grasso, aż do północy, kiedy to wielkie dzwony na wieży zegarowej, wybijając dwunastą, obwieszczą początek Wielkiego Postu.

Gdzie, na miłość boską, podział się Nobe?

Kościelne zegary wybiły właśnie wpół do ósmej, gdy garść kamyczków zagrzechotała o żaluzje w pokoju Francisa. Na-

reszcie! To Nobe dawał o sobie znać umówionym sygnałem. Francis podniósł zapaloną świecę i nakreślił nią w oknie znak krzyża, a następnie zdmuchnął płomyk. Był to znak, że odebrał wiadomość.

Francis zbiegł pędem ze schodów. Na dole, w głównej izbie, z małej beczułki stojącej na ladzie utoczył wina do skórzanego bukłaka. Karczmarzowi wetknął do ręki pełną sakiewkę dukatów.

- Za pańskie liczne grzeczności - mruknął i wybiegł za próg, nim gospodarz zdążył policzyć pieniądze.

Nobe i kilku członków jego załogi oczekiwali na niego w wąskiej bocznej uliczce.

- No i co? Udało się? - zapytał.

Nobe roześmiał się tubalnie.

- Czy wiesz, że w tym mieście trudniej znaleźć habit duchownego niż trupa? - Wręczył Francisowi zawiniątko. - Udało mi się dotrzeć do pralni jednego z zakonów. Nie było czasu, aby szukać odpowiedniego rozmiaru. Trzeba było brać co popadnie.

Francis wydobył dominikański habit z kapturem i skinął głową z zadowoleniem. Był wprawdzie trochę za krótki, ale w ciemnościach któż to zauważy?

Nobe wskazał na podłużny pakunek pod ścianą.

- Sądząc z wyglądu, był to ładny grecki chłopak z pięknymi czarnymi włosami. Miał około piętnastu lat. Zmarł z gorączki; przynajmniej tak mi powiedziano. - Zmarszczył nos. - Jak na razie nie czuć go jeszcze, ale jego stawy są sztywne jak kije.

Francis popatrzył na zmarłego chłopca.

- Z gorączki? - powtórzył jak echo.

Nobe klepnął go po ramieniu.

- Ale nie z zarazy. Jeszcze na nią za wcześnie. - Wskazał na jednego ze swoich ludzi. - A mój pierwszy oficer zdołał namówić pewną miłą aktorską trupe, aby oddała nam swoje stroje.



- Uniósł do góry kostiumy popularnych bohaterów z komedii dell'arte.

Francis uśmiechnął się posepnie.

- Bardzo dobrze się spisałeś, przyjacielu.

Nobe wciągnął przez głowę lekarską tokę, a następnie nałożył drugą oznakę tego zawodu - maskę z długim nosem.

- Zostaw swoje podziękowania na później. Musimy się śpieszyć. Po północy będziemy mieli przeciwną falę.

Francis bez słowa ubrał się w pstrokata szatę arlekina, z charakterystycznymi rombami w czerwonym i żółtym kolorze. Zwinął habit w małą paczkę i wepchnął pod koszulę na plecach, tak że wyglądał jak garbus. Wspólnie z Nobe'em ubrali zwłoki w kostium kolombiny. Na koniec Francis odkorkował bukłak i oblał martwe ciało kwaśnym winem, tak aby zapach taniego alkoholu przytłumił odór śmierci. Następnie zarzucił sobie zwłoki na ramię. Młodzieniec był niedożywiony i ważył mniej, niż Francis się spodziewał.

- Czas na zabawę, Nobe! Idziemy!

Pomimo ścisłu grupa konspiratorów w krótkim czasie dotarła na koniec placu. Żaden z bawiących się wokół ludzi nie zauważył, że jeden z aktorów komedianckiej trupy upił się do nieprzytomności i trzeba go nieść. Śmiejąc się dobrodusznie i również udając podchmielonych, Nobe i Francis oraz poprzebierani marynarze przedzierali się przez zbity tłum, aż znaleźli się w stosunkowo cichym pałacowym portyku.

Nobe wskazał na wieżę zegarową.

- Zdążyliśmy na czas.

Dwóch wielkich murzynów z brązu zaczęło uderzać w dzwon. Zrobili to dziesięć razy. Wybiła dziesiąta.

W tym momencie nad ich głowami rozległy się dźwięki trąb, obwieszczających publiczności rychłe pojawienie się doży i jego dworu. Francis skulił się w nadziei, że wyda się przez to niż-

szy. Przy akompaniamencie wiwatującego tłumu dostojnicy kroczyli majestatycznie w stronę zegarowej wieży. Mieli zapoczątkować popularny obrzęd Dwunastu Świń, tradycyjnie kończący wenecki karnawał.

- Minie dużo czasu, nim ci starzy ludzie wdrapią się po stromych schodach na szczyt wysokiej wieży - oznajmił szeptem Francis towarzyszom. Przewidywał, że przeznaczone na zagładę wieprze będą się długo broniły, wyrywały i wierzgały, zanim oprawcy zdołają je poskromić i zrzucić z wysokości na ziemię.

Przyglądając się klatkom, w których tłoczyli się kwiczący bohaterowie wieczoru, Nobe prychnął pogardliwie.

- I to oni mnie nazywają barbarzyńcą!

Skoro tylko ostatni z odzianych w szkarłatne szaty dostojników, wraz z honorową strażą, zniknął w głębi wieży, Francis i Nobe wzięli kolombinę między siebie. Ramiona trupa zarzucili sobie na szyje. Głowa młodego Greka zwisała w dół; długie włosy i pocieszna maska kryły popielatą trupią twarz.

Francis mrugnął do Nobe'a.

- A teraz do jaskini lwa.

Nobe dał znak swoim ludziom, którzy chwiejnym krokiem minęli otwartą bramę pałacu i weszli na dziedziniec. U podnóża szerokich schodów zatrzymał ich samotny gwardzista.

- Hola, moi przyjaciele - odezwał się do nich z uśmiechem. - Idzicie w złym kierunku. Plac jest tam. - Wskazał wysokie sklepienie przejście.

Jeden z marynarzy, weneccjanin, wysunął się przed grupę. Francis i Nobe trzymali się w cieniu, z dala od światła pochodni.

Marynarz przebrany za Pantalona odwzajemnił uśmiech strażnika.

- Wiemy, szanowny panie, ale nam kazano udać się do prywatnych apartamentów doży. Będziemy mieli tam zaszczyt wy-

stąpić z naszą sztuką przed władcą i jego rodziną, gdy powrócą po skończonym obrzędzie do pałacu. Wartownik zastanowił się.

- Kto wam wydał taki rozkaz?

Marynarz wzruszył ramionami.

- Nie podał nam swego nazwiska. Jesteśmy przecież tylko grupą błaznów. Szlachetny pan nie bawi się w grzeczności z ludźmi takimi jak my. Był ubrany w czerwoną togę i stał w pobliżu Jego Wysokości. - Marynarz podszedł bliżej do strażnika. - To ma być niespodzianka dla naszego doży. Rozumiesz?

Strażnik przyglądał się po kolei wszystkim aktorom. Kiedy zauważył w ciemnościach obwisłą postać kolombiny, uspokoił się.

- Rozumiem teraz, dlaczego jesteście tacy speszeni. Musi cie ocucić waszą damę przed powrotem doży.

Marynarz i jego towarzysze, nie wyłączając Francisca i Nobe'a, skłonili się przed nim.

- Si, to rzeczywiście nieprzyjemna sprawa - zgodził się weneccjanin. - Ocucimy ją, przysięgam na duszę mej matki. Wystąpi przed dożą i będzie grała tak wspaniale jak zawsze. - Walnął się pięścią w szeroką pierś. - Zapewniam cię, jesteśmy najlepsi; nie ma od nas lepszych aktorów w całej Wenecji dziś wieczór.

Oby tak było, pomyślał Francis.

Wartownik uśmiechnął się do nich i machnął ręką na znak, że pozwala im przejść.

Śmiejąc się i żartując rubasznie, pośpieszyli na górę po ogromnych schodach wiodących do pałacu. Nobe i Francis, ze swym ciężarem, trzymali się w środku grupy aż do momentu, kiedy znaleźli się w długiej galerii na drugim piętrze. Zgodnie z przewidywaniem Francisca, ogromny pałac był całkowicie wy-

ludniony. Wszyscy jego mieszkańcy poszli obejrzyć emocjonujące widowisko.

Nobe rozkazał weneccjaninowi stanąć na straży na szczycie schodów. Francis, zarzuciwszy sobie na ramię martwe ciało młodego Greka, zbiegł na dół, do pomieszczenia, o którym wiedział, że prowadzi na Most Westchnień. Nobe porozstawiał swoich ludzi na czatach, w różnych punktach galerii. Po stwierdzeniu, że w izbie przy wejściu na most nie ma nikogo, Nobe i Francis wślizgnęli się do środka i zamknęli drzwi.

Złożyli trupa przy wyjściu. Następnie Francis wyjął habit dominikanina z paczki i włożył na swój pstrokaty kostium arlekina. Nobe zdjął lekarską togę i pozostał w swym codziennym czarnym ubraniu.

Francis owinał zwłoki w czarną opończę i spojrzał na drugi koniec mostu. Za wąskim krytym przejściem zobaczył światło latarni. Zanim opuścił izbę, na czole i policzkach zrobił woskiem liczne dzioby, tak by imitowały ślady po ospie, oraz, dla większego efektu, dolepił wielką narośl na czubku nosa.

Nobe postępował za nim.

- Powodzenia i niech duch twego szlachetnego dziadka będzie z tobą - szepnął Francisowi do ucha.

Anglik wkroczył na most. Nie ma już dla niego odwrotu. Nigdy przedtem nie czuł się taki radosny i pełen energii jak w tej chwili.

Kiedy już znalazł się po drugiej stronie przejścia, odchrząknął i zawołał:

- Pokój niech będzie z tobą. - Słowa te skierował do strażnika, który siedział na stołku pod zapaloną latarnią.

Mężczyzna zerwał się z miejsca. Jedną ręką zasłonił oczy, w drugiej ścisnął mocniej pikę.

- Kto idzie?

Naciągając kaptur na twarz, aby ukryć włosy, Francis nakreślił znak krzyża w powietrzu.

- Przyjaciel. Pokój niech będzie z tobą - powtórzył gardłowym głosem.

Strażnik odpowiedział odruchowo.

- I z tobą, czcigodny ojciec.

Francis zaszedł strażnika od lewej strony, tak aby ten odwrócił się tyłem do mostu.

- Powiedz mi, mój synu, czy wiedźma jeszcze żyje? - Dobry Boże, spraw, by Jessica była jeszcze przy życiu modlił się w duchu.

Strażnik splunął na ścianę.

- Si, ojciec, ale już niedługo.

- Polecono mi ją wyspowiadać, jeżeli wyrazi takie życzenie.

Ponownie przesunął się na lewo. Strażnik stał już plecami do przejścia. Francis zobaczył, jak czarniejszy od nocy cień Nobe'a przemyka się chyłkiem po moście z martwym ciałem w ramionach. Kiedy już Nobe bezpiecznie znalazł się po drugiej stronie, przywarł płasko do ściany.

Strażnik zaklął głośno, ale zaraz przeprosił.

- To wyjątkowo bezczelna dziewczyna, ojciec. Lepiej się do niej nie zbliżać. Mówiono mi, że przeklęła Jego Wysokość i całą radę podczas procesu.

Francis złożył ręce jak do modlitwy.

- Co za niegodziwa istota - przyznał. - Może jeszcze można jej pomóc. Jestem gotów to zrobić.

- Pomóc w czym? - burknął strażnik. - W rychłej śmierci?

- W uratowaniu duszy - odpowiedział Francis. - Może uda się ją ocalić od piekielnego ognia. Czy jej cela znajduje się na górze pod dachem?

Strażnik zarechotał.

- Nie. Wsadzili ją na samo dno lochów. - Pokazał kciukiem prowadzące w dół schody.

- Poniżej wody. Musi tam być strasznie zimno - zauważył Francis. Powiedział to bardziej do siebie niż do strażnika. Bieda na Jessica. Jeżeli zabrali jej pelerynę, to suknia nie ochroni jej przed chłodem.

Nobe, skoro tylko usłyszał, w którym miejscu uwięziono Jessicę, prześliznął się ze swym pakunkiem pod niskim sklepieniem i zbiegł w dół do podziemnych cel. Tymczasem strażnik raczył swego słuchacza plastycznym opisem mąk, jakie czekają więźmę, kiedy po śmierci połączy się ze swym szatańskim władcą.

- Będzie jej tam ciepło, ręczę za to - zakończył.

Francis spojrział na niego z powagą, chociaż wszystko się w nim gotowało z wściekłości. Ręka świerzbiła go, aby udusić nieczułego drania za okrutny stosunek do Jessiki.

- Będzie jak Bóg zarządzi, mój synu. Robi się późno, zaprowadź mnie do tej nieszczęsnej grzesznicy.

Strażnik odstawił pikę pod ścianę i zdjął latarnię z haka. Wziął ogarek świecy z pobliskiego stołu i zapalił. Następnie wręczył go Francisowi ze słowami:

- Będzie ci potrzebny, ojczu. Tam na dole jest ciemniej niż u diabła w gardle.

Francis skwapliwie pochwycił świecę. Jessica - sama, oczekująca śmierci w ciemnościach. Jeśli, da Bóg, pobiorą się, każe zapalić sto świec na jej cześć. Strażnik minął go i zaczął schodzić w dół.

Straszliwy fetor uderzył w nozdrza Francis'a. Był to zapach uryny, stojącej wody i innych nieczystości. Jessica już od czterech dni oddycha tym zatechłym powietrzem! Francis rozglądał się niespokojnie na boki. Szukał wzrokiem Nobe'a, ale olbrzym jakby rozpląnął się w ciemnościach. Chrapanie, od czasu do czasu kaszel i ciche jęki przypominały Francisowi, że Jessica nie jest jedynym więźniem w tych straszliwych lochach.

Strażnik doszedł do końca długiego korytarza, a potem skręcił w lewo. Zatrzymał się przed mocnymi drewnianymi drzwiami, w których znajdowało się podwójnie zakratowane okienko. Francis nie dostrzegł Jessiki, ale wyczuł jej obecność. Mocniej ścisnął w garści płonący ogarek.

Strażnik przez dłuższą chwilę szukał właściwego klucza. Francisowi wydawała się ona wiecznością. Gdzieś dalej, w głębi korytarza, niewidzialny więzień wył, jęczał i płakał. Francisowi, gdy to usłyszał, lodowaty dreszcz przebiegł po krzyżu. Na koniec strażnik, chrząknawszy z zadowoleniem, wsadził klucz w zardzewiały zamek i przekręcił go.

Drzwi do celi otworzyły się, skrzypiąc przeraźliwie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Nikt nie przyniósł Jessice jedzenia ani wody od chwili, kiedy wróciła do celi. Wywnioskowała z tego, że zglądają ją jeszcze dziesięcjej nocy. Stała na czubkach palców i wyjrzała przez wąskie okienko. Chciała zobaczyć ostatni zachód słońca w swoim życiu. Gdy zapadły ciemności, zerwał się silny wiatr i wzburzył w kanale wodę, która zaczęła wlewać się do celi.

W szarówce Jessica przesunęła palcem po wyrytym na ścianie napisie: „Ucz się wytrzymałości” - głośno słowa wyskrobane w kamiennym murze. Wytrzymam, przysięgła sobie, aż do samego końca. Przez zakratowane okno słyszała niesione wiatrem odgłosy karnawałowej zabawy. Jak radośnie i wesoło brzmiały dźwięki fletów i bębenków! Kiedy uprzytomniła sobie, że ma zaledwie kilka godzin życia przed sobą i wspomniała swój niedawny radosny taniec z Francisem, poczuła ból w sercu. Ogarnęła ją przemożna tęsknota, by zapomnieć o tym koszmarze w jego silnych ramionach.

Nie wolno mi się bać. Odchodzę do lepszego świata, na którym nie ma głodu ani cierpienia, powiedziała sobie.

Osunęła się na kolana obok twardej pryczy i ukryła twarz w dłoniach; modliła się o siłę i wytrwanie. Musi odważnie spojrzeć śmierci w twarz, tak aby jej oprawcy zrozumieli, że nie jest czarownicą. Lęk okazał się jednak silniejszy od rozumu. Kiedy strażnik przeszedł obok jej celi, wczepiła palce w drewnianą pryczę i trzymała się jej kurczowo, dopóki kroki nie ucichły w głębi korytarza.



Jessica złożyła ręce jak do modlitwy.

- Dobry Boże, ześlij mi szybką śmierć. Nie pozwól, bym się długo męczyła. Tak bardzo boję się bólu. - W wysuszonych jak stary pergamin ustach miała pełno kurzu.

Jedynym promykiem było wspomnienie ostatnich słów Francisa. Jakież był dzielny i odważny! Kiedy tak stał pośrodku Wielkiej Sali, błękitne oczy płonęły tym szczególnym ogniem, który tak bardzo u niego kochała. Jasne włosy błyszczały złociście w promieniach zachodzącego słońca, tworząc wokół głowy rodzaj świetlistej aureoli. „Kocham cię!” - wykrzyknął. Jego wyznanie odbiło się wielokrotnie o ściany ogromnej sali i stokrotnym echem rozbrzmiało w głowie Jessiki.

Nikt nigdy nie powiedział jej: kocham cię - nawet własna matka. Wiedziała, że Sofia i Gobbo kochają ją, ale i oni nie wyrazili tego tak otwarcie. Pacjenci ją lubili, niektórzy mężczyźni próbowali uwieść, ale żaden z nich jej nie kochał.

Bawiła się czerwoną wstążką, którą zawiązała sobie wokół nadgarstka. Dostała ją od niego w prezencie. Cztery dni temu - teraz ten okres wydał się jej wiecznością - miała ją we włosach. W tej chwili jej warkocze były splątane i matowe od brudu i pełne słomianych ździebeł z więziennego siennika. Klęcząc na szorstkiej drewnianej podłodze w zimnych ciemnościach, otarła czule policzek o satynowy skrawek i wspomniała miłosne wyznanie Francisa. Było balsamem dla jej duszy i ostatnią pociechą przed zbliżającą się śmiercią.

Słabe światło latarni nagle rozbłysło w zakratowanym okienku. Klucz zgrzytnął w zamku. Puls Jessiki zaczął bić nierównym, przyśpieszonym rytmem. W żołądku poczuła ołowiany ciężar. Ogarnęło ją przerażenie.

Nadeszła ta godzina! Niedługo będzie martwa. Odwagi! Musi być teraz silna! Podniosła się z kolan, gotowa stawić czoło losowi.

Strażnik otworzył szeroko drzwi. Jessica zmrużyła oczy przed światłem świecy.

- Przyszedł do ciebie kapłan - wysapał strażnik. - Twierdzi, że chce cię ocalić.

Odroczenie wyroku było dla Jessiki taką ulgą, że omal nie zemdląca. Oparła się ręką o wilgotną ścianę, by nie upaść-

- Witaj, ojcie - odezwała się chrapliwym głosem. Gardło miała bolące i wysuszone z trwogi. - Zjawiasz się w samą porę.

Mężczyzna w ciemnym habicie wystąpił zza pleców strażnika i wszedł do celi.

- Pokój niech będzie z tobą, moje dziecko - powiedział do niej mrukliwie. W ręku trzymał ogarek świecy.

Owionął ją znajomy zapach. Był to ulubiony przez Francisa goździkowy olejek. Przywiódł jej na myśl ukochanego. Oparta się o mur. Cóż za okrutne figle płatają jej rozdygotane nerwy.

- Wyjdź - nakazał kapłan strażnikowi. - Muszę zostać z tą grzesznicą sam na sam, jeżeli mam ocalić dla Boga jej duszę.

Strażnik roześmiał się rubasznie.

- Szkoda twego zachodu, ojcie.

Kapłan uniósł wyżej świecę; jej złoty promień padł na twarz Jessiki.

- Jest moim obowiązkiem, jako kapłana Świętego Oficjum, okazać boskie miłosierdzie nawet najbardziej zatwardziałemu grzesznikowi.

Dio mio! Straszliwa inkwizycja. Zasłaniając ręką oczy, Jessica oparła się o szorstki mur. Przecież została już skazana, dlaczego więc nie zostawia jej w spokoju? Czy ten człowiek zamierza ją jeszcze torturować przed śmiercią? Musi to wytrzymać. Musi udowodnić swoim zachowaniem, że jest niewinna. Boże, bądź przy mnie! - myślała w popłochu.

Strażnik zatrzasnął z hukiem drzwi.

- Dobrze, ojcie, niech będzie, jak chcesz. Zawołaj mnie,

kiedy z nią skończysz. Będę na zakręcie korytarza. - Obrócił klucz w zamku i odszedł.

Kapłan przytwierdził stoczek ze świecą na końcu pryczy, a następnie postąpił kilka kroków w jej stronę.

- Jessico - wyszeptał, zbliżając się. - Nie bój się, to ja.

Czy słuch ją zawodzi? Czy w głowie się jej pomieszało od straszliwych przeżyć?

- Francis? - wychrypiała.

W odpowiedzi duchowny schwycił ją w ramiona i gorącymi pocałunkami zaczął obsypywać jej czoło, policzki, nos i usta. Bezustannie powtarzał jej imię.

- Moje kochanie, moja słodka Jessico! Och, mój aniele! Zamrugwała, powstrzymując łzy radości, które nagle napłynęły jej do oczu.

- Francisie! Ale w jaki sposób...

Nie pozwolił skończyć jej zdania, tylko wciąż ją całował. Dopiero wtedy Jessica uwierzyła do końca, że to naprawdę on. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem.

W drzwiach znowu zgrzytnął klucz, chociaż na korytarzu panowała ciemność. Francis odsunął się od niej gwałtownie.

Drzwi otworzyły się.

- Później będzie czas na miłość, Francisie - odezwał się Nobe, wchodząc do celi. - Nie mamy czasu do stracenia.

Francis przyłożył dłoń do ust Jessiki, aby uciszyć jej okrzyk. Następnie znowu zamknął drzwi.

- Co ze strażnikiem? - zapytał.

Olbrzym, czarniejszy od nocy, roześmiał się cicho.

- Podstawiłem mu nogę. Kiedy się ocknie, będzie myślał, że potknął się o swoją własną wielką stopę. Ale on ma twardą głowę i omdlenie nie potrwa długo. - Cisnął coś na pryczę.

Kiedy Jessica spostrzegła martwego młodzieńca w jaskrawym kostiumie z trudem powstrzymała okrzyk. Francis przy-

ciągnął ją do swej szerokiej piersi i pogłaskał po drżących plecach.

- Cicho, cara - uspokajał ją śpiewnym głosem. - To tylko biedny chłopak, którego śmierć jest nam bardzo na rękę. On jest twoją przepustką do nowego życia.

Jessica cofnęła się.

- Nie chcę, aby moja wolność została okupiona czyjąś nie winną krwią. Nie potrafiłabym żyć z tą myślą.

Francis w dalszym ciągu głaskał ją uspokajająco.

- On umarł z gorączki, a nie z mojej ręki. Nobe syknął na nich ostrzegawczo od drzwi.

- Cisza! Pośpieszcie się. Francis ucałował ją w pośpiechu.

- Zaufaj mi, kochana. A teraz rozbieraj się! Nie wstydź się. Musisz zamienić się ubraniem z martwym chłopcem. Odwagi! - dodał.

Ciągle drżąca, Jessica zrozumiała od razu, na czym polegał jego plan. Pośpiesznie rozwiązała sznurówki obszarpanej sukni i ściągnęła ją z siebie. Francis tymczasem rozbierał trupa. Wręczył jej różowo-białą spódnicę. Marszcząc nos przed bijącym w nozdrza odorem wina i zgnilizny, wciągnęła ją na siebie i związała w pasie. Następnie włożyła czarny stanik, a na koniec przykryła głowę tradycyjną czapeczką kolombiny. Francis szybko ubierał martwego chłopca. Nim Jessica zdążyła założyć maskę i zawiązać tasiemki pod włosami, zwłoki na pryczy były już całkowicie przebrane. Jessica aż wstrząsnęła się na widok ich podobieństwa do swojej osoby.

- Skończone - oświadczył Francis Nobe'owi.

- To dobrze, ponieważ strażnik zaczyna już dawać oznaki życia.

Francis podprowadził Jessicę do drzwi.

- Teraz musimy wymknąć się stąd szybko i cicho jak duchy.

- Sięgnął po świecę. Na moment zatrzymał się przy pryczy.

- Śpij spokojnie, młody Greku. Niech aniołowie uniosą cię do nieba na swych skrzydłach, ponieważ dobrze sobie na to zasłużyłeś.

- Amen - dokończyła szeptem Jessica.

Nobe popchnął drzwi tak cicho, jak na to pozwalały zardzewiałe zawiasy. Francis trzymając za rękę Jessicę, pociągnął ją za sobą wąskim kamiennym korytarzem. Dziewczyna obejrzała się jeszcze na Nobe'a, który zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Francis szarpnął ją i wskazał na nieprzytomnego strażnika jęczącego obok latarni. Przeskoczyli przez jego leżące twarzą do ziemi ciało i pomknęli w kierunku schodów. Nobe przystanął jeszcze, aby wcisnąć w rękę stróża kółko z kluczami, a następnie pobiegł w ślad za nimi.

Chociaż Francis trzymał ogarek dość wysoko, Jessica niewiele widziała przed sobą. Kiedy raz i drugi potknęła się na ciemnych schodach, Nobe bez ceremonii wziął ją pod pachę. Przemknęli szybko przez długi kryty most i znaleźli się w pałacu doży. Nobe postawił jej na nogi. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Francis nie pochwycił ją w porę. Zdmuchnął świecę.

- A teraz jeszcze raz się przebierzemy - powiedział, ściągając habit.

Śmiejąc się, powiedział do Jessiki:

- Obawiam się, że wypadki dzisiejszej nocy potwierdzą tylko twoją opinię czarownicy. Strażnik więzienny będzie miał sporo kłopotu z wyjaśnieniem, w jaki sposób zamieniłaś się w chłopca i gdzie się podział mnich.

- Jeszcze nie wydostaliśmy się z tej matni do końca - ostrzegł Nobe spoza swej komedianckiej lekarskiej maski. - Wejść do środka było stosunkowo łatwo. Znacznie trudniej będzie się stąd wydostać.

Przed pałacem narastał wesoły gwar. Tłum wiwatował głośno.

- Przypuszczalnie zrzucają w tej chwili świnię z wieży -  
orzekł Francis. - Czas ruszać dalej.

Kolejne wiwaty wzbiły się w powietrze.

Nobe wystawił głowę na galerię.

- Moi ludzie są na stanowiskach. Idziemy.

Prześliznął się przez wąskie wejście. Jessica z ręką w dłoni Francisa poszła za jego przykładem. Puścili się biegiem wzdłuż długiego holu, a marynarze Nobe'a za nimi. Jessica dojrzała błysk sztyletów w ich rękach, ale nie miała czasu zastanawiać się, co ci ludzie gotowi są zrobić dla jej ocalenia.

Na szczycie wielkiej klatki schodowej Nobe ujął ją pod ramię. Francis z drugiej strony zrobił to samo.

- Staraj się wyglądać na nieco zawianą - polecił jej Murzyn, kiedy zaczęli schodzić po schodach. - Strażnik na dole myśli, że się upiłaś. - Następnie zwrócił się do Francisa: - Jeżeli zajdzie potrzeba, będziemy uciekać z nią do przystani. Jedna z moich łodzi czeka tam w pogotowiu. Moi ludzie będą próbowali opóźnić pościg.

Francis skinął głową, a następnie spytał ją szeptem:

- Gotowa?

- Tak - potwierdziła Jessica zdławionym głosem, dodając:  
- Tylko, proszę, nie zostawiajcie mnie.

Wolność tańczyła jej przed oczami. Otwartymi ustami piła cudownie świeże, zimne powietrze, gdy przechodzili przez wyłożony kaflami podest dzielący ich od ostatniego odcinka szerokich schodów. Ryk tłumu przybrał jeszcze bardziej na sile, gdy kolejna świnię z przeraźliwym kwikiem spadła na bruk. Jessica słyszała o tym dziwnym zwyczaju, mającym swoje korzenie w pogańskich czasach starożytnego Rzymu, ale była rada, że nie musi go oglądać. Zbyt blisko otarła się o śmierć, by jej widok miał ją teraz bawić.

Na odgłos ich kroków strażnik odwrócił głowę. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył Jessicę.

- Widzę, że udało się ożywić waszą kolombinę.

Jeden z marynarzy Nobe'a odparł:

- Tak jest, duża ilość wody zrobiła swoje. Teraz możemy już wystąpić przed dożą. - Wypiął pierś.

Wystąpić przed kim? — zastanawiała się Jessica. Nie miała najmniejszej ochoty oglądać po raz wtóry tego straszliwego człowieka.

Strażnik ze zmarszczonym czołem spojrział na marynarza.

- Doża jeszcze nie wrócił. Co to wszystko ma znaczyć? - Dźgnął go w brzuch końcem piki. - Dlaczego nie czekacie z przedstawieniem na powrót Jego Wysokości? On jest nadal przy świniach. Czyżbyście coś ukradli?

- Tylko wiedźmę - szepnął Francis do ucha Jessiki. Zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu. Postąpili kilka kroków dalej, w stronę łukowato sklepionej bramy.

Marynarz podniósł ręce, udając oburzonego.

- Naturalnie, że nie. Mogę wyglądać na głupka, ale zapewniam cię, że mam wszystkie klepki w porządku. - Podsunął się bliżej do gwardzisty i zwierzył mu się głośnym szeptem. - Prawda jest taka, że nasza mała kolombina... no wiesz, zwymiotowała na podłogę w galerii, zanim zdążyliśmy ją powstrzymać. To bardzo jej pomogło.

Twarz wartownika pokryła się czerwonymi plamami.

- Co takiego?

- Jezu - przeraził się Francis i zwrócił się do Nobe'a. - Gadanina tego idioty zgubi nas wszystkich. Uciekajmy stąd czym prędzej. Bądź gotowa - polecił Jessice.

Marynarz z pijacką poufałością uwiesił się u szyi strażnika.

- Nie obawiaj się, przyjacielu. Posprzątaaliśmy po niej. Nie chcieliśmy narażać naszego władcy na taką nieapetyczną nie-

spodziankę. Jesteśmy ludźmi honoru. - Beknął strażnikowi w twarz.

Strażnik odepchnął go szorstko.

- Wynoście się stąd, przekłęci opoje. - Zamachnął się półkolistą piką, zmuszając ich, by cofnęli się jeszcze bardziej w stronę bramy. - Precz mi z oczu. Jeżeli kiedykolwiek złapię któregoś z was w pobliżu pałacu, to nadzieję was na tę pikę, jak jedno z owych kwiczących prosiąt.

Podczas gdy weneccjanin w dalszym ciągu udawał przed strażnikiem wylewnego pijaczka, Francis i Nobe szybko wyszli z Jessicą poza bramę. Ostatnia świnią z donośnym łoskotem upadła właśnie na bruk. Jessica odwróciła oczy.

- Tędy - wskazał drogę Nobe, kierując się w stronę przystani. Kilka gondoli i innych łodzi kołysało się łagodnie na falach.

Jessica nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. Czyżby naprawdę była wolna? A może nocna straż dogoni ich i otoczy znieścacka? Obejrzała się za siebie. Heroldowie znowu zadęli w trąby, oznajmiając koniec obrzędu. Doża i jego dwór zbierali się już do powrotu.

Nobe zagwizdał w połyskliwą ciemność kanału. W odpowiedzi z prawej strony rozległo się wołanie - znak, że tam właśnie czeka umówiona łódź. Nobe zaprowadził Francis i Jessicę do łódki. Wskoczył do środka, po czym uniósł dziewczynę i umieścił na środkowym siedzeniu. Francis poszedł w ich ślady. Łódź zakolebała się gwałtownie; dwaj wioślarze zaklęli soczyście.

Francis usiadł obok Jessiki.

- Nie jestem żeglarzem, cara. Przekonasz się o tym wkrótce. Przytuliła się do niego, rozkoszując się ciepłem jego ciała.
- Czy już nic nam nie grozi?

Nobe odwiązał cumę i silnym naciskiem stopy odepchnął łódź od pomostu. Następnie usiadł na rufie i wziął ster do ręki.



- Niedługo, maleńka - odparł cichym głosem. - Widzisz tam? - Wskazał do tyłu, za jej ramię.

Jessica i Francis odwrócili się i spojrzeli na kanał, w miejscu, gdzie jego wody łączyły się z ogromnym rozlewiskiem laguny. Kilka dużych statków kołysało się na kotwicach u jego wejścia.

- Drugi od prawej strony - mówił dalej Nobe. - To jest „Duch”, moja morska małżonka.

Przerazająca prawda zaświtała w głowie Jessiki. Ścisnęła Francisca za rękę.

- Odpływamy? O... opuszczamy Wenecję? - wyjąkała.

Pocałował ją w czoło.

- Jeżeli zostaniesz, to zginiesz - wyjaśnił łagodnie. - Nie ma innego wyjścia.

- Sofia i Gobbo są już na pokładzie - dodał Nobe. - Obydwoje nie posiadali się z radości, że opuszczają to miejsce.

Jessica nerwowo splatała i rozplatała palce.

- Oni nie urodzili się w Wenecji tak jak ja - odpowiedziała cicho z przejmującym żalem.

Łzy zaszklily się w jej oczach. Światła pochodni na placu stopiły się w zamazaną kolorową plamę. Dźwięki wesołej muzyki coraz słabiej dochodziły do jej uszu. Wiosła zanurzały się i wynurzały z bezszelestną regularnością, oddalając ją coraz bardziej od ukochanego miasta.

Francis pocałował ją znowu.

- A gdzie, jak myślisz, moglibyśmy cię ukryć? - Kiedy nie odpowiedziała, kontynuował: - Wenecja odtrąciła cię, kochanie, a i mnie również.

Z bólem w sercu przyznała mu rację.

- Mówisz prawdę, Francisie. Zostałam bez domu i ojczyzny; jestem zdana na łaskę losu.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Jesteś teraz ze mną.

Na jak długo?

Jessica milczała aż do chwili, kiedy przybili do statku Nobe'a. Potężny kadłub zamajaczył nagle przed nimi w ciemnościach. Przywykłą od dzieciństwa do gondoli dziewczynę zdziwił jego ogrom. Nim zdążyła się zorientować, szalupa uderzyła o ciemny bok żaglowca. Jeden z wioślarzy wdrapał się po sznurkowej drabinie, a następnie wyciągnął rękę do Jessiki.

Spojrzała na łagodnie kołyszący się statek.

- Mam piąć się do góry?

Nobe roześmiał się cicho za jej plecami.

- Tak, madonno. Tam na pokładzie czeka cię wolność i spokój oraz para twoich wiernych przyjaciół. - Ubezpieczając ją od tyłu, ujął jej rękę i położył na linach. - A teraz daj krok. Nie patrz w dół. Nie pozwolę ci spaść.

Obejrzała się szybko za siebie.

- Francis?

Spojrzał na nią z niepewnym uśmiechem.

- Pozwól, niech już Nobe się tobą zajmie. Co do mnie, to wolę wspinać się po tej wąskiej drabinie w pojedynkę.

- On cierpi na morską chorobę - zdradził tajemnicę Francisca Nobe, kierując ruchami Jessiki. - Za godzinę, kiedy wypłyniemy na wody Adriatyku, będzie wyglądał jak śmierć na chora-gwi. Sama się zresztą przekonasz.

- Och! - odparła ze współczuciem Jessica. Zastanawiała się, czy i jej nie dotknie ta dolegliwość.

Chętne ręce pomogły jej przedostać się przez barierkę i wejść na pokład. Z okrzykiem radości Sofia podbiegła do Jessiki i objęła ją w talii krótkimi ramionkami. Gobbo ucałował jej rękę. Oczy karłów lśniły od łez.

- Modliliśmy się za ciebie, moje dziecko - Sofia tuliła ją mocno do siebie. - Och, jak żarliwie się modliliśmy. A kiedy

pan Nobe powiedział nam, że planują cię uwolnić, wtedy... - Nie mogła dalej mówić, płacz uniemożliwił dalsze słowa.

Wzruszona do głębi dowodami ich przywiązania, Jessica płakała razem z nimi. Podczas gdy Jessica i jej przyjaciele tulili się do siebie, Francis powoli wdrapywał się na górę.

Gdy dotknął stopami kołyszącego się pokładu, mruknął:

- Rany boskie. - Położył dłoń na żołądku.

Nobe złapał go za ramiona i potrząsnął nim z całych sił.

- Co to za jęki? Udało się nam, nie rozumiesz?

- Tak, wiem. - Próbował stłumić podchodzącą do gardła falę mdłości. - Czy mamy sprzyjającą pogodę?

Nobe zaśmiał się krótko.

- Tak jest, a oto i reszta mojej załogi. - Przechylił się przez barierkę i zawołał:

- Czy wszyscy są?

- Si - odpowiedział weneccjanin, wdrapując się po burcie na pokład. - Winien mi pan solidną nagrodę, kapitanie, za komedię, którą odegrałem.

Nobe schwycił mężczyznę w swe niedźwiedzie objęcia i uniósł do góry.

- Dostaniesz ją, gdy tylko kolejny turecki statek wpadnie w nasze ręce. - Przyłożył palec do ust. - A teraz cicho sza, moje dzieci. Musimy wymknąć się stąd, nim wenecki lew zauważy, że czmychnęliśmy z jego klatki.

W kilka minut pokład zaroił się od mężczyzn różnych narodowości. Ostatniego marynarza z drugiej szalupy, z chwilą gdy tylko się z niej wydostał, natychmiast wciągnięto na pokład. Z cichym pohukiwaniem załoga podniosła kotwicę. Kilkunastu bosych ludzi zwinnie wspinało się po pajęczej sieci lin, rozwijając żagle. W krótkim czasie wielometrowe płachty kremowego płótna wydeły się pod orzeźwiającymi podmuchami wiatru ciągnącego od strony morza. Statek No-

be'a zaczął cicho odsuwać się od pograżonych we śnie sąsiednich żaglowców.

Opierając głowę o podstawę masztu, Francis w milczeniu obserwował wzruszające spotkanie Jessiki z parą jej służących. Teraz, kiedy już szczęśliwie mieli za sobą niebezpieczeństwo, osłabł. Uchwycił się zwisającej skądś pojedynczej liny. Po raz pierwszy uświadomił sobie w pełni, ile odwagi i sprytu wymagało ich przedsięwzięcie. Dopiero teraz zrozumiał, że właściwie w głębi duszy nie wierzył w powodzenie ich akcji; przypuszczał raczej, że przyjdzie mu umrzeć razem z Jessiką. Zamknął oczy i zmówił cicho dziękczynną modlitwę do świętego Mikołaja, patrona rodziny Cavendishów.

Jessica dotknęła jego policzka.

- Francisie? Źle się czujesz?

Kiedy otworzył oczy, ujrzał twarz najpiękniejszej kobiety na świecie. Odpowiedział jej słabym uśmiechem.

- Czy mi się śni, czy też umarłem i trafiłem do nieba? Wszak widzę przed sobą oblicze anioła.

Roześmiała się - po raz pierwszy od chwili, kiedy podczas tej straszliwej piątkowej nocy siłą ich rozdzielono.

- Nie sędzę, żeby aniołowie mieli takie brudne twarze i takie łachmany na sobie.

Złożyła głowę na jego ramieniu. Razem obserwowali świecący na horyzoncie punkt, którym była oddalająca się z każdą chwilą Wenecja. Wtedy to właśnie usłyszeli z daleka, niesione wiatrem, odgłosy wielkiego dzwonu na zegarowej wieży na placu Świętego Marka.

- Dwanaście - liczyła uderzenia Jessiką. - Już północ.

Francis roześmiał się cicho.

- W Anglii nazywamy tę porę godziną wiedźm. Czy mam w ramionach czarownicę?

Jessicę nie rozśmieszył ten dowcip.

- Niestety, trudno mi podzielać twą wesołość. Moje rany są jeszcze zbyt świeże.

Pocałował ją w czoło.

- Stokrotnie przepraszam, kochanie, ale jestem taki szczęśliwy. Jakbym narodził się na nowo.

Wsunęła ręce pod jego pelerynę i objęła go w pasie.

- Ja też mam takie wrażenie - szepnęła.

Patrzyli, jak wyspy, jedna po drugiej, rozplywają się za nimi w ciemnościach.

- Wkrótce zorientują się, że uciekłam. Czy sądzisz, że zdołamy umknąć przed pościgiem?

Przy ich boku nieoczekiwanie pojawił się Nobe. Roześmiał się.

- Najpierw któryś z nich będzie musiał zdobyć się na odwagę i wejść do twojej celi.

Sofia podeszła do niego zamaszystym krokiem.

- Skąd ta pewność? - zapytała, opierając ręce na biodrach.

Nobe spoglądał na nią z uśmiechem.

- Ponieważ nakryłem chłopcu twarz swoją starą diabelską maską. Zobaczywszy ją w świetle latarni, będą przekonani, że madonna Jessica przemieniła się w diabła i pochłonięła pobożnego mnicha. - Roześmiał się znowu. - Minie sporo czasu, nim strażnicy ochłoną. Wtedy my będziemy już daleko od Wenecji, na szerokich wodach Adriatyku.

Gobbo ziewnął. Jego małeńka żona sprowadziła go pod pokład, gdacząc po drodze jak kwoka nad kurczęciem. Jessica westchnęła.

- Nigdy nie wyjeżdżałam z Wenecji. To dziwne uczucie. Chociaż żyłam tam w ciągłym strachu, kochałam to miasto. To moja ojczyzna.

Francis puścił linę i szeroko rozstawiwszy nogi, obrócił Jessicę twarzą do siebie.

- Czas najwyższy, abyś wreszcie pozbyła się tej obawy. Od

tej chwili zaczyna się nowy rozdział w twoim życiu. Ucałuj mnie, słodka Jessico, w imię naszej wspólnej szczęśliwej przyszłości.

Jej pocałunek ukoił zmęczoną duszę Francisa.

- Ty jesteś teraz moją ojczyzną i moim domem, ukochana  
- wyszeptał.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Żyjesz jeszcze? - spytał Nobe, zaglądając do Francisa w jakiś tydzień po ich ucieczce z Wenecji. Mała kajuta tonęła w słońcu.

Francis przewrócił się na drugi bok i po raz setny od początku tej nieszczęsnej podróży uderzył o wystającą pokładnicę swe obtarte do krwi golenie. Z wyrazem cierpienia na twarzy otworzył jedno zaczerwienione oko.

- To zależy, co rozumiesz pod tym pojęciem - wystękał. Po zbawione ruchu w ciasnej przestrzeni, zeszywniałe stawy bolały go niemiłosiernie. Bolała go również głowa, którą uderzał w sufit za każdym razem, kiedy usiłował wyprostować swą długą postać, nie mówiąc już o żołądku, który burzył się przy każdym przechyleniu statku.

- Odejdź i pozwól mi umrzeć w spokoju - burknął.

Nobe nie ruszał się z miejsca.

- Szkoda, że nie jesteś podobny do swego krewniaka, młodego Kitta Cavendisha. Ten chłopak ma morze we krwi.

Francis zamknął oczy. Miał jedno pragnienie: aby Nobe jak najszybciej opuścił jego kajutę.

- Cavendishowie są potomkami wikingów, podczas gdy przodkowie mojej matki zawsze trzymali się stałego lądu. - Mówiąc to, naciągnął na głowę worek otrąb, który służył mu za poduszkę.

- Nie przejmuj się, wkrótce przywykniesz do kołysania - zaśmiał się Nobe.

- Powtarzałeś to już dwa lata temu, kiedy płynęliśmy do Genui. - Ta krótka podróż z Marsylii była dla niego istnym koszmarem - od początku do końca. Kiedy już wreszcie dotarli do Włoch, Francis był cieniem człowieka. - Mógłbyś zająć się czymś innym, zamiast dobijać mnie tym swoim cholernie dobrym humorem.

Nobe skrzyżował ręce na piersiach.

- Morze jest spokojne i gładkie jak jedwab. Wiatr nam sprzyja i dmie równo. Jeszcze dzisiaj miniemy Cieśninę Messyńską.

Francis tylko jęknął w odpowiedzi. To znaczy, że opłynęli zaledwie połowę włoskiego buta. Zanim osiągną burzliwy Atlantyk, muszą jeszcze pokonać większą część Morza Śródziemnego. Pomyślał z rezygnacją, że nigdy pewnie już nie ujrzy wybrzeży ukochanej Anglii.

- Madonna Jessica doszła już całkiem do siebie - ciągnął Nobe wesołym tonem. - Zjadła nawet dziś rano sporą porcję solonego mięsa.

Na samą myśl o jedzeniu Francisowi natychmiast zrobiło się niedobrze. Szybko, raz za razem, kilkakrotnie przełknął ślinę.

- Miło mi to słyszeć - mruknął, sprawdzając ręką, czy wiadro na nieczystości znajduje się na swoim miejscu.

- Pytała, czy może cię zobaczyć - z niezmaconym spokojem mówił dalej Nobe.

- Do licha! - Francis potarł podbródek pokryty krótkim rudawym zarostem. - W tym stanie nie nadaję się nawet do chlewa, a co dopiero mówić o przyjęciu pięknej panny. Proszę, złóż jej ode mnie wyrazy szacunku i powiedz, że jestem chory i śmierdzą jak cap.

Śmiejąc się gardłowo, Nobe odsunął się na bok.

- Sam jej to powiedz.

Niby anioł w sennym marzeniu na miejscu Nobe'a pojawiła



się Jessica. Ściągnęła z twarzy maskę i serdecznie uśmiechnęła się do Francisca.

- Buon giorno, Francisie - odezwała się melodyjnym głosem.

Próbował usiąść, ale uderzywszy głową w półkę, opadł z powrotem na poduszkę, klnąc cicho pod nosem.

- Gdybyś potrzebowała kogoś do pomocy, aby go poskromić, zawołaj mnie - zwrócił się Nobe do Jessiki, po czym wymknął się z kajuty.

- Przepraszam cię, madonno. Nie jestem dzisiaj sobą - skrzywił się Francis.

Jessica uklękła obok koi i położyła chłodną rękę na jego czole.

- Czyż nie było podobnie, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz? - spytała. Wesole iskierki tańczyły w głębi jej brązowych oczu. - Leżałeś zbolący pod moimi dłońmi.

- Ale wtedy moje wnętrzości zachowywały się normalnie - przypomniał jej Francis. - Raduje mnie twój widok, Jessico - dodał.

Znowu próbował usiąść, ale ona delikatnie popchnęła go z powrotem na posłanie.

- Nie znam się na morskiej chorobie, ale wiem, co pomaga kobietom w pierwszym okresie ciąży.

Ujęła w swoje dłonie jego rękę, odwróciła ją grzbietem do dołu i mocno ucisnęła wrażliwy punkt między ścięgnami, tuż powyżej nadgarstka. Cisnęła go tak w milczeniu przez kilka minut, po czym przerwała i energicznie roztarta uciskane miejsce.

Francis parsknął niechętnie - przecież dokuczał mu żołądek, a nie ręka. Powstrzymał się jednak od jakiegokolwiek uwagi. Skoro nie przeszkadzało jej, że jest cuchnący i zaszargany, to mógł się tylko cieszyć z jej towarzystwa. Tymczasem Jessica rozmasowała mu jeszcze dodatkowo wgłębienie za uszami,

a następnie zaczęła delikatnie rozcierać skronie. Francisowi chciało się mrużyć z zadowolenia.

Następnie Jessica wzięła do ręki małą, nakrytą pokrywką, miseczkę.

- Morze jest dziś spokojne, więc kucharz mógł rozpalić pod kuchnią. Ugotował ci pożywny wołowy bulion.

Francisowi, gdy tylko poczuł zapach zupy, znowu zrobiło się niedobrze.

- Dzięki, ale ta zupa nie zagości długo w moim żołądku.

- Widzę, że trzeba cię nakarmić. Spójrz na swoje przeguby - sama skóra i kości - mruknęła z naganą Jessica. Podniosła przykrywkę i zamieszała bulion drewnianą łyżką. - Proszę, Francisie, zjedz chociaż trochę.

Miał ochotę cisnąć miską o ścianę kabiny, ale ustąpił ze względu na Jesskę. Choć jego wnętrzności skręcały się i protestowały, otworzył usta i pozwolił się karmić. Gorący płyn z trudem przechodził mu przez gardło.

- Dobrze - zachęcała go Jessica śpiewnym tonem. - A teraz jeszcze jedną.

Francis odszukał wzrokiem kubeł na nieczystości.

- Żadasz zbyt wiele, cara - wymruczał i przełknął niechętnie kolejną łyżkę zupy.

Aby oderwać myśli od swych dolegliwości, zagadnął ją o pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- Dlaczego wciąż zakrywasz twarz? - zapytał, wskazując na maskę leżącą za nią na podłodze. - Teraz jesteś wśród przyjaciół.

Lekki rumieniec zabarwił policzki dziewczyny.

- Żeglarze to bardzo zabobonni ludzie. Załoga wie, że byłam oskarżona o czary. Nie chcę dawać im żadnego powodu do wyrzucenia mnie za burtę.

Francis zacisnął dłonie na niskich drewnianych poręczach koi.

- Policzyłbym się z każdym, kto ośmieliłby się ciebie tknąć. Już nigdy więcej cię nie opuszczę, Jessico. Przebacz mi tamtą nielojalność.

Pogłaskała go po policzku.

- Nie ma co przebaczać, Francisie. Rozumiem cię.., teraz. W ciągu tego tygodnia Nobe wiele mi o tobie opowiadał. - Wsunęła kolejną łyżkę zupy między jego popękane wargi.

Chyba pominął wszystkie niechlubne szczegóły mego życiorysu? Francis przełknął bulion i zapytał:

- Czy mówił, że cię kocham?

Jessica utkwiała oczy w zupie.

- Nobe powiedział coś w tym rodzaju, ale ja wiem, że on po prostu chciał mi zrobić przyjemność. - Podniosła głowę i spojrzała Francisowi prosto w oczy. - Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy wobec całej Wenecji oświadczyłeś, że jesteśmy za ręczeni. Twoje słowa na zawsze pozostaną w moim sercu. Ale... - Uniosła ramię, jak gdyby pragnąc tym gestem oddalić od siebie przerażające wspomnienia. - Niebezpieczeństwo jest już za nami. Teraz musimy oboje myśleć o przyszłości.

Francisa ogarnął niepokój, który spotęgował jego fizyczne cierpienie. Drżącymi palcami ujął podbródek Jessiki.

- Co to ma znaczyć? Co sobie powiedzieliśmy? Powiedziałem dokładnie to, co myślałem. Ożenię się z tobą natychmiast, gdy tylko będę w stanie utrzymać się na nogach.

Jessica potrząsnęła głową ze smutnym uśmiechem.

- Zdaję sobie sprawę, że obiecałeś mi małżeństwo jedynie po to, aby mnie ocalić. I wiem, że jestem ci za to głęboko wdzięczna, ale teraz...

- Więc mnie nie kochasz? - Próbował podciągnąć się, ale ona znowu go powstrzymała.

- Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Postaraj się spojrzeć na sprawę z praktycznego punktu widzenia, Francisie. W Anglii jesteś szlachetnie urodzonym lordem, członkiem znakomitej rodziny. A ja? Nawet gdybyś był na tyle szalony, aby w dalszym ciągu upierać się przy naszym małżeństwie, twoja rodzina nigdy się na to nie zgodzi.

Chętnie by się roześmiał, ale zabrakło mu siły. Położył więc tylko swe wielkie dłonie na jej rękach i spytał:

- Czy Nobe wspominał ci o mojej matce?

Jessica spojrzała mu prosto w oczy.

- Powtórzył tylko to, co sam mi już kiedyś o niej mówiłeś - że prowadziła się niezbyt moralnie i zmarła w klasztorze kilka lat temu.

- Sądzisz zapewne, że lord Richard Bardolph był moim ojcem? To kłamstwo - jak wszystko inne w moim życiu.

Jessica znieruchomiała zaskoczona. Łyżka pełna zupy zawisła w powietrzu.

- Dio mio - rzekła półgłosem, a jej ciemne oczy zrobiły się okrągłe.

Grymas goryczy wykrzywił usta Francisa. Mówił dalej:

- Lord Bardolph uwielbiał młode zwierzęta - szczeniaki, kociaki, źrebięta, prosięta - oraz dzieci. Pełnił rolę ojca całej naszej siódemki, głęboko zmieszany i zakłopotany. Widzisz, on nigdy nie wiedział na pewno, czy kolejne dziecko urodzone przez jego małżonkę poczęło się z jego lędźwi, czy z przypadku.

- Ty byłeś z przypadku? - spytała cicho, wlewając w niego kolejną łyżkę stygnącego bulionu.

- Ja byłem najstarszą z kukulek.

Jessica szukała w pamięci znaczenia tego dziwnego słowa.

- Nie rozumiem. Co to jest kukulka? Francis obnażył zęby w szyderczym uśmiechu.

- To ptak, który składa jajka w cudzych gniazdach. Nieświa-

domy niczego, zastępczy rodzic wysiaduje kukułcze jajo i wychowuje obce pisklęta jak własne. Moi przyrodni bracia, prawowici synowie lorda Bardolpha, używali tego słowa w stosunku do nas jako obelgi. Było to szczególnie przykre dla moich młodszych siostrzyczek. A właściwie przyrodnich sióstr; przecież każde z nas miało innego ojca.

Jessica karmiła go w milczeniu, rozważając w myślach to wstrząsające wyznanie. Francis obserwował jej twarz, wypatrując na niej oznak gniewu bądź niesmaku.

- Czy dowiedziałeś się, kto jest twoim prawdziwym ojcem?  
- spytała w końcu drżącym głosem. Widząc jednak wrazenie, jakie jej pytanie na nim zrobiło, dodała szybko: - Nie musisz mi odpowiadać, jeżeli nie chcesz.

Francis zamknął oczy:

- Moja matka była pomysłową kobietą, trzeba jej to przyznać - wyrzucił z siebie ze złością. - Kiedy dorośliśmy już na tyle, że można nas było oddać na wychowanie innej rodzinie - w moim kraju taki zwyczaj jest praktykowany - lady Olivia wysłała nas - kukułki - do domów naszych biologicznych ojców. Cavendishowie bardzo dobrze ukryli zaskoczenie, kiedy pojawiłem się w Wolf Hall. Tak więc nie miałem najmniejszego pojęcia, że mogę być jednym z nich, aż do dnia, w którym zacząłem się golić. - Potarł swój zarośnięty podbródek.

Jessica zmarszczyła brwi.

- A co golenie ma z tym wspólnego?

Francis zaśmiał się krótko, niewesoło.

- Po raz pierwszy ujrzałem wtedy swoje odbicie w lustrze, a nie w mętnej wodzie fosy. Musisz wiedzieć, że Cavendishów cechuje bardzo szczególny typ urody - w dodatku wszyscy są do siebie bardzo podobni. Jeżeli zobaczysz jednego z nich, to tak jakbyś zobaczyła wszystkich - nawet zbłąkaną kukułkę.

- Och! - westchnęła poruszona Jessica - więc ty także jesteś Cavendishem?

Francis skrzywił się.

- Mój dziadek, sir Thomas Cayendish, był ostatnim lordem Thornbury. Miał dwóch synów: Brandona i Guya. Brandon jest pełen życiowej mądrości, odważny i dobroduszny, a Guy - spokojnym intelektualistą, który swego czasu nosił się nawet z zamiarem wstąpienia do zakonu. - Francis ziewnął szeroko; zaczynała go ogarniać niezwykła senność.

- Czy wiesz, który z nich jest twoim ojcem? - pytała go dalej Jessica.

- Tak, wiem - odpowiedział, czując, że powieki zaczynają ciążyć mu niemiłosiernie. - Ale mój ojciec nie wie o tym, że ma syna. - Ziewnął ponownie.

Jessica przysiadła aa piętach.

- Śpij dobrze, Francisie. Sen dobrze ci robi. To najlepsze lekarstwo zarówno dla ciała, jak i dla duszy.

Nie był w stanie utrzymać dłużej otwartych oczu.

- Dodałaś coś do tej zupy?

Jessica skinęła głową twierdząco.

- Odrobinę makowego wywaru. Jeżeli się teraz prześpisz, nie zwrócisz tak szybko posiłku i prędzej dojdiesz do siebie.

- Na Jowisza! - wymamrotał Francis po angielsku. - Spry-ciara z ciebie.

Jej dźwięczny śmiech mile łaskotał jego uszy.

- Kiedy wrócisz do zdrowia, Francisie, musisz nauczyć mnie mówić w swoim języku.

Ledwie zaczął zapewniać, że chętnie nauczy ją angielskiego oraz wielu innych przyjemnych rzeczy, gdy sen zmorzył go ostatecznie. Nawet nie zauważył, kiedy Jessica wyszła z kajuty.

Gdy się obudził, było już ciemno. Czuł się nieco lepiej. Zdanie po zdaniu analizował rozmowę z Jessicą. Wiele by dał za to,

aby wiedzieć, jak przyjęła jego zwierzenia. Przeklinał morską chorobę, przyczynę swej słabości. Gdyby nie to, nigdy by nie wyjawiał tylu żenujących szczegółów ze swego życia. Co ona sobie teraz myśli o ważnym angielskim messere, który okazał się tchórzem, bękartem i kłamcą? Przyrzekł sobie solennie, że - spyta ją o to, kiedy go odwiedzi po raz drugi.

Następnym razem Jessica pojawiła się w towarzystwie Sofii. Chociaż Francis lubił tę kobiecinę, nie mógł w jej obecności podzielić się z ukochaną swymi myślami. Potem Jessica przypro-wadziła Gobba. Podczas gdy Jessica masowała Francisowi skro-nie, wpychała w niego jedzenie i poila naparem ze sproszkowa-nego korzenia imbiru, muzyk uprzyjemniał mu czas grą na lutni.

Następne odwiedziny odbywały się również według tego sa-mego denerwującego schematu. Raz czy dwa Francis odważył się wspomnieć o ich wspólnej przyszłości, ale Jessica zawsze wtedy zmieniała temat.

Pewnego poranka w kabinie Francisa pojawił się Nobe.

- Wyglądasz lepiej, ale skąd ta zasepiona mina? W odpowiedzi Francis wycelował palcem w sufit.

- Stąd! - warknął.

Z pokładu, tuż nad jego głową, dochodziły co chwila salwy śmiechu. Jessica przebywała w gronie kilku członków załogi. Jej dźwięczny głos przeplatał się z rechotem mężczyzn. Francis skonstatował, że dziewczyna całkowicie oczarowała surowych ludzi morza.

Nobe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Moi ludzie ją uwielbiają - ona wprawa ich w dobry na strój. Będzie mi jej brakowało, kiedy nas opuści.

Francis spojrzał na niego badawczo.

- Opuści? Co to ma znaczyć? Ona płynie do Anglii razem ze mną.

- Czyżby? - spytał Nobe z udanym zdziwieniem. - To dla-

czego mówiła, że zamierza wysiąść razem z Sofią i Gobbem w Genui? Planujemy zawinąć do tego portu dziś po południu. Francis wciąż wpatrywał się w niego osłupiałym wzrokiem.

- Więc tak wygląda jej wdzięczność za ocalenie życia?
- Czy ona wie o twoich zamiarach?

. - Tak. Powiedziałem jej o tym w pałacu doży! - ryknął Francis. - Mówiło jej o tym każde moje spojrzenie i każdy ruch. Jak mogła mi nie wierzyć? Chyba że... - Straszna myśl przemknęła mu przez głowę. A jeżeli Jessica nie jest lepsza od zachłannej, chciwej Cosmy? - Powiedziałem jej prawdę o moim pochodzeniu. Teraz już wie, że nie mam ani tytułu, ani majątku. Pewnie przestałem ją interesować. Nobe pokręcił głową.

- Tak myślisz, przyjacielu? W takim razie musisz z nią porozmawiać, i to szybko. Za godzinę wpływamy do portu.

Francis zwinął dłoń w pięść i z całej siły grzmotnął nią w ścianę kabiny.

- Na Boga, próbowałem.

W ciemnych oczach Nobe'a pojawiły się wesołe ogniki.

- Więc weź sprawy w swoje ręce. Nie czekaj na światło księżyca i mandoliny, ale natychmiast przystępuj do działania! Najpierw jednak musisz się podnieść z tego łóżka.

- A więc dobrze, zrobię to - rzucił Francis przez zęby.

Podciągając się, uchylił głowę, aby uniknąć zderzenia z półką, a następnie opuścił długie nogi na podłogę. Nobe pomógł mu wstać. Zakręciło mu się w głowie, ale kiedy potrząsnął nią kilkakrotnie, zawroty minęły.

Nobe przepchnął go przez drzwi.

- Powodzenia!

Francis wdrapał się po schodach na pokład i odetchnął głęboko świeżym morskim powietrzem. Następnie spojrzał naciśnięty krąg wielbicieli otaczających Jessicę. Masowała barki wy-



jątkowo krzepko zbudowanego Francuza. Z burzą czarnych włosów wokół twarzy przypominała morską nimfę. Francis poczuł zazdrość. Gniewnie zacisnąwszy wargi, długimi krokami ruszył przez pokład. Przerwał Jessice w połowie zdania i chwycił za szczupły nadgarstek, nawet nie zadając sobie truci, aby ją przeprosić za niestosowne zachowanie.

Zaskoczona dziewczyna wpatrywała się weń z otwartymi ustami.

- Jak się masz, Francisie! Nareszcie wstałeś! Cieszę się, że wyglądasz tak... dobrze. - Szkarłatny rumieniec wykwitł na jej policzkach, czyniąc ją piękniejszą niż kiedykolwiek.

Francis pociągnął ją za rękę, by wstała.

- Signorina Leonardo i ja musimy ze sobą pomówić - oświadczył zdumionym mężczyznom.

Niemal włókł ją za sobą w kierunku schodów prowadzących do obszernej kajuty Nobe'a na rufie statku. Jessica bezskutecznie próbowała uwolnić rękę.

- Francisie, o co ci chodzi? Puść, proszę, sprawiasz mi ból.

Ale on pozostał głuchy na jej błagania, dopóki nie dotarli do kabiny, którą Nobe oddał Jessice i jej przyjaciółom na czas podróży wokół wybrzeży Italii. Wewnątrz Sofia i Gobbo pakowali swoje rzeczy. Na ich widok przerwali wiązanie tobołków.

Francis uśmiechnął się uprzejmie.

- Czy moglibyście zostawić nas samych na chwilę? - spytał. Ani na moment nie poluzował uścisku. Jessica wolną ręką zdarła z twarzy maskę.

- Oni są moimi przyjaciółmi - moją rodziną. Możesz swobodnie rozmawiać ze mną w ich obecności.

Ale Francis nie słuchał jej. Zwrócił się do Gobba.

- Wiesz, jak to bywa z kobietami. Czasami potrzebują silnej ręki. Proszę, bądź wyrozumiały.

Słyszając te słowa, Sofia nadeła się ze złości.

- Wolnego, mój panie! Jakim prawem wpycha się pan tu do nas i rozkazuje jak jakimś psom?

Zanim Francis zdążył jej odpowiedzieć, Gobbo wypchnął z kabiny rozwścieczoną połowicę.

- Lepiej będzie, jeśli porozmawiają bez świadków. Nie musimy słuchać ich kłótni - powiedział, zamykając za sobą drzwi.

Dopiero teraz Francis uwolnił przegub Jessiki. Jednak na wszelki wypadek zablokował jej drogę do wyjścia. Objął ją ciasno ramionami. Od tak dawna nie trzymał jej w objęciach!

- Czy tego właśnie chcesz? Zostawić mnie i zamieszkać w Genui? Ukrywać się do końca życia pod tą przeklętą maską?

Dolna warga Jessiki zadrżała, ale nie unikała jego wzroku.

- Lepiej mi będzie tam, z moimi przyjaciółmi. Mogę robić to samo co w Wenecji - leczyć ludzi.

Francis pogładził jej włosy.

- Mnie jeszcze nie wyleczyłaś - odezwał się cicho.

Była to prawda. Wilgoć panująca na statku rzeczywiście pogorszyła stan jego ramienia, chociaż teraz miał na myśli głównie pustkę w sercu.

Jessica zmrużyła oczy i odrzekła:

- Francisie, jestem ci niezmiernie wdzięczna za twoją dobroć, ale ja...

Francis stracił panowanie nad sobą.

- Dobroć! - huknął, potrząsając nią lekko. - Ocalenie życia nazywasz dobrocią? Zrobiłem to dla kobiety, którą kocham.

Jessica nakryła dłonią jego usta.

- Błagam cię, nie nadużywaj tego świętego słowa. Nie mogę znieść twoich kpin.

Francis ściągnął brwi, zakłopotany jej słowami. Czyż nie dość wystarczająco udowodnił, jak bardzo ją kocha?

- Co masz na myśli, mówiąc, że z ciebie kpię?

Po chwili namysłu Jessica wyjaśniła:

- Mylisz miłość z litością.

- Uważasz, że ryzykowałem życie z litości! - zawołał.

Uświadomił sobie, że naśladuje sposób mówienia swego dziadka, Thomasa Cavendisha. Ta myśl dodała mu pewności siebie.

- Bierzesz mnie za kompletnego głupca? Myślisz, że nie potrafię zorientować się w moich uczuciach?

Jessica położyła ręce na jego dłoniach.

- Nie, z pewnością tak nie jest - odparła miękko. - Staczasz walkę z samym sobą. Teraz to rozumiem. Dopóki nie zmierzysz się z prawdą o swoim pochodzeniu, nie będziesz całkowicie uzdrowiony. A może masz nadzieję, że to ja stoczę tę walkę za ciebie? Z taką twarzą? - Dotknęła swego znamienia.

- Tak bardzo cię potrzebuję, cara mia - wyszeptał.

On drży, pomyślała Jessica, obejmując go mocno. Odchrząknęła.

- Z czasem poznasz inną kobietę, która ukoji twój ból - rzekła cicho, ale wciąż trwała w jego uścisku. - W Anglii znajdzie się wiele dam, które będą uszczęśliwione, mogąc cię pocieszyć.

Francis musnął wargami płatek jej ucha.

- Moja dusza potrzebuje cię bardziej niż moje ciało.

- W takim razie poszukaj spowiednika, który...

Francis przerwał jej namiętym pocałunkiem. Fala rozkosznych dreszczy przebiegła ciało Jessiki. Rozogniona potęgą jego pożądania, przylgnęła do niego całym ciałem; zapragnęła go równie mocno. Cała jej chłodna logika spłonęła w ogniu namiętności.

Jego pocałunek stał się miękki i delikatny jak muśnięcie motyli skrzydeł. Francis powoli oderwał usta od jej ust, zostawiając na wargach gorzki niedosyt.

- Jessico - wyszeptał z ustami zanurzonymi w jej włosach

- jesteś dla mnie jedynym ratunkiem - ty i twoja miłość.

Ukląkł przed nią i ujął jej dłoń.

- Czy znajdziesz w swoim sercu dość chęci, by mnie pokochać mimo braku szlacheckiego tytułu i wielkiego majątku? Nie stać mnie na kosztowne klejnoty i drogie aksamitne suknie, na które tak bardzo zasługujesz. Pracą dla króla Edwarda zarabiam na swój codzienny chleb. Chociaż moje urodzenie nie przysparza mi dumy, zawsze starałem się wieść uczciwe życie. Czy chcesz je dzielić ze mną?

Jessica słuchała przekonana, że to sen, albo, co gorsza, szkaradny żart. Nie była w stanie uwierzyć ani w miłość Francisa, ani w jego słowa. Chwyliła go za rękę, aby utrzymać równowagę. Ucałował ze czcią jej palce; nie mogła myśleć, kiedy to robił.

- Nie pragnę klejnotów ani pięknych sukien - odparła. - Ale czy w domu, który mi obiecujesz, nie ma już jakiejś twojej kochanki? A może zrobisz ze mnie swoją najnowszą miłośnicę? - Przyszła jej na myśl Cosma i wszystko, co ta podła istota sobą reprezentowała.

Francis odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

- Ach, więc to cię dręczy? Klnę się na mój honor, że nigdy nie miałem aż tylu kochanek, jak wmawiałem doży. Te przechwałki były tylko częścią mego weneckiego wcielenia. Chodziło o misję, którą tam pełniłem. Wierz mi, ukochana, że to był jedyny ich powód.

Jessica nie kwapiła się z przyjęciem jego argumentów. Jaki mężczyzna przy zdrowych zmysłach chciałby ją poślubić? Musi być zatem jakaś inna przyczyna, której nie zdążyła jeszcze poznać.

- Może zatem chcesz, abym była twoją gospodynią do czasu, gdy znajdziesz jakąś nobliwą arystokratką?

Francis przymknął na chwilę oczy i mruknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak angielskie przekleństwo.

- Moja cierpliwość się kończy, kochanie. Posłuchaj mnie

uważnie. Na całej kuli ziemskiej nie ma innej kobiety - we Włoszech, Francji ani w Hiszpanii. - Podniósł się i otoczył ją ramieniem. - Ani też w Portugalii, Szkocji, Irlandii, Królestwach Flandrii i Niemiec, ani nawet w samej Anglii - nie ma kobiety bardziej nobliwej od ciebie. - Ucałował kolejno jej oczy. - Choćbym objechał Egipt, Chiny lub Indie czy też dzikie terytoria Nowego Świata, wiem, że nigdzie nie znalazłbym równej tobie kobiety. - Pocałował ją w czubek nosa i ciągnął: - Tylko ciebie pragnę. Tylko ciebie chcę mieć za żonę. Rozumiesz mnie teraz? Mówię o prawowitym małżeńskim związku, i to jak najszybciej. Zostań moją żoną.

- Sądziłam, że podczas procesu powiedziałeś to tylko dlatego, żeby mnie uwolnić - wydusiła Jessica.

Francis ujął jej twarz w dłonie.

- Powiedziałem to, co myślałem. Nadal tak myślę. Z całego serca pragnęła mu uwierzyć.

- Ale ja nie mam posagu...

Francis poczerwieniał.

- Do diabła z posagiem! Płyniesz ze mną do Anglii czy nie? Wyjdiesz za mnie? Może to być nawet dzisiaj.

Jessica była gotowa zostać jego żoną w każdej chwili, gdyby tylko jakiś ksiądz był pod ręką, ale wiedziała również, że demony przeszłości nadal w nim drzemią i zagrażają ich przyszłemu szczęściu.

- Tak, Francisie. Poślubię cię, ale pod kilkoma warunkami.

Twarz mu pojaśniała. Podniósł ją i powtórzył z niedowierzaniem:

- Naprawdę zgadzasz się mnie poślubić?

Jessica uchwyciła się jego kaftana i schyliła głowę, aby nie uderzyć w sufit kabiny.

- Francisie, posłuchaj. - Postawił ją na podłodze, ale nie

wypuszczał z objęć. - Po pierwsze, musisz nauczyć mnie angielskiego.

- Z przyjemnością. Pozwól, że zaczniemy od pocałunku. - Pochylił się nad nią.

Powstrzymała go, choć niechętnie.

- Po drugie, jest Wielki Post, więc i tak musimy poczekać ze ślubem. Poza tym, twoja rodzina musi mnie najpierw poznać i zaakceptować.

Wiedziała, że jak tylko ci szlachetnie urodzeni Cavendishowie ujrzą diabelskie znamię na jej policzku, zabronią Francisowi małżeństwa. Teraz jednak nie czuła się już na siłach z nim walczyć.

Francis pstryknął palcami.

- Załatwione! W Wolf Hall jest wspaniała kaplica, w sam raz na ślub. A tymczasem możemy poćwiczyć rolę męża i żony-

- Znowu pochylił się nad Jessicą.

Po raz kolejny, chociaż nie tak stanowczo, Jessica powstrzymała jego zapędy.

- Po trzecie, musisz przyrzec, że uszanujesz moją niewinność aż do nocy poślubnej. - Wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję.

Francis wydał policzki.

- Fiu, fiu! Potrafisz się targować.

Jessica uśmiechnęła się przekornie.

- Pochodzę z Wenecji.

- Dobrze, zgadzam się, choć nie rozumiem dlaczego Przecież dałem ci już słowo, że się z tobą ożenię. Cała Wenecja była świadkiem mej obietnicy.

Jessica nie mogła powstrzymać uśmiechu na wspomnienie owej chwili, ale szybko spoważniała.

- Nie chciałabym zmuszać cię do małżeństwa z powodu ewentualnej ciąży, wbrew woli twojej rodziny.

Zaśmiał się krótko.

- Nikt nie może zmusić mnie do czegokolwiek. Sam decyduję o swoim losie. Ach, Jessico, wystawiasz mnie na ciężką próbę, ale sprostam jej w imię mej miłości do ciebie.

Ucałował ją i dodał:

- Nie przejmuj się Cavendishami. To ludzie o romantycznych duszach. Nie będą mogli się nadziwić, że udało mi się znaleźć taką bezcenną perłę jak ty.

Jessica powtórzyła zdławionym głosem:

- Masz rację, Francisie. Nie będą mogli się nadziwić, co znalazłeś.

Nie perłę, ale parszywego zbłąkanego kota, pomyślała ze smutkiem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

*Northumberland, Anglia, kwiecień 1550 rok, Wielkanoc*

Francis uniósł się w strzemionach. Pomachał kapeluszem nad głową.

- A oto i on! - wykrzyknął. Powietrze było zimne i przy każdym oddechu kłęby pary buchały mu z ust. - Wolf Hall!

Otulając się szczelniej obszernym futrem, Jessica wystawiła głowę z okna powozu i spojrzała z uwagą na rozpościerający się przed nią, ścięty mrozem krajobraz. A więc tak wyglądają rodzinne strony Francisa. Powóz zatrzymał się tuż przed niskim wzniesieniem, więc jedyne, co widziała, to wdzięczna sylwetka ukochanego, siedzącego na potężnym kasztanowatym wałachu. Uśmiechnęła się na widok szczęścia, które biło z twarzy Francisa. Jego piękne rysy przypominały w tej chwili twarze aniołów z obrazów Belliniego. Brakowało mu jedynie wąskiej złocistej aureoli nad rozwianymi przez wiatr włosami.

Podjechał bliżej do powozu.

- Dom jest niedaleko - oznajmił. - Będziesz go mogła zobaczyć w całej okazałości, gdy przejedziemy pagórek. - Promieniał radością jak uczeń przyjeżdżający na wakacje po miesiącach męczącej nauki.

Jessica zapytała, siląc się na obojętność.

- A może twoja rodzina przebywa w tej chwili w Londynie? Jest przecież Wielkanoc.

Poklepał jej zimny nosek palcem w rękawicy.

- Nie obawiaj się, kochanie. Cavendishowie rzadko bywają



na królewskim dworze i tylko wtedy, gdy jest taka konieczność. Wiem, że są w domu i że czekają na nas. Flagi powiewają na każdej blance obronnych murów. Zobaczysz je niebawem.

Jessica mocniej ścisnęła rąbek futra.

- Czy oni wiedzą o mnie? - Dotknęła ręką znamienia na policzku. - O tym?

Wciąż uśmiechnięty, przechylił się w siodle i ucałował ją w czoło,

- Tak, cara - odpowiedział. - Wysyłałem im listy z każdego portu, do którego przybijaliśmy podczas tej przeklętej podróży. Do tego czasu powinni już otrzymać przynajmniej jeden z nich.

- Och- szepnęła.

Jej zdenerwowanie rosło z każdą minutą. Francis przysięgał, że rodzina jego ojca jest dobra i miła. Jessica modliła się, aby to była prawda. Może pozwolą jej zamieszkać w małej chatce, w którejś z licznych wiosek wchodzących w skład ogromnych dóbr Cavendishów i nie wyrzucą za drzwi.

Nobe, jadący na wielkim czarnym koniu, zrównał się z nimi.

- Odpędź smutek z oczu, maleńka - polecił, uśmiechając się. - Cavendishowie zaakceptowali mnie od pierwszej chwili, a przecież mam czarną skórę. Ty masz jedynie małą brązową plamkę na twarzy. To głupstwo! - Pstryknięciem palców zbył temat jej wstydliwego znamienia.

Jessica trzęsała się jak- w febrze, ale nie z powodu zimnego wiatru, który wdzierał się do powozu przez otwarte okno. Francis to dostrzegł i uśmiechnął się.

- My tu wygrzewamy się w słońcu, a ty marzniesz. Schowaj się do środka i jedźmy dalej. - Wykrzyknął coś po angielsku do woźnicy. Wynajął go w porcie w Newcastle, gdzie „Duch” przycumował kilka dni temu. - Ruszajmy zwawo i zajedźmy przed front z fasonem. Tam jest mój dom!

Ścisnął ostrogami boki konia i pogalopował w stronę prze-

łączy. Za nim popędził Nobe. Obaj krzyczeli co sił w płucach. Jessica zaciągnęła na okno skórzaną zasłonę i zapięła ją szczelnie, aby powstrzymać dopływ ostrego wilgotnego powietrza, które przenikało ją do szpiku kości. Następnie otuliła się futrem, które Francis kupił jej pierwszego dnia po przybyciu do tego zimnego kraju. Smagnięte biczem konie pomknęły przed siebie. Pojazd huśtał się gwałtownie na miękkich resorach.

Szalona jazda trwała zaledwie pięć minut, ale Jessice wydawały się one wiecznością. Odetchnęła z ulgą, kiedy woźnica zatrzymał powóz. Ktoś zastukał w zasłonięte okienko.

- Spójrz, Jessico - powiedział Francis, kiedy uchyliła zasłonę. - Czyż to nie wspaniały widok?

Jessica szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w ogromną groźną fortecę, która nagle wyrosła przed jej oczami. Brązowe kamienne mury błyszcząły od szronu. Tak więc wygląda odwieczna rezydencja arystokratycznej rodziny? Ta piętrząca się góra skał? Jakżeż była niepodobna do pięknych, złoconych pastelowych palazzos\* jej dalekiej Wenecji. W tej właśnie chwili kilku niewidocznych heroldów za blankami murów zadęło w trąby. Podniosłe nuty starej wojennej pieśni rozbrzmiały w krystalicznie czystym powietrzu. Kilkanaście kolorowych jedwabnych flag załopotało na masztach umieszczonych wzdłuż wysokich murów. Nad chorągwiami powiewała jedna wyższa, przedstawiająca głowę srebrnego wilka na czerwonym polu. Jessica domyśliła się, że to herb potężnego rodu Cavendishów.

Nim zdążyła ochłonąć z wrażenia, Francis zsiadł z konia i otworzył szeroko drzwiczki powozu.

- Chodź, ukochana. Ten zamek nie jest taki ponury, na jaki wygląda, daję słowo. - Pomógł jej zstąpić na brukowany dzie-

\*Palazzos - pałace

dziniec. - Zbudowano go czterysta lat temu, by bronił okolicy w okresie najazdów wikingów.

Gromada ogromnych psów wybiegła z przeraźliwym szczekaniem przez masywne drzwi. Jessica nigdy w życiu nie widziała takich wielkich psów. Schwyciła się mocniej ręki Francisa, zastanawiając się, czy nie pożrą jej żywcem, zanim pozna całą rodzinę.

- W holu jest zawsze pełno psów. Na polowaniu zamieniają się w dzikie bestie, ale w domu przed kominkiem zachowują się jak baranki. Daj się im obwąchać.

Kilkanaście pysków wsadziło zimne nosy w futrzaną szubę i zaczęło obwąchiwać ręce Jessiki. Jeden z nich polizał nawet jej zeszywniałe z zimna palce. Nie przyzwyczajona do psów w ogóle, a już do takich wielkich w szczególności, Jessica zdrząła. Kilkoro dzieci w różnym wieku biegło za psami.

- Wujek Frank! - wołał może siedmioletni, dobrze zbudowany chłopiec. Skoczył do Francisa z wysokości drugiego stopnia schodów.

Francis zdążył na czas wypuścić z ręki dłoń Jessiki, aby go złapać. Z głośnym okrzykiem podrzucił do góry piszczącego radośnie chłopca.

- No nie! Czyżby to był mały Tom? - odezwał się żartobliwie. - Myślałem, że wciąż jeszcze chodzisz w szelkach.

Tom majtał rękami i nogami w powietrzu.

- Puść mnie, wujku. Nie jestem już niemowlakiem! Nieco starszy od niego chłopiec uśmiechnął się złośliwie.

- To prawda, ale wciąż ssie palec.

- Cześć, Johnny! - Francis wcisnął sobie pod pachy obydwu chłopczyków. Następnie zwrócił się do Jessiki i przedstawił jej wyrywających się malców.

- To moi szanowni siostrzeńcy. Ten od lewej nazywa się John Hayward, a ten prosiaczek po prawej to mój chrześniak Thomas Hayward.

Johny odgarnął z czoła puszysty brązowy kosmyk i zapytał:

- Przywiozłeś nam prezenty?

Nobe zaszedł chłopca od tyłu i wyjął go spod pachy Francisa.

- Czy sądzisz, paniczu, że twój dobry wujaszek odważyłby się zjawić tutaj bez podarunków? Osobiście dopilnowałem, żeby o nich nie zapomniał.

Malcy zaśmiali się radośnie. Reszta dziatwy również domagała się uwagi.

- Czy dla wszystkich? - zapytała jedna z młodzieńców służących.

Nobe uśmiechnął się do niej.

- Tak jest, panienczko, dla każdego.

Jego słowa wywołały dalsze okrzyki radości. Murzyn cieszył się sympatią wszystkich mieszkańców zamku, nie wyłączając służby. Szczególnie przepadały za nim młodzież i dzieci. Jessica przesłoniła welonem oszpecony policzek w obawie, że może któreś przestraszyć. Po sześciu tygodniach obcowania tylko z mężczyznami widok dzieci był dla niej prawdziwą przyjemnością. Radowała się także, widząc, jak ich obecność cieszy Francisa. Będzie z niego w przyszłości wspomniały ojciec, pomyślała.

W ślad za dziećmi pojawiła się czwórka młodych ludzi, ubranych w bogate aksamitne i jedwabne stroje. Dziewczęta wyglądały na trojaczki. Jessica tylko raz w Wenecji zetknęła się z takim fenomenem natury. Wszystkie były kruczowłose, tak jak Jessica, w przeciwieństwie do chłopca, który był jasnym blondynem. Złota czupryna błyszczała w bladym słońcu wczesnego popołudnia, a oczy barwą przypominały źrenice Francisa. Wy-rwał się przed dziewczęta i chwycił Francisa za ramię.

- Nareszcie przyjechałeś! Czekamy na was od tygodnia!

Francis roześmiał się.

- Jessica Leonardo, moja narzeczona i uzdrowicielka -

zwrócił się do młodzieńca. Do Jessiki natomiast powiedział: - Christopher Cavendish, syn mojego pana - to znaczy chciałem powiedzieć... nowego hrabiego Thornbury. - Na ułamek sekundy cień smutku przemknął po jego twarzy. Dziedzic! Świadoma, że wiele osób przygląda się jej bacznie, Jessica z gracją skłoniła się przed młodzieńcem.

Kitt śmiejąc się, przytrzymał w swej ręce jej zziębniętą dłoń. Odchrząknął.

- Benvenuto a casa, signorina Jessica\* - powitał ją po włosku. Jego czarujący uśmiech kompensował chropowaty akcent. - Witamy serdecznie w Wolf Hall. - Ucałował jej dłoń, po czym mrugnął do niej porozumiewawczo. - Czy wyraziłem się poprawnie? - zapytał z błyskiem w oku.

Jessica odwzajemniła uśmiech.

- Mówi pan bardzo dobrze po włosku - stwierdziła. Nim zorientowała się, co zamierza zrobić, ujął jej twarz w dłonie i ucałował oba zimne policzki, najpierw zdrowy, a potem drugi - w miejsce oszpecone znamieniem.

Francis burknął gniewnie:

- Idź i uwodź kogoś innego. Jessica jest już zajęta.  
- Zostaniemy przyjaciółmi, prawda? - szepnął Kitt.  
- Tak - odparła Jessica. Miała już przynajmniej jednego sprzymierzeńca w tym zimnym kraju - poza Francisem.

Kątem oka spostrzegła, że na podeście zebrało się już więcej osób. Była tam cała rodzina Cavendishów - wszyscy wysocy, złości i dumni w swych świetnych bogatych strojach. Jessicę dziwiło wielkie podobieństwo łączące członków tego rodu. Młoda kobieta z błyszczącymi jasnymi włosami, wysuwającymi się spod nakrycia głowy, sfrunęła ze stopni z okrzykiem:

- Francisie! Ty wariacie! - Rzuciła się prosto w jego ramiona.

\*Benvenuto a casa, signorina Jessica - witaj w domu, panno Jessico

Z niewymowną radością na twarzy Francis obejmował ją i ścisnął, cichym głosem powtarzając raz po raz:

- Belle, Belle.

Jessica poczuła w sercu ukłucie zazdrości. A więc ta piękna dama jest ukochaną siostrą Francisa... bądź kuzynką. Niezależnie od rodzaju ich pokrewieństwa Belle była jedyną kobietą, która miała klucz do serca Francisa - i tą, na której względach Jessice naprawdę zależało. Zasłaniając welonem oszpecony policzek, Jessica czekała, aż Francis je sobie przedstawi.

Wreszcie Francis postawił Belle na ziemi.

- Proszę cię, powitaj Jessicę jak siostrę- zwrócił się do Belle.

- Jest bardzo przestraszona - dodał ciszej.

Jessica usłyszała go. Wyprostowała ramiona pod futrem, starając się sprawić wrażenie pewnej i opanowanej, choć wcale się tak nie czuła. Z gracją skłoniła się przed Belle.

- To dla mnie wielki zaszczyt móc panią poznać.

Jessica żałowała, że jej angielszczyzna jest jeszcze zbyt uboga, by móc powiedzieć siostrze Francisa, jak bardzo jest piękna. Oni wszyscy są piękni aż do bólu, pomyślała. Co ona robi w tej grupie złotych aniołów? Miała wrażenie, że piękne freski ze ścian weneckich kościołów ożyły i przeniosły się do północnej Anglii. Belle przycisnęła twarz do zdrowego policzka Jessiki.

- Jesteś przemarznięta do kości - zauważyła. - Francisie, ty fajtłapo bez pomysłu, Jessica nie jest przyzwyczajona do naszego surowego klimatu. Zamieni się w sople lodu, jeśli będzie my nadal trzymać ją na tym zimnie.

Objęła Jessicę i poprowadziła ją po schodach. Francis szedł za nimi, obarczywszy Nobe'a gromadką rozbrykanych dzieci i troską o bagaże. Jessicę korciło, aby obejrzeć się i zaczerpnąć odwagi z kochających oczu Francisa, ale bała się poruszyć głową, żeby nie odsłonić zeszpeconego policzka. Kitt widział jej piętno, a mimo to wcale go ono od niej nie odstręczyło.

- Jest pani bardzo miła - szepnęła do Belle.
- Nonsens. Jestem tylko praktyczna, czego nie można powiedzieć o moim bracie. Wenecja ma ciepły klimat, prawda? Jessica potaknęła.
- O wiele cieplejszy niż wasz kraj - odparła z nutą nostalgii. Belle uścisnęła ją lekko.
- Wobec tego napalimy dobrze w kominku i napoimy cię gorącym winem z korzeniami. - Ściszyła głos. - Najpierw musisz się przywitać z moim ojcem, który waruje przy drzwiach jak cerber.

Wysoki mężczyzna w średnim wieku uśmiechnął się do nich. Obok stała jego uderzająco piękna żona. Ujmując Jessicę za rękę, Francis podprowadził ją do podestu.

- Milordzie, jaśnie pani - zwrócił się do imponującej pary.
- Pragnę przedstawić wam swoją narzeczoną, Jessicę Leonardo. Uniesienie prosimy o gościnę i błogosławieństwo.

Francis zdjął kapelusz i zamaszystym ruchem zamiótł nim ziemię przed hrabią i jego małżonką. Jessica również skłoniła się ceremonialnie.

Sir Brandon Cavendish zaśmiał się.

- On nas prosi o gościnę, słyszysz, Kat? - zwrócił się do pięknej kobiety o miodowych włosach. - I o błogosławieństwo. Dobrze, Francisie. Macie jedno i drugie. Na Boga, dawno już powinieneś wrócić.

Francis wyprostował się, pomagając jednocześnie Jessicę.

- Miło jest cię znowu zobaczyć, milordzie - oświadczył głosem pełnym szacunku. Powiedział to raczej tonem poddanego niż syna.

Hrabia wyciągnął ramiona i schwycił Francisa w swe niedźwiedzie objęcia. Ściskali się tak serdecznie, że istniała obawa, iż w jakimś momencie zwałą się obaj na ziemię. Hrabina ujęła Jessicę za ramię.

- Witaj w naszym domu, Jessico - powiedziała z życzliwością. Pochyliła się i pocałowała drżącą dziewczynę w oba policzki, tak jak to wcześniej uczynił jej syn, Kitt. Następnie wyprostowała się i spojrzała z miłością na obu mężczyzn.

- Musisz wybaczyć Brandonowi, moja droga. On bardzo tęsknił za Francisem. Minęło wiele lat od chwili, kiedy opuścił Wolf Hall.

Wesoły śmiech rozległ się za plecami Jessiki.

- Hola, Kat! - rzekła zaczepnie dama o śpiewnym francuskim akcencie. - Czy zamierzasz zatrzymać klejnot Francisa wyłącznie dla siebie?

Lady Kat zaśmiała się i odwróciła Jessicę twarzą do osóбки o kruczonych włosach.

- Przepraszam tysiącrotnie! Jessico, to moja szwagierka, Celeste Cavendish, a ten dżentelmen, który wygląda jak nasz patron, święty Mikołaj, jest jej mężem, Guyem Cavendishem.

Jessica znowu dygnęła grzecznie.

- To wielki dla mnie honor poznać panią — zaczęła, żałując, że nie zna jakiegoś innego powitalnego zwrotu w ojczystym języku Francisa. Nie spodziewała się, że będzie poznawać wszystkich Cavendishów z osobna.

Celeste również pocałowała ją w oba policzki. Czy oni wszyscy są ślepi? Przecież w świetle dnia nie mogli nie zauważyć tego przekłętą znamienia. Dlaczego nic nie mówią?

Kiedy przyjrzała się Guyowi, omal nie wykrzyknęła. On i Francis byli podobni do siebie jak dwie krople wody, z tym że Guy był dużo starszy.

Przechylił głowę i uśmiechnął się w taki sam sposób jak Francis; jeden kącik warg unosił się przy tym ruchu nieco do góry.

- Witaj w Wolf Hall, signorino Jessico. To pani zawdzięcza my powrót marnotrawnego syna do domu.



Czy ktoś jeszcze oprócz niej zauważył to podobieństwo? Rozejrzała się po rodzinie i służących, ale wszyscy wydawali się zupełnie nie zwracać uwagi na ten fakt. Możliwe, że mieli w oczach obraz Francisa z okresu, kiedy był młodszy i nie w pełni dojrzały. Siedem lat to dużo w życiu mężczyzny. Spojrzała na Nobe'a i zauważyła, że on również bacznie obserwuje Guya przez półprzymknięte powieki. Kiedy napotkał wzrok Jessiki, skinął potakująco głową.

Hrabina gwałtownym ruchem otworzyła ciężkie dębowe drzwi i wciągnęła Jessicę do wnętrza.

- Mogłybyśmy tak stać na tym zimnie przez cały dzień, czekając, aż tych dwóch się sobą nacieszy. Brandon traktuje Francisa jak syna - wyjaśniła, prowadząc Jessicę w głąb zamku.

Chociaż wnętrze Wolf Hall nie było tak barwne jak weneckich pałaców, niemniej panowała w nim pogodna i przyjazna atmosfera. Promienie słońca wdzierały się do środka przez szyby wielkich łukowatych okien. Padające od północnej strony światło ożywiało bogate arrasy wiszące na wyłożonych boazerią ścianach. Tureckie dywany pokrywały wyfroterowane drewniane podłogi. Przypominały Jessice wytworne wnętrza, jakie czasami widywała w domach swych bogatych pacjentów. Purpurowe chorągwie przedstawiające wilczą głowę, rodowe godło Cavendishów, zwieszały się z ciemnych krokwi. Półki w kredensach uginały się pod ciężarem srebrnej zastawy oraz złotych talerzy i półmisek. Wszędzie wałęsały się psy różnej rasy i maści.

Pośrodku wielkiego holu, w ogromnym kamiennym kominku, trzaskały wesoło polana, rozrzucając wokół czerwone iskierki. Przed kominkiem stała wysoka wyprostowana dama. Jej niegdyś złote, obecnie prawie siwe włosy więcej mówiły o jej wieku niż zmarszczki na twarzy czy hebanowa laska zakończona rączką z kości słoniowej, na której się wspierała. To musiała być

lady Alicia Cavendish, wdowa po hrabim Thornbury. Prosta ciemna suknia i czarne nakrycie głowy przypominały o jej świeżej żałobie. Wyciągnęła rękę do Jessiki.

- Podejdź bliżej, drogie dziecko - przywołała ją do siebie łagodnym, ale nadal mocnym i władczym tonem. - Moje oczy nie są już takie bystre jak kiedyś.

Po części zaciekawiona, po części przerażona Jessica podeszła do lady Alicii. Była tak przejęta, że zginając się przed nią w niskim ukłonie, omal się nie przewróciła.

- Jestem niezmiernie zaszczyczona spotkaniem z panią, *contessa bella*\* - rzekła. Z wrażenia zapomniała słówek, których się już nauczyła.

Ta wielka dama ma oczy jastrzębia. Nie pozwoli swemu wnukowi ożenić się z kochanicą diabła!

Rada, że nie ma z nią Francisa, ewentualnego świadka jej klęski, Jessica uniosła twarz, by pokazać ją lady Alicii. Odsunęła do tyłu welon i odwróciła się zeszpeconym policzkiem w stronę światła, jakie biło od ognia na kominku. Chciała, aby stara i młoda hrabina ujrzały dokładnie przekłete znamię. Zapadła długa cisza. Jessica z trudem przełknęła ślinę. Dolna warga drżała jej jak w febrze.

Lady Alicia przeciągnęła palcami po policzkach dziewczyny. Opuszkami kciuka obwiodła przypominające truskawkę znamię.

Łzy wezbrały pod powiekami Jessiki. Żegnaj, Francisie, moja miłości!

- Proszę mi wybaczyć, *contessa* - szepnęła do lady Alicii.
- Proszę wybaczyć mi to wstydlive znamię i moją... moją ...
- Szukała rozpaczliwie w pamięci angielskiego odpowiednika

\**Contessa bella* - piękna hrabina

słowa śmiałość, ale nie mogła sobie przypomnieć. - Arditezza mia\*. Prosiłam Francisa, aby mnie ze sobą nie zabierał, ale jego serce... - Język jej się plątał ze zdenerwowania i braku właściwych słów. - Moje serce... to niemożliwe. Odejdę stąd.

Młoda hrabina spoglądała na teściową. Życzliwość i zrozumienie odmalowały się na twarzy lady Alicii.

- Wydaje mi się, że Francis nie mógł dokonać lepszego wyboru, Kat - zauważyła, nie przestając głaskać policzków Jessiki.

- Pisał nam o twojej odwadze i sile ducha oraz o twojej inteligencji. Widzę jednak, że i tak nie w pełni cię docenił.

Jessica zamrugła.

- A to? - Wskazała na znamię.

Lady Alicia podniosła ją z kolan.

- To wrodzona wada skóry, moje dziecko. W twoich oczach czytam niedowierzanie. Więcej odwagi, Jessico. Całym sercem witamy cię w Wolf Hall, jak również w naszej rodzinie.

Jessica uspokoiła się nieco.

- A Francis? Czy on również jest mile widziany w państwa rodzinie?

- O co chodzi? - spytała półgłosem lady Kat. - To jest przecież jego dom.

Lady Alicia skinęła głową.

- Więc to tak - szepnęła do siebie. - Jesteś równie mądra jak piękna, moja droga. Francis doprawdy nie mógł wybrać lepiej.

Kiedy Brandon wypuścił wreszcie Francisa z objęć, odwrócił się, pragnąc coś powiedzieć Jessice, i zobaczył, że jej nie ma.

- O la, la - roześmiała się Celeste. - Kat zabrała ją, aby przedstawić mamie.

- Jezu - rzekł do siebie Francis. Miał zamiar być u boku

\*Arditezza mia - moja śmiałość

Jessiki w momencie, gdy stanie po raz pierwszy przed obliczem nobliwej matrony. Wiedział, że jego babka jest dobra z natury, ale z doświadczenia pamiętał, że jeśli chciała, potrafiła być bardzo niemą.

Nie czekając dłużej, otworzył drzwi i pobiegł korytarzem do wielkiej sali, dokąd, jak przypuszczał, Kat zaprowadziła Jessicę. Reszta rodziny, jak również służba, poszła w jego ślady. Wszyscy byli ciekawi rozwoju wypadków.

Kiedy dotarł na miejsce, jego obawy pierzchły. Trzy kobiety gawędziły przyjaźnie przed płonącym kominkiem. Babka spoczywała w krześle z wysokim oparciem, a Jessica przycupnęła na podnóżku u jej stóp. Kat siedziała w fotelu naprzeciwko. Popijały wino ze srebrnych pucharków i chrupały wafelki w cukrze z patery stojącej na stoliku o wysokich cienkich nóżkach.

Lady Alicia uśmiechnęła się do Francisa.

- Zbliź się, niegodziwy chłopcze. To grzech na tak długo zapomnieć o rodzinnym domu.

Francis ukląkł obok krzesła i ucałował jej dłoń. Pod wargami czuł skórę cienką jak pergamin.

- Tęskniłem za tobą, pani - odezwał się głosem ochryplym ze wzruszenia. - Smutna wieść o śmierci sir Thomasa...

Lady Alicia zatknęła mu za ucho niesforny kosmyk. Ten pieszczotliwy gest podniósł go nieco na duchu.

- On ogromnie cię kochał, Francisie. Myślę, że podobnie jak ja, cieszyłby się ze spotkania tej wspaniałej kobiety, którą wybrałaś sobie na żonę. - Uśmiechnęła się do Jessiki.

Francis ścisnął lekko palce lady Alicii.

- A więc zgadzasz się na nasze małżeństwo? Pobłogosławisz nas?

Lady Alicia ujęła rękę Jessiki i umieściła ją w dłoni Francisa.

- Tak jest, popieram wasz związek całym sercem. - Roześmiała się cicho. - Może ona zdoła przytrzymać cię w Anglii.

Francis spojrział w pełne łez oczy Jessiki.

- Już jej to obiecałem.

Wzruszającą scenę przerwało wtargnięcie gromadki dzieci - małych, średnich i większych. Nobe szedł za nimi z miną kota, który opił się śmietanki.

Tom Hayward zatrzymał się przed grupą dorosłych. W lepkiej od słodyczy dłoni trzymał mały lniany woreczek z łakociami.

- Spójrzcie - odezwał się do zebranych dam - wujek Frank przywiózł nam w prezencie całe bogactwo Wenecji.

Francis ucałował rękę Jessiki.

- Chłopiec mówi najszerszą prawdę - szepnął jej do ucha. Jessika zaczerwieniła się i spuściła głowę z uśmiechem.

Johnny przyłączył się do brata. Wyciągnął mały sztylecik z pochwy ozdobionej srebrnym filigranem. Stał przed babką w szerokim rozkroku.

- Mama twierdzi, że jestem jeszcze za mały na taki sztylet!  
- wykrzyknął z pretensją.

Zadyszana Belle pojawiła się nagle za synkiem.

- To nie jest zabawka! Francisie! Co ci strzeliło do głowy kupować dziecku taką broń? Ten chłopiec ma zaledwie siedem lat.

Lady Alicia podniosła do góry rękę na znak, że chce coś powiedzieć.

- Belle, moja droga, byłaś o wiele młodsza, kiedy pocięłaś piękny arras przedstawiający scenę polowania w galerii - za uważyła z figlarnym błyskiem w oczach.

Zebrani zareagowali gromkim śmiechem. Dwudziestoletnia Tonia, najstarsza córka Guya, dotknęła świecących szklanych paciorków na szyi.

- Spójrz, mamó! - wykrzyknęła radośnie do Celeste. - Każda z nas dostała od Francisa takie piękne koraliki.

- Spójrzcie! Spójrzcie! - zawołały jednym głosem zamykające pochód bliźniacze siostry Toni. — Zobaczcie, co Francis przywiózł dla Belle! Otwórzcie to!

Dziewczęta dźwigały pospołu ciężką płaską skrzynię, zawierającą portret Francisa. Podniecony i przejęty powrotem do Wolf Hall, kompletnie o nim zapomniał. Przeszył Murzyna jadowym spojrzeniem, ale Nobe tylko uśmiechnął się lekko.

Rany boskie! On wplątał w to dziewczęta.

- Jestem skończony - mruknął po włosku.

Jessica pogładziła go po ręku.

- Co się stało Francisie? Co cię gryzie?

Podekscytowana Belle, z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, klasnęła w dłonie.

- Dla mnie? Wielkie nieba! Niech ktoś to otworzy! Szybko! Och, Francisie!

Usiłując zachować spokój, Francis podniósł się z miejsca.

- To nic wielkiego. Zapewniam cię.

- To jego portret - huknął stojący z tyłu Nobe. - Namalowany przez ucznia słynnego Tycjana.

Dlaczego mi to robisz, pomyślał na poły z żalem, na poły z gniewem Francis. Głośno zaś powiedział:

- To zwykły kicz. Chciałem go ofiarować Belle jako tarczę do strzelania z łuku.

Nobe roześmiał się.

- Francis nie ma racji. Malarz doskonale oddał podobieństwo.

Francis spojrział na zdrajcę. Czy Nobe zdaje sobie sprawę z tego, że skoro tylko rodzina zobaczy ten portret, uświadomi sobie od razu, kto jest jego ojcem? Co powie Brandon? Lub Guy? Francis przez siedem długich lat wędrował po świecie, aby uniknąć takiego właśnie momentu.

Dwóch służących zaczęło odrywać starannie przybite de-

szczyłki. Belle dreptała wokół nich, przynaglając. Buczący dźwięk narastał w głowie Francisa. Przeklinał w duchu portret, malarza oraz samego siebie za to, że nie wrzucił płótna do morza w odpowiednim momencie. Oblizwał suche wargi.

- Nie patrzcie na to. To zwykły bohomasz.

Wszyscy roześmieli się i zaczęli ponaglać służących, aby się szybciej uwijali. Francis spojrział na Jessicę. Jedyne ona spoglądała na niego z troską; uwagę reszty przykuwało malowidło. Ze zbiorowym „Och!” - wszyscy odstepili do tyłu, by lepiej przyjrzeć się obrazowi. W sali zapanowała cisza. Francis zacisnął ręce i zamknął oczy. Dlaczego to zrobiłeś, Nobe? Dlaczego?

Naraz przypomniał sobie zagadkową przepowiednię przyjaciela „Umrzesz, narodzisz się na nowo i znowu zostaniesz ochrzczony”. Spojrzął po raz drugi na Nobe'a. Ten kilkakrotnie skinął głową. Lady Alicia podniosła się z krzesła i zbliżyła do portretu. Rodzina rozstąpiła się przed nią.

- Weź świecę, Brandonie - poleciła starszemu synowi.

Jessica przysunęła się do Francisa. Nie odezwała się, tylko objęła go w pasie. Nie zareagował, ale jej czuły gest sprawił mu przyjemność.

Brandon wziął do ręki gruby stoczek z gzymsu nad kominem i przybliżył do portretu.

Alyssa pierwsza przerwała milczenie.

- To wcale nie jest Francis - roześmiała się drwiąco. - To jest tatuś!

- To tatuś, wykapany tatuś, tyle że młodszy - zgodziła się Gillian. - Zadrwiłeś sobie z nas, Francisie. Wstydź się!

Francis rozwarł powieki i zobaczył, że cała rodzina patrzy na niego - z wyjątkiem Guy a, który wpatrywał się w portret, jak gdyby po raz pierwszy w życiu widział płócienne malowidło. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i niedowierzanie.

Lady Alicia przytaknęła głową z zagadkowym uśmiechem na ustach.

- Macie rację, moje kurczątko, To jest rzeczywiście portret waszego ojca.

Szum w głowie Francisa stawał się nie do zniesienia. Wysunął się z ramion Jessiki, obrócił na pięcie i wybiegł z sali. Miał tylko jedno pragnienie - znaleźć się w tej chwili jak najdalej od tego miejsca, choćby na samym krańcu świata.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jessica znalazła Francisa z pomocą Belle i służby w bibliotece starego hrabiego. Kiedy nie odpowiadał na pukanie, ujęła za klamkę i weszła do pokoju wypełnionego od góry do dołu półkami uginającymi się od książek. Stał z pochyloną głową przy wąskim ostrołukowym oknie, spoglądając niewidzącym wzrokiem na rozległe wrzosowiska, rozciągające się poza murami zamku. Poruszył się dopiero wtedy, kiedy dotknęła jego ramienia.

Spojrzała na ściągniętą cierpieniem twarz, żałując, że nie ma jakiejś kojącej maści, która by starła z niej głębokie zmarszczki wyryte przez bolesne przeżycia.

- Francisie, twoja szanowna babka prosi cię do swego pokoju.

- Z Brandonem i... Guyem? Jessica współczuła mu z całej duszy.

- Wyszła z sali w ich towarzystwie.

Nic nie odpowiedział, tylko znowu zaczął spoglądać na krajobraz za oknem.

Jessica przyłożyła policzek do jego ramienia.

- Czy zamierzasz uciekać przez całe życie? - spytała.

- To moja sprawa - odburknął szorstko, unikając jej wzroku.

- Nie, Francisie. Jeżeli mam zostać twoją żoną to... to ta sprawa dotyczy nas obojga.

- Co możesz wiedzieć o cierpieniu, które dręczy moją duszę?

- Powiedz mi o tym - poprosiła szeptem.
- Ten wstrętny portret oddalił wszystkich, którzy byli mi drodzy.
- Nie mnie i nie Belle, a już z pewnością nie lady Alicię. Francis mówił dalej, jak gdyby jej nie słyszał.
- Kiedy po raz pierwszy przybyłem do Wolf Hall jako mały chłopiec, zostałem paziem Brandona. Traktował mnie jak syna i nie próbował ukrywać uczuć, jakie dla mnie żywi. A ja... jak zdychający z głodu pies... przywiązałem się do niego. - Odwrócił się od okna. - On nigdy... nie uznał mnie oficjalnie za swoje dziecko, mimo iż z biegiem lat coraz bardziej zacząłem przypominać Cavendishów. - Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. - Jeżeli chodzi o Belle, nigdy się nie wypierał, że jest jego córką. Do mnie się nie przyznawał. Mimo to nie traciłem nadziei, że pewnego dnia...
  - Dlatego uciekłeś do Francji, potem do Szkocji, a na koniec do Włoch?
  - Lady Olivia, moja matka, wezwała mnie do siebie. Byłem jeszcze wtedy bardzo naiwny i myślałem, że odezwały się w niej macierzyńskie uczucia. Miałem już dwadzieścia jeden lat i nie musiała mi wycierać nosa ani uczyć dobrych manier.
  - Czy twoja matka powiedziała ci wreszcie, że cię kocha? Roześmiał się drwiąco.
  - Kochać? Ona nie wiedziała, co znaczy to słowo. Życie niczego jej nie nauczyło. Jedyne, co wyniosła ze swych licznych romansów, to świadomość, że w ich wyniku nabawiła się francuskiej choroby.
  - Dio mio! - Jessica wstrząsnęła się z wrażenia.
  - Si - odpowiedział. - To właśnie wykrzyknąłem, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy po prawie dziesięciu latach. Nie tłumaczyła się ani nie przeproszała. Oznajmiła jedynie rzeczowo, że umiera i że chce oczyścić sumienie, zanim na zawsze

odetnie się od świata w jakimś odległym klasztorze. Następnie oświadczyła, że moim ojcem jest Guy. Nazwała ich krótki związek rozkoszną przygodą, która przytrafiła się w przerwie pomiędzy romanssem ze starym królem Henrykiem VIII, a uwiedzeniem Franciszka, króla Francji.

- To znaczy, że twoja matka sypiała z królami? - wykrzyknęła cicho Jessica i pomyślała, że musiała być kobietą niezwykłego wdzięku i urody. Nic dziwnego, że jej syn jest takim pociągającym mężczyzną.

- Tak. Oświadczyła, że dała mi na imię Francis z myślą o francuskim monarsze, ponieważ myślała, że to z nim mnie poczęła. Czas pokazał, że była w błędzie.

Zapanowała pełna napięcia cisza. Tylko osobliwy zegar tykał na gzymsie kominka.

Wreszcie Jessica otrząsnęła się z odrętwienia.

- Twoja babka czeka na ciebie - przypomniała mu. - Musisz do niej iść.

Złapał ją nagle za ramiona. W oczach miał szaleństwo.

- Natychmiast stąd wyjeżdżamy! Powóz nadal czeka. Pojedziemy do Londynu...

Jessica odsunęła się.

- Nie, Francisie - odparła spokojnie, lecz stanowczo. - Możesz uciekać w dalszym ciągu, jeśli chcesz, ale ja z tobą nie jadę. Nie mogę wyjść za ciebie.

Spojrzał na nią oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

- Co ci strzeliło do głowy?

- Nie mogę wyjść za człowieka, który bezustannie roztkliwia się nad sobą.

Twarz Francisca poczerwieniała.

- Niewdzięczna! Uratowałem ci życie.

- Si. Będę cię za to błogosławić do końca swoich dni, ale nie mogę poślubić tak słabego człowieka. Nigdy nie będę w sta-

nie ci pomóc. Możesz to zrobić tylko sam. W tej chwili jest dobra okazja. Jeżeli zdobędziesz się na odwagę, to z powodzeniem stawisz czoło demonom, które ścigały cię po całej Europie. Idź do swej babki lub idź do diabła. Nic więcej nie mogę dla ciebie uczynić.

Lady Alicia uśmiechnęła się ciepło do Francisa, kiedy ten w końcu stanął przed jej obliczem. Brandon i Guy siedzieli z dala od siebie - pierwszy wyraźnie strapiony, drugi natomiast z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Francis ucałował rękę babki.

- Jaśnie pani, przyszedłem, jak mi kazałaś.

- Miałam nadzieję, że przyszedłeś także dlatego, że mnie kochasz.

- To oczywiste - wymamrotał. - Ale to głównie zasługa Jessiki. Ona jest twoją rzeczniczką.

Lady Alicia spojrzała na swych nadąsanych synów.

- Słuchajcie mnie, wy trzy uparte osły. Najwyższa pora, byście odrzucili wzajemne urazy. To nie wpływa dobrze na stosunki w naszej rodzinie i tylko potęguje niechęć w naszych sercach. - Nadal trzymając Francisa za rękę, usiadła na swym ulubionym wyściełanym krześle i mówiła dalej: - Francisie, twój dziadek i ja od samego początku wiedzieliśmy, że jesteś Cavendishem, chociaż nie mieliśmy pewności, czyim jesteś synem. Dla nas to nie miało znaczenia. My cię kochaliśmy.

- Wiem o tym, jaśnie pani.

Potrząsnęła nim lekko.

- Francisie! Na litość boską, nazywaj mnie babką, tak jak inne moje wnuki. Masz do tego pełne prawo i ja zawsze chciałam usłyszeć to słowo z twoich ust.

- Babciu...

- Już lepiej. Z czasem przywykniesz do tego słowa.-

Zwracając się do starszego syna, zapytała:

- Ty nigdy nie miałeś stu

procentowej pewności, że on jest twoim synem, prawda?

Brandon zaczerwienił się.

- Ach, to jest... czy twoja matka mówiła ci kiedyś o mnie?

O tym, że mieliśmy... - Zakaszłał zażenowany.

- Tak jest, milordzie, wspominała ciebie, między innymi. - Francis nie miał odwagi spojrzeć na babkę.

- Więc to tak! - Brandon uśmiechnął się z wysiłkiem. - Lady Olivia zbyła mą osobę jedynie krótką wzmianką w księdze swoich wspomnień. Cierpnę na myśl, czym mężczyzna musi się wykazać, aby zasłużyć na całą stronicę.

Lady Alicia cmoknęła na znak niezadowolenia, ale na Francisca nadal spoglądała czułym wzrokiem. Guy niespokojnie poruszył się w swoim krześle.

- A ja? - zapytał dziwnie nieswoim głosem. - Czy Olivia mówiła o mnie?

Po raz pierwszy Francis spojrział prosto w błękitne oczy swego ojca. Wielki Boże, byli podobni do siebie jak dwie krople wody.

- Tak. Powiedziała mi, że jesteś moim ojcem. - Nie mógł się powstrzymać, aby nie dodać: - Nie zaś król Francji.

Brandon gwizdnął przeciągle.

- Nigdy nie przypuszczałem, że zalecałeś się do tak wysoko postawionej osoby, wtedy, we Francji. Miałeś dopiero dziewiętnaście lat! Dobrze się spisałeś, braciszku.

Zanim Guy zdążył mu się odciąć, lady Alicia zastukała laską w podłogę.

- Brandonie! To nie tawerna. Uważaj, jak się wyrażasz. Jej przystojny syn zmieszał się lekko.

- Przepraszam, mamó - wyrzekł pod nosem.

Lady Alicia zwróciła się teraz do Guya.

- Przypuszczam, że wyspowałeś się z grzechu, jaki popełniłeś wówczas we Francji?

- Tak, mam, i to wielokrotnie. Starłem się odpokutować za swe rozwiązłe czyny, kiedy już byłem nowicjuszem w Saint Hugh's. - Spojrzał na Francisa. - Nigdy nie wiedziałem, że mam syna - odezwał się miękko. - Olivia powinna była mi o tym powiedzieć.

Lady Alicia wydeła wargi.

- Moim zdaniem, Olivia Bardolph nie umiała wymenić do końca wszystkich liter alfabetu, a cóż dopiero mówić o drzewach genealogicznych swoich licznych potomków. Poza tym, kiedy Francis został nam oddany na wychowanie, przebywał w zakonie. Myśleliśmy, że zostaniesz mnichem.

Nieśmiały uśmiech zaigrał na wargach Guya.

- Też tak myślałem. Dzięki Bogu, Celeste wskazała mi właściwą drogę; źle robiłem, próbując uciec od samego siebie.

Alicia spojrzała z czułością na Francisa.

- Jak z tego widzę, niedaleko pada jabłko od jabłoni. Uciekanie okazuje się rodzinną cechą tego rodu. Czy to dlatego przez siedem lat unikałeś domu, Francisie?

- Tak. - Dotknęli najbardziej drażliwego punktu. Postanowił nie ukrywać już niczego. - Po rozmowie z matką wstydzilem się spojrzeć wam w twarze -wam wszystkim. Nie chciałem zranić sir Brandona, który zawsze był dla mnie taki dobry, i również nie chciałem sprawiać przykrości sir Guyowi po tym, jak wreszcie odnalazł spokój i szczęście w życiu rodzinnym.

Guy zwilżył językiem suche wargi.

- Jesteś moim synem, moim własnym synem. - Spoglądał na Francisa, jak gdyby widział go po raz pierwszy w życiu. - Zawsze chciałem mieć syna, ale nie mogłem powiedzieć o tym Celeste. Mogłaby pomyśleć, że czuję się rozczarowany, iż nie dała mi męskiego potomka.

- Twoje córki wyrastają na miłe, zdolne i piękne kobiety - zauważyła lady Alicia. - Powinny jednak mieć brata, który będzie się nimi opiekował. - Urwała i dodała po chwili: - Śmierć nadchodzi tak szybko i zawsze w momencie, kiedy się jej człowiek najmniej spodziewa.

Francis wiedział, że myślała w tej chwili o sir Thomasie. Ponownie ucałował jej rękę.

- Nie denerwuj się, babciu. - Tym razem wymówienie tego słowa przyszło mu już z łatwością.

Spojrzała na niego przenikliwie.

- Nie. Nami trzeba potrząsnąć. Ta rodzina zbyt długo trwała w uśpieniu.

Trzej mężczyźni, wszyscy podobni do siebie, spojrzeli ze zdziwieniem na moralny autorytet ich rodu. Francis miał nadzieję, że boleść po stracie męża nie naruszyła władz umysłowych jego babki.

Alicia ścisnęła go za rękę.

- Pomóż mi, Francisie. Muszę wam coś pokazać, co od ponad pięćdziesięciu lat spoczywa w ukryciu.

- Sekret rodzinny?

- Tak. Znacznie większy niż tajemnica twego pochodzenia. Skąd o tym wiesz?

Francis odpowiedział z namysłem.

- To łączy się z jedną z tajemniczych wizji Nobe'a. Wiecie, jakie pogmatwane są czasami jego przepowiednie. Pewnego razu powiedział mi, że Cavendishowie mają wielki skarb, który...  
- skupił się, aby dobrze powtórzyć słowa Murzyna - ...który świeci blaskiem tak mocnym jak samo słońce, ale jest ukryty głęboko wśród korzeni - naszych rodzinnych korzeni, sądzę.

Twarz lady Alicii przybrała dziwny wyraz.

- Blaskiem tak mocnym jak słońce - powtórzyła. - Nobe tak się wyraził?

- Tak brzmiały jego słowa.

Roześmiała się cicho.

- Często myślę, że Nobe nie jest zwykłym śmiertelnikiem, ale kimś w rodzaju anioła, który niespodziewanie pojawił się między nami, ignorantami.

Francis roześmiał się głośno.

- On ma cztery żony, babciu.

Przekrzywiła na bok głowę.

- I co z tego? Czy Pismo Święte mówi, że aniołom nie wolno się żenić? - Kiedy nie dostała odpowiedzi, mówiła dalej: - Niezależnie od tego czy jest aniołem, czy człowiekiem, Nobe mówił prawdę.

Podeszła do barwnego gobelinu, który zakrywał ścianę naprzeciwko kominka.

Bradon wymienił zdziwione spojrzenie z bratem i bratanikiem. Lady Alicia weszła za gobelin. Wyłoniła się wreszcie zza ciężkiej tkaniny, ciągnąc wielką kwadratową paczkę. Guy podskoczył, aby jej pomóc.

Wskazała laską ławę przy oknie.

- Oprzyj to na chwilę o ścianę. Dobrze, właśnie tak jak te raz. - Spoglądała na nich z niezwykłą powagą. - Jedynie Thomas znał mój sekret. Tak jest, mój sekret, i zapewniam was, że jest on o wiele bardziej zadziwiający niż ostatnie, odkrycie Guya.

Brandon przestąpił z nogi na nogę.

- Mamo, wiemy, że pochodzisz ze świetnej rodziny, że jubiler i jego żona adoptowali cię, gdy zostałeś... porzucony. Nie ma potrzeby przypominać o tej starej historii.

Lady Alicia znowu stuknęła laską w podłogę.

- Milcz, Brandonie. To jest punkt węzłowy mojej opowieści. Na czym to skończyłam? Aha! Kiedy wychodziłam za Thomasa, daliśmy sobie słowo, że ten sekret nigdy nie wyjdzie na



jaw. - Lekko potrząsnęła głową. - Jacyż byliśmy młodzi i naiwni! Myśleliśmy, że jeśli zachowamy tajemnicę, niebezpieczeństwo nigdy nam nie zagrozi. Jakże się myliliśmy! Lęk zjeżył włosy na karku Francisa.

- Jakie niebezpieczeństwo? Co ci zagraża?

Guy położył rękę na sercu.

- Wiesz, mamó, że oddamy życie w twojej obronie.

Zbyła jego słowa machnięciem ręki.

- Nie tylko ja, ale i wasze dzieci narażone są obecnie na niebezpieczeństwo. Jego źródłem jest krew płynąca w waszych żyłach - krew królewskiego rodu Plantagenetów.

Mężczyźni ledwo odważyli się oddychać. W końcu Brandon pierwszy przerwał milczenie.

- Kto miał w sobie krew Plantagenetów? Ostatnim z nich był król Ryszard Trzeci, ale on zmarł w latach osiemdziesiątych piętnastego wieku.

Lady Alicia potrząsnęła głową.

- Czyżbyście zapomnieli haniebną egzekucję księżnej Salisburi, zaledwie dziesięć lat temu? - Skrzywiła wargi z pogardą. - Biedna Małgorzata została skazana przez naszego zmarłego nie dawno dobrego króla Hala pod wygodnym zarzutem zdrady państwa. A na czym polegało jej przestępstwo? Płynąca w żyłach Margaret krew Plantagenetów denerwowała Tudora. Była bliżej w kolejce do tronu, niżby sobie tego życzył. Księżna miała siedemdziesiąt lat - była prawie w moim wieku - kiedy zaciągnęli ją pod katowski topór. Opierała się i nie chciała ukłęknać przed pieńkiem.

Lady Alicia wyprostowała ramiona.

- Margaret była córką księcia Clarence'a i siostrzenicą króla Edwarda IV oraz moją kuzynką w pierwszym pokoleniu.

Guy chwiejnym krokiem podszedł do kamiennej ławy pod oknem i opadł na nią ciężko. Brandon pobladł. Krew w skroniach Francisa pulsowała gwałtownie, zwiastując ból głowy.

Jedynie lady Alicia zachowała pogodną minę.

- Jesteście zaskoczeni? - spytała.

Brandon otarł czoło rękawem.

- Tak jest. Nasz świat w jednej chwili wywrócił się do góry nogami.

Alicia wskazała na zawiniętą paczkę.

- Odsłoń portret, Guyu.

Młodszy syn ze czcią, graniczącą niemal z lękiem, rozwiązał sznurki i odrzucił płótno osłaniające portret w złoconej ramie. Francis rozpoznał podobiznę króla Edwarda IV. Widział taki sam portret w starym pałacu w Westminsterze. Ten król był dziadkiem Henryka VIII ze strony matki.

- Krewniaczka w drugim pokoleniu - rzekł. - Jesteś babciu, krewniaczką starego króla w drugim pokoleniu oraz kuzynką w trzecim pokoleniu jego syna, tego, który teraz siedzi na tronie?

Lady Alicia wygładziła zagniecenie na rękawie sukni.

- Zawsze byłeś bystry, Francisie. Od razu zrozumiałeś, na czym polega obecny problem naszej rodziny. - Podeszła bliżej do portretu i spojrzała na niego z tkliwością w oczach. - Byłam ostatnim żyjącym dzieckiem Edwarda, z nieprawego łoża, naturalnie. Czy widzicie tę broszę, którą mam na kapeluszu? - Wskazała na wielki rubin oraz równie wielką perłę, która jak łąza zwieszała się ze złotej oprawy. - Mój królewski ojciec przeznaczył ją dla mnie w posagu. Złotnik, u którego się wychowałam, był w rzeczywistości jednym z jego oddanych dworzan.

Francisowi mieszało się w głowie od tych rodzinnych powiązań. Stary król Henryk już nie żył, mimo to Anglię w dalszym ciągu rozdzierały polityczne niepokoje i religijne spory. Młody, chorowity monarcha Edward VI pozostawał pod przemożnym wpływem swych przebiegłych wujów z klanu Seymourów. Kościół katolicki został zmuszony zejść do pod-

ziemia w wyniku zerwania Henryka VIII z papieżem. Francis ostrzegł już Jessicę, że musi wyznawać swoją wiarę w głębokiej tajemnicy. Na szczęście w odludnym rejonie Northumberland nic jej nie grozi.

Myślał tak do tej chwili. Czy nad wszystkimi Cavendishami zawisło niebezpieczeństwo? Co będzie, jeżeli król Edward umrze bezpotomnie, jak się na to zanosi? Księżniczkę Marię uznano za dziecko z nieprawego łoża, podobnie jak księżniczkę Elżbietę. Czy nastąpi kolejna seria zamachów na życie pozostałych Platagenetów - nawet z tych najdalszych odgałęzień?

- Nic dziwnego, że rzadko składałaś wizyty na królewskim dworze, mamó - odezwał się w końcu Guy. - Widzę teraz, po kim odziedziczyliśmy nasz wygląd. Zawsze myślałem, że to ja ktoś krzepki wiking zaplątał się między naszych przodków.

Lady Alicia uśmiechnęła się.

- To prawda, że twój ojciec miał krew wikingów w swoich żyłach, ale to - wskazała na portret - to jest znacznie bliższe prawdy.

Guy i Brandon spojrzeli na siebie.

- Co teraz poczniemy?

- Pójdziemy w ślady ojca. Będziemy żyli cicho i spokojnie wśród naszego ludu i z dala od blichtru królewskiego dworu. Będziemy płacić na czas podatki, nie będziemy popisywać się naszą siłą i postaramy się zniknąć z pamięci Tudora. To dotyczy także ciebie, Francisie:

- Złożyłem dymisję na ręce lorda Cecila. Polityczne intrygi już mnie nie pociągają. Pragnę się ożenić i zmienić tryb życia.

- Jeżeli Jessica zechce z nim rozmawiać. Oby język odpadł mi za to, co jej powiedziałem. Korciło go, aby opuścić pokój babki i poszukać pociechy w ramionach ukochanej. Zrekompensuje tysiącrotnie wyrządzoną jej przykrość.

- A dzieci? - zapytał Guy. - Co im powiemy?

- Nic! - odparła z żywością lady Alicia. - Belle mieszka w Bodiam i jest pod opieką Marka. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, gdyby ta mała wariatka kiedykolwiek odkryła prawdę. Dzięki Bogu jej synowie podobni są do ojca. Czarne włosy twoich córek też nie wzbudzą podejrzenia. Zresztą, wkrótce powychodzą za mąż za dobrze urodzonych, niegroźnych dla króla młodych ludzi.

Guy przeszedł przez pokój i stanął obok Francisa.

- A tymczasem moje dziewczęta będą miały zarówno ojca, jak i brata, by je bronili przed niebezpieczeństwem. Obawiam się, że te trzy psotnice dostarczą nam wiele zajęcia. Czy mi pomożesz... synu?

Francis nie mógł wykrztusić słowa. Za dużo przeżyć jak na jeden dzień. Uściskał Guya i na szerokim ramieniu ojca wypłakał cały swój ból.

Brandon zakaszłał.

- A co z Kittem? - zapytał matkę. - Pewnego dnia to on zostanie hrabią Thornbury. Powinien znać dzieje rodziny.

Alicia zasiadła ponownie w swoim krześle i rozpostarła szeroko fałdy spódnicy.

- Owszem, w swoim czasie, ale jeszcze nie teraz. Ma zaledwie dwadzieścia lat i jest swobodny jak orzeł, podobnie jak ty byłeś w jego wieku. Nie przycinajmy mu jeszcze skrzydeł. Kto wie? Kiedy osiągnie twe lata, koło historii może się obrócić i groźba Tudora straci na aktualności. A teraz zostawcie mnie samą. Idźcie do swoich rodzin i weselcie się w ich gronie. I, jak się to mówi, zabijcie tłustego cielca, aby uczcić powrót do domu marnotrawnego syna.

Brandon podniósł portret.

- Gdzie go mam umieścić, mamu? Wskazała ręką ponownie na miejsce przy oknie.

- Zostaw go tutaj jeszcze na chwilę. Nie widziałam go wiele

lat, a przyjemnie jest ucieszyć wzrok wizerunkiem twarzy ojca. Zgadzasz się, Francisie?

- Owszem - mruknął.

Wszyscy trzej ruszyli do drzwi, ale słowa lady Alicii zatrzymały ich w miejscu.

- Czy wiecie, że osobistym godłem mego ojca była słoneczna kula w aureoli złotych promieni? Jak to trafnie określił Nobe, słońce w całym swym przepychu.

W milczeniu zamknęli za sobą drzwi.

- Wypijesz z nami kieliszek małmazji? - zapytał Guy, gdy przystanęli na szczycie schodów prowadzących do holu.

Francis uśmiechnął się do niego z zakłopotaniem.

- Najpierw muszę naprawić przykrość, którą wyrządziłem swej ukochanej, jeżeli oczywiście nie straciła już dla mnie całkiem serca.

Pogoda w dniu ślubu Jessiki była wprost wymarzona - ciepła i słoneczna. Po tradycyjnej kąpieli Celeste, Kat i Belle zlały ją pachnidłami, udzieliły wielu cennych małżeńskich rad i ubrały w najpiękniejszy strój, jaki Jessica kiedykolwiek miała. Suknia, skrojona na wzór wenecki, składała się z satynowego stanika w kolorze kości słoniowej oraz szkarłatnych aksamitnych spódnic. Armia szwaczek pracowała nad nią nieprzerwanie przez dwie ostatnie doby. Sznur mlecznobiałych pereł przewijał się przez jej rozpuszczone włosy. Głowę zdobił wianek z pierwiosnków, stokrotek i bluszczu.

Przyrodnie siostry Francisa, w nowych jasnozielonych jedwabnych sukniach, kręciły się przy niej, pomagając dobrać koronki, wstążki i klejnoty. Po raz pierwszy pełniły wdzięczną rolę druhen panny młodej i nie mogły się nią dość nacieszyć. Jessica przemierzała pokój tam i z powrotem, splatając i rozplatając nerwowo palce.

Kiedy Francis znalazł ją w końcu, dygocącą z zimna w nieogrzewanej kaplicy, nie szczędził przeprosin i najczulszych zapewnień o swej dozgonnej miłości. Jessica przebaczyła mu wszystko, ale kazała sobie obiecać, że to jego prawdziwy ojciec zaprowadzi ją do ołtarza. Od tego wydarzenia minęło zaledwie trzy dni - wystarczający czas, aby ogłosić zapowiedzi w kościele i przygotować weselne przyjęcie. Zaproszono najbliższych sąsiadów oraz mieszkańców wsi. Wszyscy z ochotą przyjęli zaproszenie. Po okresie zimowej nudy mieszkańcy Wolf Hall i okolic z niecierpliwością oczekiwali urozmaicenia, jakim miał być nadchodzący ślub Jessiki i Francisa.

Wciągnięta w wir weselnych przygotowań, Jessica rzadko widywała przyszłego męża. Kiedy zapytała go o spotkanie w pokoju lady Alicii, uśmiechnął się tylko i odparł, że było to znaczące wydarzenie w jego życiu. Nie chciał też opowiadać o szczegółach, chociaż go o nie wypytywała. Pragnął jedynie mówić o swej miłości oraz ich małżeństwie. Podczas krótkich chwil, gdy byli tylko we dwoje, głównie całował ją i głaskał. W rezultacie tych pieszczot wszelkie pytania uciekały jej z głowy. Sama myśl, że czeka na nią w tej chwili w drzwiach zamkowej kaplicy, sprawiała, że kolana się pod nią uginały.

Energiczne pukanie do drzwi wyrwało Jessicę z zadumy. Koniec oczekiwania. Przybywa człowiek, który powiedzie ją do ołtarza, ale kto nim jest? Czy Francis wybrał Brandona ze względu na ich dawną zażyłość? A może to Guy dostąpił tego honoru?

Kolejne pukanie, tym razem już bardziej natarczywe, położyło kres wahaniu Jessiki. Zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój i otworzyła drzwi.

Sir Guy Cavendish, olśniewający w czerwono-czarnym aksamitnym kubraku i nogawicach, skłonił się przed nią nisko, zdejmując z głowy przybrany piórami kapelusz.

Zupełnie jak Francis.

- Czy panna młoda już gotowa? - zapytał, podając jej Ramię. Na szyi miał szeroki łańcuch, z którego zwisał wielki srebrny medalion przedstawiający głowę wilka.

Trzy roześmiane dziewczęta opadły ojca, zalewając go falą jedwabiu i koronek.

- Jesteśmy gotowe, ojcie - wykrzyknęła Gillian - a może Alyssa? Jessica wciąż nie mogła odróżnić ich od siebie.

Guy śmiejąc się, ustawił je w szeregu.

- Wkrótce i was poprowadzę do ołtarza, zareczam, ale jeszcze nie dzisiaj. Jessico, czy naprawdę chcesz wejść do naszej rodziny?

Jakie to teraz łatwe pytanie.

- Pragnę tego z całego serca - odparła, kładąc rękę na ramieniu Guya. - Prowadź!

Przez cały ten pamiętny dzień uśmiech nie schodził z twarzy Francisa. Uśmiechał się nawet wtedy, gdy próbując wsunąć Jessice obrączkę na palec, upuścił ją na podłogę i kiedy, podczas nabożeństwa, Jessica popłakała się z radości. Promieniał szczęściem nawet wtedy, gdy córki Guya rozdały gościom kilkanaście pasterskich dzwoneczków i kazały nimi dzwonić bezustannie podczas uczyty, i gdy dwa psy zaczęły się gryźć ze sobą pod głównym stołem oraz kiedy Jessica rozplakała się ponownie na widok weselnego tortu; wysoki i pokryty różowym i zielonym lukrem, przypominał cukierkowe barwy pałaców jej rodzinnej Wenecji.

Nigdy w życiu Jessica nie była taka szczęśliwa. Nigdy też nie widziała, by Francis wyglądał tak pięknie jak w dniu ich ślubu. Na świadectwie ślubu Francis dopisał jej imię obok postawionego przez nią krzyżyka i powiedział, że wkrótce będzie sama podpisywać się swym nowym nazwiskiem. A będzie ono brzmiało - lady Jessica Bardolph Cavendish.

- Nowe nazwisko, nowa żona i nowa wspólna przyszłość - szepnął jej do ucha, kiedy wreszcie znaleźli się sami w najlepszym łóżu starego zamczyska.

Jessica musnęła koniuszkami palców obnażone ramiona męża.

- Znowu mam twe ciało pod swymi dłońmi - odezwała się przekornie, czując, jak ogarnia ją pożądanie.

Schwycił ją za nadgarstki i przygarnął. Pasowała do niego idealnie; widać sam Bóg stworzył ich dla siebie.

- Ale przynajmniej raz mam cię pod sobą - mruknął w odpowiedzi. - Dałaś mi się dobrze we znaki, cara mia. Przysięgam, że o mało nie oszalałem na tym przeklętym statku, kiedy płynęliśmy do Anglii.

Jessica objęła go za szyję i bezwstydnie zaczęła się o niego ocierać.

- Wobec tego zemścij się teraz na mnie, ukochany. Czas najwyższy, abyś i ty doprowadził mnie do szaleństwa.

- Z największą przyjemnością - powiedział, zamykając jej usta namiętym pocałunkiem.